

Deighton Len
Szpiegowska żyłka

„KB”

1

Glasnost próbowała uciec przez mur i dostała serię z cichostrzelnego karabinu maszynowego! - powiedział Kleindorf. - To najnowszy dowcip, jaki dotarł z tamtej strony. - Podnosił nieco głos, aby przekrzyczeć natrętne dźwięki fortepianu. Mówił po angielsku z amerykańskim akcentem, który niekiedy celowo przejawiał.

Usłyszawszy, że jest to dowcip, roześmiałem się, z trudem próbując zrobić to przekonująco. Znałem już ten kawał, a poza tym Kleindorf zawsze kładł wszystkie dowcipy; nawet dobre.

Kleindorf wyjął z ust cygaro, wypuścił w kierunku sufitu kłąb dymu i strząsnął popiół do popielniczki. Nie wiem, po co zadawał sobie tyle trudu; cała cholerna sala wyglądała jak pełna popielniczka. Dym nad jego głową wydawał się tajemniczy, wijąc się i kłębiąc niczym rozgniewane szare węże, schwytane w snop światła.

Śmiałem się chyba zbyt serdecznie, co zachęciło go do następnego dowcipu.

- Wszystkie ładne twarze są do siebie podobne, ale brzydka twarz jest brzydka na swój własny sposób - oznajmił.

- Nie wmawiaj mi, że powiedział to Tolstoj - odparłem. Gotów jestem zawsze udawać frajera wobec człowieka, który może powiedzieć mi to, co chcę wiedzieć.

- Oczywiście, że Tolstoj; powiedział to, siedząc przy tym barze.

Zerkał na mnie od czasu do czasu, by przekonać się, jak reaguję na jego dowcipy, ale poza tym nie odrywał wzroku od tancerek. Piątka wysokich, szczerzących się dziewcząt jakoś mieściła się na ciasnej scenie, ale ostatnia z nich musiała już ostrożnie podnosić nogę, by nie kopnąć w ścianę. Tak czy owak Rudolf

Kleindorf - znany powszechnie jako „Der grosse Kleiner” - dowiódł na ich przykładzie słuszości swej żartobliwej uwagi. Wszystkie tancerki miały przyklejony uśmiech i szeroko otwarte oczy. Można je było odróżnić tylko po makijażu i kolorze farbowanych włosów. Natomiast Rudi miał wielki, garbaty nos i zmierzwione, krzaczaste brwi, nadające mu wygląd człowieka wiecznie nachmurzonego, co w zestawieniu z ciemnymi obwódkami wokół oczu czyniło jego twarz niezwykłą i godną zapamiętania.

Spojrzałem na zegarek. Wskazywał czwartą nad ranem. Byłem brudny, cuchnący i nie ogolony. Marzyłem o gorącej kąpieli i możliwości przebrania się.

- Jestem zmęczony - powiedziałem. - Muszę się trochę przespać.

Kleindorf wyjął z ust ogromne cygareto, wypuścił kłęb dymu i zawołał:

- Spróbujemy teraz „Singing in the Rain” przynieście parasole!

Pianista natychmiast przestał grać, a tancerki, jęcząc głośno, złamały szyk; niektóre robiły ćwiczenia rozluźniające mięśnie, inne opierały się bezsilnie o dekoracje. Wyglądały jak wysypane z pudełka szmaciane lalki. Ich ciała lśniły od potu.

- Co ja robię w tej branży, w której muszę pracować do trzeciej rano? - poskarżył się Kleindorf, błyskając złotym rolexem wystającym spod nakrochmalonego mankietu. Był tajemniczym człowiekiem o zmiennym usposobieniu, krążyło o nim wiele różnych anegdot; w większości z nich był przedstawiany jako choleryk, zdolny do wybuchów wściekłego gniewu.

Rozejrzałem się po „Babilonie”. Wyglądał dość ponuro. Wentylatory były wyłączone i cały lokal - jak wszystkie tego typu lokale po wyjściu klientów - cuchnął potem, tanimi kosmetykami, popiołem i rozlanymi drinkami. Długi, błyszczący od chromów i luster bar, w którym kusiły oko wszystkie alkohole świata, był teraz odgradzony od sali zamkniętą na kłódkę żaluzją. Jego bywalcy udali się do innych knajp, istnieje bowiem w Berlinie wiele miejsc, w których zabawa zaczyna się dopiero około trzeciej nad ranem. W „Babilonie” panował teraz dotkliwy ziąb. W czasie wojny wzmocniono strop tej piwnicy metalowymi belkami, zamieniając ją na schron przeciwlotniczy, ale z betonowych ścian wiało wilgotnym chłodem. Jeden z takich schronów, wzniesiony na oddalonej o za-

ledwie dwie przecznice stąd Potsdamerstrasse, przez lata zaopatrywał mieszkańców Berlina w pieczarki, dopóki ich hodowla nie została zakazana przez władze sanitarne.

Po wodewilowym finale lokal przypominał śmietnik. Papierowe serpentyny wiły się wokół stolików, nadał zastawionych butelkami i kieliszkami po winie. Wszędzie leżały baloniki - niektóre już pomarszczone i skurczone - kartonowe podstawki pod kufle, podarte rachunki, karty napojów i wszelkiego rodzaju śmieci. Nikt nie myślał o sprzątanu. Było na to dość czasu w godzinach przedpołudniowych. Bramy „Babilonu” otwierały się dopiero po zapadnięciu zmroku.

- Dlaczego nie robisz prób nowego programu w ciągu dnia, Rudi? - spytałem. Nikt nie zwracał się do niego Der Grosse, nawet ja, choć znałem go niemal od urodzenia.

- Te ślicznotki są przez cały dzień zajęte - odpowiedział, marszcząc z niechęcią swój wielki nos. - Oto dlaczego musimy prowadzić próby, choć dawno już powinienem być w łóżku. - Władał biegle potoczną angielszczyzną, ale jego szorstki ton był typowy dla Niemca. Miał niski, ochryply głos, będący skutkiem jego przywiązania do specjalnych hawańskich cygar, które dojrzewały przez co najmniej sześć lat, zanim wziął któreś do ust.

- Czym zajęte?

Zbył moje pytanie machnięciem cygara.

- Dla wszystkich jest to dodatkowa praca - odparł. - Jak myślisz, dlaczego domagają się zapłaty w gotówce?

- Będą jutro zmęczone.

- Jasne. Kiedy kupujesz lodówkę i wypadają z niej drzwi, wiesz, co się stało. Jedna z tych laleczek zasnęła przy taśmie montażowej. Racja?

- Racja. - Spojrzałem na dziewczyny z nowym zainteresowaniem. Były ładne, ale żadna z nich nie była naprawdę młoda. Jak mogły pracować przez cały dzień i pół nocy?

Pianista szybko przerzucił nuty i wyszukał potrzebną partyturę. Jego palce odnalazły melodię. Tancerki przykleiły sobie do twarzy uśmiechy i rozpoczęły próbę. Kleindorf wydmuchiwał dym. Nikt nie znał jego wieku. Musiał już przekroczyć sześćdziesiątkę, ale mimo to zawsze miał w kieszeni gruby plik banknotów o wysokim nominale i piękną kobietę na każde zawołanie. Jego ubrania, koszule i buty pochodziły z najlepszych berlińskich sklepów, a pod jego domem stało przepiękne stare maserati ghibli z wykonanym na zamówienie silnikiem o pojemności 4,9 litra. Był to samochód dla koneserów, który Rudi kazał całkowicie przerobić i

wyregulować, tak że kiedy jeździł do Niemiec Zachodnich, mógł pędzić po *Autobahn* z szybkością 270 kilometrów na godzinę. Od lat dawałem mu do zrozumienia, że chętnie przejechałbym się kiedyś tym wozem, ale przebiegły stary drań udawał, że nie rozumie moich aluzji.

Uporczywie powtarzane plotki głosiły, że Kleindorfowie należeli do pruskiej arystokracji, a dziadek mojego przyjaciela, generał Freiherr Rudolf von Kleindorf, dowodził jedną z najlepszych dywizji kajzera podczas ofensywy w roku 1918, ale nigdy nie słyszałem, żeby Rudi to potwierdził. Der Grosse utrzymywał, że źródłem jego dochodów była sieć myjni samochodowych w Encino, w Kalifornii Południowej. Nie ulegało wątpliwości, że nie zarabiał wiele na tej podupadłej berlińskiej knajpie. Do tego rodzaju lokali wstępowali tylko najbardziej odważni turyści, którym zresztą, o ile nie szastali pieniędzmi, szybko dawano do zrozumienia, że nie są mile widziani. Niektórzy twierdzili, że Rudi utrzymuje ten klub dla własnej rozrywki. Inni snuli domysły, że kieruje nim nie tyle chęć spotykania się tam ze starymi przyjaciółmi, ile świadomość, iż jego lokal jest jednym z najlepszych punktów wymiany informacji w całym rozplotkowanym mieście. Tego rodzaju ludzie garnęli się do Kleindorf a, on zaś zachęcał ich do tego, gdyż opinia człowieka dobrze poinformowanego dodawała mu ważności, a najwyraźniej tego potrzebował. Jego barman wiedział, że ma podawać bezpłatne drinki pewnym mężczyznom i kobietom: portierom hotelowym, prywatnym sekretarkom, telefonistkom, detektywom, funkcjonariuszom Ministerstwa Obrony i obdarzonym czułym słuchem kelnerom, zatrudnionym w prywatnych jadłodajniach. Nawet funkcjonariusze berlińskiej policji - znani ze swej niechęci do posługiwania się płatnymi informatorami - przychodzili do baru Rudiego, kiedy zawiodły wszystkie inne metody.

To, w jaki sposób „Babilon” utrzymuje się, było jedną z wielu nie wyjaśnionych zagadek Berlina. Nawet podczas galowych występów dochód ze sprzedaży alkoholu nie pokrywał kosztów czynszu. Ludzie, którzy siadali w pierwszym rzędzie i oglądali występy, nie wydawali wielkich sum; nie pozwalał na to stan ich wątrób. Ci cierpiący na artretyzm eks-włamywacze, sklerotyczni oszuści i sparaliżowani fałszerze reprezentowali geriatrię berlińskiego półświatka, byli ludźmi dawno minionej epoki. Przychodzili zbyt wcześnie, sączyli drinki, gapili się lubieżnie na dziewczyny, zamawiali szklanek wody, by popić jakieś tabletki, i opowiadali sobie nawzajem anegdoty sprzed wielu lat. Bywali tam, oczywiście, również inni goście, czasem należący do eleganckiego towarzystwa; przedstawiciele berlińskiej śmietanki

towarzyskiej w futrach i smokingach, którzy zaglądali tu, by przekonać się, jak żyje reszta. Ale zawsze wstępowali tylko na chwilę, w drodze do innego lokalu. W dodatku „Babilon” nie był nigdy modnym barem młodzieżowym; nie sprzedawano tu żadnych prochów, trawek, haszów ani innych przysmaków, które długowłosi młodzi ludzie nabyć mogli w innych lokalach, usytuowanych na tej samej ulicy. Rudi fanatycznie tego przestrzegał.

- Na miłość boską, przestań grzechotać tym lodem. Jeśli chcesz następnego drinka, powiedz mi o tym.

- Nie dziękuję, Rudi. Jestem śmiertelnie zmęczony. Muszę się trochę przespać.

- Nie możesz przez chwilę siedzieć spokojnie? Co ci jest?

- Jestem dzieckiem nadpobudliwym.

- A może złapałeś tego nowego wirusa, na którego wszyscy się teraz skarżą?

Jest bardzo złośliwy. Kierownik tej knajpy leży w szpitalu. Nie ma go w pracy od dwóch tygodni. Dlatego siedzę tu sam.

- Wiem, mówiłeś mi o tym.

- Jesteś okropnie blady. Czy jadasz regularnie?

- Rozmawiasz ze mną tak samo, jak moja matka - stwierdziłem.

- Czy dobrze sypiasz, Bernd? Moim zdaniem powinieneś pójść do lekarza.

Mój specjalistą z Wannsee to cudotwórca. Dał mi serię zastrzyków - jakiś nowy hormonalny preparat ze Szwajcarii - i kazał mi przestrzegać ścisłej diety. - Dotknął plasterka cytryny, który pływał w stojącej przed nim szklance wody. - I czuję się wspaniale!

Wypiłem resztkę mojej whisky, ale w szklance było już tylko kilka kropel.

- Nie potrzebuję żadnych lekarzy. Jestem zupełnie zdrowy.

- Nie wyglądasz zdrowo. Wyglądasz jak człowiek ciężko chory. Nie pamiętam, żebyś był kiedykolwiek taki blady i wyczerpany.

- To przez tę późną porę.

- Jestem od ciebie dwukrotnie starszy, Bernd - powiedział głosem, w którym samozadowolenie mieszało się z wyrzutem. Nie była to zresztą prawda; mógł być ode mnie starszy najwyżej o piętnaście lat, ale widziałem, że jest w kłótliwym nastroju, więc nie wdawałem się w dyskusję. Czasami było mi go żal. Przed wielu laty Rudi zmusił

swego jedynego syna do odbycia służby w Bundeswehrze. Chłopiec nieźle sobie radził, ale okazał się zbyt mało odporny, by służyć nawet w nowoczesnej armii. Zażył śmiertelną dawkę jakiegoś leku i znaleziono jego zwłoki w pokoju na terenie hamburskich koszar. Komisja prowadząca śledztwo orzekła, że był to nieszczęśliwy wypadek. Rudi nigdy nie wspominał o tej sprawie, ale wszyscy wiedzieli, że czuje się winny. Żona porzuciła go, a on od śmierci chłopca nigdy już nie wrócił do dawnej formy; jego oczy straciły blask, a ich spojrzenie nabrało twardości. - A poza tym myślałem, że rzuciłeś palenie - dodał.

- Staram się ograniczać.
- Cygara nie są tak szkodliwe, jak papierosy - stwierdził, wypuszczając z zadowoleniem kłęb dymu.
- I nic więcej? - spytałem natarczywie. - Żadnych innych wiadomości?
- Zastępcą Fihrera, Hess, nie żyje... - stwierdził z sarkazmem. - Mieszkał kiedyś na Wilhelmstrasse, pod numerem czterdziestym szóstym. Od kiedy przeniósł się do Spandau, widywaliśmy go bardzo rzadko.
- Mówię poważnie - oświadczyłem z naciskiem.
- Wobec tego muszę ci przekazać naprawdę najnowszą wiadomość, Bernd. Chodzi o ciebie! Ludzie mówią, że jakiś maniak chciał najechać na ciebie ciężarówką, kiedy przechodziłeś przez Waltersdorfer Chaussee. Z wielką szybkością! Podobno omal cię nie zabił.

Patrzyłem na niego w milczeniu.

- Ludzie pytają - powiedział, pociągając nosem - co taki grzeczny chłopiec, jak Bernd Samson, robił w takim miejscu. Przecież to koniec świata. Nie ma tam nic oprócz tego starego przejścia granicznego. Nie można stamtąd nigdzie się dostać; nie można nawet dotrzeć do Waltersdorfer, bo po drodze jest Mur.
- Co im odpowiedziałeś? - spytałem.
- Że mogę im powiedzieć, co tam jest. Wspomnienia. - Wyjął cygaro z ust i przyglądał się rozjarzonemu końcowi jak filatelista, oceniający rzadki znaczek. - Wspomnienia - powtórzył. - Czy miałem rację, Bernd?
- Gdzie jest Waltersdorfer Chaussee? - spytałem. - Czy to jedna z tych eleganckich ulic w Nikolassee?
- W Rudow. O ile dobrze pamiętam, właśnie na tamtejszym cmentarzu pochowano tego faceta, Maxa Busby. Trzeba było wielu zabiegów, żeby wydano jego

zwłoki. Kiedy ci ludzie z drugiej strony Muru strzelają do kogoś, niezbyt chętnie oddają jego szczątki.

- Doprawdy? - spytałem. Miałem nadzieję, że zaproponuje mi następną porcję whisky, ale nie zrobił tego.

- Czy kiedykolwiek się bałeś, Bernd? Czy budziłeś się kiedyś w nocy mając wrażenie, że słyszysz na korytarzu czyjeś kroki?

- Czego miałbym się bać?

- Podobno chcą cię aresztować twoi ludzie.

- Naprawdę tak słyszałeś?

- Berlin to nie jest dobre miejsce dla człowieka, który się ukrywa - powiedział z zadumą, jakby zapominając o mojej obecności. - Twoi ludzie i Amerykanie nadal sprawują nadzór wojskowy. Mogą cenzurować pocztę, zakładać podsłuch telefoniczny i aresztować każdego, kogo chcą się pozbyć. Mają nawet do dyspozycji karę śmierci. - Spojrzał na mnie tak, jakby coś przyszło mu nagle do głowy - Czy widziałeś w gazecie tę wzmiankę o mieszkańcach Gatow, którzy złożyli skargę na armię brytyjską do Sądu Najwyższego w Londynie? Podobno dowódca sił brytyjskich w Berlinie oświadczył sądowi, że ponieważ jest prawowitym następcą Hitlera, może robić, co mu się podoba. - Uśmiechnął się z wysiłkiem, jakby sprawiało mu to ból. - Berlin to nie jest dobre miejsce dla człowieka, który się ukrywa, Bernd.

- Kto powiedział, że się ukrywam?

- Jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, którego pozbyłyby się chętnie obydwie strony - powiedział Rudi. Być może przeżył wyjątkowo ciężki dzień. Miał w sobie sporą dozę okrucieństwa, którego nigdy zbyt głęboko nie ukrywał. - Gdyby znaleziono dziś w nocy twoje zwłoki, istniałoby dziesięć tysięcy podejrzanych: KGB, CIA, nawet twoja własna firma. - Zaśmiał się cicho. - Jak narobiłeś sobie tylu wrogów, Bernd?

- Nie mam żadnych wrogów, Rudi - odparłem. - W każdym razie nie tego rodzaju wrogów.

- Więc dlaczego przychodzisz tu przebrany w te stare łachy i ze spluwą w kieszeni? - Nie odpowiedziałem mu, nie poruszyłem się nawet. A więc zauważył pistolet; była to z mojej strony cholerna nieostrożność. Chyba traciłem instynkt. - Czy boisz się, że cię obrabują, Bernd? Mogę to zrozumieć, wyglądasz ostatnio na człowieka, któremu się dobrze powodzi.

- Pobawiłeś się już moim kosztem, Rudi. A teraz powiedz mi to, co chcę wiedzieć, żebym mógł pójść do domu i trochę się przespać.

- A więc, co chcesz wiedzieć?

- Gdzie, do cholery, podział się Lange Koby?

- Powiedziałem ci już, że nie wiem. Dlaczego miałbym wiedzieć cokolwiek o tym przystojniaczku? - Nie jest to słowo, którego Niemcy używają bez powodu. Domyśliłem się, że dzieli ich jakiś spór - może nawet poważny konflikt.

- Ponieważ Lange zawsze tu był, a teraz go nie ma. Jego telefon nie odpowiada i nikt nie otwiera drzwi w jego mieszkaniu.

- Skąd mógłbym cokolwiek o nim wiedzieć?

- Ponieważ byłeś jego bardzo bliskim przyjacielem.

- Przyjacielem Langego? - Jego pogardliwy uśmiezek wzbudził we mnie złość.

- Tak, Langego, ty draniu. Byliście nierozłączni jak...

- Jak bracia syjamscy. Czy nie to zamierzałeś powiedzieć, Bernd? - Mimo że było ciemno i rozbrzmiewał fortepian, a my staraliśmy się mówić cicho, tancerki wyczuły najwyraźniej, że toczymy spór. W jakiś dziwny sposób udzieliło się im nasze napięcie. Uśmiechy zniknęły z ich twarzy, a ich głosy stały się bardziej przenikliwe.

- Tak, masz rację. To właśnie zamierzałem powiedzieć.

- Pukaj głośniej - poradził lekceważącym tonem Rudi. - Może dzwonek jest zepsuty. - Z góry dotarł do nas huk zatraskiwanych drzwi. Werner Volkmann zszedł po pięknych chromowanych schodach i wkroczył do sali z demonstracyjnie życzliwym wyrazem twarzy, który przybierał zawsze, kiedy zatrzymywałem go do późna w nocy.

- Wszystko w porządku? - spytałem. Werner kiwnął głową. Kleindorf odwrócił się, by sprawdzić, kto przyszedł, a potem znów spojrzał na zmęczone dziewczyny, które, zaczepiając o siebie parasolami, zniknęły tanecznym krokiem za nie istniejącymi kulisami i ciężko oparły się o ścianę.

Werner nie usiadł. Chwycił oburącz za poręcz krzesła i stał czekając, aż wstanę i wyjdę. Werner Jacob Volkmann chodził ze mną do szkoły, która mieściła się niegdyś niedaleko klubu Kleindorfa. Pozostał moim najbliższym przyjacielem. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, a w grubym płaszczu z dużym karakułowym kołnierzem wydawał się jeszcze większy. Pozbył się już swej malowniczej brody,

którą zgolił po przypadkowej uwadze Ingrid, aktualnej damy swego serca.

Podejrzałem, że niebawem zgoli również wąsy.

- Napijesz się, Werner? - spytał Rudi.
- Nie, dziękuję. - Choć w tonie Wenera nie było śladu niecierpliwości,

czułem, że powinienem już iść.

Werner również chciał wierzyć, że zagraża mi niebezpieczeństwo. Od kilku miesięcy upierał się, że musi obejrzeć każdą ulicę, zanim pozwoli mi wyjść z bramy. Jego ostrożność była w tym wypadku posunięta zbyt daleko, ale Werner Volkmann był człowiekiem rozważnym i martwił się o mój los.

- A więc dobranoc, Rudi - powiedziałem.
- Dobranoc, Bernd - odparł, nie odrywając wzroku od sceny.

Jeśli dostanę pocztówkę od Langego, pozwolę ci obejrzeć znaczek pod mikroskopem.

- Dzięki za drinka, Rudi.
- Jesteś tu zawsze mile widziany, Bernd. - Wykonał nieokreślony gest ręką,

w której trzymał cygaro. - Pukaj mocniej. Może Lange jest już trochę przygłuchy.

Na zaśmieconej Potamerstrasse było zimno i sypał śnieg. Tym uroczym niegdyś bulwarem można było obecnie dojść jedynie do Muru, toteż stał się on centralnym punktem podejrzanej dzielnicy, w której sprzedawano seks, pamiątki, podłe jedzenie i wyroby z dżinsu. Obok nie rzucającego się w oczy wejścia do „Babilonu” płonął jaskrawy niebieski neon, który oświetlał zasłoniętą wystawę jakiegoś sklepu i wewnątrz libańskiej restauracji. Siedzieli w niej pochyleni nad talerzami wąsaci mężczyźni w wełnianych czapkach, jedząc egzotyczną potrawę, która piekła się na wystawionym w oknie obrotowym rożnie. Po drugiej stronie ulicy jakiś pijak opierał się niepewnie o drzwi prowadzące do salonu masażu i stukając w nie pięścią, wykrzykiwał coś z gniewem do otworu skrzynki na listy.

Werner zawsze kulał mocniej, kiedy było zimno. Jego noga została złamana w trzech miejscach, kiedy zaskoczył trzech agentów enerdowskiej policji, przeszukujących jego mieszkanie. Wyrzucili go przez okno. Od tej pory upłynęło wiele lat, ale Werner kulał nadal.

Szliśmy ostrożnie po oblodzonym chodniku. Nagle z pobliskiego sklepu wypadli trzej młodzi ludzie. Byli to Turcy; szczupli, muskularni chłopcy w dżinsach i koszulkach z krótkimi rękawami, odporni najwyraźniej na dotkliwy chłód. Z głośnym

tupotem biegli prosto na nas; ich twarze wykrzywiały grymas wysiłku. Wszyscy mieli w rękach drewniane kije. Pierwszy z nich wykrzyknął zdyszczym głosem po turecku coś, czego nie rozumiałem; dwaj pozostali wbiegli na jezdnię, jakby chcieli nas okrążyć.

Pistolet znalazł się w moim ręku, zanim zdążyłem uświadomić sobie, że może mi być potrzebny. Wyprostowałem rękę i oparłem się o chłodną ścianę domu, by łatwiej wymierzyć do celu.

- Bernie! Bernie! Bernie! - krzyknął Werner, a w jego głosie było tyle przerażenia, że zastygłem w bezruchu. W tym samym momencie poczułem silne uderzenie; Werner podbił rękę, w której trzymałem rewolwer.

- To tylko dzieci, Bernie. Po prostu dzieci!

Chłopcy przebiegli obok nas, pokrzykując, popychając się i poszturchując, zajęci jakąś zabawą, w której my nie graliśmy żadnej roli.

- Robię się nerwowy - mruknąłem, chowając pistolet.

- Po prostu zareagowałeś zbyt gwałtownie. Mnie również stale się to zdarza - powiedział Werner. Ale spojrzenie, jakim mnie obdarzył, przeczyło jego słowom. Przy krawężniku stał samochód. Usiadłem z przodu, obok Wenera.

- Dlaczego nie schowasz pistoletu do schowka? - spytał.

- Bo może będę chciał kogoś zastrzelić - odparłem. Byłem zły, że traktuje mnie jak dzieciaka, choć do tej pory powinienem już przyzwyczać się do jego troskliwej opieki. Wzruszył ramionami i włączył ogrzewanie; poczułem na twarzy strumień gorącego powietrza. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Drżałem nadal, więc czułem się dobrze w ciepłym wnętrzu samochodu. Na przednią szybę spadały duże srebrne monety, zamieniały się w mokry śnieg i topniały bez śladu. Siedzieliśmy w czerwonym golfie, którego wypożyczył Wernerowi pośrednik samochodowy, naprawiający jego nowe BMW. Nadal nie ruszaliśmy z miejsca, choć silnik pracował już od dłuższej chwili. Werner patrzył w lusterko i czekał, aż przejadą wszystkie samochody. Wtedy puścił pedał sprzęgła, zawrócił z piskiem opon i ruszył szybko naprzód. Jechał bocznymi ulicami, mijając opuszczone magazyny kolejowe, w stronę mojej kryjówki w dzielnicy Kreuzberg.

Przez wąską szparę między śnieżnymi chmurami wyzierało pierwsze światło poranka. Na niebie nie było miejsca na róż czy czerwień. Berliński brzask bywa ponury i bezbarwny, jak szare kamienne miasto odbijające jego światło.

Moja nora nie mieściła się w tej części dzielnicy, którą opanowują stopniowo dobrze zarabiający młodzi ludzie i w której rośnie liczba eleganckich małych restauracji oraz odnowionych budynków mieszkalnych, wyposażonych w domofony. Kreuzberg 36 to przyciśnięty do Muru skrawek przedmieścia, po którym policjanci chodzą wyłącznie parami, uważając, by nie nadepnąć na pijaków lub nie wdepnąć w ekskrementy.

Mineliśmy opuszczony blok mieszkalny, który został niedawno pobieżnie wyremontowany i pomieścił kilka „alternatywnych” instytucji: sklep z nasionami, warsztat naprawy rowerów, spółdzielcze przedszkole, feministyczną galerię sztuki i pracownię, w której drukowano marksistowskie książki, broszury i ulotki; głównie ulotki. Na ulicy przed budynkiem stała młoda kobieta w tradycyjnym stroju tureckim i pracowicie wypisywała na murze jakiś slogan.

Fasadę bloku, w którym mieszkałem, zdobiły olbrzymie wizerunki dwóch aniołów, uzbrojonych w pistolety maszynowe i otoczonych przez gromadę mężczyzn w cylindrach; nad nimi unosiły się nieregularne barwne plamy farby, która rwja podkładem pod chmury. Miał to być gigantyczny fresk polityczny zatytułowany: *Rzeź niewiniątek*, ale artysta zmarł na skutek przedawkowania narkotyków, gdy tylko udało mu się zdobyć pieniądze na zakup farb.

Werner uparł się, że wejdzie ze mną do środka. Chciał się upewnić, że w moim małym mieszkanku, którego okna wychodziły na podwórko, nie czeka niespodziewany a nieprzyjazny gość.

- Niepotrzebnie się o to martwisz - powiedziałem. - Nie sądzę, by Departament mógł mnie tu odnaleźć, a nawet gdyby się to udało, to sam powiedz, czy Frank znajdzie człowieka, który ośmieliłby się zapuścić w te okolice?

- Lepiej być zbyt ostrożnym, niż niepotrzebnie się narażać - odparł Werner.

Z drugiego końca korytarza dobiegały dźwięki hinduskiej muzyki. Werner ostrożnie otworzył drzwi wejściowe i zapalił światło. Płynęło ono z nagiej, słabej żarówki, zawieszonej pod sufitem. Rozejrzał się po ponurym pokoju; tapeta odklejała się od wilgotnego tynku, a zamiast łóżka miałem brudny materac, przykryty dwoma kocami. Na ścianie wisiał upstrzony przez muchy plakat, przedstawiający świnię w policyjnym mundurze. Po wprowadzeniu się do tego mieszkania, nie zmieniłem w nim wiele; nie chciałem zwracać na siebie uwagi. Musiałem więc znosić życie w tej ciemnej norze, dzieląc z użytkownikami pozostałych pokoi jedną łazienkę i dwie prymitywne toalety, których ostry fetor przenikał całe mieszkanie.

- Będziemy musieli znaleźć ci coś lepszego, Bernie - powiedział Werner. Muzyka hinduska ucichła nagle. - Jakieś mieszkanie, w którym Departament nie będzie mógł cię znaleźć.

- Nie sędzę, żeby im na tym jeszcze zależało. - Rozejrzałem się po pokoju, próbując zobaczyć go jego oczami, ale najwyraźniej przyzwyczailem się już do tych prymitywnych warunków.

- Więc dlaczego próbowali cię aresztować? - Spojrzał na mnie badawczo. Usiłowałem wydedukować, nad czym się zastanawia, ale z Wernerem nigdy nie można było być niczego pewnym.

- Od tego czasu upłynęło już kilka tygodni. Może to, co zrobiłem, jest im na rękę? Przecież sam się uwięziłem, prawda? A oni nie muszą się o mnie troszczyć ani ponosić żadnych kosztów. Ignorują mnie; postępują jak ojciec, który świadomie ignoruje niegrzecznego syna. Czy mówiłem ci, że nadal przekazują do banku moją pensję?

- Tak, mówiłeś mi o tym. - W głosie Wenera wyczułem rozczarowanie. Być może, wobec braku bardziej sensacyjnych przygód traktował ukrywanie mnie jako rozrywkę, której nie chciał być pozbawiony. - Chcą zostawić wszystkie drzwi otwarte.

- Chcieli, żebym milczał i zniknął z pola widzenia. I tak właśnie się stało.

- Nie licz... na nic, Bemie. Być może czekają na twój następny ruch. Sam mówiłeś, że są mściwi.

- Być może tak mówiłem, ale jestem teraz zmęczony. Muszę się trochę przespać. - Zanim zdążyłem zdjąć marynarkę, do pokoju wszedł bardzo szczupły młody mężczyzna. Miał ciemną cerę, wielkie piwne oczy, ślady przebytej ospy na twarzy i krótko przycięte włosy. Był Tamiem, przedstawicielem najnowszej fali osiedlających się w Berlinie imigrantów, pochodzących ze Sri Lanki. Spał przez cały dzień, nocami zaś słuchał kaset z muzyką raga.

- Cześć, Johnny - powitał go chłodno Werner. Nabrali do siebie silnej wzajemnej niechęci już przy pierwszym spotkaniu. Wenera irytowała indolencja Johnny'ego; Johnny'ego drażniła zamożność Wenera.

- Wszystko w porządku? - spytał Johnny. Mianował się moim opiekunem w zamian za lekcje niemieckiego. Nie wiem, który z nas wychodził na tym lepiej; podejrzewam, że żaden nic nie zyskiwał. Przybył niegdyś do Berlina Wschodniego

jako gorliwy marksista, ale jego wiara nie przetrwała ograniczeń swobody życia obowiązujących w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Teraz, jak tyłu innych, przeniósł się na Zachód i odbudowywał swój światopogląd, wykorzystując do tego celu ekologię, muzykę pop, mistycyzm, antyamerykanizm oraz narkotyki.

- Tak, dziękuję, Johny - odparłem. - Właśnie zamierzam się położyć.
 - Jest tu ktoś, kto chce się z tobą zobaczyć - powiedział Johny.
 - O czwartej nad ranem? - spytał Werner, zerkając na mnie badawczo.
- Jak się nazywa? - spytałem.

Nagle od strony podwórza doleciał nas głośny wrzask. Z otwartych drzwi wytoczył się tyłem jakiś mężczyzna i z przerażającym łomotem upadł na ziemię, uderzając głową o kocie łby. Widziałem go przez brudną szybę w żółtawym świetle, padającym z otwartych drzwi. Jakaś kobieta w średnim wieku, ubrana w krótką spódnicę i biustonosz, oraz młody długowłosej mężczyzna z butelką w ręku wyszli na podwórze i przyjrzeni się nieruchomej postaci. Kobieta potrąciła leżącego bosą stopą, nie wkładając w to zbyt wiele wysiłku. Potem cofnęła się do wnętrza, by powrócić po chwili z męskim płaszczem i kapeluszem, oraz płócienną torbą podróżną, które rzuciła niedbale na ziemię obok nieprzytomnego mężczyzny. Młody człowiek przyniósł dzbanek wody i oblał nią leżącego. Potem oboje wrócili do budynku, głośno zatraskując za sobą drzwi.

- On zamarznie na śmierć - powiedział Werner, który zawsze martwił się o los innych. Ale zanim skończył zdanie, mężczyzna wstał z ziemi i powłókł się w ciemność.
- Powiedział, że jest twoim kontrahentem handlowym - ciągnął Johny, nie zwracając najmniejszej uwagi na kłótnię rodziny Ślęzaków, mieszkających po drugiej stronie podwórza. Kiwnąłem głową i zastanowiłem się nad sytuacją. Ludzie przedstawiający się jako kontrahenci handlowi przypominają mi tanie brązowe koperty z nadrukiem: „Poufne” i są przede mną równie mile widziani. - Kazałem mu poczekać na górze, u Spenglera.

- Pójdę i zobaczę, kto to jest - powiedziałem.

Powłókle się na górę. W tego rodzaju berlińskich ruderach nie ma numerów na drzwiach, ale znałem mały zatęchły pokój, w którym mieszkał Spengler. Zamek był od dawna uszkodzony. Wszedłem do środka. Spengler - młody szachista alkoholik, którego Johny poznał, kiedy aresztowano go za udział w politycznej

demonstracji - siedział na podłodze pijąc z butelki jabłkowy schnaps. W jego pokoju smród był bardziej dotkliwy niż w pozostałej części budynku. Na jedynym w pomieszczeniu krześle siedział jakiś mężczyzna, wyraźnie starając się nie wdychać powietrza. Miał na sobie elegancki płaszcz i nowe rękawiczki, na głowie zaś brązowy filcowy kapelusz.

- Cześć, Bernd - powiedział Spengler. Miał w jednym uchu kolczyk i nosił okulary w metalowej oprawie. Jego włosy były długie i bardzo brudne. W gruncie rzeczy nie nazywał się wcale Spengler. Nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska. Krążyły pogłoski, że jest Szwedem, który zamienił swój paszport na dokumenty człowieka nazwiskiem Spengler, aby odbierać jego zasiłek dla bezrobotnych podczas pobytu prawdziwego Spenglera w USA. Zapuszczał teraz niechlujną brodę, pragnąc uwiarygodnić swoje oszustwo.

- Czy szuka pan mnie? - spytałem człowieka w kapeluszu.
- Samson? - Wstał z krzesła i obejrzał mnie od stóp do głów. Zachowywał sztywny dystans. - Dzień dobry panu. Nazywam się Teacher. Mam dla pana wiadomość.

Jego precyzyjna angielszczyzna, niewątpliwie wyniesiona z prywatnej szkoły, ściągnięte wargi i pochylone plecy akcentowały niesmak, jaki budziła w nim ta nędzna nora, a być może również moja osoba. Nie miałem pojęcia, od jak dawna na mnie czekał, ale zasługiwał na pochwałę za wytrwałość.

- Jak brzmi ta wiadomość?
- Wolałbym...
- Może pan śmiało mówić - oznajmiłem. - Mózg Spenglera został rozmiękczony przez alkohol już dawno temu. - Przez bladą twarz Spenglera, który usłyszał i zrozumiał moje oświadczenie, przebiegł cień uśmiechu.

Przybysz, nadal nieufny, rozejrzał się po pokoju.

- Jutro rano przechodzi na tę stronę pewien człowiek - powiedział, starannie dobierając słowa. - Frank Harrington zaprasza pana do udziału w rozmowie.

Gwarantuje panu nietykalność osobistą.

- Jutro jest niedziela - przypomniałem mu.
- Zgadza się, niedziela.
- Bardzo dziękuję - powiedziałem. - Gdzie?
- Przyjadę po pana. O dziewiątej?

- W porządku - odparłem.

Bez uśmiechu kiwnął mi na pożegnanie głową i wyszedł z pokoju, starając się nie dotknąć połą płaszcz niczego, co mogłoby nosić zarazki. Nie było to łatwe. Oczekiwał zapewne, że będę krzyczał z radości. Każdy pracownik Oddziału Berlińskiego, nawet zwykły posłaniec, musiałby domyślić się, kim jestem: byłym agentem operacyjnym, który popadł w niełaskę i na którym ciąży aktualnie nakaz aresztowania. Zaproszenie do udziału w przesłuchaniu niedawno przybyłego uciekiniera ze Wschodu oznaczało zdumiewającą zmianę mojego statusu.

- Pójdziesz? - spytał Werner, kiedy usłyszeliśmy trzask drzwi wejściowych. Wyglądał z balkonu, by przekonać się, że nasz gość naprawdę wychodzi.

- Owszem, pójdę.
- To może być pułapka - ostrzegł mnie.
- Wiedzą, gdzie mogą mnie znaleźć, Werner - odparłem, wyładowując na nim gniew. Wiedziałem, że Frank przysłał tu swojego człowieka, by mi pokazać, jak łatwo mógłby mnie zgarnąć, gdyby przyszła mu na to ochota.

• Napij się - powiedział Spengler, który nadal siedział rozparty na podłodze. Podsunął nieco wyżej spadające mu z nosa pogięte okulary i zaczął naciskać guziki trzymanego w ręku urządzenia, w którym migotały jakieś światełka. Zdobył w końcu baterie do swego kieszonkowego szachowego komputera i mimo upojenia alkoholowego przystępował do batalii. Zastanawiałem się czasem, jak genialnym człowiekiem mógłby się okazać, gdyby kiedykolwiek wytrzeźwiał.

- Nic, dziękuję - odpowiedziałem. - Muszę się trochę przespać.

2

Gdyby nawet wprowadzono mnie do punktu kontaktowego z zawiązanymi oczami, wiedziałbym, gdzie się znajduję. Werner powiedział kiedyś, że one pachną elektrycznością; miał na myśli zapach starego kurzu, który przyciągany siłami elektrostatycznymi tkwi we wszystkich zasłonach, dywanach i firankach takich ponurych, nie zamieszkanym lokali. Mój ojciec twierdził, że wyróżnia je nie tyle zapach, ile właśnie brak jakiegokolwiek zapachu. Nie pachną gotowaniem, dziećmi, świeżymi kwiatami czy miłością. Lokale kontaktowe, mówił mój ojciec, nie pachną niczym. Ale człowiek wrażliwy na charakter otoczenia instynktownie wyczuwa w

nich subtelny aromat strachu, łatwo rozpoznawalny przez osoby narażone często na jego działanie. Gdzieś ponad ulotnym i mglistym bukietem zapachowym, na który składa się woń moczu, potu, wymiotów i innych odchodów, unosi się zwodniczy, słodkawy aromat lęku. Czulem go teraz wyraźnie w pięknym starym domu, stojącym w dzielnicy Charlottenburg.

Być może, młody człowiek nazwiskiem Teacher również go wyczuł, bo przestał zabawiać mnie rozmową, gdy tylko wkroczyliśmy do eleganckiego, wyłożonego lustrami hallu i minęliśmy dozorcę, który na nasz widok wyszedł ze swej drewnianej budki, służącej mu za punkt obserwacyjny. Był to starszy, siwy, tęgi mężczyzna z wielkimi wąsami. Miał na sobie czarny, trzyczęściowy garnitur, lekko wytarty na łokciach. W jego wyglądzie było coś anachronicznego; przypominał pozdrawiających cesarza Wilhelma berlińczyków, których ogląda się na wyblakłych, brązowych fotografiach. Z budki wyszedł za nim duży owczarek niemiecki. Warknął na nas groźnie. Teacher, nie zwracając uwagi ani na psa, ani na jego pana, ruszył w górę po wyłożonych dywanem schodach, na których nie było słychać kroków.

- Czy jest pan żonaty? - spytał mnie nagle przez ramię, jakby od dawna zastanawiał się nad tą kwestią.
- Żyję w separacji z żoną - odparłem.
- Ja jestem żonaty - powiedział stanowczym tonem, w którym pobrzmiwała nuta fatalizmu. Zacisnął dłoń na kluczach tak mocno, że kostki jego palców stały się niemal białe.

Żelazna balustrada schodów, ozdobiona delikatnym ornamentem złożonym z kwiatów i liści, biegła spiralnie aż do szklanego cfechu, który przykrywał najwyższe piętro budynku. Przez jego szyby przenikało bezbarwne światło pokrytego śnieżnymi chmurami nieba, oświetlając owalną studnię klatki schodowej i pokrytą marmurowymi płytami podłogę hallu. Na schodach panował jednak półmrok.

Nigdy nie byłem w tym domu, ani nawet nie wiedziałem o jego istnieniu. Wchodząc za Teacherem do mieszkania na drugim piętrze, usłyszałem regularny stukot maszyny do pisania. Nie był to donośny huk dużej maszyny biurowej, lecz lekki klekot jednej z tych walizkowych, jakie noszą z sobą protokolanci obecni podczas przesłuchań.

W pierwszej chwili myślałem, że przesłuchanie - czy też, jak się to delikatnie nazywa, składanie wyjaśnień - dobiegło już końca i że nasz gość czeka na moment, gdy będzie mógł podpisać swe zeznania. Myliłem się jednak. Teacher poprowadził

mnie korytarzem do pokoju z dużymi oknami, z których jedno wychodziło na mały balkon, otoczony żelazną balustradą. Widać stąd rosnące w parku nagie drzewa, a nad dachami dostrzec można ozdobne zwieńczenie kopuły osiemnastowiecznego pałacu, od którego pochodzi nazwa tej dzielnicy.

Większość punktów kontaktowych to tandetne, zaniedbane lokale, w których panuje spartańska skromność podyktowana względami oszczędności, ale ta poczekalnia była w doskonałym stanie. Wszystkie zasłony i dywany, a nawet farba na ścianach, świadczyły o pełnej dumie i troskliwości, jaką tylko Niemcy potrafią otaczać swe mieszkania.

Bocznymi drzwiami weszła do pokoju szczupła, trzydziestopięcioletnia kobieta o końskiej twarzy. Dość zdawkowo powitała Teachera, a potem podniosła głowę, utkwiała we mnie krótkowzroczne spojrzenie i głośno pociągnęła nosem.

- Cześć, Pinky - powiedziałem. Miała na imię Penelopa, ale wszyscy zawsze mówili do niej: Pinky. Kiedyś pracowała w Londynie jako sekretarka mojej żony, ale Fiona pozbyła się jej, twierdząc, że nie zna zasad ortografii.

Pinky uśmiechnęła się nagle, jakby dopiero teraz mnie poznała, i powiedziała głośno:

- Cześć, Bernard, dawno cię nie widziałam. - Miała na sobie cocktailową suknię, ozdobioną sznurem pereł. Można było ją wziąć za którąś z niemieckich sekretarek, ponieważ wszystkie one były zawsze tak ubrane, jakby wybierały się na eleganckie przyjęcie. O tej porze roku większość Angielek nosiła w biurze postrzępione swetry i powypychane tweedowe żakiety. Być może, Pinky ubierała się tak tylko w niedzielę. Teraz obdarzyła Teachera służbowym uśmiechem i powiedziała stanowczym tonem: - No dobrze, chłopcy. Muszę lecieć. Muszę lecieć. - Zatarła energicznie ręce, jakby chcąc pobudzić krążenie krwi, i zniknęła w drzwiach prowadzących na korytarz. Lokale kontaktowe miały jeszcze jedną wspólną cechę: panował w nich zawsze dotkliwy chłód.

- Ten facet jest już na miejscu - powiedział Teacher, wskazując ruchem głowy pokój, z którego wyszła Pinky. - Stenograf jeszcze tam siedzi. Poproszą nas w odpowiednim momencie. - Jak dotąd, powiedział mi tylko tyle, że składający zeznania agent nosi imię Walery - oczywiście był to kryptonim - i że podczas przesłuchania nie wolno mi zwracać się bezpośrednio do niego ani wtrącać się do jakichkolwiek rozmów.

Rozsiadłem się na kanapie i przymknąłem na chwilę oczy. Wiedziałem, że takie spotkania mogą dość długo trwać. Teacher najwyraźniej zniósł bez szwanku bezsenność, ale ja czułem się znużony. Nie chciałem się do tego przyznać, ale byłem już za stary na to, żeby koczowanie w slumsach sprawiało mi przyjemność. Lubilem codzienną kąpiel, kosztowne mydła, miękkie ręczniki, łóżka z czystą pościelą i mieszkania z zamkiem w drzwiach. Być może, identyfikowałem się z tym tajemniczym uchodźcą, który też tęsknił niewątpliwie za tymi przejawami luksusu.

Siedziałem tam niemal przez pół godziny i co jakiś czas zapadałem w sen. Obudziła mnie wymiana zdań, dochodząca nie z pokoju, w którym odbywało się przesłuchanie, lecz z pomieszczenia, z którego dobiegał poprzednio klekot maszyny. Spierały się dwie kobiety; obie mówiły spokojnym, opanowanym głosem, jakim posługują się Anglicy, chcąc wyrazić najwyższe oburzenie. Nie słyszałem poszczególnych słów, ale z tonu rozmowy wnosiłem, że spierają się nie po raz pierwszy.

Potem otworzyły się drzwi i do pokoju weszła starszawa sekretarka, którą nazywaliśmy Księżną. Uśmiechnęła się na mój widok, a potem umieściła na stole dwa talerze, sztuce i brązową papierową torbę, w której dostrzegłem kilka bułek.

Księżna była szczupłą i kruchą Walijką, ale jej wygląd wprowadzał w błąd, odznaczała się bowiem odwagą, wytrzymałością i nieustępliwością zawodowego boksera. Bóg raczył wiedzieć, ile miała lat; pracowała w berlińskim biurze od niepamiętnych czasów. Miała genialną pamięć i twierdziła, że potrafi przepowiadać przyszłość; wróżyć z ręki, stawiać kabałę, i tak dalej. Była niezamężna i wynajmowała mieszkanie w Dahlem, w którym, jak mówiono, trzymała setkę kotów, liczne wykresy faz Księżyca i okultystyczne podręczniki. Niektórzy bali się jej jak ognia. Frank Harrington żartował, że jest czarownicą, ale zauważyłem, że nawet on niechętnie wdawał się z nią w spory.

Pojawienie się talerzy było złym znakiem; ktoś zakładał, że przesłuchanie może potrwać aż do wieczora.

- Dobrze pan wygląda, panie Samson - powiedziała Księżna. - Jest pan w doskonałej formie. - Zerknęła na moją wytartą skórzaną kurtkę i pomięte spodnie, ale najwyraźniej doszła do wniosku, że jest to strój, którego wymagają ode mnie obowiązki służbowe.

- Dziękuję - odparłem. Domyśliłem się, że ma na myśli moją zapadniętą twarz, wychudzoną sylwetkę i emanujący ze mnie niepokój. W normalnych

warunkach byłem tęgi, rozleniwiony i zadowolony z życia. Do poczekalni wbiegł jakiś rozwścieczony kocur; miał zmierzwiowane futro i błyszczące z podniecenia oczy. Rozejrzał się gniewnie po pokoju, jakby był jakimś nieszczęśliwym interesantem, niespodziewanie zamienionym w kota.

Rozpoznałem tego starego drania; miał na imię Jackdaw. Księżna wszędzie go z sobą zabierała, a kiedy siedziała za swym biurkiem, zawsze spał na jej kolanach. Teraz był oburzony, że został strącony na podłogę. Podbiegł do kanapy i wbił w nią pazury. - Jackdaw! Uspokój się! - powiedziała Księżna i kot posłusznie przestał niszczyć kanapę.

- Czy napije się pan herbaty, panie Samson? - spytała. Jej walijski akcent był równie silny, jak dawniej.

- Owszem, chętnie - odparłem, zadowolony, że rozpoznała mnie po tak długiej nieobecności.

- Mleko? Cukier?

- Jedno i drugie, proszę.

- A pan, panie Teacher? - zwróciła się do mego towarzysza. Nie zapytała, czy chce mleka i cukru. Zapewne знаła jego zwyczaje.

Pijąc herbatę z Księżną, miałem okazję przyjrzeć się Teacherowi dokładniej niż ubiegłej nocy. Był mniej więcej trzydziestoletnim, drobnym, rzadko się uśmiechającym mężczyzną; miał krótkie ciemne włosy i staranny przedziałek. Do granatowego garnituru nosił dość dziwną dwurzędową kamizelkę z szerokimi klapami i guzikami z kości słoniowej. Czy był to relikwint tęsknie wspomnianego kawalerstwa, czy też *cri de coeur* człowieka skazanego przez wybrany zawód na dożywotnią anonimowość? Miał głębokie bruzdy na twarzy, cienkie wargi i oczy, z których nie wycierało żadne uczucie, z wyjątkiem, być może, pełnego rezygnacji smutku.

Gdy piliśmy herbatę, Księżna wspominała dawne czasy spędzone w berlińskim biurze; wspominała też o pewnym hoteliku zbudowanym na przecznicy Ku-Damm, który Werner Volkmann przerobił na „zaciszne gniazdko dla niektórych starych bywalców”. Wiedziała, że Werner jest moim bliskim przyjacielem, i dlatego zapewne przekazała mi tę informację. Mimo że chciała wyrazić swe uznanie dla Wenera, nie byłem pewien, czy jej opis jest dobrą wróżbą z punktu widzenia dochodowości hotelu, gdyż większość „starych bywalców” była hałaśliwa i wymagająca. Nie byli to klienci, którzy przynosiliby duże zyski. Gawędziliśmy swobodnie przez jakiś czas, a potem Księżna dała nam przykład swej umiejętności

przewidywania, która zjednała jej opinię osoby jasnowidzącej: oznajmiła, że zostaną wezwani najwyżej za dziesięć minut. Zgadła niemal co do minuty.

Spokojnie wszedłem do pokoju. Przy przepięknym mahoniowym stole jadalnym siedzieli naprzeciwko siebie dwaj mężczyźni. Błat stołu osłaniała szklana płyta. Stało wokół niego osiem podrabianych stylowych krzeseł, sześć pustych; na jednym z nich wisiała czyjaś pomięta granatowa marynarka. Nad jednym końcem stołu zwisał tani kryształowy żyrandol; jego położenie wskazywało na to, że stół został odsunięty od okna, jako że nawet tu, w Gharlottenburgu, okna stanowiły potencjalne zagrożenie. Jeden z mężczyzn palił papierosa. Nie miał na sobie marynarki, a jego krawat był rozluźniony. Uchylone nieco okno powodowało przeciąg, który poruszał lekko zasłonę, ale nie rozwiewał niebieskiej mgiełki dymu z papierosów. Charakterystyczny ostry smród taniego Wschodnioniemieckiego tytoniu od razu chwycił mnie za gardło. Palenie było jedną z niewielu dostępnych nadal na Wschodzie przyjemności i nie spotykało się ani z oficjalnym potępieniem, ani z towarzyską dezaprobatą.

Człowiek obdarzony kryptonimem Walery był dość stary jak na czynnego agenta. Wystające kości policzkowe i wąskie oczy nadawały jego twarzy niemal orientalny wygląd, który nie jest czymś niezwykłym w Europie Wschodniej. Jego cera przypominała gładki czerwony jaspis, upstrzony ciemnymi plamkami i błyszczący jak mokry kamień, znaleziony na plaży. Miał długie gęste włosy, wyraźnie przyciemniane i lśniące od brylantyny. Zaczesał je do góry w taki sposób, że przykrywały czubki uszu, tworząc coś w rodzaju błyszczącego hełmu. Gdy wchodziłem do pokoju, zerknął w moim kierunku, ale nie poruszył głową i nie przerwał wygłaszanego wysokim głosem monologu.

Naprzeciwko niego siedział ze skrzyżowanymi nogami, wygodnie rozparty na krześle, młody człowiek nazwiskiem Larry Bower, absolwent uniwersytetu w Cambridge. Jego długie, jasne, falujące włosy tworzyły fryzurę, którą nazywa się czasem bajronowską, choć jedyny portret Byrona, jaki sobie przypominam, pokazuje wyraźnie, że Byron strzygł się dość krótko. Jego ubranie kontrastowało z tandetną i źle dopasowaną garderobą przesłuchiwanego; miał na sobie dobrze uszyty, kraciasty beżowy garnitur, wytworną bawełnianą koszulę, krawat absolwenta Winchester College i żółty pulower. Rozmawiali po niemiecku; Larry dobrze znał ten język, miał bowiem żonę Niemkę, a jego dziadkiem był nadreński piwowar nazwiskiem Bauer. Na fotelu stojącym w kącie pokoju siedział stenograf pochylony nad notatnikiem.

Bower podniósł wzrok i przyjrzał mi się uważnie. Nie zmienił wyrazu twarzy, ale znałem go wystarczająco dobrze, by dostrzec, że jest znużony i rozdrażniony. Usiadłem na krześle, z którego mogłem ich obu obserwować.

- A więc, zacznijmy od nowa - powiedział Bower. - Chodzi mi o tego nowego agenta łącznikowego Moskwy. - Jakby pragnąc zademonstrować swe znużenie rozmową, odwrócił się na krześle i zaczął wyglądać przez okno.

- To nie jest nowy człowiek - oznajmił Walery. - Siedzi tam od lat.

- Ach tak... od ilu lat? - spytał znużonym głosem Bower, nie odwracając głowy od okna.

- Mówiłem to już panu - odparł Walery. - Od czterech.

Bower pochylił się i dotknął grzejnika, jakby chciał sprawdzić, czy jest ciepły.

- Od czterech lat - powtórzył.

- Od mniej więcej czterech lat - defensywnym tonem poprawił go Walery.

Wszystko to należało do reguł gry. Bower udawał obojętność i przekręcał fakty, by przekonać się, czy przesłuchiwany zmienia lub zapomina szczegóły. Walery dobrze o tym wiedział i nie był zachwycony okazywanym mu brakiem zaufania. Nikt z nas tego nie lubił.

- Czy może pan pokazać mi go jeszcze raz? - spytał Bower, popychając ku niemu stojące na stole kartonowe pudełko.

Walery otworzył je i zaczął grzebać w stosie pogniecionych fotografii formatu karty pocztowej. Robił to powoli, a ja wiedziałem, że chce zyskać chwilę odprężenia. Nawet tego rodzaju ludzi - a zakładaliśmy przecież, że jest naszym człowiekiem - długi proces przesłuchiwania naraża na napięcie nerwowe, nierzadko prowadzące do załamania.

Przejrzał pierwszy stos fotografii i zaczął przerzucać następny.

- Proszę się nie spieszyć - powiedział Bower, jakby nie zdając sobie sprawy, że zapewnia w ten sposób przesłuchiwanemu chwilę upragnionego odpoczynku.

Jeszcze cztery lata wcześniej fotografie służące do identyfikacji wklejane były do dużych, oprawnych w skórę albumów. Ale właśnie wtedy KGB wprowadziło nas w błąd, każąc trzem swoim podwójnym agentom wybrać to samo zdjęcie, znajdujące się na tym samym miejscu, na tej samej stronie, i zidentyfikować człowieka nazwiskiem Peter Underlet, jako rosyjskiego szpiega, pułkownika KGB. Biedny Underlet. Nie powinniśmy byli posługiwać się w tym celu jego fotografią. Był oficerem CIA, a ponieważ oficerowie są zawsze najbardziej pożądanym celem dla

obu stron, został poddany szczegółowemu dochodzeniu. Nawet kiedy ustalono ponad wszelką wątpliwość, że był to podstęp KGB, Underlet nie odzyskał swojego stanowiska; otrzymał jakąś marną posadkę i został wysłany do Dżakarty. Wszystko to stało się mniej więcej w tym okresie, w którym moja żona, Fiona, zaczęła pracować dla drugiej strony. Jeśli Rosjanom chodziło o wywołanie gniewu i oburzenia CIA, to trzeba przyznać, że odnieśli sukces. Podejrzewam, że wywiad brytyjski był równie rozbawiony tym podstępem, jak KGB. Zastanawiałem się wtedy, czy autorką pomysłu była Fiona; oboje znaleźmy Underleta i jego żonę. Miałem wrażenie, że Fiona ich lubi.

- To ten - oznajmił Walery, wybrawszy jedno ze zdjęć i ułożywszy je starannie na stole, z dala od pozostałych. Wstałem, żeby wyraźniej je zobaczyć.

- A więc to on - powiedział Bower, udając zainteresowanie, jak gdyby nie omówili tego wszystkiego już przedtem. Podniósł fotografię ze stołu i przyjrzał jej się uważnie. Potem przekazał ją mnie. - Przystojny facet, co? Czy nie wiesz przypadkiem, kto to jest?

Spojrzałem na zdjęcie. Dobrze znałem tego człowieka. Przedstawiał się jako Erich Stinnes. Był wysokim funkcjonariuszem KGB w Berlinie Wschodnim. Uchodził za oficera łącznikowego między Moskwą a wschodnioniemiecką służbą bezpieczeństwa. Zdjęcie musiało być wykonane niedawno, bo był na nim tęższy niż podczas naszego ostatniego spotkania. Ale nie stracił jeszcze reszty swych rzadziejących włosów, a jego oczy, spoglądające zza małych szkieł okularów, były równie bystre jak dawniej.

• Nigdy dotąd go nie widziałem - odparłem, oddając Bowerowi fotografię. - Czy jest to ktoś, z kim utrzymujemy kontakt?

• O ile wiem, nie - odparł Bower. - Proszę jeszcze raz opisać sposób przekazywania przesyłek.

• W drugi czwartek każdego miesiąca... Za pośrednictwem kuriera KGB.

• I widział pan, jak ją otwiera? - nalegał Bower.

• Tylko jeden raz, ale wszyscy wiedzą...

• Wszyscy?

• Wszyscy w jego biurze. W gruncie rzeczy mówi o tym cały Karlshorst.

Bower uśmiechnął się sardonicznie.

• O tym, że oficer łącznikowy KGB wacha prochy i wyrusza do krainy snów

w drugi czwartek każdego miesiąca? I Moskwa na to nie reaguje?

- Sytuacja przedstawia się teraz inaczej - z uporem stwierdził Walery, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Na to wygląda - powiedział Bower, nie ukrywając niedowierzania.

- Możecie mi wierzyć lub nie - oświadczył Walery. - Ale sam widziałem, jak wysypywał sobie na dłoń biały proszek.

- I wahał go?

- Jak już panu mówiłem, wychodziłem właśnie z pokoju. Szybko zamknąłem za sobą drzwi; nie chciałem się narazić na kłopoty.

- A jednak widział pan, że był to biały proszek?

-Zaczynam żałować, że w ogóle wspomniałem o tym cholernym narkotyku.

Wiedziałem już, z kim mamy do czynienia. Walery był typowym komunistą starej daty, jednym z uchodźców, którzy spędzili w Moskwie wiele lat. Niektórzy z nich przeszli specjalne przeszkolenie i zajęli wysokie stanowiska w podbitych przez Stalina Niemczech Wschodnich. Jaka tajemnica wiązała się z jego osobą? Dlaczego zaczął pracować dla nas? Szantaż? Czy popełnił jakieś przestępstwo - polityczne lub kryminalne - czy też może nie był na tyle twardy, by zajmować pozycje na szczycie? A może po prostu był jednym z tych kłopotliwych osobników, którzy umieli samodzielnie myśleć?

- Zostawiam tę uwagę bez komentarza - znużonym głosem stwierdził Bower i zerknął na zegarek.

- W przyszłym tygodniu będę go obserwował uważniej - obiecał Walery.

Zauważyłem, że Bower nagle zeszytniał. Czynny agent nie powinien pozwalać sobie na tak nieostrożne stwierdzenia. Wygłaszając je, niepotrzebnie ujawnił w mojej obecności, że działa na obie strony i przechodzi regularnie przez granicę. Tego rodzaju niedyskrecje mogą stać się przyczyną czyjejś śmierci. Udawałem, że nie dostrzegłem jego błędu.

Bower postanowił postąpić tak samo. Powinien był zaprotokołować tę uwagę i ostrzec swego rozmówcę, ale zamiast tego dał stenografowi niemal niedostrzegalny znak, kręcąc przecząco głową, a potem zwrócił się do mnie.

- Czy ta informacja może się na coś przydać? - spytał obojętnym tonem.

Poczułem, że jest to dla mnie sygnał do wyjścia.

- Nie, nie wyobrażam sobie, jak moglibyśmy ją wykorzystać.

- Frank chciał, żebyś o tym wiedział - dodał na wypadek, gdybym nie wyczuł, że mam się wynieść i pozwolić mu na kontynuowanie trudnego zadania.

- Gdzie on teraz jest?

- Musiał wyjść. - Bower podniósł słuchawkę telefonu i oznajmił komuś, że za pół godziny zrobią przerwę na lunch. Zastanawiałem się, czy nie jest to podstęp. Oficerowie śledczy uciekali się niekiedy do takich sztuczek, ponieważ wiedzieli, że przedłużając rozmowę narażają nerwy swego interlokutora na dodatkowe napięcie.

- Podziękuj mu ode mnie - powiedziałem, wstając z krzesła. Bower kiwnął głową.

Wyszedłem do poczekalni, w której czekał na mnie Teacher. Nie powiedział: „W porządku” ani nie zadał mi żadnego grzecznościowego pytania. Przesłuchania przypominają sakrament spowiedzi: odbywają się i są zauważane, ale nigdy się o nich nie wspomina.

- Czy odwiezie mnie pan do Kreuzberg? - spytałem.

- Jeśli tam właśnie chce pan jechać - odparł Teacher. Pożegnaliśmy się z Księżną i zeszedliśmy do hallu. Strażnik wypuścił nas przez zabezpieczone podwójnym zamkiem drzwi.

Ulice były puste. Obowiązująca w Niemczech *Ladenschlussgesetz* - narzucona przez związki zawodowe ustawa, w wyniku której wszystkie sklepy są zamknięte przez długi czas - jest w jakimś sensie sprzeczna z naturą ludzką. Dlatego też weekendy są na całym terytorium Niemiec dość przygnębiające. Turyści włóczą się bez celu. Spragnieni jedzenia i picia tubylcy biegają po ulicach w nadziei, że znajdą jakiś *Tante Emma Laden*, którego właścicielka, gotowa złamać prawo, sprzeda im na zapleczu bochenek chleba, tabliczkę czekolady lub litr mleka. Igrasz jednak ulice, którymi jechaliśmy, były całkowicie opustoszałe.

- Czy jest pan moim opiekunem? - spytałem.

Teacher spojrział na mnie wzrokiem człowieka, który nie rozumie, co do niego mówią.

- Czy wyznaczono pana na mojego opiekuna? - powtórzyłem pytanie.

- Nie wiem, co to jest opiekun.

- Opiekunowie to ludzie, którzy pracują w ogrodach zoologicznych.

Opiekują się zwierzętami.

- A więc potrzebny panu opiekun?

- Czy był to pomysł Franka?
- Franka?
- Niech pan się nie bawi ze mną w kotka i myszkę, Teacher. Działalem w tym mieście, kiedy pan chodził jeszcze w krótkich spodniach.

• Frank nie wie nic o pańskiej wizycie w biurze - powiedział bezdzwięcznym głosem. Było to sprzeczne z wszystkim, co mówił mi do tej pory, ale chciał najwyraźniej zakończyć tę rozmowę, dając mi do zrozumienia, że wykonuje tylko polecenia; polecenia Franka.

• A Frank trzyma się z boku, żeby móc, nie mijając się z prawdą, oświadczyć Londynowi, że mnie nie widział.

Teacher rozglądał się wokół siebie, jakby nie wiedział, którędy ma jechać. Zwalniał, by odczytywać nazwy ulic. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli pozwolę mu samemu wybrnąć z tej sytuacji.

- A pana to najwyraźniej złości? - spytał w końcu.
- Dlaczego nie miałoby mnie złościć?
- Dlatego, że gdyby Frank miał odrobinę rozumu, wsadziłby pana w samolot do Londynu i umył ręce od całej sprawy.

• Czy pan postąpiłby w ten sposób?

- Jasne, że postąpiłbym w ten sposób - powiedział Teacher.

Jechaliśmy Heerstrasse, na której w powszedni dzień roiłoby się od samochodów. W powietrzu co jakiś czas pojawiały się drobne błyski, jakby śnieżycy dawała przedsmak obiecanego śniegu. Potem zaczęło sypać na dobre. Duże płatki spiralnie spadały w dół. Już kilka razy w tym roku wydawało się, że śnieg pada po raz ostatni, ale mróz trzymał nadal, przypominając ludziom wychowanym w innym klimacie, że Berlin leży na obrzeżu Azji.

Teacher, pragnąc zaimponować mi swoją znajomością Berlina, a może po prostu demonstrując brak rozwagi, zjechał z ulicy i próbował znaleźć skrót na obszarze terenów wystawowych. Dwukrotnie wjechał w ślepą uliczkę. W końcu zlitowałem się i skierowałem go na Halensee. Później, kiedy byliśmy już na Kurfurstendamm, rozsiadł się wygodniej na fotelu, westchnął i powiedział:

- A więc założmy, że jestem pańskim opiekunem.
- I co z tego?
- Frank chciałby pewnie poznać pańskie zdanie w tej sprawie.

- Berlin jest światowym centrum handlu heroiną - odparłem.
- Czytałem o tym w *Die Welt* - oświadczył Teacher.
- Wszystkie transporty przechodzą przez lotnisko w Schönefeld - ciągnąłem, nie zwracając uwagi na jego sarkazm. - Ci dranie pilnują tylko, żeby szły dalej, na tę stronę Muru.

- Jeśli cała heroina przerzucana jest na tę stronę, to można się domyślić, że ktoś zechce podjąć próbę odesłania drobnej części do Berlina Wschodniego - powiedział Teacher.

- Stinnes zajmuje teraz jedno z najwyższych stanowisk. Miałyby wiele do stracenia. Nie mogę uwierzyć, że zlecił kurierowi wojskowemu przerzucanie z Zachodu transportów heroiny - czy jakiegokolwiek innego narkotyku.

- Ale?

- Owszem, jest jedno ale. Stinnes jest przytomnym facetem. Spędził sporo czasu na Zachodzie. Jest kobieciarzem, a niektóre rodzaje narkotyków wiążą się z życiem erotycznym.

- Wiążą się? W jaki sposób?

- Istnieje sporo ludzi, którzy zażywają narkotyki tylko wtedy, kiedy wybierają się z kimś do łóżka. Mogę sobie wyobrazić, że Stinnes należy do tej kategorii.

- Więc mam powiedzieć Frankowi, że pańskim zdaniem jest to możliwe?

- Tylko możliwe; niezbyt prawdopodobne.

- To drobna różnica - stwierdził Teacher.

- Kiedyś, dawno temu, ten Stinnes usiłował mnie nabrać... Powiedział mi, że chce przejść na naszą stronę.

- Zawodowy funkcjonariusz KGB?

- Tak mi powiedział.

- A pan połknął haczyk?

- Zaleciłem daleko idącą ostrożność.

- To najlepszy sposób: ubezpieczyć się ze wszystkich stron - powiedział Teacher. Nie należał chyba do moich najbardziej zagorzałych zwolenników.

Zacząłem podejrzewać, że Frank przesadził z komplementami pod moim adresem.

- Tak czy owak, kto się sparzył na gorącym, ten dmucha na zimne.

- Powtórzę Frankowi dokładnie pańskie słowa - obiecał Teacher.
- Tędy nie dojedzie pan do Kreuzberg.
- Proszę się nie niepokoić. Chciałem zaprosić pana na lunch, zanim pan wróci do tego slumsu. - Zastanawiałem się, czy to również był pomysł Franka. Teacher nie wyglądał na człowieka skłonnego do działania pod wpływem impulsu.

- Dzięki.
- Mieszkam w Wilmersdorf. Moja żona zawsze ma w domu zapas jedzenia.

Czy to panu odpowiada?

- Owszem, dziękuję.
- Nadwerżyłem w tym miesiącu moje fundusze. Obchodziłem rocznicę ślubu.

Zanim dojechaliśmy do Wilmersdorf, ulice pokryły się cienką warstwą śniegu. Teacher mieszkał w eleganckim nowoczesnym bloku. Zaparkował w podziemnym garażu, przeznaczonym dla lokatorów budynku. Dom był dobrze oświetlony i ogrzany; luksusowy w porównaniu z moją norą w Kreuzberg. Wjechaliśmy windą na czwarte piętro, na którym mieściło się jego mieszkanie.

Zadzwoił do drzwi, przekręcając równocześnie klucz w zamku. Potem wszedł na korytarz i zawołał:

- Clemmie? Cłem, czy jesteś w domu?!
- Gdzie, do diabła, się podziewałeś? - Jej głos zdawał się dobiegać z wyższego piętra. - Czy wiesz, która jest godzina?

- Clemmie...
- Zjadłam już lunch. - Nadal pozostawała niewidoczna. - Będziesz musiał zadowolić się jajkiem albo czymś w tym rodzaju.

Stojąc niepewnie w hallu, spojrział na puste schody, a potem zerknął na mnie z posepnym uśmiechem.

- Mogą być jajka? Clemmie zrobi omlety.
- Wspaniale.
- Przyproważyłem kolegę! - zawołał głośno.

Jego żona zeszła z góry, uśmiechając się kokieteryjnie. Warto było na nią poczekać; była młoda, długonoga i zgrabna. Poprawiła swe starannie ułożone włosy i obrzuciła mnie baczny spojrzeniem. Wyglądała tak, jakby przed chwilą skończyła makijaż. Jej uśmiech zniknął gwałtownie, gdy dostrzegła na jego płaszczu plątki

śniegu.

- Mój Boże! Kiedy w tym cholernym mieście zaczyna się lato? - spytała, jakby uważała, że jest za to osobiście odpowiedzialny.
- Clemmie - powiedział Teacher, gdy nadstawiła mu do pocałowania policzek - to jest Bernard Samson, mój kolega z pracy.
- Słynny Bernard Samson? - spytała z gardłowym chichotem. Mówiła teraz niższym głosem i jej pogodne błazeństwo wydawało się dość sympatyczne.
- Chyba tak - odparłem. Nie miałem pojęcia, po co Teacher pytał, czy jestem żonaty. Nawet jego żona wszystko o mnie wiedziała.
- Zdejmij płaszcz, Bernard - powiedziała żartobliwie zalotnym głosem, który w jej ustach brzmiał naturalnie. Być może, to właśnie przekonało do niej ponurego Teachera. Wzięła ode mnie mój stary płaszcz, powiesiła go na drewnianym wieszaku z napisem: „Disneyland Hotel Anaheim, California” i umieściła w zabytkowej orzechowej szafie.

Była mocno uperfumowana. Miała na sobie rozpinaną do dołu suknię z cienkiej zielonej wełny, wielkie kolczyki i złoty naszyjnik. Nie był to strój, w którym ktoś wybierałby się do kościoła. Musiała być o jakieś sześć do ośmiu lat młodsza od męża. Zastanawiałem się, czy usiłuje wyrobić w sobie tupet, niezbędny młodym żonom, które chcą bez szwanku znieść ciężary życia towarzyskiego, jakie nakłada na ich mężów długi pobyt służbowy w Berlinie.

- Bernard Samson; tajny agent! Nigdy dotąd nie spotkałam prawdziwego tajnego agenta.
- To było już dawno temu - wtrącił Teacher, usiłując ją ostrzec.
- Nie tak bardzo dawno - powiedziała przekornie. - Jest taki młody. Jak się czuje człowiek, który jest tajnym agentem, Bernard? Nie masz chyba nic przeciwko temu, żebym mówiła ci po imieniu, prawda?
- Oczywiście, że nie - odparłem, nieco speszony.
- A ty mów do mnie Clemmie. - Wzięła mnie pod ramię gestem, który miał symbolizować żartobliwą zażyłość. - Powiedz mi, jak czuje się tajny agent. Proszę cię o to.
- Jak wykolejony prywatny detektyw - odparłem. - I to w kraju, w którym za uprawianie tego zawodu można spędzić trzydzieści lat w kryminale. Albo jeszcze gorzej.

- Daj nam coś do zjedzenia, Clemmie - powiedział Teacher tonem, który dowodził, że jego zażenowanie zmienia się w gniew. - Jesteśmy potwornie głodni.
- Kochanie, jest niedziela. Uczcijmy to. Otwórzmy tę cudowną puszkę jesiotra, którą dostałeś od kogoś, o kogo nie wolno mi pytać - zaproponowała Clemmie.
- Świetny pomysł - stwierdził Teacher, któremu ta uwaga sprawiła wyraźną ulgę. Ale nadal nie wyglądał na szczęśliwego człowieka. Chyba nigdy tak nie wyglądał.

Clemmie poszła do kuchni po kawior, a Teacher zaprowadził mnie do salonu i spytał, czego się napiję.

- Czy ma pan wódkę? - spytałem.
- Stoliczna, żubrówka czy coś niemieckiego? - spytał ustawiając kieliszki.
- Żubrówka.

- Przyniosę ją z lodówki. Niech się pan czuje jak u siebie w domu.

Zostałem sam i rozejrzałem się po salonie. Goście nie powinni tego robić, ale ja nigdy nie potrafię oprzeć się pokusie. Był to niewielki, ale wygodny pokój, w którym rzucały się w oczy wielka kanapa, duży zestaw stereofoniczny oraz długa półka z kompaktowymi płytami - głównie nagraniami niemodnych już grup rockowych - domyśliłem się, że należały do Clemmie. Na niskim stoliku leżał album z fotografiami - jeden z tych oprawnych w skórę albumów, w których ludzie przechowują zdjęcia z uroczystego ślubu. Pękał w szwach od dodatkowych fotografii i programów. Otworzyłem go. Na wszystkich

stronach widniały fotografie Clemmie: Clemmie na boisku lekkoatletycznym, Clemmie podczas biegu na 1000 metrów, Clemmie skacząca przez płotki, Clemmie otrzymująca medal, Clemmie ze srebrnymi pucharami w rękach. Wszystkie strony były opatrzone starannie wykaligrafowanymi podpisami. Na końcu albumu znajdowały się poźółkłe już wycinki ze sportowej rubryki jakiejś prowincjonalnej gazety. Na wszystkich zdjęciach wydawała się bardzo młoda, naprawdę bardzo młoda. Zapewne przeglądała ten album, kiedy usłyszała, że dzwoniemy do drzwi, a potem pognęła na górę, by poprawić makijaż. Biedna Clemmie.

Blok, w którym mieszkali, był nowy i miał cienkie ściany. Kiedy Teacher wszedł do kuchni, usłyszałem głos jego żony:

- Na miłość boską, Jeremy! Po co go tu przyprowadziłeś?

- Nie mam przy sobie gotówki, bo inaczej zaprosiłbym nas wszystkich do restauracji.

- Do restauracji...? Jeśli dowiedzą się o tym w twoim biurze, będziesz miał kłopoty.

- Frank kazał zaprosić go na lunch. Frank go lubi.

- Frank lubi wszystkich, dopóki nie nastąpi jakiś kryzys.

- Zostałem wyznaczony na jego opiekuna.

- Nie powinieneś się był na to godzić.

- Nie mieli nikogo innego.

- Powiedziałeś, że jest wykolejeńcem i sam skończysz tak samo, jeśli nie będziesz trzymał tej świni na dystans.

- Wolałbym, żebyś się do tego nie wtrącała.

- Właśnie dlatego, że się nie wtrącałam, wylądowaliśmy w tym cholernym mieście.

- Za sześć miesięcy pojedziemy na długi, wspaniały urlop.

- Jeżeli spędzę tu jeszcze sześć miesięcy wśród tych przeklętych Niemców, to oszaleję - powiedziała Clemmie.

Potem usłyszałem odgłos, jaki wydają drzwi zamykanej energicznie lodówki i grzechot wrzucanych do naczynia kostek lodu.

- Ty nie musisz się z nimi zadawać - mówiła dalej. Jej głos stał się teraz piskliwy. - Nie przepychają się przed tobą przy kasach sklepowych. Nienawidzę Niemców. I nienawidzę tej cholernej zimy, która ciągnie się bez końca. Nie mogę tego wszystkiego znieść!

- Wiem, kochanie. - Jego głos był nadal czuły i łagodny. - Ale proszę cię, spróbuj.

Po powrocie do salonu nalał dwie spore porcje wódki. Piliśmy ją w milczeniu. Chyba wiedział, że ściany mieszkania są bardzo cienkie.

Nie był to przyjemny lunch. Zjedliśmy ćwierć kilograma jesiota, niemal nie odzywając się do siebie. Podali do niego zytnią wódkę i ciemny chleb.

- Z wiosennych połowów - powiedział Teacher tonem znawcy. - Ten jest zawsze najlepszy.

Nie wiedząc dokładnie, co należy odpowiedzieć na tego rodzaju uwagę, stwierdziłem po prostu, że istotnie jest wspaniały.

Makijaż Clemmie był nieco rozmazany. W minimalnym stopniu uczestniczyła w zdawkowej wymianie zdań, którą kierował jej mąż. Nie spróbowała wódki; piła tylko wodę. Było mi żal ich obojga. Chciałem im powiedzieć, że wszystko to nie ma żadnego znaczenia. Chciałem jej powiedzieć, że to po prostu berlińska chandra, klaustrofobiczna przypadłość, na którą cierpią wszystkie żony podczas pierwszego pobytu na „wyspie”. Ale byłem zbyt małoduszny. Brałem udział w zdawkowej rozmowie i udawałem, że nie dostrzegam prywatnego i osobistego sporu, który w milczeniu toczyli.

3

Niech pan jedzie dalej! - powiedziałem do Teachera, gdy zaczął zwalniać, by wypuścić mnie z samochodu.

- Co?
 - Niech pan jedzie dalej! Proszę się nie zatrzymywać! Niech pan jedzie dalej!
 - Co się z panem dzieje? - spytał, ale posłusznie jechał dalej i minął samochód, który zwrócił moją uwagę. Był zaparkowany tuż przed bramą mojej kamienicy.
 - Niech pan skręci w prawo i objedzie w kółko cały blok.
 - Co tam było? Rozpoznał pan jakiś samochód? Mruknąłem coś wykrętnie, unikając odpowiedzi.
 - No więc? - nalegał z uporem.
 - Chodzi o samochód, którego nie rozpoznałem.
 - Który?
 - To czarne audi... Zbyt eleganckie jak na tę ulicę.
- Robi się pan nerwowy, Samson. Mogę się z panem założyć, że to nic groźnego.

W tym momencie przejechał obok nas wolno samochód policyjny, ale Teacher chyba go nie zauważył. Miał pewnie głowę zaprzątniętą innymi sprawami.

- Być może ma pan rację - przyznałem. - Jestem trochę nerwowy.
- Przypomniałem sobie teraz, że to samochód brata mojej gospodyni.
- No widzi pan? - powiedział Teacher. - Mówiłem, że to nic groźnego.

- Muszę się po prostu wyspać. Proszę mnie wysadzić na rogu. Chcę kupić papierosy.

- Zamknięte - powiedział, zatrzymując samochód przed sklepem.

- W hallu jest automat.

- W porządku.

- Dziękuję za kawior - powiedziałem, otwierając drzwi jego wozu. - I proszę ode mnie podziękować Clemmie. Przepraszam, jeśli zasiedziałem się zbyt długo. - Teacher pozwolił mi wziąć gorący prysznic. Czułem się trochę lepiej, ale mimo woli zadawałem sobie pytanie, czy brud nie zatka odpływu. Byłem mu wdzięczny. - I proszę pozdrowić Franka - dodałem, jakby przyszło mi to do głowy dopiero w tej chwili.

- Rozmawiałem z nim przez telefon - powiedział, kiwając głową. - Prosił, żeby trzymał się pan z daleka od Rudiego Kleindorfa.

- W takim razie, niech go pan nie pozdrawia.

Uśmiechnął się melancholijnie, nacisnął pedał gazu i odjechał, gdy tylko zatrzasnąłem drzwi. Niepokoił się o swoją żonę. Wciągnąłem głęboki oddech. Powietrze było gęste od wyziewów z elektrowni opalanych węglem, od których roi się w Berlinie Wschodnim. Zabijało drzewa, paliło w gardle i napełniało nos sadzą. To właśnie był *Berlinerluft*.

Gdy samochód Teachera zniknął mi z oczu, ostrożnie cofnąłem się w głąb ulicy i zapukałem do okna zaparkowanego tam czerwonego golfa. Werner otworzył drzwi, a ja wślizgnąłem się na tylne siedzenie.

- Chwała Bogu. Nic ci się nie stało, Bernie?

- Dlaczego miało mi się coś stać?

- Gdzie byłeś? - Werner umiał ukrywać swe uczucia, ale teraz widać było, że jest bardzo zdenerwowany.

- Jakie to ma znaczenie? - spytałem. - Co się dzieje?

- Spengler nie żyje. Ktoś go zamordował.

Poczułem żółć w gardle. Byłem już zbyt stary, żeby stykać się z aktami przemocy; zbyt stary, zbyt zaangażowany, zbyt żonaty, zbyt miękki.

- Zamordowany? Kiedy?

- Chciałem cię właśnie o to spytać - odparł Werner.

- Co masz na myśli, Werner? Czy myślisz, że zamordowałbym tego

biednego smarkacza? - Zachowanie Wernera działało mi na nerwy. Lubilem Spenglera.

- Widziałem się z Johnym. Szukał cię. Chciał cię ostrzec, że jest tam policja.
- Czy Johnny'emu nic się nie stało?
- Johnny jest teraz w komendzie policji, gdzie składa zeznania. Zatrzymali

go.

- On nie ma papierów - powiedziałem.
- Zgadza się. Dlatego przepuszczają go przez wyżymaczkę.
- Nie martw się. Johnny to dobry chłopak - powiedziałem.
- Jeśli będzie miał do wyboru deportację do Sri Lanki albo składanie zeznań,

powie im wszystko, co wie - stwierdził Werner z niewzruszoną logiką.

- On nic nie wie.
- Ale może wdać się w szkodliwe domysły, Bernie.
- Cholera! - potarłem twarz dłonią, usiłując przypomnieć sobie, czy Johnny

mógł zauważyć lub podsłuchać coś, co mogłoby mi zaszkodzić.

- Schowaj się, wychodzą policjanci - powiedział Werner.

Zsunąłem się na podłogę i zastygłem na czworakach, żeby mnie nie dostrzegli.

Werner przesunął przednie siedzenia daleko do przodu, żebym miał sporo miejsca.

Myślał o wszystkim. Pod jego spokojną, logiczną i konwencjonalną

powierzchnością kryło się gorące, żeby nie powiedzieć: obsesyjne, zamiłowanie

do zawodu szpiega. Werner czytał publikowane i nie publikowane opowieści o

zimnej wojnie z taką samą pasją, z jaką inni śledzą zmienne losy drużyn piłkarskich.

Byłby idealnym szpiegiem, gdyby nie fakt, że reakcje idealnych szpiegów, podobnie

jak reakcje idealnych mężów, zawsze można z góry przewidzieć i dlatego nie mogą

oni przeżyć w świecie, w którym fortuna sprzyja ludziom działającym pod wpływem impulsu.

Obok naszego samochodu przeszli dwaj umundurowani policjanci. Słyszałem, jak jeden z nich mówi:

- *Mit der Dummheit kämpfen Gotter selbst vergabens.* - Z głupotą zmagają się na próżno nawet sami bogowie.

- To Schiller - oznajmił Werner z mieszaniną dumy i podziwu.
- Może doucza się, żeby zostać sierżantem - powiedziałem.
- Ktoś nałożył Spenglerowi na głowę plastikową torbę i udusił go -

powiedział Werner, kiedy policjanci wsiedli do swojego samochodu i odjechali. -
Przypuszczam, że był pijany i nie stawiał większego oporu.

- Nie sądzę, żeby policja zbytnio się tym przejęła - stwierdziłem. Nieżywy narkoman w tym rejonie Kreuzberga nie był sensacją, za którą uganiałoby się fotoreporterzy prasowi. Można było mieć wątpliwości, czy ukaże się choćby drobna notatka na dalszych stronach jakiejś gazety.

-Spengler spał na twoim łóżku - powiedział Werner. – Ktoś usiłował zabić ciebie.

- Któż chciałby mnie zabić? - spytałem.

Werner starannie wytarł nos dużą białą chustką.

- Byłeś ostatnio narażony na ciężkie przeżycia, Bernie. Nie jestem pewien, czy ja byłbym w stanie to znieść. Potrzebujesz wypoczynku, prawdziwego wypoczynku.

- Przestań traktować mnie jak dziecko - powiedziałem. - Co chcesz mi dać do zrozumienia?

Zmarszczył brwi, zastanawiając się, jak sformułować to, co zamierzał powiedzieć.

- Przechodzisz dziwny okres. Przestałeś logicznie myśleć.

- Powiedz mi tylko, kto chciałby mnie zabić.

- Wiedziałem, że będziesz zaniepokojony.

- Nie jestem zaniepokojony, ale powiedz mi to.

Werner wzruszył ramionami.

- No właśnie - oświadczyłem. - Wszyscy mi mówią, że moje życie jest w niebezpieczeństwie, ale nikt nie wie, kto mi zagraża.

- Wsadziłeś kij w gniazdo szerszeni, Bernie. Twoi ludzie chcieli cię aresztować, Amerykanie myśleli, że próbujesz ich zdyskredytować, a Bóg raczy wiedzieć, co o tym wszystkim sądzi Moskwa...

Zaczynał mówić jak Rudi Kleindorf. W istocie zaczynał mówić jak całe mnóstwo ludzi, którzy nie mogli oprzeć się pokusie dawania mi dobrych rad.

- Czy możesz mnie zawieźć do mieszkania Langego? - spytałem.

Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Nikogo tam nie ma - powiedział.

- Skąd wiesz?

- Telefonowałem do niego codziennie, tak jak mi poleciłeś. Wysyłałem też listy.

- Chcę zapukać do jego drzwi. Być może Der Grosse mówił serio. Być może Lange udaje głuchego; niewykluczone, że siedzi w domu.

- I nie odbiera telefonu ani nie otwiera listów? To do niego niepodobne.

Lange był Amerykaninem, który mieszkał w Berlinie od zbudowania tego miasta. Werner nie znosił go. W gruncie rzeczy trudno byłoby wymienić kogoś, kto lubił Langego, jeśli nie liczyć żony znoszącej go od dawna, która zresztą kilka razy w roku wyjeżdżała do rodziny.

- Może on też przeżywa dziwny okres - powiedziałem.

- Pójdę z tobą.

- Wysadź mnie przed jego domem.

- Przecież ktoś musi cię stamtąd odwieźć - powiedział Werner płaczącym tonem męczennika, którym mówił zawsze, kiedy wciągałem go w jakieś szaleństwa.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, na której mieszkał John Lange Koby, myślałem, że Werner odjedzie i zostawi mnie samego, ale jego wątpliwości już minęły, gdyż zaprotestował stanowczo przeciwko mojej samotnej wyprawie na górę.

Była to typowo berlińska, wielka, szara kamienica czynszowa, zbudowana w dziewiętnastym wieku. Od czasu mojej ostatniej wizyty pomalowano bramę wejściową i hall, na którego ścianie błyszczały dwa rzędy nowych skrzynek na listy z nazwiskami lokatorów. Ale już na klatce schodowej nie widać było żadnych oznak modernizacji. Po naciśnięciu automatycznych wyłączników, umieszczonych na poszczególnych piętrach, zapalało się przytłumione światło, ukazując ściany pokryte kolorowymi graffiti. Były to napisy wykonane farbami w aerozolu, proklamujące wyższość różnych drużyn piłkarskich lub grup rockowych, albo po prostu barwne esy-floresy, dowodzące wyraźnie, że graffiti jest sztuką, którą mogą uprawiać również analfabeci.

Mieszkanie Langego znajdowało się na najwyższym piętrze. Drzwi były stare i odrapane. Z dzwonka zdarto kartkę z nazwiskiem, z czego można było się domyślić, że użytkownik tego lokalu pragnie zachować anonimowość. Nacisnąłem przycisk kilka razy, ale z wnętrza nie dochodził żaden odgłos. Zacząłem pukać, najpierw ręką, potem znalezioną w kieszeni monetą. Właśnie ta moneta podsunęła mi pewien pomysł.

- Daj mi jakiś banknot - powiedziałem do Wenera.

Werner, jak zwykle uczynny, podał mi swój portfel. Wybrałem banknot stumarkowy i delikatnie przedarłem go na pół. Potem, posługując się srebrnym, cienkim ołówkiem Wenera, napisałem na jednej połówce: „Lange, ty draniu, otwieraj” i wsunąłem ją pod drzwi.

- Nie ma go w domu -. powiedział Werner, słusznie niezadowolony, że tak kapryśnie trwonię jego pieniądze. - Nie ma światła.

Miał na myśli światło, które mogłoby być widoczne przez szpary w drzwiach albo pod progiem. Zapomniał jednak, że John Lange Koby od bardzo dawna uprawiał szpiegowski proceder. Cokolwiek ktokolwiek o nim myślał - ja sam żywiłem wobec niego mieszane uczucia - znał się nieźle na rzemiośle agenta operacyjnego. Nie był człowiekiem, który udając, że nie ma go w mieście, zostawiałby światło widoczne przez szpary w drzwiach.

Przyłożyłem palec do ust i w tym momencie automatyczny wyłącznik szczęknął głośno, a my znaleźliśmy się w ciemnościach. Staliśmy tak przez dłuższą chwilę. Wydawało nam się, że czekamy wiele godzin, choć trwało to zapewne nie dłużej niż trzy minuty.

Nagle rygiel w drzwiach wydał trzask podobny do wystrzału z pistoletu. Werner gwałtownie wciągnął powietrze; był zaskoczony, podobnie zresztą jak ja. Lange rozpoznał nas i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Wchodźcie, chłopcy - powiedział. Wyciągnął rękę, a ja zgodnie z jego oczekiwaniami uderzyłem w nią na powitanie. Z wnętrza mieszkania dochodziło tylko blade światło. - Bernard! Ty czterooki sukinsynu! - I patrząc ponad moim ramieniem dodał: - A kim jest ten wytwornie ubrany dżentelmen z przyklejonymi wąsami i wielkim, czerwonym, plastikowym nosem? Czyżby był to Werner Volkmann? - Poczulem, że Werner sztywnieje z gniewu. Lange mówił dalej, widocznie nie spodziewając się odpowiedzi: - Wziąłem was za Świadców Jehowy. Ci handlarze zbawieniem duszy przychodzili w tym tygodniu chyba co wieczór. Potem pomyślałem sobie: Jest niedziela. Muszą mieć dziś wolny dzień! - Znow wybuchnął głośnym śmiechem.

Lange ponownie przeczytał moją notatkę i schował połówkę banknotu do kieszeni koszuli. Niedaleko drzwi wejściowych stał inkrustowany drewniany wieszak z lustrem, kołkami na płaszcze i stojakiem na parasole czy laski. Lange wziął od Wenera płaszcz oraz kapelusz i powiesił je na odpowiednich miejscach. Wieszak

zajmował niemal całą szerokość korytarza, więc musieliśmy przeciskać się obok niego, wchodząc do mieszkania. Zauważyłem, że Lange nie zapalił światła, dopóki drzwi na klatkę schodową nie zostały na nowo zamknięte. Nie chciał, by ktoś zobaczył jego sylwetkę w wejściu. Czyżby bał się czegoś lub kogoś? Nie, ten wojowniczy stary drań był nieustraszony. Odsunął ciężką zasłonę. Był to w istocie stary koc Wehrmachtu, z pasem wskazującym koniec, który należy przy ścieleniu układać u wezłowia. Był umocowany na karniszu za pomocą drewnianych kółek. Zapobiegał przeciągom, a równocześnie osłaniał korytarz od światła dochodzącego z salonu.

W mieszkaniu był tylko jeden duży, wygodny pokój, w którym można było siedzieć i oglądać telewizję, więc Lange używał o również jako gabinetu do pracy. Jedną ścianę zajmował regał sięgający od podłogi do sufitu; książki stały na nim w dwóch rzędach lub leżały poutykane we wszystkich wolnych szczelinach. Przy oknie stało stare biurko, przypominające szkolny pulpit. Dostrzegłem na nim stos książek i papierów oraz staromodną biurową maszynę do pisania, na której leżały niemieckie gazety i stała filiżanka ze spodkiem.

- Zobacz, kto do nas w końcu trafił - powiedział Lange do żony gardłowym bogartowskim głosem, pasującym do jego amerykańskiego akcentu. Był szczupły i nieco zgarbiony. Miał na sobie wyblakłą kraciastą koszulę - z jej kieszeni wystawały pióra i ołówki - oraz zmięte flanelowe spodnie ze starym, parcianym paskiem, pochodzącym z demobilu armii amerykańskiej.

Zjawiła się jego żona, Gerda. Miała skromny makijaż i krótkie, starannie uczesane włosy. Była nadal przystojna, choć przypominała nieco poważną starą pannę.

- Bernard, kochany! - zawołała. - I Werner! Cieszę się, że was widzę.

Wydawała się krucha i drobna, szczególnie kiedy stała obok swego wysokiego męża. Była Niemką, stuprocentową Niemką. Poznali się na ruinach Berlina w roku 1945. Była wtedy śpiewaczką operową i pamiętam, że jeszcze w wiele lat później zatrzymywali ją na ulicy dawni wielbiciel i prosili o autograf. Działo się to dawno temu, a teraz o jej karierze przeczytać można było tylko w książkach z zakresu historii opery. Ale nawet w tej taniej sukience miała w sobie trudny do zdefiniowania tajemniczy urok i mogłem sobie wyobrazić, jak zaśpiewała partię Zofii w *Der Rosenkavalier* tego wieczora w roku 1943, kiedy zmusiła widownię *Staatsoper* do powstania z miejsc i z dnia na dzień stała się wielką gwiazdą.

- Próbowaliśmy telefonować - tłumaczył przepaszającym tonem Werner.
- Dobrze wyglądasz - powiedziała Gerda, przyglądając mu się z wielkim zainteresowaniem. - Bardzo dystyngowanie. - Potem spojrzała na mnie. - Ty też, Bernard - dodała uprzejmie, choć chyba zaniepokoiły ją moje długie włosy i brudne łachy. - Czego się napijecie, kawy czy herbaty?

- A może wina? - spytał Lange.
- Kawy albo herbaty - powiedziałem pospiesznie. Gerda robiła w każdym sezonie sporo śliwkowego wina, żeby Lange miał co pić przez cały rok. Boję się pomyśleć, ile musiało go być, bo Lange pił je litrami. Miało smak rozpuszczalnika do farb.

- Mamy śliwkowe wino - powiedział Lange. - Gerda sama je robi.
- Doprawdy? - spytałem fałszywie. - Co za szkoda, że od śliwkowego wina dostaję wysypki.

Lange rzucił mi gniewne spojrzenie, a Gerda powiedziała:

- Lange pije go za dużo. Niszczy sobie zdrowie.
- Wygląda na to, że mu służy - powiedziałem. Za każdym razem, kiedy zdawałem sobie sprawę, że ten wysoki, agresywny facet ma już z siedemdziesiąt pięć lat, a może jeszcze więcej, gotów byłem niemal przekonać się do piekielnego eliksiru Gerdy.

Usiedliśmy na starej kanapie, a Gerda poszła do kuchni zaparzyć herbatę. Lange pełnił honory domu. Nie zmienił się prawie od naszego ostatniego spotkania. W gruncie rzeczy był nadal tym samym bezwzględny tyranem, którego znałem jako swego szefa przed wielu, wielu laty. Miał charakter twardy jak skała. Pamiętam, jak jeden z jego współpracowników powiedział kiedyś, że wolałby wspiać się na północny stok Eigeru, niż stawić mu czoło, kiedy jest w złym humorze, a Frank Harrington przyznał mu rację. Od tej pory Lange zawsze kojarzył mi się z bryłą granitu, z twardą, nieustępliwą, bezlitosną skałą.

- Co mogę dla was zrobić, chłopcy? - spytał z gorliwością sklepikarza, zarezerwowaną dla klienta, który wchodzi minutę przed zamknięciem.

- Potrzebuję rady, Lange.
- Ach, rady. Wszyscy ich potrzebują, nikt ich nie słucha. Co mogę ci powiedzieć?

- Powiedz mi o Murze.

- Co chcesz wiedzieć?
- O ucieczkach. Ostatnio nie interesowałem się tymi sprawami. Powiedz mi, jaki jest aktualny stan rzeczy.

Lange przyglądał mi się przez chwilę, jakby rozważając moją prośbę.

- Nie wierz w żadną *glasnost* - powiedział w końcu. – Jeżeli o to chciałeś mnie spytać. Tym strażnikom pilnującym granicy nikt nie powiedział jeszcze o żadnej *glasnosti*. Wydają mnóstwo pieniędzy na rozbudowę pól minowych i zasieków z drutu kolczastego. Tam wszystko jest po starymu; nadal strzelają do każdego, kto ich zdaniem chciałby przenieść się z tamtej części miasta.

- Tak, słyszałem - przerwałem mu.
- Więc od czego mam zacząć?
- Od początku.
- Mur berliński. Otacza Berlin Zachodni i ma około 160 kilometrów

długości. Zbudowano go w niedzielny poranek, w roku 1961... Do diabła, Bernard, przecież byłeś tu wtedy!

- Nic nie szkodzi. Opowiedz mi o nim tak, jak opowiadasz zagranicznym dziennikarzom. Muszę sobie to wszystko odświeżyć w pamięci.

- Okay - powiedział z uśmiechem. - Okay. Na początku zbudowany w pośpiechu Mur był dość tandetny, więc każdy sprawny i zdeterminowany młody człowiek mógł stosunkowo łatwo przejść na drugą stronę.

- Jak?

- Pamiętam, że przechodzono kanałami. Nie można ich było zamurować, gdyż wymagałoby to olbrzymich prac konstrukcyjnych. Jeden z moich chłopców przeszedł kanałem w Klein - Machnow. Jakiś tydzień po wzniesieniu Muru. Ci durnie założyli metalowe kraty, żeby nie tamować przepływu ścieków. Moi ludzie z tej strony przebrnęli przez nieczystości, przecięli pręty specjalnymi nożycami i wydostali go stamtąd. Potem robiło się to stopniowo coraz trudniejsze. Nabrali rozumu: robili kraty ze spawanych stalowych prętów i montowali urządzenia alarmowe oraz pułapki. Umieszczali je pod powierzchnią ścieków, żebyśmy ich nie zauważyli. W ciągu ostatnich kilku lat słyszałem tylko o dwóch udanych ucieczkach kanałami; w obu wypadkach zorganizowali je pracownicy eneradowskiej kanalizacji, którzy mogli wcześniej poluzować kraty.

- Wtedy nastąpiła epoka tuneli - odpowiedziałem.

- Nie, jeszcze wcześniej zaczęto przedzierać się przez Mur za pomocą drabin i materaców, wyszukując miejsc, w których główną przeszkodą był drut kolczasty. A zdesperowani mieszkańcy budynków stojących na samej granicy wyskakiwali przez okna z górnych pięter i byli chwytni na *Sprungtuch*, płachtę ratunkową, przez usłużnych strażaków. Wszystko to pozwalało na robienie wspaniałych fotografii i podnosiło nakłady gazet, ale nie trwało długo.

- Zapomniałeś o samochodach - powiedział Werner.

- Oczywiście: samochody. Mnóstwo samochodów - pamiętacie to małe autko? Jakiś biedak wyjął bak i wcisnął się w puste miejsce. Ale oni dość szybko zmądrzeli. A poza tym usunęli z *Grenztruppen* wszystkich berlińczyków - powiedzieli, że są zbyt łagodni - i sprowadzili z prowincji brutalnych chamów, którzy chętnie chwytni za broń, bo i tak nie lubili mieszkańców Berlina. To uniemożliwiło tego rodzaju sztuczki.

- A fałszywe papiery?

- Chyba wiesz na ten temat więcej niż ja - odpowiedział Lange. - Pamiętam, że kilku facetom udało się w ten sposób zwać. Wy, Brytyjczycy, macie wspólne paszporty dla małżeństw, co stwarzało różne okazje fałszerzom amatorom. Ale ci dranie niebawem zaczęli wbijać do paszportów pieczęć: „Podróżuje sam” i przechowywać fotografie osób, które przekraczały granicę, żeby na tych samych papierach nie mógł wyjechać ktoś inny.

- Ludzie uciekali szybowcami, lotniami, maleńkimi samolotami, a nawet balonami napełnianymi ciepłym powietrzem - dodał Werner. Przyglądał mi się badawczo, usiłując zgadnąć, po co skierowałem Langego na jeden z jego ulubionych tematów.

- Tak, oczywiście - przyznał Lange. - Ludzie wpadali na mnóstwo szaleńczych pomysłów i niektórym z nich udało się uciec. Ale tylko tanie metody były bezpieczne i niezawodne.

- Tanie? - spytałem. Nigdy dotąd nie słyszałem tej teorii.

- Im więcej kosztowała ucieczka, tym więcej osób musiało o niej wiedzieć, a to zwiększało margines ryzyka. Jednym ze sposobów pokrycia kosztów było sprzedanie z góry wszystkich praw gazetom, magazynom ilustrowanym lub stacjom telewizyjnym. Czasem udawało im się w ten sposób zdobyć środki, ale zawsze wtedy jacyś kamerzyści wystawali na rogach ulic albo wychylali się z okien. Niektórzy z

tych młodych reporterów nie mieli pojęcia o swoim zawodzie. Prawdziwi zawodowcy nie chcieli mieć nic wspólnego z ucieczkami sponsorowanymi przez środki przekazu.

- Najlepsze były tunele - oznajmił Werner, który mimo woli zaczął słuchać z zainteresowaniem wykładu Langego.

- Dopóki NRD nie wprowadziła po swojej stronie stumetrowej strefy ochronnej wzdłuż całego Muru, tunele były dobre. Ale potem musiały być bardzo długie, więc potrzebna była wentylacja i współpraca fachowych inżynierów. Poza tym trzeba było przerzucić mnóstwo ziemi. Nie mogli kopać tunelu zbyt długo, bo wszystko mogło się wydać. Musieli więc dysponować dwoma, czasem nawet trzema tuzinami kopaczy i wieloma ludźmi do wynoszenia ziemi. Trzeba było napęcznieć mnóstwo worków, wynieść je z tunelu i ukryć w bezpiecznym miejscu. A zatem wielu ludzi musiało zachować dyskrecję. Kiedy powierzasz jakiś sekret tak wielkiej liczbie osób, to z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że przynajmniej jedna z nich się wygada. A berlińczycy lubią plotkować.

W milczeniu zastanawiałem się nad tym, co mówił. Weszła pani Koby z herbatą. Niosła na tacy srebrny imbryk, cztery niebieskie filiżanki i cztery spodki ze złotymi obwódkami. Być może odziedziczyli je w spadku albo kupili na pchlim targu obok starej stacji kolejki podziemnej na Tauentzienstrasse. Gerda naląła herbatę, a potem przyniosła cukier i mały niebieski talerzyk, na którym leżały cztery czekoladowe batoniki. Jej mąż ponownie napełnił swój kieliszek śliwkowym winem, które smakowało mu widocznie bardziej niż herbata. Wypił spory łyk i wytarł usta dużą, poplamioną chustką.

Lange bynajmniej nie skończył; dopiero zaczynał się rozkręcać.

- Po tamtej stronie - ciągnął dalej - Mur stał się wielkim przedsiębiorstwem. Utworzono specjalny urząd, zatrudniający wysoko opłacanych biurokratów, którzy mieli zajmować się sprawami administracyjnymi. Wiesz, jak to jest: oddaj biurokracie pod opiekę drewnianą psią budę, a po jakimś czasie będziesz miał luksusowy ogród zoologiczny i przylegający do niego biurowiec dla pracowników administracyjnych. Więc Mur stale się rozrastał i zatrudniano przy nim coraz więcej ludzi. Ludzi, którzy go pilnowali, ludzi, którzy mieli go doglądać i naprawiać, ludzi piszących na jego temat sprawozdania i dołączających kosztorysy, zdjęcia, projekty i rysunki. Znajdowali przy nim zatrudnienie nie tylko strażnicy, lecz również architekci, kreślarze, nadzorcy budowlani. Tak powstała cała infrastruktura urzędów, których pracownicy musieli korzystać z systemu ubezpieczeń, emerytur, i tak dalej, i tak

dalej.

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć, Lange - przerwałem mu.

Zdawał się mnie nie słyszeć. Dolał sobie wina i wypił. Pachniało jak syrop lub jakaś wymyślna mikstura na kaszel. Byłem zadowolony, że uczulenie nie pozwala mi go pić.

- Tak - powiedział Lange. - Marnowano mnóstwo pieniędzy, ale Mur musiał się stawać z tygodnia na tydzień coraz doskonalszy.

- Wypij jeszcze trochę herbaty, Bernard - powiedziała Gerda Koby. - Nie widzieliśmy cię od tak dawna.

Jeśli sądziła, że uda jej się w ten sposób zmienić temat, to bardzo się myliła. Lange ciągnął dalej:

- Frank Harrington przysyłał swoich agentów i przerzucał ich z powrotem, korzystając z systemu tuneli kolejki podziemnej. Nie wiem dokładnie, jak to robił; podobno przekopał maleńki tunel łączący dwie linie, więc jego ludzie mogli wychodzić na powierzchnię w centrum miasta, tam gdzie pociągi kursujące między dwiema dzielnicami Berlina Zachodniego przebiegają pod Sektorem Wschodnim. Bardzo to sprytnie wymyślił - dodał, choć wiadomo było, że rzadko wyraża uznanie wobec poczynań Departamentu.

- Owszem, Frank jest bardzo pomysłowy - powiedziałem.

Spojrzał na mnie i kiwnął głową. Chyba wiedział, że Frank przerzucił mnie kiedyś na Wschód tym właśnie tunelem.

- Dramat nastąpił, kiedy ci dranie zaczęli się czegoś domyślać.

Zrobili zasadzkę i wrzucili do wjazdu granat w momencie, w którym dwaj ludzie Franka właśnie zamierzali wyjść na powierzchnię. Ich przewodnik został zwalony z nóg przez podmuch.. choć stał w tunelu, o dwieście metrów od miejsca wybuchu! Franka nie było na miejscu; przebywał wtedy w Londynie, opowiadając, jak wszystko świetnie idzie, i zabiegając o tytuł szlachecki, którego dotąd nie otrzymał.

Nie zamierzałem rozmawiać o Franku Harringtonie; w każdym razie nie z nim. Spytałem więc:

- A zatem pozostały tylko samochody dyplomatyczne?

- Tak było przez pewien czas - odparł Lange z chłodnym uśmiechem. -

Mógłbym ci opowiedzieć o dyplomatach z Afryki, którzy napełniali sobie kieszenie, biorąc dziesięć tysięcy dolarów od każdego uciekiniera, którego przewozili w

bagażniku. Ale przed dwoma laty strażnicy zatrzymali na przejściu granicznym Charlie wielkiego czarnego mercedesa z dyplomatyczną rejestracją i poddali go dezynfekcji pod pretekstem „epidemii choroby bydła”. Nie wiem, czym go okadzili, ale zamknięty w bagażniku trzydziestodwuletni suwnicowy z Rostocku przyplącił to życiem. Podobno kosza jego ucieczki pokrywali krewni zamieszkali w Toronto w Kanadzie.

- Więc strażnicy otworzyli bagażnik dyplomatycznego samochodu? - spytał Werner.

- Nie musieli go otwierać - ponuro odpowiedział Lange. - Być może, ten trujący gaz miał jedynie przyprawić jakiegoś młodego uciekiniera o ból głowy, ale kiedy już po stronie zachodniej otworzono bagażnik, leżący w nim facet nie żył.

Słyszałeś o tym, Bernard? - spytał.

- Nie znam tej wersji wydarzeń - przyznałem.

- Ale tak właśnie było. Widziałem ten samochód. W podłodze

bagażnika wywiercono otwory wentylacyjne, żeby ten człowiek się nie udusił.

Strażnicy musieli o tym wiedzieć i znać rozkład tych otworów.

- I co się stało?

- Sprytny afrykański dyplomata zawrócił samochód, przywiózł zwłoki z powrotem do Berlina Wschodniego i ukrył je w swojej ambasadzie. Zmarły został obywatelem afrykańskim na podstawie antydatowanych dokumentów.. Śmierć w ambasadzie; świadectwo zgonu podpisał lekarz afrykański, więc policja enerdowska nie wszczęła dochodzenia. Cichy pogrzeb. Został pochowany na cmentarzu w Marzann. A tu - wielka niespodzianka. Jakiś cymbał z Komitetu Spraw Zagranicznych enerdowskiej Volkskammer (Izba Ludowa - parlament), nie znając kulis sprawy, doszedł do wniosku, że należy wykonać jakiś przyjazny gest. A więc - w imieniu rządu i narodu NRD - kazał wysłać wielki wieniec, na którym wypisano literami ułożonymi z małych różyczek słowa: „pokój, zaufanie i przyjaźń”. Leżał na grobie tylko przez dwa dni; potem został dyskretnie usunięty przez funkcjonariuszy Stasi. - Lange zaśmiał się głośno. - Nie martw się tym, Bernie! - dodał, i zaśmiał się jeszcze głośniej.

- Myślałem, że będziesz miał dla mnie jakieś dobre wiadomości, Lange.

Byłem przekonany, że teraz kontrola nie jest już tak dokładna.

- Ale nie wyobrażaj sobie, że przerzut przez Węgry lub Czechosłowację jest

choć trochę łatwiejszy. Wszędzie jest trudno. Kiedy czytasz o uciekinierach zabitych podczas przekraczania Muru, powinieneś dodać setki ludzi, którzy wykrwawili się na śmierć w jakimś niewidocznym zaułku po drugiej stronie Żelaznej Kurtyny.

- Pyszna herbata, Gerdo - powiedziałem. Nigdy nie wiedziałem, czy mam do niej mówić po imieniu, czy też: proszę pani. Należała do tych staromodnych Niemek, które stosują się do wymogów etykiety. Z drugiej strony była żoną Langego.

- Zamierzasz przerzucić kogoś na tę stronę, Bernie? - spytał Lange. - Mam nadzieję, że to ktoś bogaty. Ktoś, kto może zapłacić.

- Chodzi o szwagra Wenera, który mieszka w Cottbus - odparłem. - Jest biedny; nie ma ani grosza.

Werner, który nie wiedział dotąd, że ma szwagra w Cottbus, wyglądał na zaskoczonego, ale szybko odzyskał zimną krew i lojalnie mnie wspomógł.

- Obiecałem mu to - powiedział z nieprzekonującym uśmiechem i rozsiadł się wygodniej na kanapie.

- Czy on może się dostać do Berlina Wschodniego? - spytał Lange, spoglądając na nas badawczo.

- Przyjedzie tutaj ze swoim synem - improwizował Werner. - Na festiwal Wolnej Młodzieży Niemieckiej, który odbędzie się w lecie.

Lange kiwnął głową. Werner był lepszym kłamcą, niż przypuszczałem. Zastanawiałem się, czy rozwinął w sobie tę umiejętność podczas małżeństwa z jędzowatą Zeną.

- A zatem nie macie wiele czasu - powiedział Lange.

- Musi być jakiś sposób - stwierdził Werner. Zerknął na zegarek i wstał.

Chciał wyjść, zanim wciągnę go głębiej w swoją bajeczkę.

- Dajcie mi trochę czasu do namysłu - zaproponował Lange, przynosząc płaszcz i kapelusz Wenera. - A ty nie masz płaszcza, Bernie?

- Nie - odparłem.

- Czy nie jest ci zimno? - spytała Gerda.

- Nie, nigdy - odpowiedziałem.

- Nie martw się o niego - powiedział Lange. Odryglował drzwi, ale zanim otworzył je na tyle szeroko, byśmy mogli wyjść, zapytał: - Gdzie jest druga połówka tego banknotu, Bernard?

Wręczyłem mu ją, a on wetknął ją do kieszeni, mówiąc:

- Jedna połówka banknotu nikomu się nie przyda, prawda?
- Tak, to prawda - odparłem. - Wiedziałem, że szybko do tego dojdiesz.
- Istnieje wiele innych rzeczy, do których jestem w stanie szybko dojść - oświadczył Lange.
- Och, na przykład co? - spytałem wychodząc.
- Na przykład to, że tego lata nie odbywa się w Berlinie żaden festiwal *Freie Deutsche Jugend*.
- Może Werner coś pomylił - powiedziałem. - Może chodziło mu o Festiwal *Gesellschaft fur Sport und Technik*, który odbędzie się tego lata w Berlinie Wschodnim.
- Jasne! - zawołał za nami Lange swym ochrypłym głosem. - A może CIA organizuje tego lata w Berlinie Wschodnim festiwal tajniaków.
- Berlin jest cudowny latem - odparłem. - Wszyscy tu wtedy przyjeżdżają. Słyszałem, jak Lange głośno zatrzaskuje drzwi, a potem zaryglowuje je hałaśliwie, demonstrując przy tym nadmiar energii często będący oznaką złego humoru.
- Czy chodzi o twoją żonę Fionę? - spytał Werner, schodząc po schodach. - Czy to ją próbujesz wydostać z NRD?
- Nie odpowiedziałem. Automatyczny wyłącznik znów wydał głośny trzask i od tej chwili schodziliśmy po ciemku.
- Ten stumarkowy banknot, który Lange od ciebie dostał, był mój - oświadczył z rozdrażnieniem Werner, urażony moim brakiem odpowiedzi.
- No cóż - odpowiedziałem. - Przecież chodzi o twojego szwagra, prawda?

4

Niektórzy ludzie rodzą się hotelarzami, inni starają się usilnie wejść w posiadanie hotelu, ale Werner Volkmann należał do tych rzadkich okazów, którym hotel spadł z nieba. Trudno byłoby znaleźć na całym świecie człowieka mniej przygotowanego do kariery dyrektora hotelu niż mój dobry przyjaciel Werner Volkmann. Ale przywiązanie do Tante Lisi, sędziwej damy, która wychowała go, gdy został sierotą, spowodowało, że przejął hotel, gdy stała się zbyt stara i schorowana, by kontynuować swe despotyczne rządy.

Gmach, w którym hotel się mieścił, nie był okazały, ale leżał w samym centrum. Przed wojną ów budynek, położony w modnej Zachodniej Dzielnicy, był po prostu domem rodzinnym Lisi. Podział miasta, dokonany w roku 1945 przez sojuszników zachodnich i Rosjan, uczynił z Der Neuer Westen centrum „kapitalistycznego Berlina”.

Werner wprowadzał pewne zmiany, ale szanował uczucia Lisi, która nadal mieszkała w hotelu i poddawała krytycznej ocenie każdą nową zasłonę i każdą kroplę farby. Toteż modernizacja nie zmieniła w zasadniczym stopniu charakteru tego uroczego starego budynku, którego niektóre pomieszczenia wyglądały dokładnie tak samo jak przed pięćdziesięciu laty.

Tego wieczora, po wyjściu z mieszkania Langego, uległem namowom Wenera i przeprowadziłem się do jego hotelu. Znoszenie brudu i niewygód, na jakie narażało mnie mieszkanie w slumsach Kreuzberga, nie miało już większego sensu; Frank Harrington dowiedział, że jego ludzie potrafią mnie znaleźć, gdy tylko przyjdzie im na to ochota.

Zanim położyliśmy się spać, Werner zaprosił mnie na drinka. Minęliśmy niedawno przebudowany bar - o tej porze zupełnie pusty - i usiedliśmy w małym gabinecie na jego zapleczu. Werner nalał mi sporą dawkę szkockiej whisky z małą ilością wody sodowej. Sam pił wodę sodową z odrobiną *Underberga*. Rozejrzałem się po pokoju. Dokonała się tu niezwykła transformacja, będąca szczególnie miłym zaskoczeniem dla kogoś, kto znał Wenera za dawnych czasów. Pokój został zamieniony w jaskinię, w której cudownym zrządzeniem losu pojawiły się na nowo wszystkie skarby Wenera. Była tam głowa lwa objedzona przez mole, której drewnianą podstawę nazwał kiedyś słusznie jakiś obdarzony poczuciem humoru pijak: *felis leo venerabilis*. Obok niej wisiał na ścianie stary zegar. Na przedniej ścianie jego poobijanej drewnianej obudowy namalowana była nieprzekonująco jakaś sielankowa scena. Zegar tykał głośno i spóźniał się o osiem minut, ale był jedynym posiadany przez Wenera przedmiotem, który należał niegdyś do jego rodziców. Z sufitu zwisał model hydroplanu marki Dornier, długo przez Wenera konstruowany; miał dwanaście silników, a jeśli uniosło się osłonę każdego z nich, można było obejrzeć wszystkie cylindry i tłoki. Pamiętam, jak ciężko pracował nad tymi miniaturowymi silniczkami; był w fatalnym nastroju przez ponad tydzień.

Zaledwie zdążyliśmy sobie powiedzieć, jak świetnie wygląda Lange i jakim jest nieugiętym starym draniem, do pokoju weszła Ingrid Winter.

- Bernie zamieszkał u nas - powiedział Werner z mniejszym entuzjazmem, niż mógłbym oczekiwać, ale Werner taki już był.

- Och, to świetnie - odparła Ingrid, która weszła tak cicho, że jej nie zauważyłem. Można było łatwo ją sobie wyobrazić jako nieśmiałą, spłoszoną starą pannę, zawsze bowiem chętnie grała tę rolę. Pasowały do niej siwiejące włosy, których nie farbowała, jej spokojny głos i wełniane, kwieciste suknie. Ale mimo krótkiej znajomości odkryłem, że Ingrid jest osobą obdarzoną siłą i hartem ducha. Werner widocznie również odkrył w niej te i inne przymioty, ponieważ łączył ich obecnie bliski związek.

- Ta kobieta znowu tu była - powiedziała do Wenera głosem zabarwionym dezaprobatą.

- Księżna?

- Ta Angielka. Ta, którą nazwałeś wścibską babą.

- Czego chciała? - spytał Werner, zerkając na mnie i uśmiechając się z zażenowaniem.

- Księżna lubi ten bar - wtrąciłem. - Ma nadzieję, że stanie się on czymś w rodzaju klubu, zrzeszającego wszystkich jej znajomych.

Poznałem po minie Wenera, że jest zaniepokojony. Ingrid przyglądała mu się uważnie, ale jej twarz nie wyrażała nic, nie odbijała nawet jego uczuć. Werner spojrział na mnie i powiedział:

- Ingrid uważa, że kryje się pod tym coś więcej.

- Na przykład co?

- Powiedziałem jej o Franku - oznajmił Werner takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało. Kiedy nie zareagowałem, dodał: - Frank chce wykorzystać ten hotel. To oczywiste.

- Dla mnie to nie jest wcale oczywiste, Werner - powiedziałem. - Jak chce go wykorzystać?

Werner nalał sobie trochę wody sodowej i dodał do niej kroplę *Underberga*, która tylko minimalnie zmieniła jej kolor.

- Myślę, że Frank kazał swoim ludziom tu przychodzić - powiedział, wypiwszy łyk ze szklanki. - Potem wracają do biura i powtarzają mu każde usłyszane słowo, a także relacjonują wszystko, co widzieli. Zostaje to wpisane do akt.

Ta łagodna obsesja - połączona z dość pochlebną oceną zdolności

organizacyjnych Franka - była typowym przykładem sposobu rozumowania Wenera, odziedziczonego zapewne po germańskich przodkach. Frank uosabiał wszystkie cechy typowe dla Anglików. Był leniwy i lekkomyślny, więc chciał po prostu bezkonfliktowo dociągnąć do emerytury, i nie miałby dość energii - ani ochoty - by zorganizować tego rodzaju akcję.

Werner natomiast, podobnie jak liczni inni znani mi Niemcy, był małostkowy i nietolerancyjny. Te różnice charakteru stały się podłożem ich wrogości, ale ja nigdy nie ośmieliłbym się powiedzieć któremuś z nich, co o nich obu myślę. Werner byłby wstrząśnięty, uważał się bowiem za kosmopolitę i liberała. Ale oczywiście za kosmopolitów i liberałów uważają się wszyscy filistrzy, którzy dużo podróżowali po świecie.

- Dopóki płacą gotówką za drinki, nie powinienem mieć nic przeciw temu - powiedziałem.

- Nie mam nic przeciw temu, żeby ludzie Franka tu przychodzili - powiedział Werner, któremu wyraźnie nie spodobała się moja nonszalancja - ale nie życzę sobie, by monopolizowali ten bar i próbowali go zamienić w jakiś okropny angielski pub. A poza tym, Bernie - dodał tak spokojnym, opanowanym głosem, jakby mówił do dziecka - jeśli ty tu zamieszkaż, będą szpiegowali ciebie.

Od obowiązku odpowiedzi zwolniła mnie Ingrid. Miałem wrażenie, że nie słucha nas bardzo uważnie. Być może, znała już podejrzenia Wenera dotyczące pracowników Departamentu, którzy usiłowali za pomocą nieczystych sił przekształcić, zmienić jego bar. Podczas pauzy, jaka nastąpiła w naszej rozmowie, powiedziała:

- Chodzi o coś jeszcze. Słyszałam, jak rozmawiali o Bernardzie. I o jego żonie.

O mojej żonie! O mojej żonie! Ingrid przykuła moją uwagę, chciałem, żeby zrelacjonowała mi przebieg tej rozmowy. Powiedziała, że Księżna przyszła do baru stosunkowo wcześnie. Zamówiła gin z tomkiem i czytała *Daily Express*. Werner zaczął od niedawna sprowadzać do hotelu nie tylko niemieckie, lecz również angielskie i francuskie gazety, które umieszczone w drewnianych *Zeitunghalter* wisały obok szatni. Wkrótce potem zjawiły się dwie następne osoby zatrudnione w Departamencie i zaprosiły Księżnę, by się do nich przyłączyła.

Na podstawie opisu Ingrid zidentyfikowałem drugą kobietę wchodzącą w skład tego trio. Poznałem ten głos, chustkę z firmy Burberry, diamentową broszkę w

kształcie podkowy. To musiała być Pinky; na świecie była tylko jedna Pinky i chwała za to Bogu. Jej tatuś hodował konie wyścigowe, mamusia polowała na lisy, a wybryki jej brata w nocnych lokalach były regularnie odnotowywane w kronice towarzyskiej. Poznałem ją, gdy zaczęła pracować w Departamencie. Była wtedy od niedawna rozwiedziona z „Bang-bang” Canonem, kapitanem Gwardii Konnej, który przeniósł się do branży ubezpieczeniowej. Mówiła, że nie mogła znieść jego widoku w mundurze, ale być może te słowa dyktowało jej specyficzne poczucie humoru. Pinky wróciła do swego panińskiego nazwiska, kiedy „Bang-bang” poszedł do więzienia za oszustwo.

Ingrid słyszała, jak siedząca po drugiej stronie baru Pinky mówi swym przenikliwym głosem:

- Kiedy człowiek traci żonę, wygląda to na niedbalstwo, kochanie. - I jak śmiejąc się głośno, prosi o następnego drinka.
- A co z tym telefonem? - spytał towarzyszący im mężczyzna. Długie jasne włosy, przedzielone wysoko, niemal na środku głowy. Kraciaste ubranie i beżowa koszula. Larry Bower, który zaprosił widocznie Pinky na drinka w drodze powrotnej z Charlottenburga, gdzie oboje spędzili dzień na ciężkiej pracy.
- Jego telefony były na podsłuchu od chwili, kiedy go porzuciła - odparła Pinky. - Taki jest przepis. Zapisy nagranych rozmów dostarczane są Frankowi.
- W końcu go zwolnią - powiedział Bower.
- Wiesz, jak działa nasz Departament, kochanie - odpowiedziała mu Pinky. - Muszą się co do niego upewnić. Zajmie to trochę czasu. Pozbędą się go, gdy będzie im to na rękę.
- Nie znałem jej - powiedział Bower. - Jaka ona była?
- Bardzo piękna - tym razem odpowiedziała mu Księżna. - Ale nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego za niego wyszła. Pożądał jej od pierwszego wejrzenia każdy mężczyzna; miała w sobie jakąś magiczną siłę. Niektórym kobietom dany jest ten szczęśliwy dar.
- Ja też nigdy nie poznałam jej bliżej - powiedziała Pinky. - Nikt jej nie znał. Nie zadawała się z kobietami, jeśli wiecie, co mam na myśli.
- Chyba wydawała mnóstwo pieniędzy na stroje - stwierdziła Księżna. - Ale muszę uczciwie przyznać, że nawet w starym swetrze i w dzinsach potrafiła wyglądać jak...

- Jak gwiazda filmowa? - podpowiedział Bower.
- Nie - odparła Pinky. - Nigdy jak gwiazda filmowa. Nie była idiotką, kochanie. Mężczyźni nie potrafią przyjąć do wiadomości, że piękne kobiety mogą być inteligentne. Ale tak jest.

• No dobrze, ale jaka w gruncie rzeczy była? - spytał Bower. - Wszyscy o niej mówią, ale chyba nikt jej w gruncie rzeczy nie znał.

- Była okropną kobietą! - stwierdziła Pinky.
- Niekiedy okropna kobieta może być dobrą żoną - wtrąciła Księżna.
- Ależ nic podobnego! - zawołała Pinky. - Zamieniała mu życie w piekło.

Wszyscy o tym wiedzieli.

- Wygląda na to, że jakoś sobie bez niej radzi - powiedział Bower.
- On potrafi dobrze udawać - stwierdziła Księżna. - Zawsze miał zdolności aktorskie.
- Potrafi sporo wypić - dodał Bower.
- Nigdy go nie widziałam pijanego - zaproponowała Księżna.
- Doprawdy, kochanie? Mój Boże, to prawda, ale on ma mocną głowę.

Powiedzmy sobie szczerze, że nigdy nie był jednym z nas, prawda? - spytała Pinky.

- Po prostu nie ma ikry - stwierdziła Księżna.
- Ale nie stwierdzono braku żadnych dokumentów? - spytał Bower.
- Jak dotąd nie... - odparła Pinky. - Ale kto wie, co zostało skopiowane?
- Mówicie, że zadzwoniła do Franka? - spytała Księżna.
- Dziś, wczesnie rano, do jego domu - odpowiedziała Pinky, która zdawała się bardzo dobrze poinformowana. - Nie wiem, skąd ma ten numer. Jest regularnie zmieniany.

- Nie myślisz chyba, że ona... i Frank... - zaczął Bower.

• Że ma romans z Frankiem? - Pinky zaśmiała się, a potem zaczęła chichotać. - Dobry stary Frank! Nie w moim typie, kochanie, ale to zdumiewające, jak ten biedak nie może opędzić się od kobiet... Nie, nie sądzę, by doszło do czegoś w tym rodzaju - dodała poważniejszym tonem.

- A w zamierzchłej i odległej przeszłości?
- Nie, nawet w zamierzchłej i odległej przeszłości - odpowiedziała Księżna tak stanowczo, jakby uważała temat za wyczerpany.

- A więc Frank mu o tym powiedział?
- Czy powiedział jej mężowi? - spytała Pinky. - O tej rozmowie

telefonicznej? Nie. I nikt nie wie, co mu oznajmiła. Wiemy tylko, że Frank odwołał wszystkie spotkania i kazał sprowadzić przed dom swój samochód... bez kierowcy. Nikt nie wie, dokąd pojechał. Choć, oczywiście, jego nagły wyjazd mógł nie mieć z tą sprawą nic wspólnego. Wiecie, jaki jest Frank. Być może, wpadł na pomysł, żeby spędzić ten dzień ze starymi kolegami z wojska, grając w golfa lub w cokolwiek innego.

- Mam nadzieję - powiedziała Księżna - że nie zacznie się wszystko od nowa.

- Zamów drinka dla Pinky, kochanie - powiedziała Pinky do Bowera.
- Że co nie zacznie się od nowa? - spytał Bower.

- Wkrótce się dowiesz - odparła Księżna. - Kiedy organizują śledztwo w związku z podejrzeniem o przecieki, życie wszystkich zamienia się w piekło.

Przyjeżdżają ludzie z Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego i zadają setki pytań.

- Drinka dla Pinky, kochanie. Drinka dla Pinky.

- Jeszcze raz trzy razy to samo! - zawołał Bower do Ingrid. Potem do baru weszło pięciu rozweselonych Australijczyków. Bawili w Hamburgu na koszt swego rządu, kupując dziesięć tysięcy szpitalnych łóżek, czy czegoś w tym rodzaju. Spędzili cały dzień w dużym kompleksie urbanistycznym, w którym architekci o międzynarodowej renomie rywalizowali ze sobą, budując najbrzydsze na świecie bloki mieszkalne. Mieli ochotę na drinka, więc zadowoleni, że po długim

dniu słyszą język angielski, przyłączyli się do Księżnej i jej przyjaciół, by spędzić wspólnie pijacki wieczór. Konwersacja zaczęła obracać się wokół mniej interesujących mnie problemów, takich jak przyczyny napadu Niemców na Polskę.

Podziękowałem Ingrid za przekazanie mi najważniejszych szczegółów tej podsłuchanej rozmowy. Potem wypilem szybko następnego drinka i poszedłem spać.

Mieszkałem w tym samym pokoju, co zawsze. Była to mała klitka na poddaszu, jedno z tych pomieszczeń, które były źródłem inspiracji dla Pucciniego, kiedy pisał muzykę do sceny śmierci Mimi. Trzeba było z niego odbywać długą drogę do najbliższej łazienki. Kolorowa tapeta, na której namalowano duże kwiaty i wijące się liście, pociemniała z wiekiem tak bardzo, że wzory były niemal niewidoczne. W kącie pokoju stała mała komódka, mieszcząca niegdyś moją kolekcję znaczków,

wykonane własnoręcznie przybory do otwierania zamków oraz zbiór nazistowskich odznak, których mój ojciec nie pozwalał mi zbierać.

Łóżko było już pościelone. Leżała na nim piżama, owinięta wokół butelki z gorącą wodą. Tak jakby Werner był pewien, że z czasem odzyskam zdrowy rozsądek.

Rozebrałem się, wszedłem do łóżka, włożyłem pistolet do buta, by móc po niego łatwo sięgnąć, i natychmiast zasnąłem. Musiałem być bardzo zmęczony, bo miałem wiele powodów do bezsenności i niepokoju.

5

W hotelu Lisi, który powinienem, być może, nazywać hotelem Wernera i Ingrid, nie wszystkie pokoje wyposażone były w telefony. Następnego dnia o ósmej rano ktoś zapukał do moich drzwi. Był to Richard, jeden z zatrzymanych przez Wernera pracowników Lisi.

- *Hen Bernd* - powiedział. - Dzwonił pewien gentleman, *Hen Bernd. Hen Teacher*. On przyjdzie tutaj. Dwanaście godzin punktualnie.

Richard był nerwowym młodym człowiekiem, który - podobnie jak wielu jego rówieśników - przyjechał do Berlina, by uniknąć przymusowej służby w Bundeswehrze. Dostał pracę u Lisi, poznał pewną dziewczynę i nie zamierzał już wracać do swoich pozostałych w Bremie rodziców. Jego ojciec dzwonił od czasu do czasu, by zapytać, czy Richard nie „narobił jakichś głupstw”. Telefony te następowały zwykle w późnych godzinach wieczornych, a z głosu ojca można było zazwyczaj wywnioskować, że jest pijany.

Wolałbym niekiedy, żeby Richard nie zwracał się do mnie z takim uporem po angielsku, ale on stanowczo postanowił doskonalić swoją znajomość języków. Jego ambicją było objęcie stanowiska recepcjonisty w jakimś wielkim, luksusowym hotelu, ale prosił mnie, żebym nie ujawnił tego przed Lisi. Dochowywałem więc jego tajemnicy i odpowiedziałem mu teraz po angielsku, że będę jadł lunch w hotelu, więc jeśli mój gość, *Hen Teacher*, przyjdzie zbyt wcześnie, ma przyprowadzić go do baru i zaprosić do mojego stolika.

- Zrobię dokładnie tak, jak pan mówi, *Hen Bernd* – obiecał Richard. Dysponował pewnym ściśle określonym zasobem zrozumiałych zdań, które potrafił wygłosić w języku angielskim względnie poprawnie. Nie umiał jednak wypowiedzieć ich płynnie.

- Dziękuję, Richard.
- Nie ma za co, *Hen Bernd*. Życzę panu miłego dnia.
- Ja tobie również, Richard.

Wyrwany ze snu, odczuwałem silną potrzebę napicia się mocnej, gorącej kawy. Już o dziewiątej piętnaście siedziałem więc w jadalni - salę śniadaniową poddawano właśnie gruntownej przebudowie - w towarzystwie Lisi, która machała drobną dłonią, by uzyskać od Klary dzbanek z kawą. Wierna Klara miała na sobie staromodny, wykrochmalony, biały fartuszek z koronkowym obszyciem. Lisi niezmiennie mówiła o niej *Dienstmeidchen*, jakby była ona jakąś nowo przyjetą, siedemnastoletnią kelnerką, ale Klara miała mnóstwo lat. Była drobną, szczupłą staruszką, przypominającą z wyglądu ptaka. Miała bystre małe oczka i stosownie do mody, jaka panowała w czasach jej młodości, zaczesywała siwe włosy w ciasny węzeł na karku. Życie spędzone na ciężkiej pracy przygięło ją nieco ku ziemi, harowała bowiem u Lisi, zanim jeszcze ten dom zaczął pełnić funkcje hotelu.

- Tym razem - z naciskiem zażądała od niej Lisi - wsyp do dzbanka mniej kawy.
- Niektórzy lubią mocną kawę - zaproponowałem, ale ona machnięciem ręki poleciła Klarze, by nie zwracała uwagi na moje słowa.
- Ona marnuje kawę - wyjaśniła mi donośnym głosem, kiedy uznała, że Klara odeszła na bezpieczną odległość. - A kawa jest strasznie droga. Czy wiesz, ile za nią płacę?

Dostrzegłem kątem oka, że Klara odwraca głowę, by lepiej słyszeć jej słowa. Miałem ochotę odpowiedzieć, że powinna przestać zajmować się takimi sprawami i pozostawić rozliczenia w rękach Wenera i Ingrid. Ale kiedy ostatni raz ośmieliłem się zasugerować coś w tym rodzaju, wygłosiła długą a gniewną tyradę, zapewniając, że nie jest zbyt stara, by wiedzieć, jak powinien być prowadzony hotel. Myślę, że Wener i Ingrid odkryli jakiś sposób na Lisi, gdyż nie dawała po sobie poznać, że potępia wprowadzane przez nich zmiany.

Jadalnia, na przykład, w której siedzieliśmy, została całkowicie przerobiona. Lakier ze wszystkich boazerii zdarto aż do surowego drewna, a miejsce tandetnych sztychów zajęły współczesne akwarele; były to berlińskie sceny rodzajowe, malowane przez jakiegoś miejscowego artystę. Pasowały one do okrutnego rysunku George'a Grosza, jedyne go dekoracyjnego akcentu pozostałego z dawnych czasów.

Obraz ten wisiał zawsze obok stołu, przy którym siedzieliśmy - tuż przy wychodzącym na podwórze oknie - i przy którym Lisi jadła lunch. Jeden z bardziej zajadłych krytyków Lisi powiedział kiedyś, że przypomina ona rysunki Grosza; jest białą-czarną mieszaniną skrajności, nadwreżoną przez czas karykaturą Berlina z lat trzydziestych. Gotów byłem przyznać, że ta gruba kobieta w czarnej sukni z długimi rękawami, rzucająca na mnie przenikliwe spojrzenie pomalowanych ciemnym tuszem oczu, pasuje obecnie do tego opisu.

Klara przyniosła kawę i napełniła nią moją filiżankę. Była to rzadka lura, nie mająca ani aromatu, ani odpowiedniej barwy. Nie powiedziałem tego głośno, a Lisi udała, że w ogóle jej nie zauważa. Lisi piła mleko - teraz unikała już kawy. Wolno jadła kanapkę złożoną z ciemnego chleba i kawałka ementalera, przegryzając ją plasterkami jabłka. Ostрым kuchennym nożem, trzymanym w zniekształconej przez artretyzm dłoni - bladej, upstrzonej ciemnymi punktami i obwieszanej ciężkimi brylantowymi pierścieniami - kroїła jabłko na drobne kawałki. Potem brała je w dwa palce i wkładała do ust, uważając, by nie dotknąć nimi pomalowanych karminową kredką ust.

- Werner ma własne pomysły - oznajmiła nagle. Powiedziała to w taki sposób, jakbyśmy rozmawiali o nim poprzednio, a ona odpowiadała na moje pytanie. - Werner ma własne pomysły i wie dokładnie, czego chce.

- Jakie pomysły?

- Przejrzał nasze stare księgi i używając tej swojej komputerowej maszyny, pisze teraz listy do wszystkich gości, którzy mieszkali u nas w ciągu ostatnich pięciu lat. Założył też kartotekę klientów; wpisuje tam ich imiona, imiona ich żon, potrawy, które lubią jadać, i wszystkie kłopoty, jakie z nimi mieliśmy.

- To wspaniale - powiedziałem, a kiedy wykrzywiła się do mnie ze złością, spytałem: - A ty nie sądzisz, że to słuszna metoda?

- Przez lata prowadziłam ten hotel bez takich chwytów - odparła. Ale nie powiedziała, że nie jest to właściwa metoda. Postanowiła zachować neutralność, dopóki pomysły Wenera nie zostaną sprawdzone. Tak zwykle postępowała. Nie chciała, żeby ktoś mógł jej dowieść, że nie miała racji.

- Werner jest bardzo przytomny w interesach - powiedziałem.

- I te wieczory brydżowe - ciągnęła Lisi. - Ludzie Franka Harringtona przychodzą na wieczory brydżowe. Brytyjczycy lubią brydża, prawda?

- Niektórzy - odparłem.

Lisi zaśmiała się posepnie. Zwykle udawało jej się ograć mnie w brydza. Kiedy wybuchała śmiechem, jej potężna postać kołysała się w przód i w tył, a na błyszczącej satynowej sukni pojawiały się zmarszczki. Uniosła rękę i dotknęła małym palcem kącika oka. Sprawdzała w ten sposób delikatnie, czy nie odklejają się jej sztuczne rzęsy.

- Traktuję Wenera jak syna - oznajmiła.

- On cię bardzo lubi, Lisi - powiedziałem. Powinienem pewnie powiedzieć, że Werner ją kocha; w świetle poświęceń, jakich wymagało od niego prowadzenie hotelu, nie ulegało to najmniejszej wątpliwości.

- I kocha ten dom - dodała Lisi. Wzięła do ust następny kawałek jabłka i żuła głośno, patrząc w talerz, jakby moja odpowiedź zupełnie jej nie interesowała.

- Owszem - przyznałem. Nie przychodziło mi to dotąd do głowy, ale Werner urodził się w tym domu podczas wojny. W tym domu mieszkał jako mały chłopiec. Musiał być z nim jeszcze silniej związany emocjonalnie niż ja, choć w żadnej z naszych rozmów nigdy się z tym nie zdradził. Zachowałem się jednak jak egoista, nie dostrzegając oczywistej rzeczy. - Masz też na miejscu swoją miłą siostrzenicę.

- Ingrid. - Odchrząknęła głośno i dodała: - Ona jest moją siostrzenicą.

- Wiem - powiedziałem. Ponieważ Lisi nieustannie powtarzała wszystkim, którzy chcieli jej słuchać, że Ingrid jest nieślubną córką jej siostry, a zatem nie jest jej siostrzenicą, uznałem tę wypowiedź za objaw jej rosnącej sympatii dla Ingrid.

- Czy wybierasz się gdzieś? - spytała tonem nagany. - Bez przerwy zerkasz na zegarek.

- Wybieram się do banku. Powinny tam czekać na mnie pieniądze, które jestem winien Frankowi.

- Frank ma kupę pieniędzy - powiedziała Lisi. Poruszyła się niecierpliwie na krześle. W ten sposób zbagatelizowała zarówno życzliwość, z jaką Frank udzielił mi pożyczki, jak i uczciwość, z jaką mu ją zwracałem. Kiedy podnosiłem się z miejsca, dodała: - I pamiętaj, że musisz przejrzeć kiedyś te rzeczy twojego ojca.

- Jakie rzeczy?

- Jest tam pistolet, mundur pogryziony przez mole - nigdy go nie nosił, chyba że nie mógł tego uniknąć - rozkładane łóżko, które twoja matka pożyczyła *Frau* Grieben, tej z naprzeciwnka, jakieś angielskie książki,

chyba Dickens, podnózek i materac. Poza tym leży tam wielki plik papierów; rachunki i jakieś inne tego rodzaju świstki. Wyrzuciłabym wszystko na śmietnik, ale myślałam, że może zechcesz to obejrzyć.

- Co to za papiery?

• Leżały w starym biurku, którego używał twój ojciec. Zapomniał je opróżnić. Wyjeżdżał w pośpiechu. Powiedział, że wróci i odbierze je, ale zapomniał. Wiesz, jaki potrafił być czasem roztargniony. Potem ja zamieniłam jego pokój na graciarnię i też o wszystkim zapomniałam.

- Gdzie są teraz te rzeczy?

• Głównie księgi rachunkowe i pliki korespondencji. Nic ważnego, bo napisałby do mnie i poprosił o ich przysłanie. Jeśli ich nie chcesz, to po prostu je wyrzucę, bo Werner żąda, żebym usunęła wszystko z magazynu. Będzie przerobiony na łazienkę.

- Chciałbym przejrzeć te papiery.
- To jedyne, o czym on myśli: łazienki. Nie da się wynająć łazienki.
- Tak, chciałbym je przejrzeć, Lisi.
- W końcu zacznie zmniejszać liczbę pokoi. Więc w jaki sposób chce

zarabiać więcej pieniędzy?

- Kiedy mogę je zobaczyć?
- Nie bądź nudziarzem, Bernd. Są zamknięte na klucz i całkiem bezpieczne.

Ten pokój jest kompletnie zastawiony gratami, których nie ma dokąd przenieść. W przyszłym tygodniu... może w następnym. Nie mam pojęcia. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy cię to w ogóle interesuje.

- Tak, Lisi - powiedziałem. - Dziękuję ci.
- I kup mi przewodnik Michelina po Francji. Ten nowy! Właśnie się ukazał.

Pamiętaj, że nie chcę tego starego.

Przewodnik po francuskich hotelach Michelina! Lisi od lat rzadko wychodziła z hotelu; robiła to w zasadzie tylko wtedy, kiedy chciała pójść do banku. Odkąd przeżyła atak serca, nie chodziła nawet tam.

• Czy wybierasz się do Francji? - spytałem. Zastanawiałem się, czy wpadła na szalony pomysł, by odwiedzić mieszkającą tam siostrę Inge.

• Dlaczego nie miałabym pojechać do Francji? Werner prowadzi hotel, prawda? Mówią mi stałe, że powinnam wyjechać na odpoczynek.

Werner zastanawiał się, czy nie oddać jej do domu starców, ale nie wyobrażałem sobie, by był w stanie jej to zaproponować.

- Nowy przewodnik Michelin po Francji - powtórzyłem. - Kupię ci go.
- Chcę się dowiedzieć, które restauracje są najlepsze - powiedziała pogodnie Lisi. Zastanawiałem się, czy nie żartuje, ale z nią nigdy nie można było być niczego pewnym.

Spędziłem resztę przedpołudnia spacerując po Ku-Damm. Śnieg już zniknął, a światło słoneczne miało w sobie diamentową twardość. Przez strzępy chmur prześwitywały płaty błękitu, ale pod takim niebem jest zawsze bardzo chłodno. Radzieckie odrzutowce z ogłuszającym hukiem przekraczały barierę dźwięku; był to jeden z elementów kampanii systematycznego nękania mieszkańców wysuniętego najdalej na wschód przyczółka kapitalizmu. Po wizycie w banku zajrzałem do kilku księgarni i zwiedziłem dom towarowy firmy Wertheim. Na parterze w stoiskach z żywnością sprzedawano bogaty asortyment wspaniałych kanapek. Wypiłem kufel mocnego niemieckiego piwa i zjadłem porcję marynowanych śledzi. Na godzinę udało mi się zapomnieć o czekającym mnie spotkaniu przy lunchu, które musiało spowodować kontrowersje, jeśli nie otwarty konflikt. Moje problemy zniknęły. Słyszałem wokół siebie jak zwykle pogodne głosy berlińczyków. Dla mnie ich żarty i przekleństwa były czymś szczególnym, uważałem bowiem Berlin za swe rodzinne miasto. Znow byłem dzieckiem, gotowym pobiec wzdłuż Ku-Damm, by zastać matkę przy piecu, a ojca przy stole jadalnym; oboje czekali na mnie w tym śmiesznym starym budynku, który nazywaliśmy domem.

Kiedy człowiek wdaje się w takie pogodne rozmyślenia, czas płynie bardzo szybko. Musiałem się pospieszyć, by zdążyć do Lisi przed dwunastą. Kiedy wszedłem do baru, nie było w nim jeszcze Teachera. Usiadłem więc i zacząłem czytać gazetę. O dwunastej trzydzieści wszedł pewien mężczyzna i zaczął się za mną rozglądać. Ale nie był to Teacher; był to Frank Harrington, szef naszej berlińskiej placówki.

- Bernard! - powiedział zdejmując kapelusz. - Jak miło cię zobaczyć!

Ani jego sposób zachowania, ani serdeczne powitanie nie tłumaczyły powodów tej zmiany planów, a ja natychmiast doszedłem do wniosku, że jego wizyta ma jakiś związek z enigmatyczną wymianą zdań, którą podsłuchiwała Ingrid.

Być może, przyczyną, dla której Frank zachowywał się zawsze tak samo, był jego ojcowski stosunek do mnie. Jestem pewien, że gdybym niespodziewanie

wylądował tuż obok niego na Księżycu, wcale nie okazałby zdziwienia. Powiedziałyby nonszalanckim tonem: „Bernard! Jak miło cię zobaczyć!” - i zaproponowałyby mi drinka lub stwierdził, że chyba mam za mało ruchu.

- Słyszałem, że jesteś poza miastem, Frank.
- Byłem w Londynie tylko przez jeden dzień. Załatwiałem pewną służbową sprawę.

• Rozumiem. - Próbowałem domyślić się z wyrazu jego twarzy, na co się zanosz, ale pomarszczone oblicze Franka było równie nieprzeniknione, jak zawsze. - Byłem dziś rano w banku. Mam tu czek na tysiąc funtów, które mi pożyczyłeś.

Podąłem mu czek. Nie zerknąwszy nawet złożył go i schował do portfela. Potem zwilżył wargi i spytał:

• Czy myślisz, że twój przyjaciel Werner byłby w stanie wyczarować dla nas drinka? - W jego głosie wyraźnie czuło się podejrzenie, że może to przekraczać możliwości Wenera lub że będzie on chciał uniemożliwić nam wypicie drinka. Nadal siedział w płaszczu, z kapeluszem w ręku, podejrzliwie rozglądając się po sali. Frank nigdy nie przepadał za Lisi, za Wernerem i za tym hotelem. Teraz, kiedy Werner przejął kierownictwo, jego niechęć do przebywania w tym lokalu jakby się zwiększyła.

• Klara! - powiedziałem. Nie musiałem podnosić głosu, bo stara kobieta zbliżyła się właśnie, by odebrać od Franka płaszcz i kapelusz. - Podwójny gin z tonikiem dla mojego gościa.

• Gin firmy *Plymouth ze SchweppserrP*. - spytała Klara, która najwyraźniej wiedziała lepiej niż ja, co pija Frank. Odebrała od Franka jego płaszcz, kapelusz i zwinięty parasol.

• Tak, *Plymouth* z tonikiem - potwierdził Frank. - Bez lodu. - Nie usiadł od razu na krześle, które mu podsunąłem, lecz stał obok stolika, skupiony, jakby nie mogąc sobie przypomnieć, co ma mi do powiedzenia. Potem z westchnieniem osunął się na powleczonej barwnym obiciem kanapkę. - Tak, załatwiałem pewną sprawę służbową. I to sprawę, z którą wolałbym nie mieć do czynienia. - Wyglądał na zmęczonego. Miał już sześćdziesiąt kilka lat. Być może nie jest to starość, ale namówiono go do zachowania stanowiska, kiedy on szykował się już do przejścia na emeryturę. Od tego momentu wyparowała z niego znaczna część energii.

Ale niewykluczone, że były to tylko moje urojenia, bo tego dnia wyglą

Franka niemal przywrócił mi wiarę w angielski system szkół prywatnych. Emanowała z niego solidność, rzetelność i dobre wychowanie. Miał falujące, siwiejące włosy, ale nie na tyle falujące, by wydawał się bawidamkiem, i nie na tyle siwe, by wyglądał jak ktoś, kto bawidamkiem być nie może. Nawet jego zmarszczki były zmarszczkami pogodnego człowieka, który spędza wiele czasu na powietrzu. Poza tym posiadał oczywiście lokaja, który prasował jego ubrania z Savile Row, czyścił jego ręcznie szyte buty i krochmalił w perfekcyjny sposób jego koszule z Jermyn Street.

- Czy słyszałeś o moim synu? - Spytał, szukając czegoś po kieszeniach.

Zadał to pytanie owym zdawkowym tonem, który w ustach pewnej klasy Anglików zarezerwowany jest dla kwestii o najwyższym znaczeniu.

- Nie - odparłem. - Co miałem o nim słyszeć? - Frank nigdy nie ukrywał nadziei, że jego syn trafi do służby dyplomatycznej. Z góry przygotował dla niego grunt. Więc kiedy chłopak po ukończeniu Cambridge oznajmił mu, że chce zdobyć licencję pilota cywilnego, Frank nie potraktował tego zbyt poważnie. Dopiero po kilku latach, kiedy młody człowiek latał już regularnie na liniach pasażerskich, Frank niechętnie przyjął do wiadomości, że jego syn zamierza żyć po swojemu.

- Został odrzucony po badaniach lekarskich.

- Frank, bardzo mi przykro.

- Tak, dla pilota linii pasażerskich jest to wyrok śmierci. Tak właśnie powiedział mi przez telefon: „To wyrok śmierci, tato”. Aż do tej chwili nie rozumiałem chyba, ile dla niego znaczy to cholerne latanie. - Frank nerwowo oblizwał wargi; wiedziałem, że jestem pierwszym człowiekiem, przed którym ujawnia swe prawdziwe uczucia. - Latanie. To musi być nudne. Stale to samo. - Była to, oczywiście, właśnie ta pełna wyższości postawa, która tak oburzała jego syna i która wzniosła między nimi nieprzekraczalną barierę. - Nie jest to chyba posada dla człowieka z dyplomem dobrej uczelni. - Spojrzał na mnie badawczo i w tym momencie uświadomił sobie, że ja nie mam żadnego dyplomu.

- Co będzie robił? - spytałem pospiesznie, by zatrzeć jego zażenowanie.

- Nadal żyje w stanie szoku - odparł Frank i uśmiechnął się lekko, próbując ukryć przygnębienie, jakim napawał go nagły koniec kariery syna.

- Da sobie radę - powiedziałem i zacząłem improwizować: - Znajdą dla niego jakąś posadę na ziemi. Skończy jako członek rady nadzorczej. - Wiedziałem, że nudna praca administracyjna to coś, co Frank gotów byłby w pełni zaakceptować.

- Jest ich tak wielu. Zbyt wielu bezrobotnych pilotów, którzy umieją tylko prowadzić powietrzne autokary. Poza tym on nie nadaje się do pracy za biurkiem i ty dobrze o tym wiesz, Bernard. - Nadal z roztargnieniem przeszukiwał kieszenie; w końcu wyjął irchowy kapciuch na tytoń. Z górnej kieszeni marynarki wyciągnął swą wiśniową fajkę i dmuchnął w nią na próbę, a potem otworzył kapciuch.

- Nie jestem pewien, czy nadal wolno tutaj palić, Frank - powiedziałem.
- Nonsens - odparł. Usiadł i zaczął napełniać cybuch fajki, upychając tytoń kciukiem.

Nadeszła Klara, niosąc jego gin z tonikiem. Stawiając go przed nim na stole, zauważyła fajkę i powiedziała:

- *Hier darf nicht geraucht werden, Hen Harrington.*
- Bzdury! - odparł Frank.

Klara, ignorując jego zabójczy uśmiech, pogroziła mu palcem i dodała:

- *Die Pfeife! Die Pfeife ist strenglich verboten!*

Frank, nadal się uśmiechając, zbył jej uwagę milczeniem. Klara spojrzała na mnie i zrobiła bezradną minę, jakby pytała mnie, co zrobiłaby w tej sytuacji Lisi. Potem wzruszyła ramionami i odmaszerowała. Nie sądzę, by Klarze szczególnie zależało na tym, żeby goście nie palili w jadalni; wykonywała po prostu swe wyznaczone przez Lisi obowiązki. To jej wystarczało.

Być może jednak jej ostrzeżenie odniosło jakiś skutek, bo Frank bawił się nadal fajką, ale nie zapalał jej. Początkowo myślałem, że jest całkowicie zaprzątnięty konsekwencjami odrzucenia syna przez komisję lekarską, ale myślał o czymś innym.

- Przynoszę ci dobre wieści, Bernardzie - powiedział.
- O co chodzi?
- Jesteś wolny. - Być może na mojej twarzy nie odbiła się taka radość, jakiej oczekiwał, bo dodał: - Możesz jechać do Anglii. Wycofano wszystkie zarzuty. Nie będziesz musiał stawać przed Radą ani nawet przed trybunałem.

- Rozumiem.
- Chyba nie zrozumiałeś, co ci powiedziałem, Bernardzie. Wszystkie zarzuty przeciwko tobie zostaną wycofane.

- Powiedziałeś, że zostały wycofane.
- Jesteś dziś w podejrzliwym nastroju.
- Być może. Ale jak jest naprawdę?

Frank zakaszłał. Czy był to objaw zdenerwowania, jak twierdzili specjaliści od przesłuchań, czy też skutek palenia tej cholernej fajki?

- Pozostaje jeszcze kilka formalności. Nic więcej, zapewniam cię.
- No więc jak? Czy Londyn przysłał cię po to, byś przyłożył mi pistolet do głowy? - Wyjrzałem przez okno. Błękit nieba był przelotny i zdradliwy. Teraz było ono zachmurzone, co zapowiadało śnieg albo - jeśli termometr pójdzie w górę - deszcz.

- Daj spokój, Bernard. Nie chodzi o nic w tym rodzaju.
- Jakie formalności?
- No cóż - powiedział, stukając fajką o stół - nie chcielibyśmy, żebyś sprzedał swoje pamiętniki którejs z niedzielnych gazet. - Uśmiechnął się, jakby to ograniczenie miało mnie uchronić od czegoś tak absurdalnego, jak skok z parasolem w rękę ze szczytu wieży. - Nie chcemy też, żebyś wytoczył sprawę w Sądzie Najwyższym. - Jeszcze jeden szeroki uśmiech.

- Chwileczkę, Frank. Sprawę w Sądzie Najwyższym? Przecież nie mogę tego zrobić, jeśli nadal będę pracownikiem Departamentu. - Spojrzałem na niego badawczo, ale on nie zmienił wyrazu twarzy. - Czy ten nakaz aresztowania był jakimś dziwnym chwytem, mającym na celu pozbycie się mnie? Czy oni chcieli, żebym uciekł? Czy ktoś miał cień nadziei, że zwieję na Wschód?

- Broń Boże! - Gwałtowny podmuch powietrza uderzył w okna, jak jakiś demon, usiłujący dostać się do wnętrza. Mimo podwójnych szyb nadal słyszeliśmy jednostajne zawrodozenie wiatru.

- Z punktu widzenia Departamentu taki krok uprościłby całą sprawę, prawda? Gdybym czmychnął na Wschód, można by przykleić mi etykietę uciekiniera... Ich reputacji zaszkodziłoby to trochę mniej, niż postawienie mnie przed angielskim sądem lub nawet przed sądem wojskowym w Berlinie.

- Bernard, proszę cię. Oni tylko proszą o podpisanie dodatkowej ugody, określającej takie rzeczy, jak zachowanie dyskrecji, warunki kontraktu, tajemnice państwowe, i tak dalej. Formalności - tak jak ci mówiłem.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że jestem zwolniony? Czy to jest „ostateczne rozwiązanie” problemu Samsona? Czy mam być mocno zakneblowany i wyrzucony na bruk?

- Nie gorączkuj się, Bernardzie.

- Więc odpowiedz mi, Frank. Powiedz mi całą prawdę.
- Chcą, żebyś złożył rezygnację... Proponują, żebyś wyznaczył roczny okres wypowiedzenia. Przez ten rok będziesz normalnie pracował.

- Dodatek rozłąkowy? Prawa do emerytury?
- Do uzgodnienia.
- Och, widzę w tym rękę Morgana. Będę pracował przez rok, oddelegowany do jakiejś podrzędnej roboty, pozbawiony dostępu do jakichkolwiek tajnych materiałów. Jeśli będę się dobrze sprawował, trzymał gębę na kłódkę, i podpiszę setkę dokumentów, mających zagwarantować, że nie wolno mi powiedzieć słowa do kogokolwiek pod rygorem poważnych konsekwencji, pozwolą mi zejść na palcach ze sceny i pobierać emeryturę. Ale jeśli będę rozrabiał w ciągu tych dwunastu miesięcy, zostanę wyrzucony bez przysłowiowego pensa.

- W takich sprawach zawsze istnieją dwie strony.
- Ale czy mam rację?
- Z pewnego punktu widzenia, owszem. Ale mam nadzieję, że dostrzeżesz również pewne plusy. Masz okazję wywikłania się z nieznośnej sytuacji.

- Moja odpowiedź brzmi: nie - powiedziałem.
- Poczekaj chwilę, Bernardzie.
- Nie popełniłem żadnej nieuczciwości. Oni o tym wiedzą. Jezu! Kiedy Fiona uciekła, przeszedłem weryfikację przeprowadzoną przez komisje Ministerstwa Obrony i Urząd Rady Ministrów. Ogłosili, że jestem czysty i nadal jestem czysty. Dlatego zrezygnowali z obłądnego zamiaru aresztowania mnie. Prawnicy powiedzieli im, że nie mogą mi wytoczyć żadnej sprawy. Nawet tu, w okupowanym Berlinie, gdzie mogą w praktyce ustanawiać własne prawa. Gdyby aresztowali mnie w Anglii, trafiłoby to na pierwsze strony gazet i Departament wyglądałby teraz jak banda durniów.

- Tak... to prawda - przyznał Frank z niewyraźnym westchnieniem. - O ile wiem, zastępca Dyrektora Generalnego rozmawiał o tobie i o tym nakazie aresztowania z przedstawicielem urzędu Prokuratora Generalnego.

- I wyszedł z tej rozmowy z dupą na temblaku.
- Nie wiem, co zostało powiedziane. - Opuścił wzrok i poświęcił całą swą uwagę kapciuchowi na tytoń. Pełniąc stanowisko szefa Berlińskiej Jednostki Operacyjnej, często popadał w konflikty z londyńską Centralą. Nie potrafił do końca

ukryć satysfakcji, jaką sprawiała mu świadomość, że Londyn pokpił całą sprawę. Musiał być szczególnie zadowolony, że poprosili właśnie jego o wyciągnięcie za nich kasztanów z ognia.

- Nie złożę rezygnacji - oświadczyłem. - Mogę przepracować ten rok, tak jak proponują, ale tylko pod warunkiem, że zatrzymam dotychczasowe stanowisko. Jeśli po upływie dwunastu miesięcy Departament nadal domagać się będzie mojej głowy, porozmawiamy o rekompensacie.

- Nie widzę żadnej różnicy, Bernardzie.

- Naprawdę, Frank? Różnica polega na tym, że składając teraz rezygnację przyznałbym się w praktyce do popełnienia jakiegoś przestępstwa; do tego, że sprzedawałem sekrety jakiemuś obcemu mocarstwu albo wynosiłem z biura służbowe ołówki. Natomiast ich zgoda na zatrudnienie mnie przez następny rok, na dotychczasowych warunkach, będzie równoznaczna z milczącym przyznaniem, że zostałem oskarżony niesłusznie.

- Nie będą zadowoleni z takiej odpowiedzi - powiedział Frank. - Zależy im na tym, żeby załatwić wszystko jak najszybciej. - Wiatr powiał znowu, tym razem silniej. Zapowiadał rychły deszcz.

- Wiem, że im na tym zależy. No dobrze, możemy załatwić wszystko szybko, jeśli o to im tylko chodzi. Przekażę moją historię faxem do redakcji *New York Timesa*.

Frank nie zareagował od razu. Potem potarł dłonią twarz i powiedział:

- Nie rób takich żartów. Drzę na myśl o tym, jakie szkody ponieśliśmy wszyscy, gdybyś zrobił coś niemądrego.

- Okay, Frank. Przeszanę żartować w ten sposób, ale powiedz Londynowi, że muszą się zgodzić na moją propozycję albo cała umowa nie dojdzie do skutku.

- Nie znam nikogo, kto miałby takie rozeznanie - i taki instynkt - w zakresie wszystkiego, co się tutaj dzieje, jak ty, Bernardzie - powiedział dobitnym głosem Frank. - Byłeś przez dłuższy czas agentem operacyjnym, a potem pracowałeś w Sekcji Niemieckiej w Londynie, czyli jesteś postacią kluczową, a zatem najbardziej kuszącym celem. Poznawałeś metody pracy Departamentu jeszcze jako dziecko, siedząc na kolanach swego ojca. Chyba rozumiesz, dlaczego tak się denerwują.

- Tak, Frank. Więc powiedz Londynowi, że zrobimy to na mój sposób albo cała sprawa upada.

- Oni nie lubią grózb, Bernardzie.
- To zabrzmiało nieprzyjemnie.
- Doprawdy? Przepraszam cię bardzo, wcale nie to próbowałem wyrazić.

Próbowałem cię przekonać, że twoja postawa jest błędna. Oni składają tę ofertę w dobrej wierze. Czy musisz odrzucać im ją prosto w twarz?

- Nie złożę rezygnacji.
- Wróć do Londynu. Ja wszystko załatwię. Idź do biura i normalnie pracuj.

Zostawmy sprawę rezygnacji w zawieszeniu, dopóki nie porozmawiam ze starym.

- Pozostaje jeszcze kwestia Fiony - powiedziałem.
- Nie wolno nam rozmawiać o twojej żonie.
- Muszę wiedzieć, czy Fiona uciekła, czy przeszła na drugą stronę, ale nadal

pracuje dla Departamentu.

Frank patrzył wprost na mnie. Jego kamienna twarz była absolutnie pozbawiona wyrazu.

- No dobrze - powiedziałem. - Rozumiem, że oficjalnie nie możesz udzielić mi tej informacji. Ale chodzi o moją żonę. Muszę to wiedzieć.

Czekałem, aż sformułuje odpowiedź, która będzie zgodna z jego poczuciem przyzwoitości, ale on nadal milczał.

- Fiona została tam wysłana, prawda? Nadal pracuje dla nas? - Twarz Franka była tą samą twarzą, którą znałem od dzieciństwa, ale bezlitosne spojrzenie jego oczu ujawniało taką stronę jego natury, w której istnienie dotąd nie wierzyłem. Jego twarda i nieustępliwa reakcja na moje pytanie bynajmniej nie wzbudziła we mnie nienawiści; wręcz przeciwnie - teraz jeszcze bardziej chciałem zapewnić sobie jego pomoc i współpracę. To właśnie było na przestrzeni wielu lat źródłem sukcesów Franka; odkryłem ten fakt dopiero teraz. – Zgadza się? - Zdawało mi się, że w jego oczach dostrzegam potwierdzenie. Byłem pewien, że Frank nie utrzymywałby mnie w przekonaniu o niewinności Fiony, gdyby była ona w istocie zażartym wrogiem.

Po przedłużającej się w nieskończoność chwili Frank powiedział:

- Zabraniam ci rozmawiać o Fionie ze mną czy z kimkolwiek innym.

Powiedziałem ci, że zrobię, co będę mógł, by dowiedzieć się tego, o co ci chodzi.

Tymczasem musisz zachować całkowite milczenie. Przestań o niej myśleć.

- Okay.
- Mówię poważnie.

- Powiedziałem, że się zgadzam.

Frank odprężył się nieco.

- Rozumiem, że chcesz pojechać do Londynu możliwie jak najszybciej? - spytał. Kiwnąłem głową. - Musisz mieć do załatwienia mnóstwo spraw.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem wyciągnął z kieszeni białą kopertę i położył ją przede mną na stole.

Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się. Wymanewrował mnie, a w dodatku był tak pewien powodzenia, że przywiózł ze sobą bilet lotniczy.

- Szach i mat w trzech ruchach, co, Frank? - Uśmiechałem się nadal, usiłując nie okazać rozgoryczenia.

- Myślałem, że będziesz chciał zobaczyć się z Glorią i z dziećmi możliwie jak najszybciej. - Dotknął biletu i przesunął go o kilka milimetrów w moim kierunku. - Zobacysz się z nimi jeszcze dziś wieczorem. Jutro idź do biura i pracuj jak zwykle. Zadzwoń do ciebie na numer domowy i powiem ci, co się dzieje. - Wyraźnie starał się wyeliminować ze swego głosu wszelkie objawy zadowolenia. Z jego tonu i sposobu bycia można by wnosić, że obaj zostaliśmy dotknięci tym samym nieszczęściem.

- Dzięki, Frank - powiedziałem, biorąc ze stołu bilet. - Co się dziś stało z naszym kolegą Teacherem?

- Nie pożałujesz tego, Bernardzie. Daję ci dobrą radę, taką jaką dałby ci twój ojciec. - Zrobił pauzę i odetchnął głęboko, wyraźnie zadowolony z okazji do zmiany tematu. - Teacher. Tak. Drobne kłopoty. - Wziął ze stołu fajkę i przytknął ją do warg. - Jego żona dała nogę. Bardzo miła dziewczyna. Niezwykle inteligentna. Clementine - bardzo piękna, ma znakomitą figurę. Poznałeś ją?

Kiwnąłem głową. Frank miał dobre oko do atrakcyjnych, młodych i zgrabnych kobiet. Myśląc o niej spoglądał marzycielsko w przestrzeń.

- Uciekła z jakimś błyskotliwym amerykańskim producentem filmowym. Poznała go przed dziesięcioma dniami. Kobiety są tak impulsywne, nie uważasz? Co może sprowokować młodą żonę do takiego zdecydowanego kroku? - Wiatr uspokoił się już. Niebo pociemniało. Wiedziałem, że lada chwila zacznie padać.

- Biedny stary Teacher - powiedziałem. - Wyglądał na bardzo zakochanego. - Teraz zrozumiałem, dlaczego piękna Clemmie była tak podniecona w niedzielę, kiedy byłem u nich na lunchu. Choć

nazwała mnie wyrzutkiem, podejrzewała zapewne, że Departament dowiedział się o jej planach i wysłał mnie na przeszpiegi.

- Ten cholerny Amerykanin wziął ją na festiwal filmowy do Warszawy. Do Warszawy! Możesz sobie wyobrazić, jak rozdzwoniły się wszystkie sygnały alarmowe! Londyn zareagował przesadnie; telex rozgrzał się do czerwoności! „Zróbcie to, nie róbcie tego, zignorujcie poprzednią instrukcję, podajcie obecne miejsce pobytu”. Wiesz, jak to jest. Na szczęście pani Teacher zdała sobie chyba sprawę, ile przysparza nam kłopotów. Zadzwoiła do mnie ze swego hotelu w Warszawie i wyjaśniła, starannie dobierając słów, że jest to tylko konflikt rodzinny. Powiedziała, że jest po raz pierwszy w życiu zakochana. Ilustrowała to wyznanie głębokimi westchnieniami, i tak dalej. Że nigdy nie wróci do męża. Mają teraz lecieć na festiwal filmowy do Japonii, a stamtąd do Ameryki. Chce mieszkać w Beverly Hills. Powiedziała, żebym się o nic nie martwił. - Frank dmuchnął w swą fajkę i uśmiechnął się do mnie z troską. - Wobec tego nie martwię się.

A więc o tym rozmawiali z takim podnieceniem Księżna i jej towarzystwo. Ich konwersacja dotyczyła państwa Teacher, a nie Fiony i mnie.

- A co na to Londyn?
- Londyn ma na etatach sporo zawodowych katastrofistów. Ale przecież nasi ludzie nie mogą zamykać swoich żon w szafach wychodząc do pracy, prawda? - Zaczął ubijać tytoń w fajce. - W pewnym stopniu żałuję, że jest to niemożliwe.

Rozległ się delikatny szum uderzającego o szyby deszczu. Z początku były to duże krople, spadające w równomiernych odstępach; wkrótce jednak zaczęła się ulewa, która tworzyła strumienie na ulicach, zginała drzewa i radykalnie zmieniła wygląd oglądanego przez okna świata.

6

Nie jestem obsesyjnie nieufny. To znaczy nie jestem obsesyjnie nieufny wobec wszystkich otaczających mnie ludzi. Tylko wobec niektórych spośród nich. Kiedy następnego ranka wszedłem do biura, wszystko wydawało się normalne; zbyt normalne. Kiedy napatrzyłem się już na własne biurko, zostałem wezwany na górę. Dicky Cruyer, szef Sekcji Niemieckiej i mój bezpośredni przełożony, był w osobliwym nastroju, który mógłbym nazwać niemal pogodnym.

- Dzień dobry, Bernardzie! - powiedział z uśmiechem. Był chudy i kościsty;

miał bladą cerę i wymyślną kędzierzawą fryzurę, którą - jak podejrzewałem - regularnie utrwał za pomocą on dulacji.

Podczas kilku tygodni spędzonych w berlińskich slumsach pogodziłem się z myślą, że nigdy już nie ujrzę tego gabinetu. W gruncie rzeczy pogodziłem się z myślą, że nigdy już nie ujrzę Anglii. Rozglądałem się więc teraz po gabinecie Cruyera w taki sposób, jakbym widział go po raz pierwszy. Z podziwem spojrzałem na przepiękny stół z drzewa różanego, który zastępował Dicky'emu biurko, i na ścianę obwieszoną fotografiami, w większości przedstawiającymi Dicky'ego. Obejrzałem wyłożone miękką skórą antyczne krzesło z podnóżkiem oraz nieco wyliniałą lwią skórę, którą - jak zauważyłem - położył w mniej widocznym miejscu. Patrzyłem na to wszystko z mieszaniną podziwu i zdumienia.

- Mam nadzieję, że jesteś dziś w nastroju sprzyjającym ciężkiej pracy - powiedział Dicky. - Teraz, kiedy twój urlop dobiegł końca, czeka cię mnóstwo roboty. - Pochylił się ku przodowi, opierając się łokciami o stół i składając dłonie. Nie miał na sobie marynarki, miał

natomiast jaskrawoczerwone szelki i muszkę w kwiecisty deseń. Zastępca Dyrektora Generalnego zgłosił zastrzeżenia wobec jego dzinsowo-skórzanych strojów, więc przychodził teraz do biura w garniturze, a niedawno nabyte krzykliwe krawaty i jaskrawe szelki były subtelnymi sygnałami, mającymi dowieść, że potrafi odstąpić od reguł obowiązujących w tej dziedzinie.

- Owszem, jestem - odparłem, podnosząc na niego wzrok. Uśmiechnął się. Czy naprawdę myślał, że byłem na urlopie? Nie potrafiłem nic odczytać z tego pogodnego, życzliwego uśmiechu. Ale sposób, w jaki zwierał i rozwierał dłonie, zdradzał denerwowanie się.

- Zastępca Szefa Wydziału Europejskiego zwołał naradę na dziesiątą trzydzieści. Masz na niej również być obecny. Weź ze sobą notatki.

- O co chodzi? - spytałem. Zastępca Szefa Wydziału Europejskiego, Augustus Stowe, był Australijczykiem. Dicky nie umiał ukryć swojej zazdrości wobec niego i mówiąc o nim używał zwykle tylko tytułu, akcentując go z sarkazmem, jakby chciał wyrazić opinię, że nie nadaje się on na zajmowane stanowisko. Tę postawę wobec Stowe'a, której towarzyszyły wypowiedziane szeptem wątpliwości co do jego kompetencji, zajmowali również niektórzy współpracownicy Dicky'ego. Stowe, uważany w dzieciństwie za młodego geniusza, wykładał po ukończeniu studiów logikę na uniwersytecie w Perth; niektórzy mówili o nim lekceważąco

„doktor Stowe”, jakby uważając, że człowiek z doktoratem jest zbyt oderwany od rzeczywistości, by pracować w Departamencie.

- Chodzi o wiele spraw - mgliście odpowiedział Dicky. Przyznawał w ten sposób, że nie ma zielonego pojęcia, jaki jest cel narady. Podejrzywałem, że Dicky trochę się boi Stowe'a, który gwałtownie reagował na wszelkie przejawy nieudolności, i że ich spotkania nie zawsze upływają w przyjaznej atmosferze. - Kawy?

- Owszem, proszę. - Być może Dicky był czasem nieudolny, ale nie przejawiał tej cechy ani w walce o zachowanie własnej pozycji, ani w sposobie zaopatrywania się w kawę. Kupował specjalny gatunek o nazwie *chagga* w nowo otwartym sklepie Higginsa na Duke Street. Wysyłał po nią zatrudnianych przez Departament kurierów na motocyklach. Ciekaw byłem, czy któregoś dnia ktoś zechce zbadać, jakie poufne meldunki znajdowały się w aromatycznych brązowych paczuszkach, przywożonych od Higginsa dwa lub trzy razy w tygodniu.

- Wspaniale! - powiedział Dicky, kiedy jego sekretarka wniosła na eleganckiej drewnianej tacy dymiący szklany dzbanek, porcelanowe filiżanki i dzbanuszek do mleka. W filiżankach była gorąca woda - Dicky twierdził, że ich podgrzewanie jest podstawowym warunkiem zachowania aromatu. Teraz wylał wodę i napełnił najpierw swoją filiżankę, po czym podniósł ją do ust, marszcząc brwi i przymykając oczy. - Jeszcze lepsza niż ta z poprzedniej dostawy - orzekł w końcu.

- Czy Stowe dybie na moją skórę? - spytałem.
- Wiem tylko tyle, że szuka kozła ofiarnego - odparł Dicky. Pijąc kawę wyglądał przez okno. Warunki klimatyczne, utrzymujące jeszcze Berlin w strefie zimowych temperatur, były w Londynie łagodniejsze; kolejne wyże przyniosły dość ciepła, by na drzewach pojawiły się pączki, a ulice skąpały się w zwodniczym, złotym porannym słońcu. Było to przedwczesne lato; w taki dzień można wyjść z domu bez płaszcza, a wrócić z zapaleniem płuc.

O dziesiątej trzydzięci wszedłem do gabinetu Zastępcy Szefa Wydziału Europejskiego. Pamiętałem ten pokój jeszcze z czasów, w których był umeblowany zgodnie z kosztownymi i nieco awangardowymi gustami Breta Rensselaera - pełen chromów, szkła, czarnej skóry i grubych dywanów. Teraz wszystko to zniknęło i zapanowała spartańska prostota. Nie przykryto nawet niczym podłogi. Jediną pamiątką z czasów Breta była szarozielona farba na ścianach. Miejsce znakomitego

obrazu Diirera zajął typowy, drukowany portret królowej. Stowe miał metalowe biurko, które byłoby bardziej na miejscu w hali maszynistek, a jego fotel, zaprojektowany w taki sposób, by był jak najbardziej niewygodny, przypominał mi krzesła stojące w Ministerstwie Pracy i mające zniechęcić interesantów do zbyt długiego przesiadywania w poczekalni.

Dicky Cruyer był już na miejscu. Ukrył swe jaskrawoczerwone szelki pod marynarką, co uznałem za dowód szacunku wobec szefa. Być może ich spotkanie wyznaczone było na wcześniejszą porę. Dicky lubił zaaranżować przed rozpoczęciem właściwej narady dyskretną pogawędkę z przełożonym. Siedział niewygodnie na metalowym krześle, które miało nierówne nogi i chwiało się przy każdym jego ruchu. Wszystkie trzy krzesła dla interesantów, stojące w tym gabinecie, miały ten sam defekt. Słyszałem, jak ktoś sugerował, że zastępca szefa kazał je specjalnie uszkodzić, ale nie mogłem uwierzyć, by Stowe musiał uciekać się do takich psychologicznych chwytów, nawet jeśli chciał, by jego goście nie czuli się w gabinecie zbyt pewnie.

Augustus Stowe miał kruczoczarne włosy. Ten sam kolor miały jego sumiaste wąsy, włosy wystające mu z uszu i z nosa, kępki zarostu na policzkach i gęste uwłosienie na rękach. Dziwne wrażenie sprawiała przy tym jego łysina. Starannie zaczesana fryzura i bokobrody podkreślały jedynie różowość jego lśniącej czaszki.

- Nic nam nie przyjdzie z tego, że będziemy tu siedzieć i drapać się po tyłku, Dicky. Ktoś będzie musiał tam pojechać - powiedział z australijską bezpośredniością, która nie zjednała mu wielu przyjaciół wśród współpracowników. - Może pojechałbyś sam? - Jego ton sugerował, że byłaby to ostatnia deska ratunku, po którą należałoby sięgnąć jedynie w ostateczności.

- Zostaw to mnie, Gus - powiedział Dicky.

Choć zgłaszanie tego typu obiekcji nie było w stylu Stowe'a, odniosłem wrażenie, że nie lubi, kiedy ktoś zdrabnia w ten sposób jego imię. Nie byłem pewien, czy Dicky tego nie wyczuwa, czy też jest to z jego strony celowa prowokacja.

- Nie - odparł Stowe. - Kiedy zostawiam jakąś sprawę tobie, wraca ona do mnie po sześciu tygodniach, tym razem jako bardzo pilna.

Dicky przytknął czubki palców do swych bezbarwnych warg, jakby opanowując pokusę zareagowania śmiechem na dobry żart szefa.

- Może pojechałby Bernard - zaproponował. - Dałby sobie radę.
- Dałby sobie radę! - mruknął niechętnie Stowe. - Oczywiście. To właśnie usiłuję ci powiedzieć. Dałby sobie z tym radę każdy dureń.

- Bernard zna Wiedeń - stwierdził Dicky.

Nie była to bynajmniej prawda, ale nie zaoponowałem, a Dicky wiedział, że tego nie zrobię. Podważanie opinii przełożonego w obecności jego szefa było w naszej firmie nie do pomyślenia.

- Czy to prawda, Bernardzie? - spytał Stowe. Wokół jego głowy latała z brzękiem duża mucha. Odpędził ją władczy gestem.

- Byłem tam z Harrym Limę - odparłem.

Stowe obdarzył mnie krótkim, lekceważącym uśmiechem.

- Wiedeń to tylko fragment całości - powiedział. Choć może nie rzucało się to w oczy komuś, kto widział go po raz pierwszy, nie był człowiekiem, którego można by łatwo oszukać. Miał na sobie szary, trzyczęściowy garnitur z dość osobliwie utkanego materiału, nieforemny krawat z dzianiny i wysokie buty, zapinane z boku na zamki błyskawiczne. Wszystkie części jego garderoby wyglądały jak elementy teatralnych kostiumów, wyciągniętych z magazynu jakiejś dawno podupadłej trupy objazdowej. Nawet jego zegarek miał nietypowy, trapezoidalny kształt, a cyferki z ciekłego kryształu były tak wyblakłe, że aby sprawdzić, która godzina, musiał przytknąć tarczę niemal do oczu.

Chcąc odczytać godzinę, zdjął z nosa okulary w grubej, szylkretowej oprawce. Te modne okulary nie pasowały do jego postaci. Można by się spodziewać, że będzie nosił małe, okrągłe szkła w metalowej ramce, pogięte, a może nawet sklezione różowym plastrem opatrunkowym. Te okulary były drogie i modne, a on, zerknąwszy na zegarek, umieścił je z powrotem na nosie.

- Poza tym Bernard dobrze zna rosyjski - dodał Dicky.

- Oni wszyscy będą mówić po angielsku - odparł Stowe, znów zerkając na zegarek.

- Ale nie między sobą - zaoponował Dicky. - Bernard będzie w stanie zrozumieć, o czym rozmawiają między sobą.

- Aha... - mruknął Stowe. - Która godzina? - Manipulował pokrętem zegarka, chcąc ustawić dokładny czas.

- Dziesiąta pięćdziesiąt dwie - odparł Dicky.

- Nie jesteś upoważniony do zgadzania się na żadne ustępstwa - Stowe zwrócił się do mnie i zaczął mówić poważnym tonem. - Wysłuchaj tego, co ci dranie mają do powiedzenia. Jeśli uznasz, że jest to zawracanie głowy, poinformuj nas o tym

po powrocie. Ale nie wolno ci zawierać żadnych porozumień. I masz niezwłocznie wracać. Żadnych turystycznych rejsów po modrym Dunaju, żadnego popijania wina w *heuriger* na Grinzingu. Zgoda? - Nawet Stowe nie mógł się oprzeć pokusie poinformowania nas, że tam był.

- Oczywiście - powiedział Dicky. Mucha latała teraz wokół niego. Udał, że jej nie zauważa, a ona odleciała.

- I jeszcze jedna sprawa; nie chcę, żeby był w to wmieszany którykolwiek z naszych cholernych jankeskich przyjaciół - powiedział Stowe, otwierając teczkę z aktami i kartkując jej zawartość. Dicky spojrział na mnie z przelotnym uśmiechem. Zauważyłem, że nie tyle boi się Stowe'a, ile nie potrafi się w jego towarzystwie zachować. Nie wie, czy odpowiadać mu tą samą barową gwarą, czy też trzymać go na dystans, okazując szacunek i demonstrując dobre maniery.

- Jak mogliby się w to wmieszać? - spytał Dicky.

Stowe wydawał się pogrążony w aktach. Mucha usiadła na jednej ze stron i bezczelnie spacerowała po jej nagłówku.

- Dowiedzą się, że jeden z naszych ludzi przyjechał do Wiednia.

Dowiedzą się o tym natychmiast. - Z zadziwiającą szybkością wysunął rękę. Jego palce zacisnęły się wokół muchy, ale kiedy otworzył dłoń, nie było jej.

- Tak uważasz, Gus? - spytał Dicky.

- Jestem o tym przekonany - odparł Stowe z przebiegłym uśmiechem. -

Współpracowałem z jankesami w Korei. W głównym sztabie armii. Wiem, jacy oni są. - Wytarł dłoń o nogawkę spodni, jakby były na niej szczątki muchy. Być może swędziała go.

- A więc jacy oni są? - spytał Dicky, lojalnie dając mu okazję do rozwinięcia tematu.

Stowe spojrział na niego przeciągle i zaczął mówić pogardliwym tonem doświadczonego wykładowcy:

- Przeciętny Amerykanin, w wyniku okoliczności, które kształtowały historię tego kraju, jest ciekawy z natury, a wychowanie i wykształcenie wyrabiają w nim pomysłowość i empiryczny stosunek do świata. Mówiąc inaczej, jankesi są wścibskimi i natrętnymi draniami. Trzymaj się od nich z daleka. - Raz jeszcze bez powodzenia spróbował złapać muchę, a kiedy uciekła, gniewnie machnął w jej

kierunku ręką. - I nie chcę, żeby któryś z waszych rozrzutnych facetów pojawił się w wiedeńskim „Hiltonie” w ciemnych okularach na nosie, pytając recepcjonistę, czy mają nocny sejf i telex. Rozumiesz mnie?

Dicky, który znany był ze skłonności do życia na wysokiej stopie za służbowe pieniądze i który zamieszkałby chyba w bardziej luksusowym hotelu „Imperial”, skinął potakująco głową.

Stowe musiał się domyślić z wyrazu mojej twarzy, że Dicky nie wprowadził mnie zbyt szczegółowo w temat naszej rozmowy. Szczerze mówiąc, Dicky nie powiedział mi nic.

- Odbędziesz jedno z tych nieoficjalnych spotkań z przedstawicielami drugiej strony - wyjaśnił mi Stowe. Widząc brak zrozumienia na mojej twarzy, dodał: - Mam na myśli Ruskich. Nie pytaj kto, jak czy gdzie, bo nie wolno mi tego ujawnić.

- Rozumiem, sir.

- Twierdzą, że to niezwykle pilna sprawa, więc możemy założyć, że chcą przeciwko czemuś zaprotestować. O ile znam metody działania tych drani, to posuną się też pewnie do gróźb. Zachowaj kamienną twarz i nie daj się wyprowadzić z równowagi.

- Czy nie jest to sprawa, którą należałoby zlecić któremuś z pracowników naszej Wiedeńskiej Jednostki Operacyjnej? - spytałem możliwie jak najbardziej obojętnym tonem. - Nie słyszałem, żeby któryś z nich dał się kiedykolwiek wyprowadzić z równowagi.

Stowe dotknął swej łysej czaszki tak delikatnie, jakby chciał przygłodzić włosy. Myślał pewnie, że mucha usiadła mu na głowie; ona jednak spacerowała teraz po biurku. Przez chwilę wyglądał jak człowiek, który zapomniał, o czym rozmawialiśmy, potem spojrzał na mnie z uwagą.

- Mówiłem ci już; musimy unikać Amerykanów. - Nie spuszczać ze mnie wzroku, dodał: - Wiedeń roi się od jankesów... To znaczy od ludzi CIA.

A więc nie chodziło mu o turystów czy sprzedawców encyklopedii.

- Dlaczego miałyby się tym interesować CIA? - spytałem. - Czy chcesz powiedzieć, że będziemy wysyłać do Wiednia naszego człowieka za każdym razem, kiedy Rosjanie poproszą o nieoficjalny kontakt?

Twarz Stowe'a z wolna rozjaśnił uśmiech. Nie był to uśmiech zbyt wesoły, ale bardzo przebiegły.

- Bardzo dobrze, Bernardzie! - powiedział, a w jego głosie po raz pierwszy

wyczułem aprobatę. - Bardzo dobrze! – Odwrócił głowę, by wymienić uśmiechy z Dickym. Dicky wykrzywił się również; jego grymas oznaczał, że nie ma pojęcia, o co chodzi. Łatwo rozpoznałem ten wyraz twarzy, ponieważ pojawiał się on na obliczu Dicky'ego bardzo często.

Rychło jednak przekonałem się, że Stowe tylko markował zadowolenie, a śmiech był jedynie reakcją na moje niestosowne - jego zdaniem - pytanie. Zaczął teraz mówić bardzo wolno i wyraźnie:

- Wiem, że interesuje się tą sprawą CIA, bo powiedział mi o tym mały ptaszek. A kiedy ktoś mi poleci, żeby tego rodzaju spotkania przebiegały w przyszłości bez zakłóceń, być może będę wysyłał do Wiednia za każdym razem naszego człowieka. I być może będziesz nim ty. Czy miałbyś na to ochotę, Bernardzie?

Nie odpowiedziałem mu. Dicky uśmiechnął się, by dowieść, że wie już, o czym mówi Stowe. Pragnąc okazać się przydatny, spytał:

- A więc myślisz, że wiedeńska placówka CIA będzie się próbowała w to wtrącić, Gus?
- Wiem cholernie dobrze, że będzie się chciała wtrącić - odparł Stowe. - Brody, szef ich wiedeńskiej placówki, jest moim starym rywalem. Wsadzi nam kij w szprychy, jeśli tylko damy mu cień szansy.
- A czy on wie o tym spotkaniu? - spytałem.
- Brody to twardy stary drań - oznajmił Stowe. - I bardzo domyślny. - Znow spojrzał na mnie uważnie i kiwnął głową.

Zastanawiałem się, czy chce mi przekazać w ten sposób jakieś specjalne ostrzeżenie.

- Która jest teraz godzina? - spytał Stowe, stukając w swój zegarek.

Dicky podał mu dokładny czas, zerknąwszy na swój skomplikowany czasomierz, wyposażony w przyrząd do odmierzania szybkości, wieczny kalendarz, uwzględniający lata przestępne i sięgający aż do roku 2100, oraz podobiznę księżycy, która zmieniała się w okresie pełni i nowiu. Stowe mruknął coś niechętnie i uderzył w swój stary zegarek dłonią, jakby chciał go ukarać za niesprawność w działaniu.

- Okay, Gus - oświadczył Dicky, podnosząc się z krzesła. - Przedłożę ci jakąś koncepcję jutro. - Widząc, że Stowe otwiera usta, by zaprotestować, dodał: - A może jeszcze dziś po południu.

- Na miłość boską, Dicky - powiedział Stowe. - Wiem, jak zazdrośnie chronisz swą małą domenę i wiem o tej przesadnie rozwiniętej *amour propre*, która rzutuje na wszystkie nasze związki z Sekcją Niemiecką. Ale jeśli myślisz, że nie wiem o tym, iż poszedłeś w zeszłym tygodniu do zastępcy Dyrektora Generalnego i zażądałeś sprowadzenia Bernarda jako jedyne go człowieka, któremu można powierzyć tę misję, to grubo się mylisz.

Dicky poczerwieniał z gniewu lub zażenowania, a może pod wpływem mieszaniny obu tych uczuć, które angielski gentleman powinien starannie ukrywać.

- Czy powiedział ci o tym Sir Percy? - wykrztusił z trudem.
- Powiedział mi o tym pewien mały szpieg - agresywnym tonem odparł Stowe. I dodał po chwili namysłu: - Owszem, właśnie on. Przecież musimy rozmawiać o czymś podczas narad; nie możemy w kółko rozpatrywać skarg, które składają na jego ręce wszyscy cholerni szefowie sekcji.

Dicky stał teraz za swoim krzesłem, trzymając się kurczowo jego poręczy, jak więzień zeznający przed sądem.

- Ja powiedziałem tylko... to znaczy potwierdziłem... Nie powiedziałem mu nic więcej, niż powiedziałem tobie... że...
- Że Bernard da sobie radę? No dobrze, zgoda. Ale dlaczego przychodzisz tu i udajesz, że nie załatwiłeś już wszystkiego za moimi plecami? - Mucha pojawiła się znowu; zatoczyła szeroki krąg, a potem zaczęła latać wokół czaszki Stowe'a.
- Zapewniam cię, że nie ja wpadłem na pomysł wykorzystania Bernarda - powiedział z irytacją Dicky. Stowe uśmiechnął się pośpiesznie.

A więc o to chodziło. Narada została zwołana specjalnie po to, by można na niej odegrać wyreżyserowany uprzednio spór kompetencyjny w łonie Departamentu, i było już teraz jasne, że konflikt wcale nie dotyczy osoby, która ma jechać na nieoficjalne spotkanie z delegacją KGB. Stowe chciał po prostu brutalnie odeprzeć podjętą przez Dicky'ego próbę naruszenia podległego mu obszaru działania. Mój pech polegał na tym, że Stowe wybrał właśnie mnie na tępe narzędzie, którym postanowił zdzielić Dicky'ego w głowę.

Dicky, zgodnie z angielskim obyczajem, mówił tym ciszej, im bardziej był rozgniewany. Teraz, dobierając starannie słów, wdał się w zawile wyjaśnienia. Był tak urażony, że zastanawiałem się, czy przypadkiem nie mówi prawdy. Oznaczałoby to, że mój powrót zaaranżował sam zastępca Dyrektora Generalnego, który udawał,

że robi to na prośbę Dicky'ego, by nie ujawniać swej inicjatywy przed Stowe'em.

Postanowiłem wycofać się z tego sporu.

- Czy mogę wrócić do swego biurka? - spytałem. - Czekam na ważny telefon.

- Stowe machnął ręką w taki sposób, że mogło to oznaczać zgodę na moje odejście, ale mogło też wyrażać obiekcje wobec czegoś, co mówił Dicky. A może po prostu próbował odpędzić muchę.

Kiedy wychodziłem, obaj mówili równocześnie. Dicky powiedział:

- Posłuchaj, Gus, daję ci słowo, że Bernard w ogóle nie był brany pod uwagę...

- po czym usiadł znów na krześle, jakby zamierzał spędzić tam jeszcze sporo czasu.

Z westchnieniem ulgi wyszedłem na korytarz. Mucha wyleciała za mną.

Tego wieczora z radością wróciłem do mojego małego domku przy Balaklava Road. Dotychczas nie czułem wielkiego przywiązania do tego ciasnego i niefunkcjonalnego budynku na przedmieściu Londynu, ale po niewygodach bytowania w Berlinie wydawał mi się rajem. Mój niespodziewany powrót, który nastąpił poprzedniego wieczora, został uznany za nieoficjalny. Uroczyste powitanie miało się odbyć dziś.

Dzieci namalowały jaskrawymi farbami transparent z napisem „Witaj w Domu Tato” i powiesiły go nad kominkiem, w którym płonął prawdziwy ogień. Choć jestem w połowie berlińczykiem, widok

ognia w kominku zawsze budzi we mnie radość i jest subtelnym symbolem powrotu do kraju. Moja wspaniała Gloria przygotowała cudowny posiłek, godny najlepszej spośród lokalnych restauracji. Zamroziła też butelkę *Bollingera*, z którą usiadłem w naszym małym saloniku i na żądanie dzieci siedzących w kucki na dywanie zacząłem opowiadać o swych przygodach w Berlinie. Gloria powiedziała im tylko, że pojechałem tam służbowo. Wypiwszy na pusty żołądek dwa kieliszki szampana, wymyśliłem jakąś historyjkę o pogoni za złodziejskim gangiem, na tyle nieprawdopodobną, by wywołać kilka wybuchów śmiechu.

Byłem coraz bardziej zaskoczony dojrzałością moich dzieci. Rozmawiały i rozumowały jak ludzie dorośli - i tylko od czasu do czasu domagały się jakichś dziecięcych przyjemności. Chciały na przykład zagrać w jakąś prostą grę, zabawić się w poszukiwaczy skarbów lub zaśpiewać infantylną piosenkę. Byłem szczęśliwy, że mogę uczestniczyć w procesie ich dorastania. Nie mogłem pojąć Fiony, którą fałszywie rozumiany patriotyzm skłonił do opuszczenia ich. Czyżby uważała, że tradycyjna skala wartości obowiązuje tylko klasy średnie? Ja wychowywałem się

wśród dzieci z rodzin robotniczych, a w tym środowisku lojalność wobec rodziny uchodziła za sprawę najważniejszą. Fiona narzuciła mnie i dzieciom swój moralny światopogląd. Zmusiła nas do uczestniczenia w jej ofierze. Czyż nie miałem prawa czuć się boleśnie oszukany?

Rozległ się sygnał kuchennego zegara kontrolnego. Gloria poprowadziła nas do jadalni, w której stał elegancko zastawiony stół. Pojawiła się wspaniała kolacja.

- Czy możemy pozostać przy szampanie do końca posiłku? - spytała Gloria.

Podawała następną butelkę *Bollingera* i rizotto. Potem pieczonego homara. Po nim ser Brie z białym pieczywem. W końcu pieczone jabłka z miodem i rodzynkami oraz gęstym słodkim sosem. Był to idealny finał doskonałego posiłku. Sally jak zawsze wyjęła z deseru wszystkie rodzynki i ułożyła je na obrzeżu swego talerza. Billy policzył je, deklamując wyliczankę: „Biedak, bogacz, żebrak, złodziej...” i wyrzucił je, że wyjdzie za żebraka. Sally oświadczyła, że zawsze nienawidziła tego wierszyka, a Gloria - optymistka, feministka i matematyk - uznała go za absurdalny, jako że dawał kobiecie tylko jedną szansę na cztery możliwości znalezienia pożądanego partnera.

Zarówno Billy, jak i Sally żyli na obszarze ziemi niczyjej; pomiędzy dzieciństwem a dorosłością. Billy interesował się samochodami i kaligrafią. Sally została wybrana do odegrania roli Porcji w „Juliuszu Cezarze” i pokazała nam swą interpretację ulubionej przez siebie sceny. Jej pluszowy niedźwiadek zagrał w niej Brutusa.

Czy jest w układzie naszego małżeństwa Zawarowane, że nie będę mogła Znać twych tajemnic?

(Przekład Józefa Paszkowskiego)

Wszyscy uznaliśmy, że jeśli pominąć wróżbę dotyczącą małżeństwa, był to niezapomniany wieczór.

- Dzieci są już na tyle duże, że lubią takie rodzinne uroczystości - powiedziała Gloria, gdy położyliśmy je do łóżek. Stała przy kominku, patrząc na dogasające bierwiona.
- Nigdy nie zapomnę tego wieczoru - obiecałem. - Nigdy.
- Kocham cię, Bernardzie - oznajmiła takim tonem, jakby mówiła mi to po raz pierwszy. - A teraz, zanim usiądę, powiedz mi, czy chcesz drinka albo coś innego?
- Ja też cię kocham, Glorio. - Do tej pory zwalczałem pokusę ujawniania

uczuc, bo nadal odczuwałem poczucie winy związane z dzielącą nas różnicą wieku, ale mój pobyt z dala od domu zmienił sytuację. Teraz byłem szczęśliwy, że mogę jej powiedzieć, co czuję. - Jesteś cudowna - dodałem, biorąc ją za rękę i sadzając obok siebie na kanapie. - Jesteś dla nas wszystkich bardzo dobra. To ja powinienem pytać, co mogę zrobić dla ciebie.

Jej twarz była bardzo blisko mojej. Kładąc dłoń na moim policzku, wydawała się smutna, jakby dotykała posągu, cennego, ale martwego posągu. Spojrzała mi w oczy, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu.

- Chciałabym, żebyś czasem mówił mi, że mnie kochasz, zanim usłyszysz to ode mnie - powiedziała.

- Przepraszam, kochanie. Czy dzieci podziękowały ci za tę wspaniałą kolację?

- Tak. To urocze dzieci, Bernardzie.

- Jesteś dla nas bardzo dobra.

- Przyniosłam wszystkie potrawy ze sklepu Alfonsa - wyznała dziewczęcym głosem, który niekiedy żartobliwie naśladowała. - Z wyjątkiem pieczonych jabłek. Jabłka zrobiłam sama. I sos, którym były polane.

- Pieczone jabłka były najwspanialszym elementem powitania.

- Mam nadzieję, że najwspanialszy element powitania jest jeszcze przed nami - powiedziała przewrotnie.

- Zobaczymy - odparłem. Gloria zgasiła światło. Była pełnia księżyca i cały ogród, skąpany w okropnej niebieskawej poświacie, wyglądał jak ekran telewizora. Nienawidzę światła księżyca.

- O co chodzi?

- Cieszę się, że jestem już w domu - powiedziałem, patrząc na brzydki, mały ogródek. Podeszła do mnie od tyłu i objęła mnie czule.

- Nie wyjeżdżaj już nigdy - poprosiła. - Nigdy. Obiecujesz?

- Obiecuję. - Nie był to odpowiedni moment, żeby jej opowiadać o wycieczce do Wiednia, którą szykowali dla mnie Dicky i Stowe. Mogłaby pomyśleć, że się cieszę na ten wyjazd, a ja, prawdę mówiąc, odczuwałem przed nim irracjonalny lęk. Wiedeń nie jest i nigdy nie był wielkim miastem; jest to mała prowincjonalna dziura, której ograniczeni mieszkańcy chodzą do opery zamiast na świński targ, by wymieniać złośliwe plotki o bliźnich. Tak w każdym razie uważałem; może dlatego,

że nigdy nie sprzyjało mi tam szczęście.

7

Pamiętam, jak tłumaczyłem kiedyś młodemu praktykantowi nazwiskiem MacKenzie, że im bardziej zdawkowy jest przebieg odprawy, tym bardziej niebezpieczna okazuje się misja, którą ta odprawa poprzedza. Była to jedna z tych błyskotliwych uwag, jakie chętnie wygłasza się w obecności nowicjuszy, chłonących każde słowo starszego kolegi i pragnących robić wszystko tak, jak nauczono ich w szkole. Ale miałem dużo czasu, by przekonać się o słuszności tego spostrzeżenia. Kiedy myślałem później o okolicznościach, w jakich zostałem wciągnięty w operację wiedeńską, skłonny byłem przyznać, że Stowe nie miał wyboru; że otrzymał polecenie wysłania do Wiednia właśnie mnie.

Operacja nosiła kryptonim „Fledermaus”, nie „Operacja Fledermaus”, ponieważ nasi eksperci stwierdzili, że częstotliwość występowania słowa „operacja”, poprzedzającego zawsze kryptonim, może ułatwić komputerom strony przeciwnej złamanie naszego szyfru.

Operacja ta otoczona była na terenie Departamentu niezwykłą dyskrecją. Zawsze denerwowała mnie procedura zwana ONM - Odprawa Na Miejscu - nie stwarzająca mi żadnych możliwości przygotowania się do wykonania zadania. Tym razem Departament był zdecydowany zachować całą sprawę w tajemnicy przed Amerykanami, więc starał się ograniczyć dokumentację, utrzymać dyscyplinę w dziedzinie łączności i zapewnić subtelność działania, wykazując rzadko spotykaną konsekwencję, większą - można by powiedzieć - niż wtedy, kiedy chodziło jedynie o ukrycie czegoś przed KGB.

Poleciałem do Salzburga, ładnego miasteczka z klocków, nad którym górowała jedenastowieczna forteca, mieszcząca szeroko rozreklamowaną salę tortur. Wąskie uliczki miasta są przez dwanaście miesięcy w roku pełne turystów z plecakami; jest tam mnóstwo kiosków z kartkami pocztowymi, lodami i pamiątkami. Mój hotel - jak chyba wszystkie austriackie hotele - stał niedaleko domu, w którym mieszkał niegdyś Wolfgang Amadeusz Mozart, obdarzony widocznie niespokojną naturą podróżnika.

Termin mojego przyjazdu został zsynchronizowany z ważną aukcją filatelistyczną, toteż zjawiłem się w recepcji równocześnie z kilkunastoma

handlarzami znaczków, którzy przylecieli tym samym samolotem. Podczas wpisywania do książki hotelowej podawali najróżniejsze miejsca stałego zamieszkania, między innymi Chicago, Hamburg i Zurych. Na kontuarze stała kartonowa tablica reklamowa, przedstawiająca młodą Julie Andrews i opatrzona napisem: „Wycieczka śladami »Sound of Music« - Odwiedźcie miejsca, w których kręcono ten film!” Za kontuarem siedział szczupły stary recepcjonista w czarnym ubraniu i koszuli ze sztywnym kołnierzykiem. Posługiwał się piórem, które trzeba było maczać w kałamarzu, i osuszał każdy wpis bibułą.

Hotel był ponury, przestronny i wygodny. Był to jeden z tych staromodnych wielkich hoteli, których nadal sporo można znaleźć na terenie Austrii. W powietrzu wisiał delikatny zapach pasty do podłóg, dowodzący, że nadal froteruje się je ręcznie. Antyczna winda, pełna mosiężnych i mahoniowych ornamentów, sunęła w górę wydając trzaski, które skłoniły mnie do postanowienia, że będę odtąd korzystał ze schodów. Mieli tam nawet boya w czarnej kamizelce, który zaniósł do pokoju mój bagaż.

Austriak Otto Hoffmann, który powitał mnie na lotnisku, dopilnował, żeby dano mi dobry pokój.

- Od tyłu, z widokiem na rzekę - powiedział ze swym silnym austriackim akcentem. Kiedy otworzył okno, by upewnić się, że rzeka nadal jest na miejscu, uderzył w nas chłodny podmuch wiatru. - Żadnego warkotu samochodów, żadnych zapachów z kuchni, żadnego hałasu z hotelowej kawiarni - stwierdził. - Proszę dać portierowi dziesięć szylingów. - Zrobiłem to.

Hoffmann był niskim, nerwowym czterdziestolatkiem; miał wesołe małe oczka, zadarty nos i uśmiechnięte usta. Miał również wysokie czoło, rzadkie włosy, bladą, gładką cerę i okrągłą głowę, co w połączeniu z jego sposobem bycia upodobiło go do pijanego dziecka.

Nie wiem, ile mu powiedziano na temat akcji „Fledermaus”, ale w mojej obecności ani razu nie użył tego kryptonimu. Wiedział, że mam udawać handlarza znaczkami pocztowymi, choć kompletnie się na nich nie znam. Niewątpliwie został wybrany na mojego opiekuna ze względu na swą wiedzę z zakresu filatelistyki.

- A teraz zaproszę pana na drinka - powiedział, zamykając okno i dotykając grzejnika, by przekonać się, czy działa centralne ogrzewanie. Miał na myśli filiżankę słabej herbaty. Nosił w tylnej kieszeni gruby plik banknotów, owinięty gumowym paskiem, i miał denerwujący zwyczaj poklepywania się po siedzeniu, jakby chciał

sprawdzić, czy go nie okradziono. Zrobił to również teraz.

Udzielił mi niezbędnych instrukcji, gdy usiedliśmy w hotelowej kawiarni. Była to wielka sala z kopułą, na której namalowano niebo i igrające w nim anioły. Zwisiał z niej imponujący kryształowy żyrandol. Wśród ustawionych pod ścianami doniczkowych roślin stały nieduże stoliki z wyściełanymi krzesłami. Goście hotelowi, którzy nie chcieli lub nie mogli snuć się po zatłoczonych ulicach, pili w wysokich szklankach herbatę z cytryną, jedząc tłuste ciastka lub olbrzymie porcje lodów z owocami, które wyznaczają w Austrii rytm długich dni.

Hoffmann zamówił dwie herbaty i ciastko z rumem. Powiedział mi, że są one w tym hotelu doskonałe, ale ja próbowałem właśnie odzwyczaić się od jedzenia ciastek.

- Na aukcji sprzedawane będą niemal wyłącznie walory austriackie i niemieckie - powiedział. - Oczywiście, największym rynkiem na tego typu znaczki są Austria i Niemcy, ale będą tu również handlarze z Ameryki, podbijający ceny na tyle, na ile pozwoli im aktualny kurs dolara. Będą też pańscy rodacy z Londynu. Londyn jest ważnym centrum komercyjnej filatelistyki; mieszka tam zresztą nadal spora grupa poważnych kolekcjonerów niemieckich i austriackich. Przeważnie są to emigranci, którzy uciekli przed faszystami i pozostali w Anglii do tej pory.

Kelnerka bezzwłocznie przyniosła nasze zamówienie. Herbata nalana była do szklanek, umieszczonych w ozdobnych, posrebrzanych uchwytach, z których zwisały łyżeczki. Położyła na stole dwa spore plastry cytryny i hojnie polala jakimś alkoholem lśniący kawałek ciasta, udekorowany bitą śmietaną.

- Czy jest pan pewien...? - spytał ponownie Hoffmann. Potrząsnąłem przecząco głową. Kelnerka wypisała rachunek, zostawiła go na stole i odeszła.

- Ale co ja tu robię? - spytałem cicho.

Hoffmann zmarszczył brwi. Potem zrozumiał sens mego pytania i skrzywił się. Podał mi jeden z pięknie wydanych katalogów leżących przed nim na stole. Był gruby chyba na cal, miał kolorową okładkę, wspaniały papier oraz perfekcyjnie wydrukowane ilustracje i wyglądał raczej na ekskluzywny album z reprodukcjami dzieł sztuki, niż komercyjny katalog. Jego publikacja musiała kosztować majątek. Otworzył go, by pokazać mi reprodukcje znaczków i starych kopert, stukając palcem w strony, na których znajdowały się obiekty godne uwagi.

- Większość naprawdę dobrych okazów pochodzi z państw niemieckich. Głównie z Wirtembergii i Brunszwiku; jest też kilka rarytasów z Oldenburga,

Hanoweru, i tak dalej. Mamy tu również trochę całostek pocztowych z dawnych niemieckich kolonii: z Chin, Maroka, Nowej Gwinei, Togo, Samoa.

Przerzucając katalog *Hen Hoffmann* odbiegł od wątku swej wypowiedzi i utkwiał wzrok w jednej ze stron.

- Te koperty z Togo wydają się bardzo atrakcyjne - powiedział pełnym szacunku głosem i zaczął czytać opisy z takim napięciem, że aż drżały mu wargi. Oderwał się jednak od tych wspaniałych ofert i pokazał mi program aukcji, wydrukowany na wewnętrznej stronie okładki. Miała się ona rozpoczynać o ósmej rano i trwać mniej więcej do trzeciej po południu, z godziną przerwą na lunch. W programie wymieniono numery „Zestawów”, które miały być licytowane na poszczególnych sesjach. Zestawów było kilka tysięcy, a aukcja miała trwać pięć dni.

- Bogaci kolekcjonerzy - powiedział Hoffmann - zatrudniają czasem agentów, którzy przychodzą na aukcję i kupują w ich imieniu wybrane okazy, w zamian za spore honorarium. Pan będzie właśnie takim agentem.

- Dlaczego nie zgłaszają ofert za pośrednictwem poczty? - spytałem.

- Niektórzy zbieracze podejrzliwie odnoszą się do takich aukcji - odparł z lekkim uśmiechem. - Licytując za pośrednictwem poczty upoważnia pan prowadzącego aukcję do wydania pewnej sumy, określając jej górny pułap. Dom aukcyjny podejmuje z kolei zobowiązanie, mocą którego wolno mu obciążyć pana kwotą przekraczającą tylko o jeden szczebel najwyższą ofertę konkurentów. - Hoffmann wcisnął cytrynę do herbaty i wyłowił łyżeczką pestkę, a potem dotknął szklanki palcami i uznał, że jej zawartość jest jeszcze zbyt gorąca.

- No i co?

Znów uśmiechnął się przebiegle. Grymas ten przychodził mu z taką łatwością, że trudno było stwierdzić, czy naprawdę jest rozbawiony.

- Ilekroć licytuję za pośrednictwem poczty, zawsze wychodzi na to, że jakiś tajemniczy osobnik podbijał cenę aż do sumy niższej tylko o jeden szczebel od wyznaczonego przeze mnie limitu. Zawsze więc płacę maksymalną cenę. - Wziął ze stołu widelec i spojrzał na swe ciastko z taką uwagą, z jaką ekspert od wysadzania budynków zastanawia się, gdzie umieścić ładunki dynamitu.

- A więc kolekcjonerzy mają agentów, którzy sprawdzają, czy licytujący naprawdę podnoszą stawki do wyznaczonej granicy?

- No właśnie. Mimo to trudno jest wykluczyć oszustwo. Bywa tak, że jeden

z pracowników firmy aukcyjnej przyjmuje zgłoszenia przez telefon, a prowadzący licytację ma przed sobą wykaz ofert przysłanych za pośrednictwem poczty. Trudno stwierdzić dokładnie, co się dzieje. - Do tej pory uśmiechał się od czasu do czasu, ale teraz spoważniał i zabrał się do jedzenia ciastka. - Główny cukiernik jest wiedeńczykiem - wyznał mi, rozkoszując się smakiem.

- Na czym jeszcze polegają obowiązki agenta?
- Powinien obejrzeć zestawy, w których licytacji zamierza wziąć udział, by przekonać się, czy znaczki nie są uszkodzone, spreparowane lub sfalszowane.
- Czy trafia się wiele falsyfikatów okazów?
- Niektóre z licytowanych tu zestawów wycenione są na przeszło sto tysięcy dolarów. To poważna suma pieniędzy. Istnieje wielu ludzi, którzy wiedzą, że wpłacając sto tysięcy dolarów w formie pierwszej raty, mogą kupić niezły dom.
- Rozumiem, co chce pan mi powiedzieć, *Herr Hoffmann*. Ale czy domy aukcyjne nie zatrudniają ekspertów? Czy nie znajdują się oni na znaczkach na tyle, by stwierdzić fałszerstwo?
- Oczywiście, że tak. Ale domy aukcyjne pobierają procent od obrotu. Jaki mają interes, żeby ujawniać fałszerstwa? I co mogą w takim przypadku zrobić - zarzucić swemu klientowi nieuczciwość? Jeśli fałszywy okaz zostanie sprzedany, otrzymują sporą prowizję. Jeśli odeślą go właścicielowi, tracą klienta i prowizję, a zyskują wroga. - Urwał gwałtownie i zaczął znów jeść ciastko. Dwaj mężczyźni, którzy siedzieli w pobliżu, wstali od stolika i ruszyli w kierunku wyjścia. Sądząc z ich wyglądu i akcentu byli Amerykanami; byli schludnie ubrani, mieli gładkie twarze i lśniące buty.
- Z tego, co pan mówi, wynika, że filateliści to banda oszustów - powiedziałem.
- Mam nadzieję, że tak nie jest. Znam handlarzy, którym powierzyłbym własne życie. Ale to niebezpieczna branża - odparł Hoffmann i uśmiechnął się, jakby to właśnie wzbudzało jego zachwyty. Czuję, że perspektywa sprzedaży fałszywych okazów nie wstrząsnęła nim aż tak bardzo, jak można by oczekiwać. Zastanawiałem się, czy nie jest pośrednikiem w handlu fałszywymi okazami, wypuszczanymi od czasu do czasu na rynek przez nasz Departament. Być może odczytał moje myśli, bo znów przebiegle się uśmiechnął.
- Czy wszyscy ci ludzie to handlarze?

Rozejrzał się po ponurej sali. Kelnerki w czarnych sukniach i białych, wykrochmalonych fartuszkach bezszelestnie przesuwały się po marmurowej posadzce, roznosząc na tacach herbatę i ciastka. Mężczyźni, przeważnie starsi lub w średnim wieku, pochylali się nad stolikami, notując coś w katalogach, albo rozmawiali ściszym głosem, podobnie jak my.

- Znam większość spośród nich - odpowiedział.
- Sami mężczyźni?
- Owszem. Nie słyszałem o poważnym pośredniku płci żeńskiej. Nawet

wśród kolekcjonerów nie ma w praktyce kobiet. Kiedy kobieta odziedziczy kolekcję znaczków, niemal natychmiast ją sprzedaje; można na to liczyć. - Doszedł do wniosku że herbata wystygła już na tyle, by zacząć ją pić.

- Jak ustalają orientacyjną cenę? - spytałem, nadal przeglądając katalog.
- Niech pan nie traktuje tych cen zbyt poważnie - odparł. - Ich zadaniem jest

zaostrenie apetytu nabywców. Ceny orientacyjne są znacznie niższe niż sumy, jakie spodziewa się uzyskać firma aukcyjna.

- O ile niższe?
- Nie da się odpowiedzieć na tak sformułowane pytanie. Są różne domy

aukcyjne. Dochodzi do szaleńczych licytacji. Czasem zjawiają się na aukcji dwaj agenci, którym polecono licytować aż do zakupu.

- Co to znaczy?
- Że mają kupić dany okaz za każdą cenę.
- Za każdą cenę?

• Trudno opisać chęć posiadania - czy raczej ślepe pożądanie - I jakie objawiają zbieracze wobec okazów, na których im szczególnie zależy. Niektórzy tracą rozum; nie można tego inaczej nazwać. - Starannie wytarł palce serwetką, a potem wyjął z kieszeni mały portfel z przezroczystego plastiku. Wewnątrz znajdowała się sfatygowana, ofrankowana koperta (później dopiero dowiedziałem się, że jest to tak zwana całośćka). - Proszę spojrzeć na to.

Podał mi białą kopertę, ozdobioną licznymi znaczkami i stemplami. Była poplamiona i wyblakła, a poza tym dwukrotnie przeadresowana; wyglądała tak niechlujnie, że gdybym ją znalazł na swoim biurku, zapewne wrzuciłbym do kosza. Nie miałem pojęcia, ile jest warta, ale spojrzałem na nią z szacunkiem, jakiego najwyraźniej ode mnie oczekiwał.

- Bardzo interesujący okaz - przyznałem.
- Pewien człowiek poszedł przez nią do więzienia - oznajmił Hoffmann. -

Człowiek szanowany - główny prokurent firmy ubezpieczeniowej. Był moim klientem; miał niemal pięćdziesiąt lat, troje dzieci i posadę, która zapewniała mu emeryturę. Miał interesującą, choć niedużą kolekcję. Wiele okazów dostarczyłem mu sam. Znał się dobrze na swojej specjalności. Regularnie wygłaszał odczyty i wystawiał swoje znaczki w towarzystwach filatelistycznych. Potem dowiedział się o śmierci pewnego znanego zbieracza i o tym, że w jego kolekcji znajduje się ta koperta. Byłby to klejnot kompletujący jego własne zbiory. Poprosił mnie, żebym się dowiedział, kiedy trafi na rynek. Był zdesperowany. Szczęśliwym trafem wiedziałem to. Przypuszczałem, że wdowa zechce wszystko sprzedać; tak bywa zawsze. Ale nie można zbyt wcześnie okazać zainteresowania. To robi złe wrażenie na rodzinie zmarłego. Z drugiej strony, jeśli zwleka się zbyt długo, przychodzi jakiś inny handlarz i zgarnia cały zbiór... kupując go nieraz za bezcen, bo spadkobiercy nie wiedzą, co odziedziczyli. Mogę pana zapewnić, że niektórzy przedstawiciele tej branży są ludźmi pozbawionymi skrupułów.

- Zaczynam w to wierzyć.
- Czy nie smakuje panu herbata?
- Przeciwnie; jest doskonała.
- Ale nie pije jej pan.
- Zaraz się do tego zabiorę.
- Wdowa była kobietą zamożną. Nie zależało jej na kolekcji. Kiedy

zjawiłem się, by spytać, co zamierza z nią zrobić, postanowiła mianować mnie swoim agentem, który wyceni i sprzeda cały zbiór. Znalazłem się w trudnej sytuacji wobec tego drugiego kolekcjonera,

ale nie brałem go za poważnego nabywcę. Znaczący uważają, że na świecie są tylko cztery takie koperty... może pięć. Ostatnim razem, kiedy jedna z nich pojawiła się na aukcji, została sprzedana za pięćdziesiąt tysięcy dolarów - a było to przed niemal dziesięciu laty. Nawet gdyby ta nie osiągnęła wyższej ceny - i tak mój przyjaciel z towarzystwa ubezpieczeniowego po prostu nie dysponował takimi sumami.

- Pięćdziesiąt tysięcy? - powtórzyłem, patrząc na kopertę. - Czy to możliwe?
- Hoffmann kiwnął potakująco głową. Tym razem nie uśmiechnął się. Ci

filateliści byli naprawdę poważnymi ludźmi.

- W tegorocznym katalogu same znaczki wycenione zostały niemal na tyle... oczywiście, ceny katalogowe nie są wiążące, ale mam potencjalnego klienta w Monachium... Telefonował do mnie w tej sprawie już trzy razy. Zaczyna tracić głowę na myśl, że mógłby być jej właścicielem i błaga, żebym pozwolił mu ją obejrzeć... Ciekaw jestem, na ile oceni jej wartość. Wydaje na swoją kolekcję ogromne sumy.

- A pański przyjaciel z towarzystwa ubezpieczeniowego?
- Dureń! Okradł swoją firmę. Złożył fałszywe doniesienie o szkodzie i wystawił lewy czek, zresztą na własne nazwisko. Czy może pan w to uwierzyć? Przesłupstwo zostało natychmiast wykryte. Przyznał się do winy. Firma oświadczyła, że musi oddać sprawę do sądu. W przeciwnym razie zbyt wielu pracowników mogłoby próbować tej samej sztuczki. Oczywiście mają rację, a on dobrze o tym wie. Wczoraj byłem u niego na widzeniu.

- W więzieniu? - spytałem, zwracając mu kopertę.
- Tak, w Grazu. Wystąpiłem jako świadek obrony podczas procesu. Zeznałem, że jest uczciwy i ma dobry charakter, ale z aktu oskarżenia wynikało jasno, że jest złodziejem.

- Musiał być zadowolony, że pan go odwiedził.
- Zajmuję się również sprzedażą jego kolekcji. Jest kompletnie zrujnowany; adwokaci odebrali mu wszystkie pieniądze. Wyprzedaje cały majątek. - Hoffmann włożył kopertę do kieszeni.

- Czy nie jest pan zdenerwowany, nosząc przy sobie tak cenny okaz?
- Zdenerwowany? Nie.
- Jaki dostał wyrok?
- Mój klient? - spytał, z ustami pełnymi ciasta.
- Ten pracownik firmy ubezpieczeniowej.

Przelknął bez pośpiechu kęs ciastka i popił go herbatą.

- Pięć lat. Zaniósłem mu kolorową fotografię tej koperty. - Poklepał się po kieszeni. - Naczelnik więzienia pozwolił mu trzymać ją w celi. - Znow wypił łyk herbaty. - Dowcip polega na tym, że nie jestem pewien, czy nie jest sfalszowana. W takim wypadku nie miałyby żadnej wartości. - Z uśmiechem zerknął na talerz, jakby próbując opanować pokusę, ale po chwili wahania zjadł ostatni kawałek ciastka.

- Czy podejrzewał pan to od początku?

- Nie byłem pewien. - Wytarł usta serwetką.
- Ale podejrzewał pan to?
- Poddałem ją działaniu promieni ultrafioletowych. Trzeba wykorzystać

wszystkie możliwe metody. Potem pokazałem ją ekspertom. Nadal nie mam pewności, czy jest autentyczna, czy nie. Na pewno nie chce pan ciastka z kremem? Są tutaj doskonale; lekkie jak puch.

- Nie, dziękuję.
- To moja słabość - wyznał. Zjadł całe ciastko, ale pozostawił na brzegu talerza sporą porcję bitej śmietany. - A może strudel z jabłkami?
- Nie, dziękuję.
- Pójdzie pan na aukcję i weźmie udział w licytacji zestawu numer 584.

Odbędzie się ona rano, około dziesiątej, ale dla pewności proszę przyjść trochę wcześniej. - Spojrzałem na niego z uwagą. Zorientowałem się, że tak wygląda moja odprawa; Londyn przysłał mnie tu na zakupy. - Proszę zapłacić gotówką. Jest wyceniony na tysiąc szylingów. Zostawię panu trzy tysiące - to powinno wystarczyć. Potem zawiezie go pan do Wiednia i zatelefonuje do von Steigera. Chyba słyszał pan o baronie, prawda?

- Nie.

Hoffmann wydawał się zaskoczony.

- Nie spotka się pan z nim, ale otrzyma pan dalsze instrukcje. - Podał mi wizytówkę. Wydrukowano na niej tylko tytuł i nazwisko Steigera oraz adnotację: „Konsultant ds. inwestycji”. Pod spodem dopisał ktoś ołówkiem wiedeński adres. W Austrii nie wolno posługiwać się arystokratycznymi tytułami, ale Steiger, podobnie jak liczni inni jego rodacy, zdawał się tym nie przejmować.

Hoffmann wyjął z tylnej kieszeni spodni plik banknotów i odliczył wymienioną sumę. Podał mi drukowany formularz pokwitowania.

- Proszę to podpisać - powiedział.

- Więc nie będzie pan obecny podczas jutrzejszej aukcji? - spytałem, kwitując odbiór pieniędzy.
- Niestety, nie. Jadę dziś wieczorem do Monachium. - Z uśmiechem obejrzał mój podpis, jakby sprawdzając, czy jest czytelny, i schował pokwitowanie do portfela. - Niech pan trzyma w ręku kartę z numerem, upoważniającą do udziału w licytacji. Proszę usiąść z przodu, żeby prowadzący aukcję pana widział; żadna z

obecnych na sali osób nie zorientuje się wtedy, że to pan podbije cenę. Może pan odebrać swój zestaw w jakieś pięć minut po jego nabyciu. Płacąc gotówką nie będzie pan musiał dawać im karty kredytowej ani podawać nazwiska.

- Czy spotkamy się ponownie?
- Chyba nie. - Machnął w moim kierunku łyżeczką.
- Czy ma pan mi jeszcze coś do powiedzenia?
- Nie. Od tej chwili całą akcją kieruje baron Steiger. - Zgarnął widelcem

dużą porcję bitej śmietany i włożył ją do ust. Na jego twarzy pojawił się wyraz bezgranicznej błogości. - Nie wypił pan herbaty - zauważył.

- Istotnie.

Wstał i pożegnał się ze mną, głośno stukając obcasami. Siedziałem w kawiarni jeszcze przez chwilę, sącząc herbatę i rozglądając się po sali. Zorientowałem się, że zostawił mi do zapłacenia cały rachunek.

Wziąłem ze stołu katalog, pozostawiony przez Hoffmanna, i wyszedłem na taras, z którego rozciągał się widok na rzekę Salzach. Było chłodno, więc taras był zupełnie pusty, ale ja chciałem być przez chwilę sam.

Znalazłem zestaw numer 584. Był umieszczony w dziale: „Deutsches Reich Flugpost - Zeppelinbelege” i opisany językiem, jakim posługują się ludzie wynajmujący sezonowo pokoje na Costa Brava:

Zestaw 584. Sieger Katalog 62B. Brief. Bunttafel IV. OS 1,000 - 1930 Sudamerikafahrt, Paraguaypost. Schmuckbrief mit Flugpost-marken, enwertet mit violetter Paraguay-Zeppelin-Sonderstempel Por Zeppelin: dazu violetter Paraguay-Flugpoststempel 16. 5. Brief nach Deutschland, in dieser Erh. ungewohn, schöner und *extrem seltener Beleg, Spitzenbeleg fur den grossen Sammler.*

Domyśliłem się, że w roku 1930 koperta reprodukowana - w kolorze na rycinie 4 wyceniona była na tysiąc szylingów austriackich. Została ona wysłana z Paragwaju na pokładzie sterowca *Graf Zeppelin*, z zachowaniem wszystkich formalności wymaganych przez pocztę. Jako wielki unikat filatelistyczny mogła stać się klejnotem zbioru „poważnego kolekcjonera”.

Na kolorowej fotografii widniała dobrze zachowana bładoniebieska koperta, opatrzona wieloma różnymi znaczkami i stemplami, zaadresowana do jakiegoś zamieszkałego w Bremie *Hen Davisa*. Nie wyglądała na okaz, za który warto zapłacić tysiąc szylingów.

Siedziałem przy stoliku patrząc na rzekę i twierdzę Hohensalzburg, która

zasłaniała połowę miasta. W pewnym momencie przez szklane drzwi wyszedł na taras jakiś mężczyzna. Początkowo zdawał się nie dostrzegać mojej obecności. Podeszedł do metalowej balustrady i sprawdził, jak daleką drogę w dół musiałyby przebyć ktoś, kto spadłby z tarasu. Zauważyłem, że robi to większość ludzi.

Kiedy odwrócił się, by spojrzeć na widoczny za rzeką zamek, miałem okazję dokładniej mu się przyjrzeć. Był to jeden z Amerykanów, których widziałem już przedtem. Miał na sobie krótką myśliwską kurtkę z dużymi kieszeniami i pagonami. Spod modnej, lodenowej czapki wystawały krótko ostrzyżone, siwiejące włosy.

- Odwiedziłem wczoraj miejsce urodzin Mozarta - oświadczył bez żadnych wstępów. - I było to jedno z największych przeżyć mojego życia. - Mówił głosem prostego kowboja, co podważało nieco autentyczność deklarowanych emocji. - Getreidegasse, numer dziewięć; czy był pan tam kiedyś?

- Kiedyś... dawno temu - odparłem.

- Trzeba się wybrać bardzo wcześnie - mówił dalej. - Potem zbiera się tam tłum tych pryszczatych smarkaczy z plecakami, popijających coca-colę z puszek.

- Będę o tym pamiętał - obiecałem i otworzyłem katalog w nadziei, że skłoni go to do odejścia.

- Mozart urodził się na trzecim piętrze, ale schody są wąskie i niewygodne, więc wpuszczają zwiedzających tylko do muzeum, które mieści się na parterze. To trochę głupio, prawda?

- Chyba tak.

- Przepadam za Mozartem - wyznał. - *Così fan tutte* to muzyka najwyższej rangi. Oczywiście, krytycy chwalą operę *Don Giovanni*, a Konstancja, żona Mozarta, twierdziła, że sam mistrz

najwyżej stawiał *Idomeneo*; *Idomeneo* było jego pierwszym wielkim sukcesem. Po ogromnym powodzeniu tej opery w Monachium młody Wolfgang stał się gwiazdą. Ale *Così* to prawdziwa klasa. Trzeba docenić głębię psychologiczną, dramatyczną spójność i subtelność muzyczną. Tak, tak... a przy tym jest czarująca, od początku do końca. Słucham zawsze *Così* w samochodzie; znam każdą nutę, każde słowo. Moim zdaniem te dwie dziewczyny wcale nie dały się zwieść przebraniom. Bawiła je zamiana partnerów. To jest w istocie treścią tej opery: zamiana partnerów. Mozart nie mógł tego wyraźnie powiedzieć, bo nie chciał zbulwersować widzów. Ale niech pan się nad tym kiedyś zastanowi.

- Zrobię to - obiecałem.

• Powiem panu coś jeszcze o tym wielkim małym człowieku. Potrafił komponować w głowie i zapamiętać całe mnóstwo muzyki. Potem siadał i spisywał to wszystko na papierze. Jego żona paplała godzinami o swoich przyjęciach, pytając go co chwila: „I co odpowiedziałeś?”, „I co ona na to?”, a on przez cały czas pisał partyturę *Requiem*, albo jakiejś opery czy kwartetu smyczkowego, nie przerywając rozmowy. I co pan na to?

- Nie jest to z pewnością łatwe - powiedziałem z przekonaniem.

• Widzę, że chce pan wrócić do swojego katalogu. Wiem, że w hotelu odbywa się jakiś spód zbieraczy znaczków. Ale nie podejrzewałem nigdy, że jesteś filatelistą, Bernie.

Starłem się nie zareagować zbyt gwałtownie. Wolno podniosłem na niego wzrok i powiedziałem:

- Zbieram koperty lotnicze.

• Nie poznajesz mnie, prawda? - spytał z uśmiechem. Próbowałem umieścić jego twarz w odpowiednim kontekście, ale

nie mogłem go rozpoznać.

- Nie - odparłem.

• No cóż, miałeś prawo mnie zapomnieć. Ale pamiętam, że widywaliśmy się czasem, kiedy dzieliłem gabinet z Peterem Underletem. Potem Underlet pojechał do Dżakarty, a mnie przeniesiono do Bonn, gdzie moim szefem był Joe Brody. Jezu, Bernie, czy naprawdę zapomniałeś?

- Nie - odpowiedziałem, choć nadal nie mogłem go sobie przypomnieć.

Wydawał mi się człowiekiem zupełnie obcym.

- Jesteś tu na wakacjach?

- Kilka dni zaległego urlopu.

• I przyjechałeś do Salzburga, co? Jasne, do diabła ze słońcem. Salzburg to idealne miejsce dla kogoś, kto chce od wszystkiego odpocząć. Czy jesteś tutaj... - przerwał i zakończył delikatnie: ...z kimś?

- Sam jak palec.

• Żałuję, że nie możemy zjeść razem kolacji - powiedział z autentycznym żalem. - Ale muszę jeszcze dziś wieczorem wrócić do Wiednia. Jutro lecę do Waszyngtonu.

- Szkoda.
- Po prostu musiałem odbyć tę pielgrzymkę. Istnieją rzeczy, z których człowiek nie może zrezygnować. Rozumiesz, co mam na myśli?
 - Tak - odparłem.
 - No cóż, życzę powodzenia w zbieraniu znaczków. Jak się nazywa to, co kolekcjonujesz... Zeppelinpost?
 - Tak - odparłem, zdając sobie oczywiście sprawę, że wcale mu tego nie powiedziałem. Mówiłem tylko o kopertach lotniczych.

Pomachał mi ręką na pożegnanie i przez szklane drzwi wrócił do kawiarni. Jeśli Joe Brody przysłał go po to, żeby mnie wyprowadzić z równowagi, to trzeba przyznać, że wywiązał się z tego zadania zupełnie nieźle. Zamknąłem katalog i ponownie zacząłem podziwiać ponure szare mury stojącej po drugiej stronie rzeki Festung Hohen-salzburg. Postanowiłem wypić mocnego drinka, a potem przejść się po mieście, wjechać kolejką linową do twierdzy i obejrzeć salę tortur.

8

Nie jadłem kolacji w hotelu. Znalazłem uroczą małą restaurację w pobliżu pomnika Mozarta, czy też może w pobliżu fontanny Papageno, czy kładki, po której chodził Mozart. Usłyszałem, że wewnątrz gra ktoś na akordeonie pełną werwy wersję *Samotnego pasterza*, i wszedłem do środka. Ciemna drewniana boazeria harmonizowała z obrusami w biało-czerwona kratkę. Sala była niemal pusta. Na ścianach wisiały lśniące miedziane garnki i kukły postaci z oper Mozarta, wystawianych w słynnym na cały świat *Marionetten-theater*. Być może zresztą były to tylko ich plastikowe kopie. Kelner gorąco polecał kotlet wieprzowy panierowany, ale moja matka zawsze mi mówiła, że nie należy wierzyć ludziom noszącym *lederhosen*. Musiałem wypić kilka kufli lokalnego piwa o nazwie Weizengold, żeby dojść do formy. Muzyka płynąca z akordeonu była nagrana na taśmie.

Wróciłem do hotelu późno. Pełno w nim było mężczyzn; jedni stali w hallu, inni z namaszczeniem popijali w barze, a wszyscy przyglądali się sobie nieufnie. Wiedziałem, że są to handlarze znaczkami, gdyż wyczuwałem w nich napięte skupienie, tak często towarzyszące pierwszego wieczora ludziom, którzy zebrali się, by załatwić jakieś interesy.

Nawet, ci, którzy sporo pili, byli zupełnie spokojni. Obok baru stała grupa

mężczyzn posługujących się wyszukaną niemczyzną, jakiej często używają emigranci. Jeden z nich powiedział:

- Nie rozumiem, dlaczego Austriacy uchodzą za przekupnych; przecież potrzebowali z górą stu lat, by odkryć, ile mogą zarobić na Mozarcie.

Jego towarzysz uciszył go. I miał rację, bo nawet jego cichy głos słyhać było na drugim końcu hotelu. Potem od strony obrotowych drzwi doszedł donośny odgłos kroków i do hallu wkroczyły dwie pary młodych ludzi. Mieli zdrową cerę i idealnie falujące włosy. Byli ubrani modnie i kosztownie; kobiety lśniły od biżuterii, a od całej czwórki biła pewność siebie, często demonstrowana przez ludzi bogatych. Z pewnością nie zajmowali się handlem znaczkami. Wszyscy odwrócili się, by na nich spojrzeć, gdyż ich nagłe wtargnięcie do spokojnego hallu było równie niepożądanym dysonansem, jak kolorowa reklamówka telewizyjna przerywająca nostalgiczny, stary czarno-biały film.

Musieli zdać sobie sprawę z uczuć, jakie wzbudziło ich niespodziewane wejście, bo szli po marmurowej posadzce coraz wolniej i rozmawiali coraz ciszej. Winda nie działała, więc musieli wejść na górę po okazałych schodach. Kobiety wytwornie uniosły swe długie suknie, mężczyźni rozmawiali półgłosem, a wszyscy stojący w hallu filateliści z uwagą śledzili zachowanie tej grupki ludzi należących do wielkiego świata.

Rozglądałem się za tajemniczym Amerykaninem, ale zniknął bez śladu. Uznałem, że pora zakończyć dzień pracy, i poszedłem spać. Kiedy kładłem głowę na poduszce, jakiś zegar zaczął bić jedenastą; wkrótce przyłączył się do niego drugi.

Aukcja - jak większość imprez organizowanych w tej części świata - zaczęła się punktualnie. Tego dnia licytowano pocztę przewożoną na pokładach zeppelinów, poczynając od najwcześniejszych okazów, które pochodziły z pionierskich sterowców *Viktoria Luise* i *Schwaben*. Potem pojawiła się kartka pocztowa ze statku *Deutschland*, opatrzona czerwonym stemplem towarzystwa lotniczego, i licytacja ciągnęła się w nieskończoność, a cena osiągnęła zawrotną wysokość. O kupno karty ubiegali się trzej mężczyźni i cała sala w milczeniu słuchała głosu prowadzącego aukcję, który recytował litanie liczb, zerkając kolejno na potencjalnych nabywców. Licytacja skończyła się dość nagle, kiedy dwaj spośród nich równocześnie doszli do wniosku, że cena nie zostawia już marginesu zysku. Młotek opadł z głośnym trzaskiem; obecni na sali rozluźnili napięte mięśnie i zaczęli normalnie oddychać. Wszyscy wpisywali teraz uzyskaną kwotę do swych katalogów. Wiedzieli, że odtąd

będą mogli wyżej wyceniać podobne okazy i że wartość ich zbiorów odpowiednio wzrosła.

Sala nie była zatłoczona, ale panował w niej stały ruch; specjaliści zainteresowani konkretnymi okazami pojawiali się na chwilę, brali żywy udział w licytacji, a potem szli na kawę do oszklonej kawiarni lub wychodzili na taras, by zapalić papierosa i porozmawiać z kolegami.

Tego ranka aukcja musiała toczyć się wolniej, niż przewidywano, bo prowadzący ją mężczyzna zerkał co chwila na zegarek, a ja odniosłem wrażenie, że wszyscy się spieszą.

Gdy zaczęto licytować okazy z roku 1914 oraz koperty wojennego Zeppelinpost, nastąpił ogólny exodus i na sali pozostało tylko około dwudziestu specjalistów. Nie wiedziałem, czy przyczyną tego było niewielkie zainteresowanie zbieraczy okresem pierwszej wojny światowej, czy też niska wartość licytowanych zestawów. Kiedy jednak zapowiedziano licytację węgierskiej kolekcji kopert pochodzących ze sterowca *Graf Zeppelin*, sprzedawanych na polecenie wykonawcy testamentu pewnego zbieracza, zajęte zostały niemal wszystkie krzesła, a ci, którzy woleli stać, zgromadzili się w głębi sali.

Kiedy wywołano zestaw 584, byłem już od dawna gotowy. Przedemną leżała duża biała karta, na której wydrukowano czarnymi cyframi liczbę 12. Był to mój numer, więc kiedy zaczęto podbijać cenę, podniosłem kartę do góry, by zwrócić na siebie uwagę prowadzącego licytację. Spojrzał na mnie przelotnie, sygnalizując w ten sposób, że mnie dostrzegł, i odpowiednio podniósł kwotę. Za moimi plecami w walce o kopertę uczestniczyło kilkanaście osób. Cena stale szła w górę i sam nie wiedziałem, czy moja podniesiona karta jest brana pod uwagę. Licytator patrzył w przestrzeń i celowo nie dawał do poznania, kto zgłosił najwyższą ofertę.

Licytacja traciła rozpęd; na placu boju pozostali już tylko poważni nabywcy. „Tysiąc dziewięćset!” - zawołał mistrz ceremonii. W miarę wzrostu ceny rosły też różnice między proponowanymi kwotami. Podnosiłem kartę, by pokazać, że nadal biorę udział w walce, ale ktoś za moimi plecami również podbijał cenę. Przekroczyliśmy już dwukrotnie orientacyjną cenę i licytacja trwała nadal!

Licytator nie wydawał się zaskoczony. Tego ranka doszło już do kilku niespodzianek; niektóre okazy zostały zignorowane, inne przekroczyły trzy - lub czterokrotnie cenę szacunkową. Usiłowałem sobie przypomnieć, ile mam przy sobie gotówki oprócz pieniędzy wręczonych mi przez Hoffmanna. „Dwa tysiące pięćset!”

Podnoszono teraz stawkę za każdym razem o sto szylingów i aukcja toczyła się dalej.

„Dwa tysiące sześćset!” Licytator patrzył na mnie wyczekująco. Znów podniosłem swą kartę, a on przerzucił wzrok w głąb sali.

„Trzy tysiące”. Zanim skończył, utkwił spojrzenie w jakimś punkcie nad moją głową i zawołał: „Trzy sto... trzy dwieście...!”

Znów zerknął na mnie. Z determinacją podniosłem kartę, a on dyskretnie przeniósł wzrok w kierunku sali. „Trzy trzysta... trzy czterysta... trzy pięćset!” Tym razem nawet na mnie nie spojrzał. O kupno koperty musieli ubiegać się jeszcze dwaj kandydaci. Odwróciłem się. Jeden z pracowników firmy aukcyjnej stał obok wiszącego w kącie telefonu. Podniósł rękę. A więc któryś z klientów licytował przez telefon, a inny siedział w głębi sali.

„Trzy tysiące siedemset szylingów!”

Widocznie nastąpiła przerwa w podbijaniu ceny, bo licytator znów popatrzył na mnie i zawołał: „Trzy tysiące siedemset szylingów w głębi sali!”

Kiwnąłem głową. Licytator oznajmił: „Trzy tysiące osiemset szylingów w pierwszym rzędzie!”

Usłyszałem za sobą głos jakiegoś Niemca, który mówił: „Trzy dziewięćset”, a potem głos innego Niemca: „Cztery tysiące przez telefon”.

„Cztery tysiące sto w głębi sali!” - zawołał licytator i zaraz potem: „Cztery dwieście... trzysta... czterysta”. Nawet on był zdziwiony. „Cztery tysiące sześćset w głębi sali!”

Znowu spojrzał na mnie. Kiwnąłem głową. Podniósł wzrok i oznajmił: „Cztery... pięć tysięcy sto szylingów w głębi sali!”

Obejrzałem się, żeby zobaczyć, kto podbija cenę, i zauważyłem, jak stojący przy telefonie mężczyzna macha ręką, dając znać, że wycofuje się z dalszej licytacji.

„Pięć tysięcy sto szylingów po raz drugi!” - Podniosłem kartę z numerem. „Pięć tysięcy dwieście w pierwszym rzędzie!”

Przez chwilę myślałem, że licytacja dobiegła końca. Odczułem ulgę. Wiedziałem, że jeśli przetrząsnę wszystkie kieszenie i nakłonię hotel do przyjęcia angielskiego czeku, będę dysponował odpowiednią ilością gotówki. Potem licytator zawołał: „Pięć tysięcy trzysta...!”, a później, nie patrząc na mnie: „Pięć czterysta... pięć pięćset!”

Do licytacji przyłączył się jakiś nowy klient i zanim zdążyłem złapać oddech, cena doszła do sześciu tysięcy szylingów.

Licytator znów wziął do ręki młotek. „Po raz trzeci...” Potrząsnąłem przecząco głową. „Sprzedane!”

A więc Departament po raz kolejny wydał instrukcje, a potem zorganizował wszystko tak nieudolnie, że agent operacyjny nie mógł się do nich zastosować. Włożyłem kartę z numerem do kieszeni, żeby zachować ją na pamiątkę, i wstałem z krzesła. Chciałem przyjrzeć się nowemu właścicielowi okazu, po który mnie tu przysłano.

Nie starał się uniknąć identyfikacji. Wyglądał na sześćdziesięciolatka; miał falujące włosy i lekką nadwagę, ale wydawał się dość sprawny fizycznie. Miał na sobie szkocką kraciatą marynarkę, ciemne spodnie i muszkę w kropki. Starannie przystrzyżona broda i okulary w złotej oprawce upodobały go do spędzającego tu urlop profesora amerykańskiego college'u. Stał oparty o stół, ale kiedy mnie zobaczył, przepchnął się przez tłum i podszedł bliżej. Czekałem na niego.

- O rany! - powiedział z lekkim amerykańskim akcentem. - Nie mogłem zrozumieć, co się dzieje. Myślałem, że panu też polecono licytować aż do zakupu.

- Nie - odparłem. - Wyznaczono mi górną granicę.

- I dobrze się stało. Mogliśmy licytować się do końca świata. Czy mogę pana zaprosić na drinka?

- Dziękuję, chętnie.

- Nie widziałem pana dotąd w naszym gronie.

- Pracuję w Londynie - odpowiedziałem.

Kiedy znaleźliśmy się przy drzwiach, spytał jednego z pracowników firmy aukcyjnej, gdzie może odebrać swój nabytek. Powiedziano mu, że musi iść do kasy mieszczącej się na parterze w tylnej części hotelu. Wszystko tu było dobrze zorganizowane; nie ulegało wątpliwości, że firma regularnie prowadzi aukcje w tych samych miejscach.

- Jezu, niech pan popatrzy, jak leje; teraz zaczyna padać grad - powiedział mój towarzysz, kiedy szliśmy długim korytarzem.

Przed pokojem zajmowanym przez kasę stała kolejka oczekujących. Przyłączyliśmy się do nich.

- To był dobry okaz, chociaż widziałem już lepsze - powiedział nabywca, wracając do tematu. - Nazywam się Johnson, Bart Johnson. Pracuję we Frankfurcie, ale pochodzę z Chicago. Czy jest pan ekspertem w zakresie Zeppelinpost?

- Nie.

Spojrzał na mnie i kiwnął głową.

- Muszę wyznać, że *Graf Zeppelin* jest w pewnym sensie moim idolem.

Zawsze miałem bzika na punkcie statków powietrznych. Zaczęło się to, kiedy byłem jeszcze dzieckiem; ktoś dał mi kawałek powłoki sterowca *Shenandoah*, który rozbił się w Ohio w roku 1925. Kazałem go oprawić; nadal wisi na ścianie w moim mieszkaniu. Mam w biurze szczegółową kartotekę wszystkich wydarzeń. Zajrzałem też do *Handbuch der Luftpostkunde* Berezowskiego. Oczywiście, zna pan tę książkę.

- Chyba nie.

- Jezu, ja mam do Berezowskiego większe zaufanie niż do *Sieger Katalog*. - Trzymał w ręku jakiś katalog oraz niebieską teczkę z wycinkami i odręcznymi notatkami. Otworzył ją teraz, żeby pokazać mi jej zawartość.

Wyczułem, że oczekuje ode mnie jakiejś reakcji, więc spytałem:

- Naprawdę?

• Książka Berezowskiego, wydana w 1930 roku, jest podstawowym źródłem tego rodzaju informacji. Była wznowiona; można ją jeszcze kupić. Podam panu adres firmy wysyłkowej, w której może pan ją zamówić. Przerzucając moje wycinki natrafiłem na artykuł, który zamieścił Dr Max Kronstein w *Airpost Journal* z kwietnia 1970. Píše w nim, że poczta paragwajska nie honorowała Międzynarodowych Kuponów Poczтовых; dlatego całości z Paragwaju są taką rzadkością. Jedyne listy ofrankowane paragwajskimi znaczkami wysyłane były przez rezydentów - mieszkających w tym kraju cudzoziemców.

- To bardzo interesujące - stwierdziłem.

• Prawda? - Zamknął teczkę i schował złoty ołówek do kieszeni. - Odkąd Sieger wycenił koperty wysyłane do Europy o dziesięć procent wyżej niż koperty adresowane do USA, nasi klienci zaczęli ich poszukiwać. Z kolei Kummer twierdzi, że do USA wysłano tylko szesnaście listów, a do Europy około stu osiemdziesięciu, więc proporcje cen powinny kształtować się odwrotnie. Ale nie jest to wszystko pewne; listy wysyłane z Europy mogły ulec zniszczeniu w czasie wojny, podczas gdy kolekcje amerykańskie pozostały nie naruszone. - Nadal przytrzymał palcem nie domkniętą teczkę, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że gotów jest dowieść słuszności tych stwierdzeń, pokazując odpowiednie materiały źródłowe.

- No właśnie - powiedziałem.

- Tak, tak, rozumiem. Nie powinienem tak się rozgadywać. Wygląda pan na zawiedzionego. Czy chciał pan kupić tę kopertę do własnej kolekcji?

- Nie, wykonywałem tylko czyjeś zlecenie.

- Więc niech pan nie bierze sobie tego aż tak bardzo do serca. Jest tu jeszcze do kupienia mnóstwo innych okazów Zeppelinpost. Prawda?

Kiwnąłem potakująco głową. Mój rozmówca z uśmiechem pogłaskał brodę. Kolejka posuwała się naprzód; z pokoju wychodzili kolejni nabywcy niosący zakupione okazy.

- Kto to był ten człowiek, z którym rozmawiał pan wczoraj na tarasie?

- Mój znajomy - odparłem.

- Jak się nazywa?

- Właśnie próbuję sobie przypomnieć. Myślałem, że pan go zna.

- Thurkettle - podpowiedział mi. - Mówił, że nazywa się Ronnie Thurkettle.

Więc nie jest pańskim bliskim przyjacielem?

- Prawie go nie znam. - Pamiętałem skądś to nazwisko, ale nadal nie kojarzyłem twarzy.

- Czym zajmuje się ten człowiek? Nie handluje znaczkami, prawda? Widuję go często we Frankfurcie, ale nie mam pojęcia, jaki jest jego zawód.

- Jest pracownikiem Departamentu Stanu - powiedziałem. - Ale to wszystko, co o nim wiem.

- Zaczepił mnie wczoraj. Był bardzo przyjazny, ale chodziło mu tylko o to, żeby dowiedzieć się czegoś o Zeppelinpost. Nie ma pojęcia o kopertach lotniczych. Spodziewał się, że objaśnię mu wszystkie pozycje w katalogu. Zaproponowałem, żeby poszedł do sklepu i kupił sobie jakąś dobrą książkę poświęconą temu tematowi. Nie zamierzam udzielać lekcji takim facetom jak on; nie wzbudził mojej sympatii. Wie pan, co mam na myśli, prawda?

- I jak to przyjął?

- Jak to przyjął? Zrezygnował i zmienił temat. Nie jest moim przyjacielem. I nie będzie nim. Widywałem go tu i tam, kiedy pracowałem w biurze prasowym we Frankfurcie. Bywał na tych przyjęciach, które wydają firmy z okazji wizyty kontrahentów. Wie pan, jak to wygląda; eleganckie zakąski na wykałaczkach i rozwodnione cocktaile. Domyśliłem się, że pracuje dla rządu. Wygląda jak typowy waszyngtoński urzędnik, no nie? Myślałem, że może jest cywilem zatrudnionym w

armii.

- Nie - powiedziałem. - Pracuje w Departamencie Stanu.
- Zawsze trzymałem się od takich ludzi z daleka. Znajomość z nimi naraża człowieka na niepotrzebne kłopoty.

Kolejka znów ruszyła naprzód i znaleźliśmy się na pierwszym miejscu. Zabrział cichy dźwięk dzwonka i strażnik zaprosił nas do pokoju. Nie było w nim wiele miejsca. Za okratowanym okienkiem siedział jakiś posepny urzędnik. Za nim stał stół, nad którym pochylała się młoda dziewczyna. Leżały tam stosy kopert i kart pocztowych w przezroczystych plastikowych pokrowcach; była też kasetka na pieniądze pełna czeków i najróżniejszych banknotów.

- Nazywam się Johnson - powiedział mój towarzysz. Bartholomew H. Johnson. Zestaw 584. Sześć tysięcy szylingów. Jestem waszym stałym klientem.

W pokoju unosił się nieokreślony zapach przypominający woń kadzidła. Może pachniała tak woda po goleniu, której używał kasjer. A może był to zapach pieniędzy.

Siedzący w okratowanym okienku urzędnik przewracał strony księgi kasowej.

- Jaki numer? - spytał.
- Zestaw 584. - Johnson odliczał należność z grubego pliku austriackich

banknotów. Wyglądało na to, że wszyscy handlarze znaczkami lubią obroty gotówkowe.

- Musiała zająć jakaś pomyłka - powiedział kasjer.
- Bartholomew H. Johnson. Mam u was rachunek. Sześć tysięcy szylingów.

Jeśli chce pan, żebym zapłacił gotówką, mam ją przy sobie. - Pokazał mu plik banknotów i dodał: - Dziś po południu wsiadam w samolot; przecież nie wydam do tej pory dziesięciu tysięcy.

• Zestaw 584 został sprzedany za sześć tysięcy dwieście szylingów - powiedział urzędnik. - Zgłoszenie telefoniczne.

- Nic podobnego! - odparł Johnson. - To ja go kupiłem.
- Musiał się pan pomylić, sir - stwierdził kasjer.
- To pan się myli, drogi panie! Proszę mi wydać moją kopertę!
- Bardzo mi przykro.

• Mam do niej prawo! Jest moja! Proszę mi ją wydać! - Johnson był wyraźnie wściekły.

- Obawiam się, że już jej tu nie ma. Została odebrana razem z innymi okazami. Kupił ją bardzo znany klient.
- A kim ja jestem? - z gniewem spytał Johnson.
- Przykro mi, że muszę panu sprawić zawód, sir - powiedział urzędnik. - Ale naprawdę nie mogę nic dla pana zrobić, a w kolejce czekają inni klienci.
- Jak się panu to podoba?! - krzyknął Johnson tak głośno, że stojący na korytarzu strażnik uchylił drzwi i zajrzał do pokoju. Widać było jednak, że traci chęć do dalszej walki.

- Chodźmy stąd - powiedziałem. Naczelna zasada wyznawana przez ludzi mojego zawodu brzmi: nigdy nie dać się uwikłać w spory z policją.

- Jeszcze pan o mnie usłyszy! - zagroził urzędnikowi Johnson.
- Naprawdę bardzo mi przykro, sir.

Wyszliśmy na korytarz, witani ciekawymi spojrzeniami tych, którzy słyszeli dochodzące z pokoju krzyki. Johnson z zażenowaniem wygładził kłapy marynarki i powiedział:

- Chodźmy na drinka.
- Dobry pomysł - odparłem.

Odzyskał spokój dopiero po kilku minutach. Wydawał się naprawdę wzburzony. Jeśli grał jakąś rolę, to zasługiwał na Oscara. Kiedy już usiedliśmy za barem, spytał:

- Co się, do cholery, stało? Był pan na sali. Widział pan, że kupiłem tę przeklętą kopertę. A może zaczynam gonić w piętke?
- Nie, nie zaczyna pan gonić w piętke.
- Czy podał mi pan swoje nazwisko?
- Nie, jeszcze nie.
- Ja nie gonię w piętke. To ci cholerni Austriacy mają bzika. - Proszę o podwójną whisky! - zawołał do barmana. Spojrzał na mnie, a ja kiwnąłem głową. - Dwie podwójne whisky!

- Niech pan mi pozwoli zapłacić - zaproponowałem. - Mam przy sobie nieoczekiwanie sporo gotówki.

- Ja też - powiedział i wybuchnął śmiechem. - Muszę stąd wyjechać; ci ludzie doprowadzają mnie do szału. Czy chce pan zabrać się ze mną na lotnisko? A może ma pan samochód?

- Kiedy?
- Muszę zdążyć na samolot do Wiednia, który odlataje o siódmej - oznajmił,

a ja stwierdziłem, że ta pora bardzo mi odpowiada. Whisky wyraźnie go uspokoiła. Zaczął mówić o swoich znaczkach, a ja wtrącałem od czasu do czasu stosowne uwagi i myślałem o czym innym.

Później poszliśmy na górę. Jego pokój usytuowany był w pobliżu schodów, a mój w głębi korytarza, na tym samym piętrze. Otwierając drzwi swojego numeru, powiedział:

- Wykąpię się i może zjem jakąś kanapkę. Spotkajmy się w hallu około piątej trzydzieści, dobrze?

- W porządku - odparłem.

Słyszałem, jak zamykając drzwi powiedział: - Coś takiego! - i zastanawiałem się, co ma na myśli. Ale wiedziałem już, że jest człowiekiem obdarzonym fantazją, więc doszedłem do wniosku, że rozmawia sam ze sobą.

Miałem mnóstwo czasu. Zastanawiałem się, czy nie zatelefonować do Londynu i nie powiedzieć moim szefom, że kopertę kupił ktoś inny, ale postanowiłem odłożyć to na godzinę lub dwie. Wiedziałem, że wtedy Dicky i Stowe będą już pewnie nieobecni, a wolałem rozmawiać z oficerem dyżurnym niż z którymś z nich.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na zalaną deszczem ulicę. Turyści byli nieugięci. Włożyli na siebie kolorowe plastikowe kurtki oraz przezroczyście kalosze, zaciągnęli sznury od kapturów tak mocno, że widoczne były tylko fragmenty ich zaciętych opalonych twarzy, i wyruszyli na zwiedzanie miasta. Wyglądali jak zaprawieni w boju weterani z entuzjazmem maszerujący na front. Przyniosłem z łazienki szklankę i nalałem sobie sporą dawkę whisky, kupionej w wolnocłowym sklepie. Obiecałem Glorii, że podczas tej podróży nie tknę mocnego alkoholu, ale nie spodziewałem się wtedy, że poniosę klęskę w sali aukcyjnej i że będę musiał niebawem tłumaczyć się przelożonym ze swego niepowodzenia.

Zdjąłem buty, wyciągnąłem się na łóżku i zapadłem w drzemkę. Przez cały dzień mój umysł - jak niesforny pudel szarpiący się na smyczy - próbował przenieść mnie w inny czas i inne miejsce. Ale moje przelotne przebłyski pamięci były zamglone, niewyraźne i nieostre. Dopiero kiedy zamknąłem oczy i odprężyłem się, moja pamięć wyjaśniła dręczącą mnie od rana zagadkę.

Deuce Thurkettle! Jezu Chryste, jak mogłem zapomnieć człowieka, który nazywał się Deuce Thurkettle, choć obecnie używał imienia Ronnie? Nie znałem go

osobiście, ale jegoteczka personalna była czymś, czego się nie zapomina.

Nosił przydomek „Deuce” nie dlatego, by był nieudacznikiem czy tchórzem, choć słowo to ma niekiedy również takie znaczenie. Jego przybrane imię nie wywodziło się również od pary w pokerze. Nazywano go Deuce, ponieważ popełnił bestialskie podwójne morderstwo, za które poszedł do więzienia. Deuce Thurkettle przyjechał do Berlina, kiedy wypuszczono go z jakiegoś ściśle strzeżonego więzienia w Arizonie, w którym odsiadywał dożywotni wyrok za morderstwo z premedytacją.

Pewnego dnia jakiś młody geniusz siedzący za biurkiem w głównej kwaterze CIA w Langley (Wirginia), zapewne przejezdony pieczonymi kurczętami i nie wiedzący, jak spędzić długie nudne popołudnie, wpadł na wspaniały pomysł. Uznał, że najlepszym sposobem pozbycia się kłopotliwego agenta KGB, któremu mimo usilnych starań nie dało się dotychczas nic udowodnić, będzie sprowadzenie do Berlina mordercy odsiadującego wyrok, oczywiście występującego w charakterze zwykłego turysty i mającego turystyczną wizę.

Przypomniałem sobie akta Deuce’a Thurkettle’a, które przeczytałem niegdyś jednym tchem. Czytałem je tak gorliwie po części dlatego, że nie miałem prawa ich oglądać. Był to dokument CIA i powinien był pozostać w jakimś ciemnym miejscu, w którym CIA kryje swoje tajemnice. Ale biedny Peter Underlet przyniósł go do swego mieszkania i pokazał mi go tam pewnego wieczora po kolacji, do której wypiliśmy we dwóch dwie butelki wspaniałego Chateau Beychevelle 1957. Przypomniałem sobie każdą stronę tego dokumentu, odzwierciedlającego zawile rozumowanie owego urzędnika: „...a Thurkettle zna się na elektronicznych mechanizmach zegarowych, skomplikowanych zamkach, nowoczesnych materiałach wybuchowych i broni palnej, a ponadto odznacza się sprawdzonymi predyspozycjami fizycznymi, a więc może być uznany za cennego agenta operacyjnego”.

Underlet, zanim dał mi do przeczytania teczkę z aktami, otworzył ją właśnie na tej stronie, zawierającej obszerny raport z Langley.

- Popatrz - powiedział z goryczą. - Tylko tyle wiedzą ci gówniarze z Waszyngtonu o pracy agentów operacyjnych. Ten sukinyński morderca, bez treningu i doświadczenia, staje się z dnia na dzień agentem operacyjnym, co więcej - cennym agentem operacyjnym.

Pamiętam, że Underlet rozsiadł się tego wieczora w fotelu i w milczeniu sączył wino, ja zaś czytałem od deski do deski udostępnione mi przez niego akta. Deuce Thurkettle, jakże mogłem o nim zapomnieć? Był pierwszym z trzech -

nieproszonych i niemile widzianych - specjalistów od zabijania, którzy pojawili się w owym fatalnym okresie w europejskich placówkach CIA.

Rozmawialiśmy o tym ponownie później - po kilku tygodniach. Wówczas zasady moralne obowiązujące w Waszyngtonie irytowały mnie jeszcze bardziej, niż ujawnione mi przez Underleta poglądy owego urzędnika na temat agentów operacyjnych.

Nie mogłem dłużej leżeć; usiadłem na łóżku, czując przyspieszony puls i napięcie nerwowe, wiedząc, że za chwilę przypomnę sobie ważne szczegóły. Co stało się z tymi trzema kryminalistami? Wszyscy trzej otrzymali starannie przygotowane nowe dokumenty, takie same, jakie dawano później w nagrodę członkom mafii, którzy zgodzili się złożyć obciążające zeznania przed sądem. Thurkettle. Podejrzewano, że zamordował w Kolonii pewnego właściciela domu towarowego, z którego żoną romansował. Nie byłem pewien, czy plotki te odnosiły się właśnie do niego. Czy jego nazwisko widniało na tajnych listach najbardziej poszukiwanych przestępców? Nie mogłem sobie tego przypomnieć.

Wstałem z łóżka i zacząłem nerwowo chodzić po pokoju. Byłem przekonany, że wszystkie te fakty prowadzą do wniosku, który okaże się oczywisty, gdy tylko zadane zostaną odpowiednie pytania. Oczywisty, rzecz jasna, dla osoby zadającej te pytania.

Postanowiłem porozmawiać z Johnsonem i dowiedzieć się od niego czegoś więcej na temat Thurkettle'a; miałem nadzieję, że w trakcie rozmowy wyjdą na jaw nowe okoliczności. Włożyłem buty, wyszedłem na korytarz i zapukałem do drzwi jego pokoju. Cisza. Nacisnąłem klamkę i stwierdziłem, że drzwi nie są zamknięte na klucz.

Wszedłem do środka. Pokój był pusty. Na łóżku leżały rozłożone części garderoby: czysta koszula, bielizna, skarpetki. Można by pomyśleć, że przygotował je dla wymagającego pracodawcy sumienny lokaj. Z łazienki dochodził szum lejącej się wody. Drzwi były zamknięte. Johnson zawołał:

- Proszę postawić wszystko na stole. Leży tam napiwek dla pana!
- To nie kelner, to ja - powiedziałem.
- Przyszedł pan trochę za wcześnie, prawda? - Miał zniekształcony głos, jak człowiek myjący właśnie zęby.
- Chodzi o tego faceta nazwiskiem Thurkettle. Coś sobie na jego temat przypominałem.

- Proszę przyjść za piętnaście minut. - Odgłosy dochodzące z łazienki dowodziły, że Johnson nadal myje zęby.

W porządku - pomyślałem. Wszystko toczy się normalnym trybem. - Wróciłem do swego pokoju. Nie wiem, jak długo w nim siedziałem, zanim huk eksplozji spowodował, że zerwałem się z krzesła i podbiegłem do drzwi. W gazetach napisano później, że eksperci ocenili ilość środka wybuchowego na 300 gramów, ale tak potężny ładunek rozwaliliby drzwi łazienki, a może również ścianę oddzielającą łazienkę od mojego pokoju.

Tak czy owak był to donośny wybuch, a gdy wybiegłem na korytarz, rozpoznałem charakterystyczny zapach materiałów wybuchowych. Nie wiedziałem, co robić. Doświadczenie nakazywało mi ukryć się pod łóżkiem; ciekawość nakłaniała do zbadania, co się stało.

Postanowiłem zaryzykować; przebiegłem przez korytarz i wpadłem do pokoju Johnsona. Ruszyłem w stronę łazienki, ale kiedy chwyciłem za klamkę, drzwi wypadły z zawiasów. Nie wiem, jakim środkiem wybuchowym posłużył się sprawca, ale wewnątrz łazienki było czarne od sadzy i brudu, a może również od czegoś innego. Najbardziej zniszczona była umywalka; z lustra nad nią pozostały tylko zwisające na śrubach odłamki szkła. Podstawa z niebieskiej porcelany podtrzymująca jeden fragment umywalki wyglądała jak nowoczesna rzeźba.

Zwłoki Johnsona leżały na podłodze twarzą do góry, wciśnięte między bidet a muszlę klozetową. Jego klatka piersiowa była straszliwie poparzona, a odzież mocno nadpalona. Nie było prawie śladów krwi, bo w wysokiej temperaturze powstałej podczas wybuchu naczynia krwionośne zasklepiły się. Wokół zwłok leżały setki odprysków potłuczonej porcelany. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, co się wydarzyło. Z jego ręki pozostał tylko kikut, z głowy - mokra lśniąca plama rozlana na marmurowej posadzce.

Bomba była ukryta w elektrycznej maszynie do golenia; stary numer, ale po raz pierwszy widziałem jego efekty. Wystarczy dowiedzieć się, jakiej maszynki używa potencjalna ofiara, wypełnić ją niezawodnym plastikowym środkiem wybuchowym, podłączyć estetyczny mały detonator (Made in Taiwan. Prosimy zaznaczyć, czy chodzi o napięcie 110 czy 220 V.) i czekać, aż nasz człowiek sam przyłoży ją sobie do twarzy, a potem włączy prąd!

Biedny Johnson. Usłyszałem za sobą podniecone głosy wpadających do pokoju ludzi, więc wcisnąłem się między nich, gorączkowo wypytyując wszystkich, co

się stało. Johnson. Czy ktoś czekał na niego, kiedy wszedł do swojego pokoju? Czy zdanie: „Coś takiego?” miało charakter retoryczny, czy też było zwrócone do kogoś, kogo zastał w swym numerze, na przykład do Deuce’a Thurkettle’a, „który znał się na elektronicznych mechanizmach zegarowych, skomplikowanych zamkach, nowoczesnych materiałach wybuchowych i broni palnej, a ponadto odznaczał się sprawdzonymi predyspozycjami fizycznymi, więc mógł być uznany za cennego agenta operacyjnego”?

Ale jeśli zabił go Thurkettle, to dlaczego? Albo, żeby odwrócić całą historię do góry nogami: czy Thurkettle był w istocie starannie zakamuflowanym agentem, a cała historyjka o wyroku za morderstwo została spreparowana po to, by ułatwić mu ten kamuflaż? A jeśli tak, to kto zabił Johnsona, o ile nazwisko Johnson było autentyczne?

Gdy rozważałem te pytania, jakaś wolna część mego umysłu tłumaczyła mi usilnie, że nie powinienem w tej sytuacji dzwonić do londyńskiej Centrali. Musiałem się wyplątać z tego całego zamieszania, a poza tym istniało duże prawdopodobieństwo, że policja austriacka będzie podsłuchiwać rozmowy telefoniczne; w tych warunkach nawet Stowe nie mógł wymagać ode mnie nawiązania kontaktu. Ta możliwość odłożenia całej sprawy na później wprawiła mnie, mimo wszystko, w trochę lepszy nastrój.

9

Odleciałem z Salzburga podczas wagnerowskiej burzy z piorunami, które oświetlały Alpy rozblaskami niebieskawego płomienia, a towarzyszące im grzmoty wstrząsały całym światem. Szum deszczu bębniącego o metalową powłokę zagłuszał warkot silników. Samolot kołysał się i zataczał, walcząc z podmuchami wiatru, i piął się mozolnie ku górze w wąskim przesmyku pomiędzy pasmami gór.

Nadal nie mogłem się uwolnić od upiornej wizji rozerwanego na strzępy ciała Johnsona. Nie miałem nic do czytania oprócz biuletynu linii lotniczych, więc wyjąłem z torby katalog filatelistyczny i obejrzałem ponownie kopertę, której nie udało mi się kupić. Studiując ją uważnie zastanawiałem się, jaki demon nakłania ludzi do gromadzenia kosztownych kolekcji tych małych barwnych druków. Kolorowa fotografia była tak naturalistyczna, że omal nie spróbowałem oderwać koperty od strony katalogu. Nożyczkami mojego wieloczynnościowego szwajcarskiego

scyzoryka wyciąłem ją i schowałem do portfela.

Kiedy schodziliśmy do lądowania w Wiedniu, było już późno. Burza minęła i na bezchmurnym niebie świeciły gwiazdy. Z adresu, który otrzymałem od Hoffmanna, wynikało, że Steiger mieszka w centrum miasta. Raz jeszcze zajrzałem do kolorowego planu Wiednia, który wzięłem z okienka linii lotniczych. Była to barwna mapa miasta, zawierająca rysunki takich budynków, jak na przykład pałac Cesarski, upstrzona ogłoszeniami różnych „lokalów rewiowych”, „klubów towarzyskich z sauną” i „agencji zapewniających osoby do towarzystwa”. Wszystkie objaśnienia wydrukowane były po niemiecku, arabsku i japońsku. Przystudiowawszy dokładnie ów plan odkryłem,

że muszę dotrzeć do jednej z uliczek odchodzących od Kartnerstrasse, słynnej arterii łączącej Opera Ring z katedrą Świętego Stefana.

Było już ciemno, kiedy podjechałem taksówką pod gmach opery; akurat skończył się ostatni akt *Cyrulika Sewilskiego*. Otworzono równocześnie liczne drzwi i na trotuarze pojawiły się żółte prostokąty światła. Potem zaczęli wychodzić widzowie, zrazu nieliczni, ostrożnie ogarniając czujnym spojrzeniem zalaną deszczem ulicę, jak uczestnicy międzygalaktycznego lotu wynurzający się z wnętrza wielkiego kosmicznego pojazdu. Z budynku nadal dobiegał stłumiony grzmot oklasków. W chwilę później było już widocznie po ostatnich ukłonach, bo na ulicę wysypał się tłum podnieconych i hałaśliwych ludzi. Śmiejąc się i rozmawiając wesoło schodzili z trotuaru i wylęgali na jezdnię. Nie zwracali uwagi na przejeżdżające samochody i przypominali rozradowaną gromadę przestępców z wyższych sfer, niespodziewanie zwolnionych z więzienia.

- *Fussgangerzone* - oznajmił taksówkarz, wbrew przepisom zakręcając w miejscu i zatrzymując samochód w pobliżu tłumu potencjalnych klientów, którzy już podnosili ręce, by zwrócić na siebie jego uwagę. - Dalej musi pan iść pieszo. - Ulica pełna już była ludzi ubranych w futra i stroje wieczorowe, które Niemcy i Austriacy uważają za obowiązkowe atrybuty życia kulturalnego. Grupa takich wystrojonych miłośników opery otoczyła moją taksówkę i zaczęła podniesionymi głosami spierać się o to, kto ma prawo do niej wsiąść.

Zapłaciłem kierowcy i przepchnąłem się przez tłumy ludzi nadal wychodzących z opery. W miarę posuwania się naprzód miałem coraz łatwiejsze zadanie, bo tylko nieliczni spośród nich zmierzali w stronę wąskich uliczek Starego Miasta. Wkrótce byłem sam i kiedy mijałem pozamykane kawiarnie oraz ciemne

sklepy, towarzyszyło mi tylko echo moich kroków. Centrum Wiednia zasypia bardzo wcześnie.

Dom, którego szukałem, stał przy wąskiej, kiepsko oświetlonej uliczce pełnej sklepów z antykami. Ich witryny były zaniedbane i zniszczone; na tak niepozorną prezencję mogą pozwolić sobie tylko najbardziej ekskluzywne antykwariaty. Przez szyby wystawowe widać było kosztowne wschodnie kobierce, lśniące od politory meble i stare szkła. Do drzwi jednego ze sklepów przybita była mosiężna plakietka z dyskretnym napisem: „Karl Steiger”. Nacisnąłem guzik dzwonka. Przez dłuższą chwilę czekałem na jakąś reakcję. Potem usłyszałem z góry trzask otwieranego i zamykanego okna.

W głębi sklepu zapaliło się nagle światło; na jego tle dostrzegłem kontury mebli oraz sylwetkę jakiegoś niskiego, tęgiego mężczyzny, który przeciskał się między nimi w stronę wejścia. Odsunięcie rygli i zasuw zajęło mu sporo czasu. W końcu uchylił drzwi na tyle, na ile pozwalał łańcuch.

- O co chodzi? Kto tam?! - zawołał przez szparę.
- Szukam barona Steigera - powiedziałem. - Przyjechałem z Salzburga. -

Usłyszałem westchnienie. Potem mężczyzna zamknął drzwi i zaczął odczepiać łańcuch.

Kiedy otworzył je ponownie, przekonałem się, że stoi przede mną sam Otto Hoffmann. Miałem prawo nie poznać go do tej pory, gdyż prezentował się o wiele poważniej niż pogodny człowieczek, który dał mi w Salzburgu trzy tysiące szylingów i poczęstował mnie wykładem na temat filatelistyki. Teraz miał na sobie haftowaną kurtkę, pod którą widoczna była sztywno wykrochmalona koszula i czarna muszka. Patrzył na mnie przez chwilę bez słowa. Wydawało się niemal, że próbuje wymyślić jakiś pretekst, umożliwiający mu wysłanie mnie do wszystkich diabłów.

- Dobry wieczór, Samson - powiedział w końcu niechętnie. Nie było to serdeczne powitanie. - Mówiłem, że ma pan zatelefonować.
- Było to niemożliwe.
- Dlaczego?
- Nie miałem odpowiedniej monety - powiedziałem żartobliwym tonem.
- Proszę wejść. Tu, w Wiedniu, nazywam się von Steiger.

Mówił tym samym czysto wiedeńskim akcentem; słowo *Ich* wymawiał *is*. Wszedłem do sklepu i czekałem chwilę, podczas gdy on na nowo zabezpieczał

frontowe drzwi. Potem zgasił światło i poprowadził mnie na górę po wąskich drewnianych schodach. Z piwnicy dochodził zapach kleju, świeżo heblowanego drewna i politory; odgadłem, że mieści się tam warsztat. Trzy górne piętra budynku zajmowała część mieszkalna. Na schodach wisiały oprawione w antyczne ramy sztychy i ozdobne tkaniny, a na półpiętrze dojrzałem znakomicie utrzymaną piękną dębową komodę. Domyśliłem się, że część pokoi pełni funkcję sal wystawowych. Gdy zbliżaliśmy się do najwyższego piętra, usłyszałem muzykę i poczułem zapach potraw - a raczej ślad zapachu potraw gotowanych wcześniej - który przytłumił dochodzący z piwnicy odór chemikaliów.

- Mam gości - powiedział Steiger. - Proszę powiesić płaszcz na wieszaku i zostawić torbę tutaj. Porozmawiamy później.

- Okay.

Na najwyższym piętrze znajdowały się dwa małe pokoje połączone w jeden. Siedziało w nim około tuzina osób. Wszyscy byli ubrani tak ekstrawagancko, że w Londynie wziąłbym ich za uczestników balu kostiumowego. Kobiety miały na sobie mnóstwo biżuterii i wydekoltowane suknie, z których jedna uszyta była z jedwabiu i ozdobiona falbankami, druga, równie efektowna, obszyta starą koronką. Mężczyźni ubrani byli w smokingi z jaskrawymi pasami lub szarfami; starsi z nich mieli na piersiach ordery.

Baron Steiger nie przejawiał bynajmniej bez troski, którą odznaczał się w Salzburgu Hoffmann. Nie zadał sobie trudu, by przedstawić mnie swoim gościom; tym, którzy zauważyli nasze wejście, wyjaśnił zwięźle:

- To jest pan Samson, przyjaciel z Salzburga.

Byłem przemoczony. Gęsty deszcz przeniknął przez mój płaszcz i moje stare, pomięte ubranie marszczyło się w nieodpowiednich miejscach. Goście Steigera przyglądali mi się bez entuzjazmu.

W kącie pokoju jakiś pianista zmagił się z George'em Gershwinem i obaj przegrywali. Kiedy wszedłem do pokoju, zagrał kilka taktów walca, a później uśmiechnął się, jakby mnie znał. Wkrótce potem dźwięki fortepianu ucichły. Odniosłem wrażenie, że moje wejście zakłóciło nastrój, który poprzednio można było określić jako *gemutlich*.

Pojawił się kelner. Zapytany, czego się napiję, i poinformowany, że nie ma mocnych alkoholi, poprosiłem o *Gspritzer* i stałem ze szklanką w ręku czekając, aż wszyscy sobie pójda. Nie mogłem opanować wrażenia, że Steiger chce się do mnie za

wszelką cenę zdystansować; gdy tylko stwierdził, że dostałem drinka, podszedł do grupy, która stała w przeciwległym kącie pokoju.

- A więc mieszkasz teraz w Salzburgu? - spytał ktoś zza moich pleców. Odwróciwszy się, stwierdziłem, że jest to pianista, w którym teraz, w lepszym świetle, rozpoznałem z przerażeniem swego dawnego znajomego.

Jezus Maria! Był to niebezpieczny osobnik, który nazywał się Theodor Kiss, ale wolał, by używano wobec niego przydomka Dodo. Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, groził, że rozszarpie mnie na strzępy, i dysponował możliwościami spełnienia tej obietnicy. Teraz uśmiechał się do mnie życzliwie. Mimo że miał na sobie zmięty smoking, wyglądał dosyć dostojnie, głównie dzięki swym długim siwym włosom. Był złośliwym starcem, Węgrem, który przeszedł po klęsce Niemców na stronę zwycięzców i zrobił karierę na współpracy z nimi.

- Nie, a ty? - spytałem.
- W Wiedniu. Mam cudowne nowe mieszkanie. Postanowiłem zmienić miejsce pobytu... południe Francji stało się takie... takie wulgarne.
- Naprawdę? - Dostrzegłem na jego czaszce czerwoną bliznę; tam właśnie zdziesiął go Jim Prettyman i zapewne ocalił mi życie.
- A jak się miewa moja droga Zu? - Był przyjacielem rodziny Glorii.

Mruknąłem niewyraźnie coś, z czego wynikało, że miewa się dobrze. Wiedział, że nie chcę z nim rozmawiać, ale własne natręctwo sprawiało mu wyraźną satysfakcję.

- Jak wiesz, studiowałem w Wiedniu. To miasto jest moim domem rodzinnym. Mam tu wielu starych przyjaciół i kolegów.

Kiwnąłem głową. Taki były faszysta jak Dodo, istotnie mógł tu mieć wielu kolegów z dawnych lat. Kelner podsunął nam tacę z maleńkimi grzankami, na których leżały skrawki sera Liptauer. Włożyłem do ust dwie. Nic nie jadłem w samolocie.

- Wiedeń jest najpiękniejszym miastem świata - oznajmił Do do. - I tak bardzo *gemutlich* Czy lubisz operę?

Zostałem w końcu uwolniony od obowiązku rozmawiania z nim przez jakiegoś mężczyznę, który spytał, czy jestem dziennikarzem. Dodo odszedł. Mój nowy rozmówca był mocno zbudowany i miał krótko przyciętą brodę a la van Dykę, która upodobała go raczej do Mefistofelesa. Odpowiedziałem mu, że nie jestem dziennikarzem, a on wydawał się z tego zadowolony. Podniósł rękę i pokazał mi jakiś

duży obraz; groteskową płataninę kolorowych abstrakcyjnych plam.

- Podoba się panu? - spytał.
- Co to jest?
- To współczesne malarstwo - wyjaśnił pouczającym tonem. - Czy wie pan,

co to jest?

- Wiem. Współczesne malarstwo powstało wtedy, kiedy malarze przestali przyglądać się dziewczynom.

- Doprawdy? - spytał chłodno. - Czy to nie *Kulturbolschewismus*! - Był to cios poniżej pasa. Termin bolszewizm kulturalny wymyślili faszyci; służył on potępieniu wszystkiego, co odbiegało od popieranego przez władze hitlerowskie społecznego realizmu.

- Zaczyna mi się podobać - powiedziałem, jak zwykle wykazując brak odwagi. - Czy pan jest malarzem?

- Andras Scolik - przedstawił się, trzaskając obcasami i pochylając głowę. - Piszę muzykę. Wiedeńską muzykę.

- Walce?
- Walce! - powtórzył z pogardą. - Oczywiście, że nie! Prawdziwą muzykę!
- Ach, tak? - powiedziałem. Zwróciłem na siebie uwagę przechodzącego

kelnera i tym razem wybrałem miejscowego szampana. Smakował dokładnie tak samo jak *Gspritzer*.

- Nie - mówił Scolik - nie napisałem słynnego *Jodłującego śpiewaka* ani pieśni pasterskich w rodzaju *W Salzkammergut ludzie są weseli*. - Mam nadzieję, że nie jest pan nadmiernie zawiedziony.

- Nie, nie jestem.

- To bitwa przeciwko historii - oznajmił. - My, Austriacy, posuwamy się we wszystkim do przesady, nie uważa pan?

- Nie.

- Ale to prawda. Nasz narodowy strój jest groteskowy, nasza wersja języka niemieckiego jest niezrozumiała, nasza kuchnia niestrawna, a nasza biurokracja niereformowalna. Nawet nasze krajobrazy i nasz klimat są absurdalne i ekstremalne. Góry i śniegi! Jak ja tego wszystkiego nienawidzę! Przeciętny cudzoziemiec, zapytany o słynnego Austriaka, odpowiada: Julie Andrews.

Nie spodziewałem się, że wywołam w nim taki wybuch podniecenia.

- Ja pomyślałbym raczej o Mozarcie - wtrąciłem pospiesznie. Ale to najwyraźniej rozwścieczyło go jeszcze bardziej.
- Proszę mi nie mówić o Mozarcie! Ten cholerny kraj jest zniewolony przez pamięć o nim. My, muzycy, jesteśmy więźniami Mozarta i jego żalosnej osiemnastowiecznej muzyki. Rum tum tum, trara bum! Gardzę Mozartem!
- Myślałem, że wszyscy go lubią.
- Lubią go Anglicy. Ta anemiczna osiemnastowieczna muzyka pasuje do ich bezkrwistego temperamentu.
- Może istotnie tak jest - powiedziałem, porzuciwszy nadzieję, że uda mi się poskromić jego zły humor.
- Nieżyjący kompozytorzy! Oni lubią tylko nieżyjących kompozytorów. Dopóki Mozart żył, sadzano go wśród służby; o jedno miejsce wyżej od kucharzy, ale znacznie poniżej lokajów. Tak traktują muzyków, którzy jeszcze żyją.
- Chyba nie gardzi pan naprawdę Mozartem? - spytałem.
- Rum tum tum, trara bum!
- Trzeba docenić głębię psychologiczną, dramatyczną spójność i subtelność muzyczną - powiedziałem tonem znawcy.
- Bzdury! Po co ten niemądry smarkacz zmarnował tyle czasu na pisanie niemieckich oper - muzyki dla dzieci? Czy nie widział, że przyszłość opery zakodowana jest w subtelnym geniuszu Włochów? Proszę posłuchać *Traviaty*. Usłyszysz pan pasję... głębokie ludzkie uczucia odbijające się w soczystym brzmieniu dużej orkiestry; usłyszysz pan muzykę napisaną przez naprawdę genialnego kompozytora, który wiedział o sztuce śpiewu znacznie więcej niż ten mały Mozart.
- Andras! - zawołał ktoś z drugiego końca pokoju. - Czy możesz tu przyjść i rozstrzygnąć pewien spór?

Agresywny muzyk uklonił mi się sztywno i rozlewając kilka kropli swego wina odszedł majestatycznym krokiem. Pociągając z kieliszka rozglądałem się po pokoju. Nastrój zebranych wyraźnie się poprawił. Nie objawiali znużenia, tak często demonstrowanego przez grabarzy umierającego przyjęcia; zdawali się na coś czekać, ale ja nie miałem pojęcia na co.

Rozejrzałem się po pokoju. Odniosłem wrażenie, że w trakcie przygotowań do tego przyjęcia wyniesiono z niego część mebli. Jaśniejsze prostokąty na ścianach ujawniały miejsca, z których zdjęto duże obrazy, zastępując je mniejszymi. Nieliczne

pozostałe meble - intarsjowane stoliki i kredens w stylu Hepplewhite były antykami najwyższej klasy. Ale moją uwagę zwrócił zestaw, który dostrzegłem w przeciwległym kącie pokoju, a który został z pewnością specjalnie zaaranżowany po to, by zachwycić jakiegoś bogatego klienta. Za trzema przepięknymi krzesłami, noszącymi wyraźne cechy geometrycznej secesji, wisiały dwa wspaniałe plakaty Schielego. Podeszedłem bliżej, by obejrzeć krzesła. Mój niechętny gospodarz musiał zauważyć, że podziwiam jego sprzęty, bo zbliżył się do mnie z uśmiechem, niosąc butelkę szampana.

- Mam nadzieję, że Andras nie potraktował pana zbyt agresywnie - powiedział, napełniając mój kieliszek. Chyba już pogodził się z tym, że wtargnąłem na jego przyjęcie.

- Rozmowa z nim była bardzo pouczająca.

- Czy jest pan dyplomata? - spytał z uśmiechem, marszcząc nos. - A może londyńska Centrala postanowiła przysyłać nam teraz ludzi bardziej subtelnych?

Steiger był młodszy ode mnie o jakieś dziesięć lat, ale potrafił wygłosić taką uwagę, nie budząc we mnie ani gniewu, ani urazy. Czy to jako baron Steiger w Wiedniu, czy jako *Hen Hoffmann* w Salzburgu, czy wreszcie, jak Bóg raczy wiedzieć kto, w innych odwiedzanych przez siebie miastach, odznaczał się owym wiedeńskim *Zauber*, który reszta świata uważa za tandetny wdzięk.

- Andras przeżył dziś wieczorem wielkie rozczarowanie - powiedział. - Od dziesięciu lat starał się doprowadzić do wykonania swego kwartetu smyczkowego. Odbyło się to właśnie dziś. Jego lojalni przyjaciele przyszli na koncert, ale było nas zbyt mało, by zapełnić widownię. - Wypił łyk szampana. - Co gorsza, Andras zdał sobie chyba sprawę z tego, że jego kompozycja nie jest w gruncie rzeczy dobra.

- Biedny Andras.

- Jego rodzice są właścicielami *Scolik Konditorei* - stwierdził z ironią Steiger. - Zna pan tę firmę? Każdego popołudnia stare damy ustawiają się w kolejce, by zjeść kawałek wypiekanego tam słynnego makowego strudla z wielką ilością *Schlagobers*. Taka firma jest lepsza niż kopalnia złota. Ten strudel pomoże mu przeżyć kryzys osobowościowy, polegający na braku wiary w siebie.

- Tak się to nazywa? - spytałem.

- Ten strudel? - spytał drwiącym tonem. - Ach, chodzi panu o ten kryzys.

Jutro będzie musiał stawić czoło opiniom krytyków. A krytycy wiedeńscy to ludzie

bezwzględni.

- Karl! - zawołała jakaś drobna kobieta o ostrych rysach, z której zachowania mogłem się łatwo domyślić, że jest żoną Steigera. Ignorując moją obecność zwracała się tylko do niego: - Karl, przyszła Anna-Klara. - Dotknęła jego ramienia.

Zastanawiałem się, czy wie o innych wcieleniach swego męża. Być może sądziła, że należę do tego obcego jej świata, w którym obraca się Steiger.

- Naprawdę? - zapytał z radosnym uśmiechem gospodarz. – *Kolossal*.

Dowiedziałem się później, że uważał wizytę tej damy w swoim domu za ważny sukces towarzyski. Rozejrzał się po pokoju, by sprawdzić, czy jakiś szczegół wyposażenia nie skompromituje go w oczach znakomitego gościa, i dostrzegł tylko mnie. Przez chwilę myślałem, że ukryje mnie w szafie, ale przełknął tylko ślinę, spojrział przepraszająco na swą żonę i - jakby tłumacząc jej swe położenie, powiedział:

- Kiedy goście się rozejdą, będę musiał popracować trochę z panem doktorem Samsonem. Wygładził rzadniejące włosy, jakby chciał się upewnić, że nadal są na swoim miejscu.

Jego żona spojrzała na mnie i posepnie kiwnęła głową. Wiedziała, że nie jestem żadnym doktorem; prawdziwy doktor obdarzony zostałby tytułem barona, a prawdziwy baron tytułem księcia. Takie obyczaje panowały w Austrii. Uśmiechnąłem się, ale nie zareagowała na to. Była sumienną austriacką żoną i pozwalała mężowi decydować o sprawach dotyczących jego pracy. Ale nie musiała darzyć sympatią jego podejrzenie wyglądających współpracowników.

- Oto Anna-Klara - powiedziała.

Okazało się, że wszyscy czekali na pojawienie się honorowego gościa - sopranistki, która śpiewała tego wieczora w operze. Kiedy weszła do pokoju, było to entree godne szacunku okazywanego jej przez pozostałych gości. Wkroczyła energicznym krokiem, powiewając malowniczo długą suknią. Miała wysoko upięte włosy, które lśniły od klejnotów. Jej makijaż był trochę przesadny, ale był to makijaż osoby, która zeszła niedawno z operowej sceny.

Pozostali goście powitali ją zgodnym szmerem, wyrażającym mieszaninę szacunku i sympatii. *Gnndige Frau*, mając po obu stronach państwa Steiger, podchodziła kolejno do zebranych, jak generał przeprowadzający inspekcję gwardii honorowej. *Doktor doktor* i *Frau doktor*, jego żona, złożyli jej niski ukłon, małżonka

wysokiego urzędnika - *Frau Kommerzialrat* - dygnęła ceremonialnie, *Herr Hofrat*, radca dworu nieżyjącego już od dawna cesarza Habsburga, pocałował ją w rękę. Anna-Klara skierowała do każdego kilka miłych słów; nie szczędziła też komplementów Andrasowi Scolikowi i jego utworowi na kwartet smyczkowy, którego nie słyszała. Scolik rozpromienił się. Pochwaliła go sama Anna-Klara. A poza tym nadal mógł liczyć na dochody ze sprzedaży strudla.

Był to brawurowy występ, a Anna-Klara, wykazując niezawodny instynkt, wypita tylko kieliszek szampana i zaczęła się żegnać. Po jej wyjściu przyjęcie szybko się skończyło.

Była już północ, kiedy zasiadłem z Karlem Steigerem w gabinecie na zapleczu sklepu. Zegary na wszystkich wieżach kościelnych Wiednia ogłaszały nadejście godziny duchów. W pokoju śmierdziało politurem, więc Steiger uchylił okno, choć na dworze panował dotkliwy nocny chłód. Potem przelożył w inne miejsce stos nie otwartych listów, opartych o antyczny zegar stojący na biurku, i sprawdził, czy zegar dobrze idzie, zerknąwszy na swój ręczny zegarek. Był to piękny zegar, a jego tarczę zdobiły wizerunki tancerek. W oszklonej kasetce wesoło tykał mechanizm. Steiger spojrzał na mnie z uśmiechem i kiwnął głową, jak ojciec popisujący się przed gośćmi fortepianowym występem swego dziecka. Potem, wyraźnie zadowolony, poprzekładał jeszcze kilka książek i papierów, by zrobić miejsce na biurku, na które lampa z zielonym kloszem rzucała idealny krąg światła.

- Co się stało? - spytał w końcu.
- Nie kupiłem jej - odparłem. Nie zamierzałem rozmawiać z nim o śmierci Johnsona ani wspominać o moich podejrzeniach wobec Thurkettle'a.
- Czego pan nie kupił? - Znów zaczął przenosić jakieś książki.

Wyjąłem z kieszeni marynarki portfel i ułożyłem kolorową fotografię koperty dokładnie w centrum padającego na biurko kręgu światła.

- Tego - odpowiedziałem, wygładzając reprodukcję. – Nie kupiłem tej koperty.

Steiger położył książki na jakiejś komodzie i spojrzał na fotografię. Potem bez słowa wziął do ręki plik nie otwartych listów. Przerzucił je pospiesznie i wybrał paczkę opatrzoną dużymi, imponującymi stemplami firmy kurierskiej. Była to niewielka mocna koperta, zabezpieczona metalowymi zszywaczami. Otworzył ją bez wysiłku i wysypał jej zawartość na biurko.

Na blat upadła niebieska koperta ze znaczkami Paragwaju i stemplami

Zeppelinpost; ta sama, którą przedstawiała leżąca obok kolorowa fotografia.

- Ale ja ją kupiłem - powiedział Steiger, uśmiechając się z zadowoleniem.
- O co w tym wszystkim chodzi? - spytałem, podnosząc z biurka kopertę,

która przysporzyła wszystkim tyłu kłopotów i zapewne stała się przyczyną śmierci Johnsona. Obracałem ją w dłoniach. Wyglądała jak niepotrzebny kawałek papieru i nie mogłem zrozumieć, dlaczego została sprzedana za tak wysoką cenę.

- Wiem tylko tyle, ile potrafię wyczytać między wierszami - odparł Steiger.

- Ale podejrzewam, że Amerykanie wysłali kogoś, kto miał pana przelicytować.

Musiałem porozumieć się z jednym z najpoważniejszych pośredników w Wiedniu - moim starym przyjacielem - i poprosić go, żeby kupił ją za wszelką cenę.

- Musiał to zrobić przez telefon.
- Nie było dość czasu, by wysłać kogoś do Salzburga.
- Licytator był przekupiony, licytacja została przeprowadzona w sposób nieuczciwy. W każdym razie licytacja tej koperty.

• Takie rzeczy się zdarzają - powiedział Steiger. - Nie miałem pojęcia, że Amerykanie będą próbowali ją przechwycić, bo dałbym panu więcej pieniędzy. Ale wszystko dobrze się skończyło. Kazano mi ją kupić - i kupiłem ją. - Podniósł kopertę i przyjrzał jej się pod światło.

- Czy jest coś w środku?
- Zazwyczaj wkłada się tam coś, co ją usztywnia i chroni; czasem jest to

kawałek tektury, polecający usługi jakiegoś dawno zapomnianego *handlarza* znaczkami. - Wyjął z szuflady piękny nóż do papierów wykonany z kości słoniowej i zaczął nim uderzać w otwartą dłoń.

• Wie pan, najlepsze licytowane okazy pochodziły z prywatnej kolekcji, którą zgromadził w latach trzydziestych słynny węgierski zbieracz poczty lotniczej, Zoltan Szarek. Był autorem wydanego w roku 1935 Katalogu Przesyłek Lotniczych, którego od dawna już nie można kupić. Licytacja części tego zbioru to koniec jednej z największych kolekcji świata. - Odwrócił w rękę nóż do papierów i otworzył ukryte w nim niewielkie stalowe ostrze. Potem, ku memu zdumieniu, rozciął nim ceną paragwajską kopertę.

Byłem zaskoczony tym aktem wandalizmu, bo wiedziałem już, jakie uczucia budzą okazy filatelistyczne w ludziach pokroju Steigera. Ale czekała mnie jeszcze jedna niespodzianka, bo w kopercie znajdowały się dwie fotografie formatu

paszportowego. Widać było, że zostały zrobione niedawno. Osoby przedstawione na zdjęciach postarzały się nieco od czasu, kiedy widziałem je po raz ostatni, a same odbitki były niewyraźne i pozbawione głębokich czerni, bo wykonano je na szarawym papierze, jakiego używa się w krajach, których nie stać na import srebra. Steiger położył je przede mną na biurku.

- Czy zna pan którąś z tych osób? - spytał.

Miałem przed sobą fotografie mężczyzny i kobiety. Mężczyzna był Rosjaninem, agentem KGB, używającym nazwiska Erich Stinnes, człowiekiem, którego zdjęcie pokazał mi w Berlinie Bower. Druga fotografia przedstawiała moją żonę.

Ale to nie było wszystko. Kopertę usztywniono za pomocą dwóch niewielkich kart identyfikacyjnych. Zostały one wydrukowane na tandetnym różowym papierze, na jakim drukuje się w krajach Europy Wschodniej oficjalne dokumenty. Były to dwie jednorazowe wizy wjazdowe: jedna osoba, jedna podróż, jeden wjazd do socjalistycznej republiki ludowej, jeden wyjazd. Obie opatrzone stemplami Stanniej Tajnej Bezpečnosti - Czechosłowackiej Tajnej Służby Bezpečestwa. Do jednej z nich przyklejona była fotografia Steigera, do drugiej moja.

10

Przylegającym do północnej granicy Austrii regionem Czechosłowacji są Morawy. Moglibyśmy tam dojechać z centrum Wiednia stosunkowo szybko, gdybyśmy nie trafili po drodze na festiwal Haydna. Kontrola graniczna po stronie austriackiej trwała tylko chwilę; Steiger pokazał nasze dokumenty i pozwolono nam jechać dalej. Ale po stronie czechosłowackiej sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej.

Jest to ruchliwy punkt graniczny, leży bowiem na głównej szosie łączącej Wiedeń z Pragą i Berlinem. Tutaj, w przesmyku pomiędzy Alpami a Karpatami, wiatry wiejące z rosyjskich stepów powodują nagłe spadki temperatury i nawet w najcieplejszym ubraniu można przemarznąć do szpiku kości. Tego dnia w kolejce oczekiwały liczne samochody osobowe oraz chyba ze dwadzieścia ciężarówek, które przyjechały z wszystkich zakątków Europy. Ich kierowcy, zamknawszy szczelnie okna, drzemali, gawędzili lub czytali, oczekując cierpliwie na wezwanie do baraku pomalowanego szarą farbą, w którym czytano i niechętnie sprawdzano ich dokumenty

oraz listy przewozowe. Robili to ospali, umundurowani biurokraci, którzy mieli poplamione atramentem palce i byli wyposażeni w regularnie oliwione pistolety.

Baron Steiger, alias Otto Hoffmann, który miał tego dnia na głowie ciemną kędzierzawą perukę, odebrał mnie z wiedeńskiego hotelu, do którego udałem się po wyjściu z jego domu. Jechaliśmy białym podobnym do jeepa samochodem marki Subaru, wyraźnie rzucającym się w oczy na tle egzotycznej kolekcji samochodów wschodnioeuropejskich. Były to przeważnie zabłocone lądy i śmierdzące dwutaktowe wartburgi. Zauważyłem wśród nich przelakierowaną na różowo skodę kabriolet i piękny stary okaz marki Tatraplan, z dużymi wlotami powietrza chłodzącego umieszczony z tyłu silnik. Steiger, wyniośle lekceważąc kolejkę, podjechał na sam jej początek i zaparkował niedbale obok oszklonej budki. Stało przy niej kilku czechosłowackich kontrolerów, którzy z wyraźnym znudzeniem podziwiali otaczający nas krajobraz.

- Proszę zaczekać w samochodzie - powiedział Steiger i podszedł do wartownika. Rozpoczął z nim ożywioną wymianę zdań, w trakcie której kilkakrotnie wskazywał palcem nasze różowe karty identyfikacyjne. Nie wiem, po jakiemu mówił wartownik, ale Steiger najwyraźniej potrafił się z nim dogadać, bo reakcja wartownika była przychylna i natychmiastowa. Kiwnął potakująco głową, a potem podniósł wzrok i zaczął machać ręką w kierunku dużego zielonego samochodu, zaparkowanego tuż za punktem kontrolnym, po stronie czechosłowackiej. Do Steigera podeszli szybkim krokiem dwaj oczekujący w nim mężczyźni w cywilnych przeciwdeszczowych płaszczach. Obaj byli wysocy i mocno zbudowani; obaj zachowywali się tak, jakby chcieli zademonstrować wszystkim, że są funkcjonariuszami Pierwszego Wydziału STB. Jest to najbardziej sprawna tajna służba bezpieczeństwa w całej Europie Wschodniej; jej główna kwatery mieści się w starym praskim klasztorze - wybór ten nie był zapewne dziełem przypadku. Wartownik natychmiast podniósł barierę.

- Wszystko w porządku - mruknął Steiger, siadając ponownie za kierownicą. Przez otwarte drzwi wdarł się do samochodu podmuch chłodnego powietrza.

- Wszystko w porządku - powtórzyłem jak echo. - To jakaś miła zmiana na lepsze.

- Co?

- Całe to zawracanie głowy z aukcją znaczków... zakończone w dodatku fiaskiem.

- To rutynowy sposób przekazywania dokumentów - powiedział beztróskim tonem. - Tym razem załatwiła to Praga; zwykle wszystko idzie jak w zegarku.

- Może ktoś powinien im powiedzieć, że żyjemy w epoce zegarków kwarcowych.

- Cenę podbijali Amerykanie. Ktoś poinformował ich, o co chodzi.

Wiedeńska placówka CIA wysłała do Salzburga swojego człowieka, dając mu mnóstwo pieniędzy.

- Cóż, my działamy inaczej - powiedziałem z wyrzutem, mając na myśli skąpą sumę wyasygnowanych mi szylingów.

- Nikt nie jest w stanie przelicytować Amerykanów – stwierdził Steiger. - Mieliśmy szczęście, że udało mi się to załatwić.

Kiedy mineliśmy punkt kontrolny i wjechaliśmy w zaminowaną strefę nadgraniczną, w której przerzedzono drzewa oraz krzewy, dogoniliśmy zielony samochód służby bezpieczeństwa.

- Będą nas eskortować - oznajmił Steiger.

- Doprawdy? - spytałem, starając się okazać zadowolenie. Jechaliśmy za nimi przez całe Morawy. Potem zielony wóz skręcił na główną szosę do Pragi. Nawierzchnia była w tak kiepskim stanie, że Steiger, nie chcąc pozostać z tyłu, musiał włączyć napęd na cztery koła.

Jest to niezwykła, nieszczęsna kraina; ponure dziedzictwo historii. Za życia poprzedniego pokolenia niektóre z mijanych przez nas rejonów należały do najlepiej prosperujących w całym kraju. Po upadku cesarstwa w tych uroczych małych miasteczkach, pełnych drzew, którymi obsadzano główne ulice, i barokowych domków ustawionych na głównych placach, mieszkali niemieckojęzyczni obywatele Czechosłowacji.

Ale Adolf Hitler postanowił przyłączyć do Rzeszy te przygraniczne tereny i wykorzystał istnienie *Volksdeutsche* jako pretekst. To właśnie były owe „odległe terytoria”, w których obronie brytyjski premier - inicjator pierwszego „spotkania na szczycie” w najnowszych dziejach świata - nie chciał prowadzić wojny. Wtedy właśnie słowo „ustępstwa” nabrało nowego, pejoratywnego znaczenia, a słowo „Monachium” stało się synonimem kapitulacji. Tu mieszkali Czesi, którzy wymachiwali flagami ze swastyką i radośnie pozdrawiali niemieckich najeźdźców w ich własnym języku.

Ale po zwycięstwie nad Hitlerem stalinowski rząd urzędujący w Pradze brutalnie wypędził z kraju trzy i pół miliona niemieckojęzycznych Czechów. Wygnańcy mieli tylko kilka godzin na przygotowanie się do drogi i wolno im było zabrać tylko tyle dobytku, ile mogli udźwignąć. Piechotą przeszli przez granicę i znaleźli nową ojczyznę. Opuszczone domy zostały obrabowane przez upoważnionych funkcjonariuszy i przez szabrowników. Potem, kierując się nie tyle zdrowym rozsądkiem, ile względami politycznymi, oddano je w użytkowanie Cyganom i włoczęgom. Tylko nieliczni spośród tych przymusowych lokatorów pozostali w nich do dziś.

Jechaliśmy przez wioski będące przykładem ambiwalentnej polityki władz wobec tych dawnych „niemieckich obszarów”. Tu właśnie ociążała komunistyczna biurokracja, obciążona trudnym dziedzictwem historii, najwyraźniej demonstrowała swą nieudolność, wydając mnóstwo sprzecznych z sobą zarządzeń. Stare budynki były na wpół zrujnowane; nowe - w połowie ukończone. Przed domami leżały stosy gruzu, a nie wykończone skorupy z pustaków czekały na dachy i okna, które nigdy nie miały zostać dostarczone.

Minęliśmy jakieś opuszczone miasteczko, płasząc stado wychudzonych psów, które rozbiegły się, nie próbując nawet szczekać. Nigdzie nie było żywej duszy. Okna budynków okalających rynek - niegdyś pokrytych żółtym tynkiem w stylu Marii Teresy, teraz wyszczerbionych i odrapanych - były zabite deskami. Podobnie jak witryny sklepów.

- Steiger, pytam pana po raz ostatni - oznajmiłem, próbując uparcie podkreślić ogrzewanie. - Kiedy powie mi pan wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi?

Powiedziano mi w Londynie, że mam się stosować do jego poleceń. Robiłem to, ale nie zachwycała mnie rola człowieka, który porusza się po omacku.

Steiger kręcił się na fotelu, jakby zaczynał mu sztywnieć kręgosłup.

- Nie mogę tego zrobić - odparł życzliwym tonem, takim samym, jakim mówił mi to już wiele razy podczas tej nie kończącej się, nużącej podróży. - Kazano mi dowieźć pana do miejsca przeznaczenia. To wszystko.

- I odwieźć mnie z powrotem?

- Tak - odpowiedział z uśmiechem. - Mam pana odwieźć z powrotem. O czwartej. To wszystko, co wiem.

Do tej pory nasza skąpa wymiana zdań ograniczała się do krążących po Wiedniu plotek, dotyczących przeważnie ludzi, których znałem mało albo wcale. Co

gorzej, musiałem słuchać obszernych wywodów Steigera na temat wypiekanych w Wiedniu ciast, szczególnie różnych *Torten*. Wytłumaczył mi drobiazgowo, dlaczego woli prostotę jednowarstwowego *Linzentorte* od wszystkich innych smakołyków Sachera. Odkrył przede mną wszystkie sekrety delikatnego *Haselnusstorte* Demela i wytłumaczył mi, które z licznie produkowanych tam *Torten* zyskują po dodaniu do nich porcji bitej śmietany, a którym taki dodatek mógłby zaszkodzić. Podał mi nawet adres pewnej kawiarenki, w której napelniano *Sachertorte* tak doskonałą brzoskwiניową masą, że był lepszy niż u Sachera.

- Jak mam się zachować podczas tego spotkania? Czy pańscy mocodawcy wspomnieli o tym w swojej instrukcji?

Z widocznym trudem oderwał myśli od ciastek.

- Oznajmili mi, że sam pan będzie to wiedział.
- Czy moim rozmówcą będzie jakiś Rosjanin?
- Powiedziałem, że nie wiem. To prawda; nie wiem. Niedługo będziemy na miejscu.

Był rozczarowany, że tak chłodno przyjąłem jego wykład na temat ciast. Być może w innych okolicznościach wysłuchałbym go z przyjemnością, a nawet przyłączył się do jego plotkarskiej podróży po Wiedniu. Ale nie dziś.

Chmury były ciemne; w przymglonym świetle dnia odległe góry wydawały się nienaturalnie duże. Wszystko było szare: niebo, góry, zabudowania chłopskie, nawet śnieg. Krajobraz przypominał złą odbitkę fotograficzną - nie było w nim czerni ani bieli. Tak wyglądało teraz życie w Europie Wschodniej. Zniknęła wiara w przyszłość. Komunizm upadł, ale kapitalizm nie nadszedł; wszyscy starali się przetrwać, wykonując rozkazy, ale nie wierząc w ich sens.

Nawierzchnia stała się jeszcze gorsza, więc jechaliśmy wolniej. Dotarliśmy do skrzyżowania dróg, na którym parkowały na poboczu dwie pomalowane na brązowo ciężarówki. Za drugą z nich stali trzej żołnierze w polowych mundurach i hełmach owiniętych siatką maskującą. Kiedy podjechaliśmy bliżej, stwierdziłem, że jeden z nich jest oficerem; pozostali dwaj, uzbrojeni w przewieszane przez ramię pistolety maszynowe, byli podoficerami. Odwrócili głowy i patrzyli w ślad za naszym samochodem.

Właśnie na tym skrzyżowaniu skręciliśmy w jeszcze gorszą drogę. Wkrótce zielony samochód zatrzymał się i zjechał na pobocze, puszczając nas przodem. Kiedy go mijaliśmy, siedzący w nim mężczyźni przyglądali nam się z ciekawością, rzadko

demonstrowaną przez ludzi ich zawodu. Steiger nie wydawał się tym zaniepokojony. Droga biegła teraz w górę, a nasz samochód podskakiwał na wyboistej nawierzchni pełnej zamrożonych kałuż. Na okolicznych polach topniały płaty śniegu, odsłaniając zmrożoną ziemię. Ptaki krążyły po niebie, jakby zastanawiając się, gdzie spędzić noc. Wszędzie było dużo śniegu. Po obu stronach wąskiej bocznej drogi leżały wysokie zasy lśniące od kryształków lodu. Nie dostrzegłem na nich osadu spalin, pozostawionego przez przejeżdżające samochody.

- Są już na miejscu - powiedział Steiger. - Widać ślady opon.
- Tak - odparłem.
- A może przejeżdżała tędy ekipa, której polecono usunąć urządzenie

podsluchowe.

- Czy przywiózł pan coś do jedzenia?
- Myślałem, że zdążymy zatrzymać się gdzieś po stronie austriackiej. Nie

spodziewałem się, że dojedziemy z takim opóźnieniem - powiedział z żalem. Oderwał rękę od kierownicy, by pokazać mi leżące przed nami gospodarstwo rolne.

Było ono chyba zbudowane w dawnych czasach, w których rolnik musiał być równocześnie wojownikiem, bo stało na szczycie wzgórza, z którego można by ostrzeliwać całą szeroką dolinę rozciągającą się za nami. Wśród zabudowań rzucały się w oczy dwie olbrzymie stodoły; ich dachy były pokryte śniegiem. Okazała bramę wjazdową zdobił niegdyś wyrzeźbiony w kamieniu herb; został on celowo zniszczony, ale nie skuty do końca, bo nadal widniał na nim bezgłowy lew, trzymający się kurczowo połówki tarczy. Pod ścianą zrujnowanej budki strażnika kryli się przed wiatrem dwaj czescy policjanci drogowi siedzący na motocyklach. Kiedy przejeżdżaliśmy obok nich, przyglądali się nam uważnie.

Po przekroczeniu bramy jechaliśmy przez chwilę długą drogą dojazdową, mijając parujące drewniane koryta i chlewy ze stalowej blachy falistej, a potem znaleźliśmy się przed głównym niegdyś budynkiem ufortyfikowanego gospodarstwa.

Samochód z trudem zmieścił się w niskim, wąskim prześwicie w murze, wjechał na wykładany kocimi łbami dziedziniec i zatrzymał się przed tylnymi drzwiami wiejskiego domu mieszkalnego, na którego ścianach dostrzec można było resztki ludowych malowideł, przedstawiających kwiecisty ornament. W rogu obszernego dziedzińca stała jakaś duża rdzewiejąca maszyna rolnicza. Stado kur, na chwilę przestraszone przez samochód, podjęło na nowo poszukiwanie pokarmu między kamieniami. W powietrzu unosił się smród palonych odpadków; być może

były to wyziewy z zanieczyszczonego pieca.

Na dachu stali dwaj mężczyźni; obaj mieli w rękach duże wojskowe lornetki. Dwaj inni ludzie, w krótkich skórzanych kurtkach i wysokich butach, siedzieli na ustawionej w kącie dziedzińca ławce. Mieli kapelusze nasunięte na oczy i byli rozparci jak podpici amatorzy słońca, ale ich swobodna poza świadczyła o tym, że są to ludzie przyzwyczajeni do wielogodzinnego oczekiwania w bezruchu. Zauważyłem też, że górne guziki ich kurtek były rozpięte, tak że mogli w razie potrzeby szybko sięgnąć po broń.

Patrzyli na nas spod na wpół przymkniętych powiek, nie ruszając się z miejsca. Wsiadłem i czekałem na Steigera, który starannie zamykał samochód.

Nagle z jakichś drzwi wypadł z głośnym szczekaniem duży czarny kundel. Podbiegł do mnie i lekkomyślnie zapominając o swej obroży, rzucił mi się do gardła. Ale w tym momencie napiął się ograniczający swobodę jego ruchów łańcuch, więc przyduszony na skutek gwałtownego szarpnięcia upadł na ziemię. Nadal szarpał się gwałtownie, warczał, szczyrzył zęby, przesadnie demonstrując swą agresywność w sposób typowy dla psów, które nie mogą dopaść potencjalnej ofiary.

Siedzący na ławce mężczyźni śledzili atak jego furii z całkowitą obojętnością. Steiger parsknął nerwowym śmiechem i sprawdził, czy kapelusz kryjący jego perukę nie przekrzywił się.

- Niech pan wejdzie - powiedział. - Będę tu na pana czekał.

W tym momencie zacząłem się już domyślać, co mnie czeka.

Wewnątrz budynku panował półmrok; wybite w grubych murach okienka umieszczone były bardzo nisko. Podłogę pokrywały szorstkie, powycierane płytki ceramiczne. Izba, do której wszedłem, była skąpo umeblowana; dostrzegłem tylko ustawiony pod ścianą długi stół jadalny i kilka starych wyplatanych krzeseł. Fiona stała w ciemnym kącie pokoju.

- Bernard! - powiedziała szeptem.

W pierwszej chwili wydała mi się niższa i szczuplejsza niż dawniej. Potem, czując ukłucie wyrzutów sumienia, zdałem sobie sprawę, że odnoszę takie wrażenie, ponieważ od dawna już żyję z Glorią.

• Do cholery, co za obłąkańcza intryga przyszła ci znowu do głowy? - spytałem. Pod wpływem zdenerwowania mówiłem niewyraźnie, niemal bełkotliwie. Nadal ją kochałem, ale czułem przed nią lęk; nie wiedziałem, jaki ma do mnie interes,

a nie chciałem dać jej kolejnej szansy zrobienia ze mnie durnia.

- Nie złość się.
- Nie złość się - powtórzyłem ze znużeniem. Jej wystudiowana pasywność wzmogła mój gniew i zacząłem nagle na nią krzyczeć.

- Ty głupia, przewrotna dziwko! Co znowu knujesz? Czy oszalałaś do reszty?

Obejrzała mnie od stóp do głów i uśmiechnęła się. Nie miałem pojęcia, jakie pokłady wrogości kryją się w jej wnętrzu. Jeśli była na mnie równie zła, jak ja na nią, to nie okazywała tego. Poczekala, aż wyładuję swoją wściekłość, jakby od początku była pewna, że to nastąpi, i uśmiechnęła się ponownie. Nadal miała ten sam cudowny uśmiech, który poraził mnie podczas pierwszego spotkania. Był to uśmiech pełen humoru, nieco ironiczny i zapraszający mnie do udziału we wspólnej zabawie kosztem otaczającego nas świata. Zaproszenia tego nigdy nie byłem w stanie odrzucić.

- Nie ma tu nic do jedzenia. Kompletnie nic. Wiedziała, że będziesz głodny.

Mówiła, może celowo, głosem pozbawionym wyrazu, i choć była moją żoną, nie potrafiłem rozszyfrować jej uczuć. Zawsze tak było. Niekiedy zastanawiałem się, czy właśnie ta enigmatyczność nie była w moich oczach jej głównym walorem i czy ja również byłem dla niej w pewnym stopniu człowiekiem zagadkowym. Ale chyba potrafiła mnie rozszyfrować niemal do końca.

- Bernard, kochanie. - Usiłowała mnie objąć, ale cofnąłem się gwałtownie.
- Jak się mają dzieci? - spytała. Czułem ciepło jej ciała i byłem odurzony zapomnianym już niemal aromatem jej perfum.
- W porządku. Tęsknię za tobą. Wszyscy za tobą tęsknimy - poprawiłem się. Spojrzała na mnie z ironiczną życzliwością. - Billy jest wysoki. Chyba twojego wzrostu. Ma bzika na punkcie samochodów. Zbiera plakaty i modele. Ma nawet duży plastikowy silnik, który ciągle rozbiera i składa.
- Czy był to twój gwiazdkowy prezent? - spytała, demonstrując swą niezwykłą intuicję. Próba ukrycia czegoś przed nią była szaleństwem, a jednak nadal próbowałem to robić.

- Tak. Miał naklejkę: „zabawka edukacyjna”.

Zaśmiała się krótko; zawsze kpiła ze mnie, twierdząc, że daję się nabrać na wszystkie tego rodzaju naklejki reklamowe.

- Sally została wybrana do roli Porcji w szkolnym przedstawieniu. Billy jest chyba trochę zazdrosny.

- Tak, to do niego podobne. To on ma uzdolnienia aktorskie. Porcja? Czy wystawiają *Kupca weneckiego*?

- *Juliusza Cezara.*

- Ach, prawda, oczywiście.

- *Jestem ja połową*

Twoją pod pewnym tylko, marnym względem; Na to jedynie, aby z tobą dzielić

Twój stół i łóżko rozweselać,

I łada kiedy przemówić do Ciebie?

Toż ja więc mieszkam tylko na przedmieściu

Powszednich uciech twoich? W takim razie

Porcja jest tylko prostą nałożnicą,

Ale nie żoną Brutusa.

- Masz niezwykłą pamięć.

- A odpowiedź męża brzmi:

- *Ty jesteś prawą, zacną żoną moją, Tak drogą dla mnie jak ta krew, Co wre w moim sercu stroskanym.*

(Przekład Józefa Paszkowskiego)

- Czy nie kazano ci czytać Szekspira w szkole?

- Kazano mi go czytać po niemiecku. Roześmiała się, wyraźnie rozbawiona.

- Ja też dużo teraz czytam: Dickensa, Jane Austen, Trollope'a, Thackeraya, Szekspira.

Głęboko w mojej świadomości zabrzmiał sygnał alarmowy. Wymieniła samych angielskich autorów. Większość pracowników wywiadu uznałaby to za objaw tęsknoty za krajem. Ale nie powiedziałem jej tego. Powiedziałem natomiast:

- Porcja będzie miała piękny kostium: niebieski ze złotą lamówką.

Wyciągnęła do mnie rękę. Podałem jej swoją. Ten zabawny gest wydał mi się zdumiewająco intymny. Jej dłoń była drobna i ciepła; zawsze miała ciepłe ręce.

- Jakież to absurd, że sprawy wyglądają w taki sposób - powiedziała i dodała szybko, jakby chcąc uniknąć dalszej dyskusji na ten temat: - Ogromnie trudno mi było ruszyć się z Berlina, a potem nagle okazało się, że muszę jechać na jakąś konferencję do Pragi i wszystko poszło gładko. - Wygłosiła to ostatnie zdanie

nieprzekonująco wesołym głosem. Takim samym sztucznie żartobliwym tonem oznajmiała mi dawniej, że Billy miał grypę, więc nie udało mu się przyjęcie urodzinowe, albo że otworzyła nieostrożnie drzwi samochodu i uszkodziła lakier. - Jak wiele ci powiedzieli?

Cofnąłem się, by na nią spojrzeć. Była równie piękna jak dawniej. Jej włosy były mocno ściągnięte do tyłu; przyjęła ten surowy styl po przeniesieniu się na Wschód. Miała na sobie prostą zieloną suknię, która mogła pochodzić z firmy Chanel, ale podejrzewałem, że została uszyta przez jakąś odkrytą w sąsiedztwie znakomitą krawcową. Fiona zawsze umiała znaleźć jakiś „skarb”, który potrafił spełnić jej wszystkie życzenia. Na palcu miała otrzymaną ode mnie ślubną obrączkę. Opuściła wzrok na nasze zaciśnięte dłonie, jakby chciała na nowo złożyć przysięgę małżeńską. Była tą samą zachwycającą dziewczyną, którą z taką dumą poślubiłem, Ale było to przed wiekiem, a ostatnie pełne napięcia lata wyraźnie ją zmieniły. Dostrzegłem w niej coś, czego nigdy nie widziałem przedtem: znużenie czy może lęk? Może dlatego wydała mi się w pierwszej chwili tak drobna.

- Zgubiłaś pierścionek zaręczynowy - powiedziałem, kiedy uwolniła swoją dłoń.

- Kupimy nowy.

Milczałem.

- Pracowałam wtedy w Dreźnie. Zginął pewien człowiek. Była to straszna noc. Myłam ręce w szpitalu. Byłam rozkojarzona. Zatrzymałam samochód i wróciłam tam, ale pierścionka już nie było i nikt go nie widział.

Zaciskała mocno dłonie, jakby opowiadanie mi o zgubionym pierścionku było zadaniem przerażająco trudnym. Ale widziałem, że jest równie nieustraszona jak dawniej. Wiedziałem, jak tłumi lęki siłą woli; zachowywała się wtedy jak wielka aktorka, która musi zagrać mało przekonującą postać i tchnąć w nią życie. Nie dając mi czasu na odpowiedź, stwierdziła rzeczowo:

- Te spodnie nie pasują do tej marynarki. Nowa kobieta twojego życia za mało o ciebie dba, kochanie.

Była teraz chłodna i opanowana, jakby wyrzuciła już z myśli okropne wspomnienia.

- Nie narzekam.
- Czy prasuje twoje koszule? Zawsze byłeś na tym punkcie

przewrażliwiony. Czasem, choć jestem daleko od ciebie, zastanawiam się, kto odnosi

twoje rzeczy do pralni. To głupie, prawda?

W jej słowach wyczułem pewną gorycz. Jakby na chwilę ukazała swą dawną twarz. Oczywiście, były to żarty - wzmianka o pralni i indagacja dotycząca innych kobiet. Wszystko było żartem, dopóki Fiona miała na to ochotę; potem żarty kończyły się nagle.

- Jest uczciwa, jest lojalna i kocha mnie - wyznałem, sprowokowany jej sarkazmem. Natychmiast zresztą tego pożałowałem, zdawszy sobie sprawę, że o to właśnie jej chodziło. Poznawszy moje odczucia była gotowa przejść do meritum sprawy.

- Jak wiele ci powiedzieli? - spytała ponownie.

- Nic. Nie powiedzieli mi nic. - Przypomniałem sobie ostrożne odpowiedzi Stowe'a i jego zmarszczone czoło. Jego też najwyraźniej nie wtajemniczono w kulisy sprawy. Ciekaw byłem kto, do cholery, wie, co się właściwie dzieje.

- Współczuję ci, ale może tak było najlepiej.

- Wracasz na naszą stronę, prawda? - spytałem, wyrażając słowami przekonanie, którego nie budziły bynajmniej moje spostrzeżenia. - Mam rację, prawda? - Nawet teraz byłem niewzruszenie pewny, że przez cały czas pracowała dla Londynu.

- Już niedługo - odparła.

- Chyba nie jedziesz z powrotem do Berlina?

- Tylko na krótko.

- Po co?

- Wiesz, jak to jest... istnieją inni ludzie, którzy mogliby znaleźć się w niebezpieczeństwie. Muszę uporządkować pewne sprawy. Kilka tygodni, to wszystko. Może jest to tylko kwestia dni.

Nie odpowiedziałem. Pies, który zaatakował mnie na podwórzu, zaczął szczeekać, jakby na widok kogoś obcego. Fiona zerknęła na zegarek. Przypomniałem sobie nagle, jak wściekało mnie to, że praca w Departamencie była dla niej ważniejsza niż wszystko inne. Jej kariera zawodowa była dla mnie groźniejszym konkurentem niż najbardziej atrakcyjny kochanek. Musiała wyczytać z mojej twarzy, co czuję, bo powiedziała:

- Żadnych wyrzutów, Bernard. W każdym razie nie teraz.

Zrozumiałem w tym momencie, że źle pokierowałem całą naszą rozmową.

Popełniłem poważny błąd, biorąc jej pozę za dobrą monetę, a kobiety tego nienawidzą. Inny mężczyzna po prostu rzuciłby się na nią i zgwałcił ją w tej wiejskiej izbie, nie zważając na konsekwencje. Inna kobieta mogłaby mnie do tego sprowokować. Ale my byliśmy sobą - dwojgiem profesjonalistów, którzy rozmawiają o sprawach zawodowych jak mężczyzna z mężczyzną.

Cofnęła się o kilka kroków i patrząc na swą ślubną obrączkę, powiedziała:

- Tylko ja mogę podjąć w tej sprawie decyzję, a ja uważam, że muszę wrócić do Berlina.

- Więc po co tu przyjeżdżałaś? Po co podejmowałaś takie ryzyko? - spytałem. Byłem pewien, że wymyśliła przekonujący pretekst dla spotkania z przeciwnikiem, ale popełniała szaleństwo i ryzykowała życie, spotykając się akurat ze mną. Mógłbym wymienić wielu dobrych agentów, którzy zginęli przez podobną głupotę. Agentów, którzy chcieli po raz ostatni spotkać się z dziewczyną. Agentów, którzy nie mogli oprzeć się pokusie zjedzenia posiłku w ulubionej restauracji. Takich agentów jak stary Karl Busch, który ukrywał mnie w Weimarze przez trzy pełne napięcia dni, a potem, kiedy uszliśmy cało, wrócił po swoją kolekcję znaczków. Czekali na niego. Został przewieziony do kwatery służby bezpieczeństwa w Lipsku i nikt o nim więcej nie słyszał.

- Och, Bernard - powiedziała z westchnieniem.
- Po co?
- Ze względu na ciebie. Nie bądź taki tępy.
- Ja?
- Przekopujesz wszystkie dokumenty... wszystko, co dotyczy mnie... -

Bezradnie rozłożyła ręce.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że odbyłaś tę lekkomyślną wycieczkę tylko po to, by powstrzymać mnie od dociekania prawdy?

- Centrala londyńska robiła wszystko, by cię przekonać, ale ty uparcie działałaś po swojemu.

- Robiła wszystko zamiast po prostu powiedzieć mi prawdę - stwierdziłem ze wzburzeniem.

- Oni cię ostrzegali i powstrzymywali. W końcu uznali, że nie są w stanie cię przekonać. Nie wiedziałam, jak daleko się posuną... więc oznajmiłam, że musisz to usłyszeć ode mnie. Zorganizowaliśmy to oficjalne - ale nieformalne - spotkanie.

Londyn poczynił już pewne ustępstwa - wróć w chwale fachowego negocjatora.

Wszystko będzie w porządku.

- Ci cholerni durnie! Czy nie powiedziałaś im, na jakie niebezpieczeństwo się narażasz, siedząc tu i rozmawiając ze mną?

- Oni wiedzą, że to jest niebezpieczne, ale ty stale węszyłeś na wszystkie strony. Składałeś z tych fragmentów pełny obraz sytuacji. I zostawiałeś ślady. To było jeszcze bardziej groźne.

- Oczywiście, że węszyłem. A czego się ode mnie spodziewałaś? Przecież jesteś moją żoną. - Przerwałem gwałtownie. Byłem kompletnie wytracony z równowagi. Choć moja teoria okazała się słuszna, nadal nie mogłem uwierzyć w to, z czym miałem do czynienia: Centrala londyńska wysłała Fionę na Wschód, kazać jej pełnić rolę

podwójnej agentki, i postanowiła nie wtajemniczać mnie w całą operację. - Na miłość boską...

- Wydawało nam się wtedy, że to dobry pomysł - powiedziała spokojnie Fiona. Ale w jej głosie nie wyczułem nic, co sugerowałoby, że obecnie nie uważa już tego pomysłu za dobry.

- Komu się tak wydawało?

- Twoje zaskoczenie czy raczej zdumienie... twój gniew, oburzenie i wyraźna dezorientacja - wszystko to chroniło mnie, Bernard.

- Zadałem ci pytanie: komu się wydawało, że to dobry pomysł?

- Chciałam ci o wszystkim powiedzieć, kochanie. Upierałam się przy tym początkowo. Chciałam, żebyś brał udział w odprawach i przygotowaniach. Według pierwotnego zamysłu miałeś być moim oficerem kontaktowym, ale potem stało się jasne, że w tym przypadku nie może być mowy o częstych i regularnych kontaktach.

- Więc kto podjął decyzję wykluczającą mój udział?

- Początkowo Dyrektor Generalny był przeciwnikiem całego planu. Dawał mu nie więcej niż dwadzieścia pięć procent szans na powodzenie.

- Ja dałbym mu jeszcze mniej.

- I właśnie D-G postawił warunek, żebyś tobie nic nie mówił.

- D-G?... Sir Henry?

- No cóż, ma gorsze i lepsze dni.

- A więc im więcej robiłem zamieszania, tym było lepiej?

- Z początku, tak. I wszystko doskonale się udało - odparła Fiona. - W ciągu pierwszych tygodni Rosjanie otoczyli cię szczególnym nadzorem i przyglądali ci się z najwyższym zainteresowaniem. Kazali nawet jednemu ze swoich ekspertów od psychologii napisać specjalny raport na temat twojego zachowania. Erich Stinnes zdobył jeden egzemplarz i dał mi go do przeczytania. Ten psycholog napisał w nim, że żaden aktor nie potrafiłby odegrać takiej roli. I oczywiście miał słuszość. Właśnie twoje zachowanie przekonało ich do końca, że naprawdę jestem po ich stronie.

- Nie domyślili się prawdy? Że działasz bez porozumienia ze mną?
- W Związku Radzieckim kobiety mogą być pilotami myśliwców i operatorami wielkich dźwigów, ale małżeństwo jest tam uświęconą instytucją. Po drugiej wojnie, w której zginęły miliony ofiar, poglądy Marksa na małżeństwo - podobnie jak jego poglądy dotyczące wielu innych spraw - zostały na czas nieokreślony odłożone na półkę. Żony w ZSRR postępują tak, jak życzą sobie ich mężowie.

Patrzyłem na nią w milczeniu. Uśmiechnęła się. Zastanawiałem się, dlaczego właściwie cała ta sprawa była dla mnie zaskoczeniem. Fiona: kulturalna, wykształcona córka obłudnego dorobkiewicza, absolwentka Oxfordu, który ukończyła z wyróżnieniem, potem studiowała na Sorbonie język rosyjski. Podjęła pracę w Departamencie i wyszła za mąż za człowieka, który nigdy nie był w uniwersytecie i jeśli był przez kogoś szanowany, to tylko dzięki swej reputacji dobrego agenta operacyjnego. Dlaczego taka osoba nie miała się okazać radykalną zwolenniczką emancypacji kobiet? Dlaczego taka kobieta nie chciałaby zostać jeszcze lepszą agentką operacyjną, bez względu na koszty, na jakie narazi dzieci, mnie i wszystkie zainteresowane osoby?

- Kiedy się to wszystko zaczęło? - spytałem.
- Dawno temu - odparła wymijająco.
- W październiku 1978?

Była to noc kolejnego alarmu związanego z grupą Baader-Meinhof. Treść przechwyconej przez nas depechy armii sowieckiej przeciekła tak szybko z powrotem do Karlshorst, że wszyscy byli pewni, iż w Wydziale Operacyjnym działa supertajny rosyjski szpieg.

Fiona kiwnęła głową.

- Ty im przekazałaś ten przechwycony sygnał? Już wtedy pracowałaś na

dwie strony. - Zamilkłem na chwilę, by odtworzyć w pamięci bieg wydarzeń. - Dochodzenie w tej sprawie prowadził Joe Brody - chodziło o uspokojenie Amerykanów, którzy wpadli w panikę. W jakiś sposób udało ci się uniknąć jego podejrzeń. Ale skoro ty byłaś niewinna, cała odpowiedzialność spadła na Wernera Volkmana, któremu nie dano nawet szansy oczyszczenia się z zarzutów. Frank nie zatrudniał go od tej pory i Werner ciężko to przeżył.

- To prawda - przyznała, zagryzając wargi. Nigdy nie lubiła Wernera, a w każdym razie lekceważyła go, uważając za prostaka. Czy źródłem tej niechęci było poczucie winy, związane z rolą, jaką odegrała w tym spisku wymierzonym przeciwko niemu?

- Potem, kiedy przeniesiono akta Trenta do pomarańczowej teczki, wina spadła na niego - powiedziała.

- Trent został zabity.

Miała i na to gotową odpowiedź. Jej głos był spokojny i pojednawczy. - Tak, został zabity przez twojego przyjaciela Rolfa Mausera. Rewolwerem, który pożyczył od ciebie. Nie możesz obarczyć Departamentu winą za śmierć Trenta.

- Ale była im ona bardzo na rękę. Trent zabrał swój sekret do grobu, a sekret sprowadzał się do tego, że to nie on przekazał Rosjanom tę przechwyconą depeszę. Milczała.

- Zostałaś zwerbowana jeszcze w Oxfordzie? Czy było to aż tak dawno temu?

- Przez Departament? Owszem.

A więc tak wyglądała sytuacja. Opowieści o jej przynależności do marksistowskich stowarzyszeń studenckich były prawdziwe, ale penetrowała je na polecenie przełożonych. Osobiście bardziej obchodziło mnie to, że ja zaproponowałem jej podjęcie pracy w Departamencie i udzieliłem rekomendacji. Wszystko to była zasłona dymna; chodziło o zatarcie śladów jej poprzedniej współpracy. Było jasne, że już wtedy kontaktowała się regularnie z KGB. Jej oficer kontaktowy musiał wpaść w euforię, kiedy rozpoczęła pracę w SIS. (Special Intelligence Service - Tajna Służba Wywiadowcza). Dostrzegłem teraz schemat długofalowego planu, który uczynił ją tak wiarygodną w oczach Rosjan. Autorzy tego planu zrobili przy okazji cholernego durnia ze mnie, ale opanowałem swój gniew.

- Kto jeszcze o tym wiedział?

- Tego nie mogę ci powiedzieć, kochanie.

- Kto jeszcze?

- Nikt więcej. Ani Wydział Koordynacji, ani Wydział Finansowy Centrali, ani Wydział Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ani nawet zastępca Dyrektora Generalnego.

- Ale on sam był w to wtajemniczony - podkreśliłem z uporem.
- Żaden z aktualnie zatrudnionych pracowników - sprostowała pedantycznie.

- Taki był warunek D-G. Żaden!

- Zamieniłaś moje życie w piekło - powiedziałem łagodnie.

- Myślałam, że będziesz ze mnie dumny.

• Jestem - przyznałem, starając się tchnąć w swoje słowa choćby odrobinę uczucia. - Naprawdę jestem. Ale pora się z tego wycofać. Wróć ze mną do Wiednia. Twoja legitymacja KGB i moja karta identyfikacyjna umożliwią nam przekroczenie granicy. Złapiemy wieczorny samolot do Londynu.

- Nie jestem pewna, czy udałoby się nam przekroczyć granicę, Bernard.

Wszystkie punkty kontrolne są teraz podłączone do komputera. Wierz mi; jestem dobrze poinformowana.

Znałem ten ton jej głosu i wiedziałem, że nie warto z nią dyskutować.

Słyszała z milion razy, jak sam mówiłem, że w tego rodzaju sprawach ostatnie słowo musi należeć do agentów operacyjnych działających w terenie. Zawsze wykorzystywałem swe doświadczenie w tej pracy i sam podejmowałem ostateczne decyzje. Teraz moja żona okazała się najbardziej niezwykłym agentem operacyjnym wszystkich czasów. Dotarła do najwyższego szczebla wschodniej siatki szpiegowskiej i wszystkich wyprowadziła w pole. Nie miałem prawa się z nią spierać.

Nonszalanckim tonem, jakby chcąc skierować rozmowę na lżejsze tematy, powiedziała:

• Kiedy wrócę, będę musiała mieć pewność, że komputer nie wyrazi sprzeciwu. Londyn obiecał mi jakieś specjalne dokumenty.

• Mają w Wiedniu dobrych fachowców - powiedziałem bez większego przekonania. Byłem ciekawy, czy jej fałszywe dokumenty przygotowuje Steiger i czy wykonują je ci sami oszuści, którym zleca podrabianie znaczków i kopert.

- Wiem.

- Czy Erich Stinnes również wybiera się na tę stronę?

Z nazwiskiem tym łączyło się największe fiasko w najnowszych dziejach

Departamentu; fiasko znakomicie demonstrujące nasze niezdecydowanie i bałagan. Stinnes był chytrym graczem, prawdziwym oficerem KGB starszej generacji. Oświadczył, że chce przejść na naszą stronę, potem obie strony nabrały wobec niego podejrzeń. Został w końcu uznany przez nas za wrogiego agenta i uwięziony, a potem wymieniony na kogoś innego i odesłany na Wschód.

- Sprawa Stinnesa traktowana jest zupełnie oddzielnie. Tak zostało to zaplanowane. - Przerwała na chwilę, a potem zmieniła nieco temat: - Kiedy zlikwidowałeś tego chama, Moskwiną, uwolniłeś mnie od największego niebezpieczeństwa. On podejrzewał prawdę.

- Ale miał w sobie również rosyjską kulę. Strzelał do niego jeden z waszych ludzi. Czy wiedziałaś o tym?

Uśmiechnęła się lodowato.

Nie chciałem skończyć naszej rozmowy w ten sposób.

- Może...

Podniosła rękę, by uciszyć wszelkie moje ewentualne zarzuty.

- Mamy tylko kilka minut. Samochód musi wyjechać o czwartej. Wracam do Pragi. Jutro jest ta cholerna konferencja na temat bezpieczeństwa, a mnie czeka jeszcze odprawa. - Pies znów zaczął szczebrać, tym razem bardziej zajadle. Potem zaskowytał nagle, jakby ktoś go uderzył.

- Tak, o czwartej. Rozumiem.
- A więc coś ci jednak powiedzieli?

Był to kiepski żart, ale uśmiechnąłem się i powiedziałem przeproszającym tonem:

- Wyjechaliśmy z Wiednia wcześniej, ale po drodze był ten festiwal Haydna i szosa...

- Wiem. Zawsze tak jest, kiedy ma się do załatwienia coś naprawdę ważnego. To ty zwykle tak mówiłeś.

- Kiedy się spóźniałem?

- Nie, nie to chciałam powiedzieć, Bernard. - Zerknęła na zegarek. - Jest jeszcze jedna sprawa. Chodzi o moje futro. Zostawiłam je u Tessy, mojej siostry. Boję się, że może je sprzedać, dać komuś w prezencie czy coś w tym rodzaju.

Pamiętałem to futro. Był to zapierający dech w piersiach prezent od ojca Fiony, ofiarowany jej w okresie, w którym bardzo chciał podkreślić swą miłość dla

niej, swoje bogactwo i swoje powodzenie. To długie sobolowe futro musiało kosztować tysiące funtów. Fiona zawsze mówiła, że jest przeciwna noszeniu odzieży ze skór zwierzęcych, ale gdy raz przymierzyła to futro, jej obiekcje jakoś się rozwiały.

- Co mam zrobić?
- Musisz je od niej odebrać.
- No dobrze... - oświadczyłem z powątpiewaniem - ...ale nie mogę jej

przecież powiedzieć, że z tobą rozmawiałem.

- Znajdziesz jakiś sposób - stwierdziła.

Teraz problem futra spoczywał już na moich barkach. Zaczynałem rozumieć, dlaczego Fiona tak doskonale potrafi kierować ludźmi.

Zapadło kłopotliwe milczenie, do jakiego dopuszczają tylko angielskie pary małżeńskie.

- I wszystko jest w porządku? Dzieci czują się dobrze? - spytała ponownie.

• Wspaniale - odparłem. Oczywiście wiedziała o tym. Musiała zastrzec sobie, że będzie otrzymywała regularnie raporty dotyczące dzieci. I mnie. Byłem ciekaw, czy w tych sprawozdaniach wspomniano o tym, że żyję z Glorią. Przebiegł mi przez głowę upiorny pomysł: być może Gloria otrzymała polecenie zamieszkania ze mną po to, by mogła śledzić wszystkie moje postęпки, wypowiedzi i myśli. Ale odrzuciłem tę możliwość. Gloria była osobą zbyt niekonwencjonalną, by mogła nadawać się na donosicielkę. - Dzieci tęsknią za tobą, oczywiście - dodałem.

- Nie zaczęły mnie z wiekiem nienawidzić, prawda, Bernard?
- Oczywiście, że nie, kochanie.

Powiedziałem to tak szybko i gładko, że musiała wyczuć moje wątpliwości. Wiedziałem, że nie będzie jej łatwo odbudować stosunki z dziećmi.

Kiwnęła głową.

- A ty?

Nie wiedziałem, czy pytanie dotyczy mego samopoczucia, czy też mojego stosunku do niej.

- U mnie wszystko w porządku - odparłem.
- Schudłeś, Bernard. Czy jesteś pewien, że nic ci nie dolega?
- Stosuję dietę, żeby zmieścić się w moje stare ubrania.
- Cieszę się, że jesteś taki sam jak dawniej - powiedziała dość dwuznacznie,

ale to banalne zdanie zawierało więcej czułości niż wszystko, co mówiła do tej pory.

Pewnie powinienem ujawnić przed nią wszystko, co kłębiło się we mnie podczas naszej rozmowy. Powiedzieć jej, że jest równie piękna jak dawniej. Że jest bardziej dzielna, niż wszyscy ludzie, jakich dotąd poznałem. Że jestem z niej dumny. Ale zamiast tego powiedziałem:

- Uważaj na siebie. Już tak niedaleko do końca.
- Nic mi nie będzie. Nie martw się, kochanie. - Wyczułem z tonu jej głosu, że nie myśli już o dzieciach czy o mnie. Jak każdy profesjonalista zastanawiała się nad następnym ruchem. To był jedyny sposób na przeżycie.

Usłyszeliśmy szum wielkiego ośmiocyndrowego silnika. Zobaczyłem przez okno wyjeżdżający ze stodoły samochód Fiony. Czarny służbowy wóz. Taki wielki pojazd ze służbowymi tablicami rejestracyjnymi i eskortą na motocyklach musiał zwracać uwagę. I z pewnością nie mógł się zmieścić w tej bramie wjazdowej ani przebyć tej wyboistej drogi.

Ale Fiona umiała osiągać rzeczy niemożliwe. Dowodziła tego stale na nowo.

11

Po powrocie do Londynu łatwo mi było uwierzyć, że cała moja podróż do Europy była snem. W gruncie rzeczy stłumiłem w sobie wszystkie myśli o spotkaniu z Fioną. A w każdym razie naprawdę próbowałem to zrobić. Kiedy Gloria zobaczyła mnie na lotnisku, wydała okrzyk radości, który można było usłyszeć w całym hallu. Objęła mnie, ucałowała i mocno uścisnęła. Dopiero teraz zacząłem dostrzegać rozmiary uczuciowego dylematu, w który się wpędziłem, a raczej, w który wpędziła mnie Fiona.

Gloria zostawiła swój nowy samochód - pomarańczowe metro - tuż przed drugim terminalem, w miejscu, w którym bardzo trudno jest oczarować strażników strzegących zasad parkowania. Ale uszło jej to bezkarnie, chyba dlatego, że była właśnie pora podwieczorku.

Samochód był fabrycznie nowy, a ona chciała zademonstrować mi jego możliwości. Rozparty na fotelu, przyglądałem jej się z zachwytem. Okropna prawda polegała na tym, że czułem się naprawdę dobrze i naprawdę w domu, tutaj, w Londynie, z Głorią w ramionach. Była młoda, pełna życia i zachwycająca. Uczucia, jakie żywiłem wobec Fiony, były inne i bardziej złożone. Była nie tylko moją żoną,

moją koleżanką i rywalką - była również matką moich dzieci.

Złośliwa żona Wenera Volkmana, Zena, wyraziła kiedyś pogląd, że ożeniłem się z Fioną, ponieważ miała ona wszystko, czego mnie brakowało. Chciała przez to zapewne powiedzieć, że Fiona była wykształcona, subtelna i obracała się we właściwym towarzystwie. Ale ja gotów byłem bronić innego punktu widzenia. Moje wykształcenie, moja wrażliwość i moje towarzystwo odbiegały radykalnie od wszystkiego, co reprezentowała Fiona, ale nie były wcale gorsze. Ożeniłem

się z nią, ponieważ byłem w niej szaleńczo zakochany, ale moja miłość była chyba zbyt zabarwiona szacunkiem. Być może, pobraliśmy się sądząc, że właśnie połączenie naszych uzdolnień i doświadczeń jest naszym największym atutem; że wspólnie stworzymy niepokonaną drużynę, a nasze dzieci będą wyróżniać się we wszystkich dziedzinach. Ale takie rozumowanie jest niesłuszne; małżeństwo nie może opierać się tylko na wzajemnym szacunku. Zwłaszcza kiedy szacunek ten wynika z braku doświadczenia - a tak często się zdarza. Teraz, kiedy znaliśmy się nawzajem o wiele lepiej, odkryłem, że miłość, jaką darzy mnie Fiona, jest przemyślana i trzeźwa. Tak samo kochała wiedzę; tak samo kochała swój kraj. Gloria była od niej niemal dwukrotnie młodsza; Boże, jak irytowała mnie ta myśl! Ale Gloria miała niewyczerpaną energię, ciekawość świata i pogodę ducha, a poza tym była pełna kontrastów. Kochałem Glorię tak, jak kochałem radość, którą wniosła w moje życie, i bezgraniczną miłość, jaką darzyła mnie i moje dzieci. Ale Fionę kochałem również.

- Jak przebiegła podróż? - Gloria próbowała zademonstrować mi automatyczne radio i przewijający się samoczynnie magnetofon, a równocześnie wyprzedzić z niewłaściwej strony jakiś autobus. Prowadziła samochód w sposób nieopanowany; była też nieopanowana w miłości i we wszystkim innym.

- Rutynowo. Salzburg i Wiedeń. Wiesz, jak to wygląda. - Mówiąc, że była to rutynowa podróż, poczułem ukłucie wyrzutów sumienia. Ale nie był to właściwy moment, żeby zasiąść obok Glorii i słuchać jej opinii na temat Fiony. Jeszcze nie byłem pewien, co ja sam o niej sędzę.

- Nie wiem, jak to wygląda! Skąd mogę wiedzieć? Opowiedz mi.

- Salzburg: von Karajan wstrzymał próbę i poczęstował mnie filiżanką tej okropnej kawy, którą parzy pod pulpitem dyrygenta. Potem Wiedeń: oglądanie kolekcji Breughela i nudne cocktail-party wydane na moją cześć. Potem kolacja w cztery osoby z ambasadorem i niewygodna łoża, którą ambasada wynajmuje w operze. Wszystko tak jak zawsze. - Pokazała mi zęby, udając gniew. - Ach i jeszcze coś.

Zostałem zaatakowany przez złego psa.

- Jesteśmy zaproszeni do Cruyerów - oznajmiła Gloria, gdy stanęliśmy pod światłami niedaleko domu Hogartha. - Dzwoniła do mnie Daphne. Była ogromnie przyjazna. To mnie zaskoczyło. Zawsze traktowała mnie dość chłodno. Długie suknie - nie uwierzyłybyś w to chyba. I smokingi.

- Żartujesz.
- Nic podobnego.
- Smokingi? Długie suknie? U Cruyerów?
- W sobotę wieczorem. Zaprosili też twoją szwagierkę Tessę i jej męża. Nie

wiem, kogo jeszcze.

- I powiedziałaś, że przyjdziemy?
- Dicky wiedział, że masz wrócić już dzisiaj.
- Mój Boże.
- Wysłałam twój smoking do pralni chemicznej. Będzie gotowy w sobotę

rano.

- Czy wiesz, że te spodnie nie pasują do tej marynarki? - spytałem.
- Oczywiście. Stale ci to mówię. Myślałam, że nosisz je tak, żeby

denerwować Dicky'ego.

- Dlaczego nie pasujące do marynarki spodnie miałyby denerwować

Dicky'ego?

- Nie próbuj zwać winy na mnie. Powinieneś trzymać swoje ubrania na odpowiednich wieszakach, a nie rzucać wszystkiego byle gdzie. Oczywiście, że wkładasz od czasu do czasu nieodpowiednie spodnie. Domyślam się, że ktoś ci zwrócił na to uwagę, prawda?

- Sam to zauważyłem.
- Założę się, że ktoś zwrócił ci uwagę, a ty poczułeś się jak głupiec. -

Zaśmiała się głośno. - Jak to zostało sformułowane: „Czy ma pan w domu drugie takie samo ubranie?” Czy to właśnie ktoś ci powiedział? - Znów zachichotała. Lubiła własne dowcipy - tylko one ją bawiły. Ale jej śmiech był zaraźliwy i mimo woli przyłączyłem się do niej.

- Nikt tego nie zauważył oprócz mnie - powtórzyłem z naciskiem.
- Musisz sprawić sobie nowe ubranie. A może szare flanelowe spodnie i

granatową marynarkę? Mógłbyś chodzić w tym stroju do biura.

- Nie chcę nowego ubrania ani flanelowych spodni i marynarki, a gdybym już sprawiał sobie nowe stroje, to nie po to, żeby chodzić w nich do biura.

- Byłoby ci do twarzy w granatowej marynarce. Nigdy nie wiedziałem, kiedy mówi poważnie, a kiedy mnie nabiera.

- Czy musiałbym nosić emblemat na kieszeni?

- Emblemat Anonimowych Alkoholików.

- Bardzo śmieszne.

-Kupiłam sobie piękną suknię - wyznała. - Liliową, z wielkimi bufiastymi rękawami.

A więc o to chodziło. Ten drobny wstęp, mający nakłonić mnie do kupna nowego ubrania, miał rozwiać jej poczucie winy, wywołane kupnem kosztownej sukni.

- Doskonale - powiedziałem. To nie wystarczyło, by ją uspokoić.

- Nie miałam długiej sukni, a nie chciałam jej wypożyczać.

- Doskonale. Doskonale. Powiedziałem: doskonale.

- Jesteś świnią, kochanie.

Pocałowałem ją i zacząłem chrząkać jak świnia.

- Nie rób tak, kiedy prowadzę samochód.

Cruyerowie musieli zaplanować to przyjęcie na wiele tygodni naprzód.

Podczas poprzednich kolacji Daphne, niezbyt zapalona kucharka, biegała między kuchnią a jadalnią, popijała szampana podczas przerw w mieszaniu potraw, zaglądała do książek kucharskich i szeptem pouczała męża, co ma robić. Tym razem wynajęli jakiegoś dystygowanego starca o zgrzytliwym głosie, który otwierał drzwi i chuchał na wchodzących oparami alkoholu, oraz starszą panią w kucharskim uniformie i wysokiej czapce, która miała zajmować się gotowaniem. Kiedy wyjrzała z kuchni, by się nam przyjrzeć, dotarł do nas zapach ryby. Nie udało nam się stwierdzić, czy liczy wchodzących gości, czy sprawdza trzeźwość lokaja, bo tuż po naszym wejściu zabrzmiał następny dzwonek i musieliśmy opuścić korytarz. Z aparatury hi-fi sączyły się dźwięki gitary.

- Chcieliśmy sprowadzić Paula Bocuse - mówił Dicky, kiedy weszliśmy do zatłoczonego salonu - ale zamiast się zjawić osobiście, przysłał swoją pomocnicę.

Odwrócił się, by nas powitać. - Gloria, *cheriel* Jak atrakcyjnie wyglądasz! -

powiedział donośnym głosem, tym samym, którym opowiadał dowcipy. Ucałował ją w oba policzki tak ostrożnie i powściągliwie, by nie rozmazać jej makijażu.

- Ach, Bernard, cieszę się, że jesteś, stary! - Jego ton sugerował, że nasze wspólne przybycie jest dziełem przypadku. - Nie muszę cię nikomu przedstawiać. Radź sobie sam! Dziś są tu tylko przyjaciele.

Większość obecnych musiała już wypić sporo wina, bo wokoło nas rozlegały się przenikliwe, podniecone głosy, jakimi mówią ludzie pijący na pusty żołądek. Daphne Cruyer podeszła do nas, by się przywitać. Zawsze ją lubiłem. W pewnym sensie mieliśmy wspólny problem; musieliśmy znosić Dicky'ego na co dzień. Oczywiście, nigdy tego nie ujęła w taki sposób, ale czasem wyczuwałem w niej koleżeńską solidarność.

Kiedy Daphne poznała Dicky'ego, była jeszcze studentką akademii sztuk pięknych. Oba te doświadczenia pozostawiły na niej trwałe ślady. Dzisiejszego wieczora salon ozdobiony był japońskimi lampionami i papierowymi rybami. Domyśliłem się, że to uroczyste przyjęcie związane było z nabyciem przez nią zdumiewającego, tęczowego jedwabnego kimona, które miała na sobie. Nie sądziłem, by mogło być związane z nowym jedwabnym białym smokingiem Dicky'ego. Ale nie można było tego wykluczyć.

Daphne spytała mnie, jak się miewam, a ton jej głosu sugerował, że naprawdę ją to interesuje. Chcąc wynagrodzić tę życzliwość, nie powiedziałem jej prawdy. Zacząłem natomiast podziwiać kimono i jej fryzurę w stylu Madame Butterfly. Okazało się, że kupiła je podczas wycieczki do Tokio. Oboje z Dickym wybrali się na dziesięć dni do Japonii razem z sąsiadami, którzy objechali wiele krajów świata. Nigdy nie domyśliłbym się, ile trzeba zapłacić za filiżankę kawy na ulicy Ginza, ale Daphne była zachwycona pobytem, nawet surowymi rybami. Stwierdziła, że Gloria ładnie wygląda. Przyznałem jej rację i zdałem sobie sprawę, że Cruyerowie potrzebowali z górą trzech lat, by dojść do wniosku, iż Gloria i ja jesteśmy parą, którą wypada przyjmować, i że ta doniosła decyzja nastąpiła w momencie, w którym dowiedziałem się o rychłym powrocie mojej żony.

- Dicky mówi, że po twoim wyjeździe w biurze zrobił się okropny bałagan.
- Chyba ma rację - przyznałem.
- Dicky stał się strasznie ponury. I strasznie zamknięty w sobie. Było mi go żal.
- Już wróciłem.

- I bardzo się cieszę - powiedziała Daphne z uśmiechem. Zastanawiałem się, co powiedział jej Dicky na temat mojego podziemnego bytowania w Berlinie. Miałem nadzieję, że nic, ale Daphne już nieraz podstępnie wyciągała z niego różne informacje. Umiała z nim postępować. Powinienem był ją poprosić o udzielenie mi kilku lekcji.

- Przebudowaliśmy strych - mówiła Daphne. - Mam teraz na górze małą pracownię. Musicie ją zobaczyć, kiedy przyjdziecie następnym razem.

- Co malujesz?

- Martwe natury; owoce, kwiaty, i tak dalej. Dicky chce, żebym wróciła do obrazów abstrakcyjnych. Ale zawsze domalowywał mi do nich kolorowe plamy. Byłam na niego tak wściekła, że w końcu zajęłam się owocami i kwiatami. Dicky do wszystkiego się wtrąca. Chyba sam o tym wiesz.

- Owszem, wiem.

Kiedy Daphne odeszła, zacząłem się witać ze wszystkimi, między innymi z Sir Gilesem Streeply-Coxem - emerytowanym urzędnikiem MSZ - i jego żoną. Streeply-Cox miał czerstwą cerę oraz krzaczaste siwe bokobrody i można go było wziąć za dobrze prosperującego farmera, dopóki nie usłyszało się jego, typowej dla sfer rządowych, barokowej angielszczyzny. Obecnie zajmował się hodowlą róż, ale często odwiedzał Londyn, gdzie przewodniczył komisji rekrutacyjnej urzędników państwowych, a poza tym grasował w kołach zbliżonych do rządu, budząc grozę i przynębienie. Jak wszyscy urzędnicy i politycy wyższego szczebla miał fenomenalną pamięć. Przypomnił mnie sobie z innego przyjęcia, na którym spotkaliśmy się niedawno.

- Młody Samson, prawda? Widziałem pana na tym spędzie u córki Matthews'a. *Nouvelle cuisine*, prawda? Tak mi się wydawało. Skapo z jedzeniem, co?

Państwo Streeply-Cox prowadzili ożywione życie towarzyskie. Pochylił się ku mnie i spytał:

- Proszę mi coś powiedzieć, Samson. Czy wie pan, jak się nazywa ta cholerna melodia?

- Jest to *Cordoba* Albeniza grana przez Juliana Breama - odparłem autorytatywnie, ponieważ po nabyciu swej aparatury hi-fi Dicky puszczał nam w kółko tę płytę, by pokazać, jak działa selektor utworów.

- Interesująca melodyjka - stwierdził Streeply-Cox. Spojrzał na swoją żonę,

a potem kiwnął głową i dodał:

- Moja żona twierdzi, że pan na wszystkim się zna.
- Robię, co mogę, Sir Giles - odparłem i oddaliłem się, mamrocząc coś o

następnym kieliszku wina.

Pozbywszy się mego przerażającego rozmówcy doszedłem do wniosku, że zdobycie kolejnego kieliszka szampana byłoby nader wskazane. Znalazłem więc starego lokaja roznoszącego drinki, a potem rozejrzałem się po salonie. Nad kominkiem nadal wisiał zniszczony obraz przedstawiający Adama i Ewę. Dicky, próbując nadać mu

pewną rangę, zawsze mówił o nim *naif*, ale moim zdaniem był po prostu źle namalowany. Zniknęła natomiast kolorowa fotografia jachtu Dicky'ego.

Potwierdzały to pogłoski, że zamierza go sprzedać. Daphne nigdy nie lubiła jachtu. Miała skłonność do choroby morskiej, ale wiedziała, że jeśli odmówi uczestnictwa w marynarskich weekendach Dicky'ego, kapitańską kabinę może dzielić z nim jakaś inna kobieta.

Antyczny sekretarzyk, mieszczący niegdyś kolekcję pudełek od zapalek, pełen był japońskich sztyletów, netsuke i innych drobnych wschodnich bibelotów. Nad nim wisiało sześć oprawionych litografii; jedna z nich przedstawiała oczywiście „Załamujące się fale morskie”. Pasowały one do ekranu z drobnej siatki, ustawionego przed kominkiem, w którym płonął sztuczny ogień. Chyba zbyt wielu gości wrzucało do niego śmieci. Dicky stale klęczał przed paleniskiem, wygrzebując spomiędzy brył plastikowego węgla niedopałki i zmięte skrawki papieru.

Zauważyłem, że każdy element dekoracji był zupełnie nowy - z wyjątkiem „Adama i Ewy”, których Daphne znalazła na pchlim targu w Amsterdamie. Dowodziło to, że Cruyerowie mają coraz szersze horyzonty i coraz pełniejsze kieszenie. Zastanawiałem się, jak długo przetrwają „Adam i Ewa” i co zajmie ich miejsce. Adam już teraz wydawał się lekko zaniepokojony.

Próbując odczytać coś z twarzy Ewy, dostrzegłem moją wiarołomną szwagierkę Tessę i jej męża, George'a Kosińskiego. Oboje byli wystrojeni, ale nawet Tessa, w swej paryskiej sukni, nie przebiła Glorii, która wyglądała jeszcze bardziej czarująco niż zwykle.

Tessa podeszła bliżej. Musiała dobijać do czterdziestki, ale nadal była porywająco atrakcyjną niebieskooką blondynką i nadal mówiła z przydechem sugerującym jej rozmówcy, że marzyła od dawna o spotkaniu z nim.

- Już zaczynałam myśleć, że wysłali cię w jakąś cholerną podróż międzyplanetarną, złotko - powiedziała, całując mnie w sposób nieoczekiwanie skromny. - Tęskniłam za tobą, kochanie.

Przyznam, że jej pocałunek przyprawił mnie o lekki dreszcz; nigdy dotąd nie zauważyłem, jak bardzo przypomina niekiedy Fionę. Było to szczególnie widoczne dziś wieczorem, być może za sprawą sukni lub makijażu. A być może dlatego, że Tessa robiła się coraz starsza lub dlatego, że Fiona robiła się coraz starsza, albo wreszcie dlatego, że ja robiłem się coraz starszy. Tak czy owak patrzyłem na nią przez chwilę, nie mogąc wykrztusić ani słowa, dopóki nie powiedziała:

- Co jest, do cholery? Czy mam rozmazaną szminkę?

- Nie, Tessa. Wyglądasz bardziej uroczo niż kiedykolwiek. Po prostu oszłamiająco.

- Taki komplement w twoich ustach to naprawdę coś niezwykłego, Bernard. Wszystkie dziewczyny wiedzą, że być zauważoną przez Bernarda Samsona to szczyt szczęścia.

Stary lokaj - słyszałem, jak Daphne zwracała się do niego Jenkins - zbliżył się z dużą srebrną tacą zastawioną kieliszkami z szampanem. Tessa wzięła jeden z nich i podniosła pod światło, jakby wznosząc w milczeniu jakiś toast, ale ja wiedziałem, że usiłuje odgadnąć markę na podstawie koloru i ilości baniek powietrza. Była to jedna ze sztuczek, jakimi popisowała się na przyjęciach. Jej opanowanie przez Tesę musiało kosztować George'a majątek.

Zaakceptowała wygląd szampana, ale nie wymieniła marki, tylko wypiła łyk z kieliszka.

- Czy widziałeś kiedyś tak uroczego lokaja? - spytała, kiedy Jenkins się oddalił. - Jak to miło ze strony Daphne, że daje zarobić jakiemuś biednemu staremu emerytowi.

Zastanawiałem się, jak namówić ją do zwrotu futra Fiony. Jakiego użyć pretekstu? I gdzie zdeponować to cholerne futro, nie narażając się na długą dyskusję z Glorią?

- Myślałem o tym futrze Fiony... - zacząłem.

- Ach, tak, kochanie. No i co?

- Myślałem, że może powinienem trzymać je razem ze wszystkimi innymi rzeczami.

- Jakimi innymi rzeczami? - spytała, odgarniając włosy z twarzy.
- Z różnymi drobiazgami, które Fiona szczególnie lubiła.
- Wiesz, to przepiękne futro. Tatuś zapłacił za nie majątek.
- Tak... jego przechowywanie obciąża cię pewną odpowiedzialnością.
- Nie noszę go, złotko, jeśli tego chcesz się dowiedzieć.
- Ależ nie, jestem pewien, że go nie nosisz, Tessa, i bardzo ci jestem

wdzięczny za to, że przechowujesz to cholerne futro już od tak dawna. Myślałem po prostu, że...

- To żaden kłopot, kochanie. Trzymam je razem z moimi własnymi futrami i kiedy nadchodzi lato... o ile w ogóle nadchodzi, oddaję wszystkie do przechowalni wyposażonej w chłodnię.

- Kiedy widzisz, Tessa... - zacząłem. Tessa przechyliła głowę na bok, jakby bardzo interesowało ją to, co zamierzam powiedzieć, ale

równocześnie pozwoliła włosom opaść na twarz, żeby móc się za nimi ukryć.

W tym momencie rozmowę przerwał nam mój stary znajomy z Waszyngtonu:

Wykwintny Harry, agent CIA do zadań specjalnych. Był niskim, mocno zbudowanym mężczyzną o lekko orientalnych rysach; krzyżówką rasy białej z rasą zamieszkującą Hawaje, zwaną w miejscu jego urodzenia hapa haoli. Miał trzydzieści kilka lat, był zawsze elegancki i zadbany, i sprawiał dość sympatyczne wrażenie. Można było łatwo wyobrazić go sobie jako śpiewaka, który w odpowiednim kostiumie odtwarza arię z *Madame Butterfly*, albo - co wydawało się bardziej prawdopodobne - z *Południowego Pacyfiku*.

- Kim jest ta wspaniała dama, z którą rozmawiasz, Bernard? Tessa wzięła go pod ramię i spytała:

- Tak szybko mnie zapomniałeś, Harry? Jestem niepoczyszona. Zanim Wykwintny Harry zdobył się na wyjaśnienie, usłyszeliśmy

donośny głos Jenkinsa, który obwieścił:

- Panie i panowie; kolacja podana.

Tessa spojrzała na mnie porozumiewawczo i uśmiechnęła się serdecznie.

Jej mąż rozmawiał z Glorią. Miał około czterdziestki. Urodzony na londyńskim przedmieściu East End w rodzinie ubogich polskich imigrantów, zdobył majątek handlując samochodami, a w ostatnim okresie również nieruchomościami. Zawsze odnosiłem wrażenie, że George oddaje się w ręce najdroższych krawców,

wytwórców koszul i fryzjerów, jakich potrafi znaleźć. Stale widziałem go w nowych smokingach skrojonych według zmieniającej się nieustannie mody.

Tego wieczora zwrócił chyba po raz pierwszy uwagę na Glorię, gdyż wkrótce po naszym przybyciu wdał się z nią w długą rozmowę. Byłem tym nieco zaskoczony, bo zawsze wydawał się onieśmielony w towarzystwie kobiet, których dobrze nie znał. Czasami usiłowałem zgadnąć, w jakich okolicznościach i dlaczego ożenił się z Tessą. Fiona twierdziła, że to właśnie ciągła niewierność Tessy zdopingowała go do zarabiania tak wielkich pieniędzy, ale George był bogaty już na długo przed ich ślubem.

Był człowiekiem bezwzględnie uczciwym. Nie sądziłem nigdy, by cecha ta mogła stanowić główny walor handlarza używanymi samochodami. Kiedyś powiedziałem mu to w oczy. W typowy dla siebie sposób udzielił mi krótkiego wykładu na temat roli, jaką grają w jego profesji rzetelność i dobra wola.

George i Gloria nadal rozmawiali, kiedy poproszono nas do stołu.

George, znacznie niższy od niej, przysiadł na oparciu kanapy, by nie być zmuszonym do podnoszenia ku niej głowy. Widać było po wyrazie jego twarzy, że polubił Glorię i kiedy do ich rozmowy przyłączyli się inni, stanowczo starał się zachować jej uwagę. Jenkins, tym razem nieco głośniejszy, powtórzył swój komunikat. Wszyscy podnieśli wzrok. Jenkins, po kilku nieudanych próbach, otworzył na oścież drzwi do ciemnej, oświetlonej tylko świecami jadalni; ujrzeliśmy długi politurowany stół, ozdobiony kwiatami i błyszczący od sreber. Zgromadzone towarzystwo zastygło na chwilę w bezruchu, sycąc oczy tym widokiem. Czuję, że jest to początek nowej ery w życiu Cruyerów, próba wspięcia się na wyższy poziom życia, bardziej odpowiadający człowiekowi, który miał obracać się w kręgach ludzi wpływowych, błyskotliwie kierować poufnymi aspektami polityki i otrzymać szlachectwo w momencie przejścia na emeryturę. Bez odpowiedzi pozostawało tylko jedno pytanie: dlaczego mnie tu zaproszono?

- Daphne! Jakie to malownicze! - zawołała Tessa, wchodząc do jadalni. -

Une veritable coup de thedtre, kochanie!

- Cii! - uciszył ją George, który podobnie jak my krążył wokół stołu, szukając kartki ze swym nazwiskiem. Powiedział to spokojnym, bezosobowym tonem widza teatralnego, który chce zwrócić uwagę spóźnionym, nie przeszkadzając aktorom. Kiedy już usiedliśmy, George, który miał znakomitą pamięć, przypomniał Wykwintnemu Harry'emu, że poznali się już przed kilku laty, kiedy Harry odwiedził

jego salon samochodowy, mieszczący się w jednym z mniej wytwornych zakątków dzielnicy Southwark, w południowej części Londynu.

Wykwintny Harry uśmiechnął się, nie potwierdzając ani nie dementując jego wypowiedzi. Taki był jego styl. Potrafił być tajemniczy. Miał na sobie piękny lśniący smoking i obszytą koronkami koszulę, która nawet na gwiazdzie show-businessu wydawałaby się zbyt ozdobna. Harry zawsze ubierał się modnie i trzeba przyznać, że było mu z tym do twarzy. Towarzyszyła mu kobieta w obcisłej wydekoltowanej sukni; rozpoznałem w niej tę samą Amerykankę, którą widziałem z nim w Southwark. Miała trzydzieści kilka lat i mogłaby uchodzić za ładną, gdyby nie pełna twarz, nadająca jej wygląd osoby nieustannie rozdrażnionej. Wrażenie to potęgował jej agresywny sposób mówienia i twardy amerykański akcent. Posadzono ją obok mnie. Okazało się, że ma na imię Jo-Jo.

Z zainteresowaniem obserwowałem wzajemne stosunki między Wykwintnym Harrym a gospodarzem. Byłem ciekaw, kiedy się poznali i czy obecność Harry'ego w Londynie zapowiada jakąś nową inicjatywę CIA, o której powinienem usłyszeć. Wiedziałem, że ich londyńska placówka ma nowego szefa; być może Harry był jego człowiekiem do zadań specjalnych.

- Jaki jest ten twój nowy szef? - spytał zdawkowo Harry'ego Dicky, kiedy wszyscy usiedliśmy i zaczęto nalewać wino.

Harry, który siedział naprzeciwko mnie, odpowiedział mu pytaniem na pytanie:

- Powiedz mi, Dicky co naprawdę oznacza termin *die neue Sachlichkeit*
- Nowy realizm - odparł Dicky. - Odnosi się do realistycznego malarstwa.

Prawda, Bernard?

• I do poezji - dodałem, przyzwyczajony do udzielania pełnej odpowiedzi na tego rodzaju pytania. - To kierunek z lat dwudziestych... wymierzony przeciw impresjonizmowi. I przeciwko supremacji piękna nad funkcjonalizmem.

- Jak widzicie, Bernard jest nie tylko przystojny - powiedział Dicky.

Zaśmiał się, a Jo-Jo zawtórowała mu. Miałem ochotę stuknąć ich głowami o siebie.

• Mój nowy szef stale mówi o *die neue Sachlichkeit*, chcąc przez to powiedzieć, że zamierza być nową miotłą i dać wszystkim ciężką szkołę - oznajmił z uśmiechem Wykwintny Harry.

Teraz z kolei uśmiechnął się Dicky. Byłem przekonany, że Harry przygotował odpowiedź, spodziewając się tego pytania. Mówił cholernie dobrze po niemiecku.

Byłbym zaskoczony, gdyby naprawdę nie wiedział, co oznacza ten termin.

- Mniejsza o to, czy Bernard jest przystojny - dodał Harry. - Chciałbym się dowiedzieć, gdzie do tej pory ukrywał tę wspaniałą młodą damę. - Siedział obok Glorii, która wypila łyk wina, by ukryć uśmiech zadowolenia.

Pierwszym daniem była zupa z krabów z dodatkiem chleba czosnkowego. Jenkins rozlewał ją z wystudiowanym skupieniem, a zebrani przy stole, jak zwykle w takich sytuacjach, prowadzili powierzchowną wymianę zdań. Daphne Cruyer, zwolniona z obowiązków kuchennych, a w dodatku mając Jenkinsa, który podawał do stołu, była po raz pierwszy gościem na własnym przyjęciu. Wydawała się tym zachwycona. Dicky też wyraźnie czuł się dobrze w roli gospodarza. Uśmiech zadowolenia zniknął z jego twarzy tylko na chwilę, kiedy Jenkins oblał go zupą z krabów, podsuwając mu po raz drugi ciężką japońską wazę. Ale i tak powiedział tylko:

-Jenkins, człowieku, uważaj, co robisz! - z lekka jedynie podnosząc głos.

Mniej więcej na tym etapie wydarzeń podsłuchałem szept Daphne, która ostrzegała nieuważnego Jenkinsa, by nie próbował rozkładać łososia na talerze. Miał zamiast tego postawić całą rybę przed panem domu. Trzeba przyznać, że nie zrobił tego w sposób wytworny. Stuknął półmiskiem o stół tak mocno, że zadzwoniły wszystkie sztuce.

- Popieram bez zastrzeżeń tę interpretację Dziesiątej Poprawki, za którą opowiadał się Jefferson - mówił Dicky, kiedy ryba zjawiała się przed nim w tak dramatyczny sposób. Prezentował właśnie swojej połowie stołu - to znaczy mnie i Harry'emu, siedzące bowiem po obu jego stronach kobiety usiłowały słuchać tego, co na drugim końcu mówiła Daphne - swoje poglądy na temat federalnego systemu rządów.

Dicky patrzył na podanego mu łososia z wyraźnym osłupieniem. Przyczyną tego zdumienia po części były pokrywające ciało ryby duże zielone łuski, które po bliższych oględzinach okazały się cienkimi jak opłatek plasterkami ogórka, pracowicie ułożonymi w zachodzące na siebie rzędy. Potem Dicky podniósł wzrok i zobaczył, że siedząca naprzeciw niego Daphne patrzy na niego z naciskiem i wykonuje dłonią energiczne ruchy, by nakłonić go do pokrojenia łososia. Zerknął na Wykwintnego Harry'ego, który uśmiechnął się tajemniczo i oznajmił półgłosem, że jako pracownik administracji federalnej nie powinien się wypowiadać na temat uprawnień poszczególnych stanów.

Dicky musiał zadowolić się tą odpowiedzią, bo w tym momencie z wysiłkiem próbował podzielić gotowanego łososia na porcje. Nie wiem, dlaczego usiłował kroić go w poprzek, zamiast oddzielić mięso od kręgosłupa; być może potraktował mimiczne gesty Daphne zbyt dosłownie. Ale rychło przekonał się, że niełatwo przekroić kręgosłup łososia - nawet rozgotowanego łososia - srebrną łąpatką służącą do nakładania na talerze. Ustupując przed przemożną siłą - gdyż Dicky był bardzo mocny - głowa ryby zsunęła się z półmiska i ukryła pod bukietem kwiatów, skąd spoglądała na niego z wyraźnym wyrzutem.

Daphne, która obserwowała wysiłki Dicky'ego, skupiła na sobie uwagę wszystkich obecnych, zaczynając nagle opowiadać o jakimś położonym w północnej części Londynu ośrodku, w którym bierze lekcje jazdy na nartach i ćwiczy na plastikowym śniegu. Patrzyliśmy na nią z uwagą. Mówiła dość przenikliwym głosem, może dlatego, że sezon narciarski już się skończył. Jakby przypominając sobie o tym, oznajmiła, że zamierza brać te lekcje przez całe lato, by przygotować się do przyszłego sezonu. Tylko Tessa, która siedziała na prawo ode mnie, odwróciła się, kiedy głowa spadła z półmiska.

- Co za piękna ryba - powiedziała. - Czy sam ją złowiłeś?

Dicky uśmiechnął się posepnie; to samo zrobił krnąbrny Jenkins, który stał oparty o kredens i z uznaniem śledził wysiłki pana domu.

- To nie jest hodowlany łosoś - oznajmiła Daphne. - Żył na swobodzie.
- Ja też wolałabym tak żyć, moja droga - wyznała Tessa, odwracając się w jej stronę.

Daphne obdarzyła ją lodowatym uśmiechem. Przed kilku laty podejrzewano Tessę o namiętny romans z Dickim, a Daphne nadal o tym pamiętała.

- Jenkins - odezwała się pani domu melodyjnym głosem przed szkolanki - proszę nalać nam wszystkim wina. - I jako osoba, która od wielu lat kontrolowała Dicky'ego, dodała szybko: - Nie *Chambertin*, Jenkins; białe *Hermitage*. - Tym razem jej głos był nieco mniej opanowany.

Jak twierdził potem Dicky, znakomity sos *beurre blanc* całkowicie przykrył pokruszone kawałki ryby. Ale Tessa oznajmiła, że czuła się tak, jakby jadła igły do cerowania owinięte w watę. Tessa należała do kobiet, które wolą ryby bez ości. Tak czy owak niewiele osób poprosiło o dokładkę.

Co więcej, jako następne danie podano zająca w czerwonym winie. Tym razem pokrojone porcje leżały już na talerzach. Urzędująca w kuchni starsza pani

była prawdziwą cudotwórczynią. Potem zjawilo się ciasto rabarbarowe, a po nim ser Stilton i stare porto.

Dicky, który odzyskał już pełnię sił po zmaganiach z łososiem, był w szczytowej formie, to znaczy był gościnny i czarujący. Nigdy dotąd tak wyraźnie nie dostrzegłem przyczyn, dla których odnosił same sukcesy. Opowiadał dowcipy - dobre dowcipy - i śmiał się z anegdot opowiadanych przez gości. Starał się, by każdy dostał to, czego chce - od aperitifów po cygara - i traktował serdecznie nawet własną żonę.

George i Sir Giles siedzieli po obu stronach Daphne, ale - jak zauważyłem - Tessa została ulokowana z dala od Dicky'ego. Byłem ciekaw, czy to Daphne decydowała o rozsądzeniu gości przy stole. Kartki wypisane były przez nią. Kiedy zaś, jako pani domu, wstała i zaproponowała paniom przejście do innego pokoju, patrzyła wyraźnie

na Tessę. Myślałem, że Tessa zaprotestuje i odmówi - co robiła już wiele razy, kiedy była w buntowniczym nastroju - ale ona potulnie wstała od stołu i wyszła w ślad za innymi kobietami.

Sir Giles, jakby czekał na ustalone hasło, natychmiast opowiedział trzy przydługie anegdoty z okresu swej pracy w rządzie. Zbliżył się do niedyskrecji na tyle, by przyciągnąć naszą uwagę, ale nie przekroczył jej granic.

Pod koniec tej męskiej rozmowy, która toczyła się przy porto i cygarach, Dicky wciągnął Sir Gilesa i George'a w dyskusję na temat stopy procentowej. Każdemu wytwornemu londyńskiemu przyjęciu musiały towarzyszyć spory dotyczące polityki fiskalnej Ministerstwa Finansów. Wykwintny Harry, okazując brak zainteresowania tymi problemami, odwrócił się ku mnie i spytał:

- Czy słyszałeś już, co się wydarzyło twojemu staremu przyjacielowi, Kleindorfowi?
- Nie, a co mu się wydarzyło?
- Nie żyje. - Przerwał gwałtownie. Musiał zauważyć, jak bardzo poruszyła mnie ta wiadomość.
- Co się stało?
- Przedawkował. Ktoś mi mówił, że niedawno się z nim widziałeś.
- Przez pomyłkę?
- Przez pomyłkę? I przez pomyłkę popił to całą butelką koniaku, żeby mieć pewność?

- Koniaku?
- Starego francuskiego koniaku, najlepszego, jaki miał w piwnicy. Pewnie zrozumiał, że nie może zabrać go z sobą.
- Biedny stary Rudi.
- Był na tyle stary, by mieć lojalnych przyjaciół po obu stronach Muru. Zostało już niewielu takich ludzi. Der Grosse Kleiner był ostatnim z berlińskich weteranów - stwierdził Harry.
- Jednym z ostatnich.
- A któż tam jeszcze został? Myślisz o Langem? On jest Amerykaninem. Ten stary wieprz Rudi Kleindorf znał wiele sekretów. I zabrał je z sobą do grobu, Bernard. - Ugryzł kawałek słonego herbatnika; nie bardzo lubił sery. - Nigdy nie przeboleał straty syna. I odszedł w taki sam sposób: przedawkowanie. Dokąd będą chodzić ci wszyscy wykolejeńcy, skoro nie ma już „Babilonu”?
- Biedny Rudi - powtórzyłem. - Dlaczego on to zrobił?
- Podobno miał jakieś kłopoty z władzami.
- Zawsze miał kłopoty z władzami - powiedziałem.
- Jego ojciec był czymś w rodzaju bohatera wojennego. Rudolf Freiherr von Kleindorf. Zawodowy oficer. Zdobył sławę podczas zimowych walk na froncie wschodnim. Pierwsza Armia Pancerna przebijała się przez wojska nieprzyjaciela pod Tarnopolem. Wyniósł w bezpieczne miejsce trzech swoich rannych żołnierzy; jednego po drugim. Cały czas pod ostrzałem; Ruscy powinni byli go sprzątnąć, ale burza śnieżna utrudniała im widoczność. Został przedstawiony do dekoracji Krzyżem Rycerskim z brylantami czy jakimiś innymi świecidełkami, ale nie dostał go. Może dlatego cała historia nabrała rozgłosu, a on stał się legendarną postacią w oczach innych żołnierzy. Pruski oficer, arystokrata, który ryzykuje własne życie ratując szeregowców - to brzmi imponująco. - Uśmiechnął się szyderczo. - Ale kiedy zdobędzie się taką reputację, trzeba ją podtrzymać, prawda? Był chyba jednym z tych twardych mężczyzn, którzy wierzą, że nigdy nie zostaną zabici. Znamy takich kilku, prawda, Bernard?
- I co było dalej?
- Miał rację. Oni często mają rację, no nie? Kleindorf senior przeżył wojnę, a potem bronił przed sądem swego dowódcy korpusu, którego oskarżono o zbrodnie wojenne. Wyobraź sobie, zauważył, że jakiś pomyłony gryziپیórek z komisji zbrodni

wojennych napisał w akcie oskarżenia „Dywizja Australijska” zamiast „Dywizja Artyleryjska” i na podstawie tej formalnej pomyłki doprowadził do umorzenia sprawy. Cwany facet! Mówią, że kiedy zjawiał się na spotkaniach weteranów wojennych, owacje na jego cześć trwały piętnaście minut. Rudi wyrósł w cieniu swego ojca; przypuszczam, że trudno mu było dorównać staremu. Dlatego nigdy o nim nie wspominał.

- Cholernie dużo wiesz o rodzinie Kleindorfów - zauważyłem.
- Musiałem go sprawdzić przed kilku laty. Przejrzałem wszystkie akta personalne, również akta jego ojca. Było to dość fascynujące zajęcie.
- Teraz rozumiem, dlaczego Rudi chciał, żeby jego syn wstąpił do armii.
- Żeby podtrzymać rodzinną tradycję? No cóż, chyba wszyscy mamy skłonność do wymagania od naszych dzieci tego, czego sami nie zrobiliśmy dla naszych rodziców, prawda?
- Nie wiem - odparłem.

Nie przyciskał mnie do muru, ale wygłaszając następne zdanie pochylił się lekko ku mnie, jakby chciał podkreślić jego wagę.

- Ci Niemcy trzymają się razem, Bernard. To się rzuca w oczy już po dziesięciu minutach od przyjazdu do Europy. Moglibyśmy się od nich uczyć. Mam rację?

Nie miałem pojęcia, do czego zmierza, ale powiedziałem:

- Tak, masz rację, Harry.

Mój szwagier, George, przyglądał się Harry'emu z wielkim zainteresowaniem. Był on jedynym outsiderem w tym towarzystwie, ale wiedział, że Harry ma jakieś koneksje z CIA. Harry właściwie sam mu to powiedział już przy pierwszym spotkaniu. W owych czasach Harry był bardzo ekspansywny; z biegiem lat wyraźnie się uspokoił.

W tym momencie Dicky wyjął cygaro z ust, wypuścił obłoczek dymu, spojrzał na mnie i powiedział:

- Harry chciałby, żebyś w przyszłym tygodniu zjadł lunch z jego współpracownikami, Bernard.
- Doprawdy? - spytałem, zastanawiając się, dlaczego Harry sam nie zaproponował mi tego kulinarnego *rendez-vous*. Spojrzałem na niego, ale on przyglądał się Dicky'emu.

- Wyraziłem zgodę - dodał Dicky.
- Czy to znaczy, że to ty wybierasz się na ten lunch? - spytałem.
- Nie, Bernard - odparł Dicky z uśmiechem. - Oni nie potrzebują takiego biurokraty jak ja; potrzebują byłego agenta operacyjnego, który potrafi rozwiązać ich troski. - Przesunął palcem po ustach, zastanawiając się chyba, czy odwzajemnić jego komplement.

Być może zrobiłbym to, ale Harry wtrącił pospiesznie:

- Będziemy bardzo wdzięczni, Bernie; naprawdę nam na tym zależy.

Streeply-Cox spojrział na mnie i tubalnym głosem wygłosił kolejny obłudny frazes:

- Staramy się współpracować, gdy tylko jest to możliwe. To jedyna droga; jedyna droga. - Wytrząsnął okruszki chleba ze swych obfitych białych bokobrodów.

- Wyjął mi pan z ust te słowa, Sir Giles - oznajmiłem.

- Wspaniale, wspaniale - odparł. Dicky zerwał się na nogi ze słowami:

- Moim zdaniem, powinniśmy teraz przyłączyć się do pań.

Kiedy przekroczyłem drzwi salonu, odniosłem wrażenie, że Daphne demonstruje jakiś krok taneczny, ona jednak zastygła w niezręcznym bezruchu na widok wchodzących mężczyzn. Gloria,

która siedziała obok Tessy, podniosła ku mnie wzrok i mrugnęła porozumiewawczo. Podszedłem do niej, wiedząc, że tego oczekuje.

- Och, Bernard - szepnęła. - Tessa chce, żebyśmy pojechali z nimi na cudowne przyjęcie. Czy możemy to zrobić? Powiedz, że tak.

- Kiedy?

- Zaraz. Prosto stąd. Zerknąłem na zegarek.

- W takim razie wrócimy do domu bardzo późno.

- Ale skoro już jesteśmy ubrani... Pojedźmy z nimi!

- Jeśli masz ochotę.

- Wspaniale! - ucieszyła się Gloria. - Uwielbiam George'a, a Tessa jest taka zabawna.

- To zależy od punktu widzenia - odparłem. - Czy wiesz, gdzie odbywa się to przyjęcie?

- George mówi, że możemy pojechać jego rollsem. Jest w nim mnóstwo miejsca.

- I zostawić tu samochód?
 - Przyjadę po niego.
 - A jak ja wrócę do domu? Na piechotę?
 - Nie bądź taki skąpy, Bernard. Możemy wrócić po niego oboje. Albo pojechać taksówką do domu i odebrać go rano.
 - Liczniki parkingowe włączają się o ósmej trzydzieści.
- Bernard, czy możemy tam jechać, czy nie?
- Spojrzałem na nią czule.
- Wolałbym od razu wrócić do domu z najpiękniejszą kobietą w tym pokoju.
 - Jedźmy z nimi - powiedziała Gloria, która najwyraźniej nie miała zamiaru ustąpić pod wpływem moich pochlebstw.
 - To świetny pomysł.
 - Kocham cię, Bernard.
 - Jesteś okropną, bałamutną kobietą - powiedziałem.
 - Bawarski książę i księżna!
- Och, mój Boże - pomyślałem - w co ja się pakuję? Choć, z drugiej strony, będę miał okazję, żeby ponownie porozmawiać z Tessą o tym przeklętym futrze.

12

Książę i księżna mieli dom w Pimlico; jest to cypel centralnego Londynu, wokół którego zakręca Tamiza w drodze do Westminsteru. Kiedy przed wielu laty Thomas Cubitt przestał sprzedawać duże domy o fasadach ozdobionych sztukateriami bogaczom z dzielnicy Belgravia, zaczął budować ich kopie na tańszych terenach pobliskiego Pimlico. Mówiło się wtedy, że Pimlico staje się elegancką dzielnicą - i mówi się tak nadal. Nigdy bowiem nie dorównało Belgravii, choć ma podobne domy, ogrody i skwery. Było - i jest nadal - dzielnicą ludzi o zmiennych losach. Władze lokalne, próbując uregulować ruch, wprowadziły wiele zakazów i jednokierunkowych ulic, w wyniku czego cała okolica stała się labiryntem, z reguły unikany przez kierowców.

Wielkie domy Cubitta zostały podzielone na ciasne mieszkania, a raczej, jak informują ogłoszenia, „apartamenty z pracownią” i „przebudowane poddasza”. Liche hoteliki i pensjonaty z tandetnie wypisanymi szyldami oferują możliwość

zamieszkania w pobliżu jedynej w Londynie dworca autobusów zamiejscowych i ruchliwej stacji kolejowej Victoria.

Właśnie na jednej ze spokojniejszych uliczek tej dzielnicy nasz gospodarz nabył duży dom i włożył sporo pieniędzy w jego przebudowę. Była to - jak wytłumaczył mi po drodze George - rozsądna lokata kapitału. Z uznaniem mówił o innych niemieckich businessmanach, którzy wykorzystując wysoki kurs marki, robią podobne inwestycje. Księżę zatrzymywał się w tym domu podczas wizyt w Londynie i podejmował w nim swych kontrahentów, ale i tak kosztowało go to znacznie mniej, niż płaciłby za hotele i restauracje.

Tymczasem ceny nieruchomości w tym rejonie stale wzrastały, istniała więc szansa na to, że za lat dwadzieścia inwestycja ta przyniesie mu pokaźny dochód.

Usłyszawszy to, spytałem George'a, dlaczego on, zamiast postąpić tak samo, kupił dom w Mayfair, najdroższej dzielnicy mieszkalnej Londynu.

- Ach - odparł George - to dlatego, że jestem synem ubogich rodziców.

Lubię korzystać z przyjemności, które można kupić za pieniądze. Chcę co wieczór wracać do domu i spędzać noc wśród najbogatszych ludzi Anglii. Potrzebne mi jest takie potwierdzenie własnej wartości. - Zachichotał głośno.

- Nieprawda - powiedziała Tessa. - To moja wina. Mieszkamy w Mayfair, bo ja nie zgodziłabym się mieszkać w Pimlico.

Roześmialiśmy się wszyscy. Oboje w pewnym sensie mówili prawdę. Ale istota sprawy ukryta za tymi racjonalnymi wyjaśnieniami sprowadzała się do tego, że George i Tessa byli bezdziejni, więc nie mieli dla kogo robić dobrych inwestycji. W ciszy, która potem zapadła, zacząłem żałować, że spytałem o ceny domów.

W pobliżu domu księcia nie było miejsca, więc George zaparkował swego rollsa za następną przecznicą. Noc była chłodna, a ponieważ latarnie uliczne zabarwiały puste ulice posępnym błękitem, wydawała się jeszcze chłodniejsza. Po wejściu do domu odczuliśmy gwałtowną zmianę. Ruchliwi goście, jasne światła, zatłoczone pokoje, ciepło wydzielane przez ciała zebranych, hałas i podniecenie - wszystko to sprawiło, że poczuliśmy się napromieniowani energią. I odczuliśmy gwałtowną potrzebę wypicia drinka.

Było to duże przyjęcie; po domu krążyło chyba ze sto osób, które śmiały się głośno, rozmawiały donośnymi głosami, świadczącymi o pewności siebie, i wychylały kolejne drinki. W największym pokoju przy dźwiękach małej orkiestry tańczyło z sześć par; stał tam też zastawiony stół, a kelnerzy w białych marynarkach

stale uzupełniali zapasy krewetek, wędzonego łososa i pokrojonej w plasterki wołowiny.

- Tak żyją sfery wyższe - powiedziała Gloria, zmierzając w stronę kominka, przy którym stała nasza młoda i atrakcyjna gospodyni, rozmawiając z jakimś dobrze ubranym brodaczem – jak się okazało, przedstawicielem firmy organizującej to przyjęcie.

Gloria miała rację. Świat księcia Joppi różnił się diametralnie od naszego bardziej sekretnego świata, w którym ludzie, z różnych przyczyn, pili i rozmawiali z wystudiowaną czujnością. Nie był to też normalny świat podaży i popytu; był to świat obfitości. Otaczali nas

ludzie, którzy wszystko robili w sposób przesadny: nadmiernie się denerwowali, nadmiernie tyli, byli zbyt wykształceni, zbyt wiele osiągnęli, zbyt wiele sprzedawali, zbyt wiele wydawali, zbyt wiele produkowali. Teraz jedli, pili i hałaśliwie cieszyli się swymi sukcesami. Nie myśleli o jutrze; od tego byli tacy ludzie jak ja, Fiona czy Bartholomew H. Johnson.

Na widok George'a i Tessy księżna uśmiechnęła się serdecznie. Była drobna i szczupła, a jej ciemne włosy uczesane w tak niedbały sposób, że widać było na pierwszy rzut oka, iż spędziła wiele godzin u bardzo drogiego fryzjera. W jej nieco przesadnym makijażu dominowały zieleń, błękit i czerń. Najbardziej szokująca była jej ciemna opalenizna. Niemcy są niezbyt słonecznym krajem i istnieje typ Niemców, dla których ten rodzaj opalenizny jest ważnym symbolem statusu społecznego. Ten gatunek ludzi nie przejmuje się zaleceniami lekarzy odradzających kąpiele słoneczne.

Muzyka ucichła. Tancerze czekali na kolejny utwór, ale członkowie orkiestry odłożyli instrumenty i odeszli na zaplecze, żeby się posilić.

- Tessa, kochanie! - zawołała księżna, gdy podeszliśmy bliżej. Wymieniły symboliczne pocałunki, typowe dla kobiet starannie umalowanych, uczesanych i obwieszonych biżuterią. - Obiecaj mi, że nigdy już nie pozwolisz George'owi pozbawiać mnie towarzystwa mojego męża.

- Co oni znowu zrobili? - spytała Tessa, uśmiechając się w taki sposób, jakby odpowiedź, której się spodziewała, mogła być równocześnie szokująca i zabawna.

- Chodzi o ten przeklęty kurs pletwonurkowania. Od kiedy George go tam zabrał, Joppi nie potrafi mówić o niczym innym.

- Ależ to było dawno temu - powiedziała Tessa. - Jeszcze w Cannes.

- Wiem. Myślałam, że będzie tak jak z malowaniem i komputerami, to znaczy, że zapomni o tym po tygodniu lub dwóch. Ale on kompletnie oszalał... Kupił cały sprzęt: butle powietrzne i... sama nie wiem co... Kupuje nawet książki na ten temat. Żąda, żebym ja też zaczęła nurkować, ale nie umiem pływać.

- Biedna Ita - powiedziała Tessa, ale w jej głosie nie było ani cienia szczerości.

Księżna, chcąc jeszcze wyraźniej uzewnętrznić swą frustrację, zaczęła się wachlować; jej manieryczny sposób bycia małej dziewczynki raził nieco u dorosłej kobiety.

- George - poprosiła. - Zrób coś, żeby wyciągnąć Joppiego z sali bilardowej. - Zwracając się do Tessy, dodała przymilnym tonem: - Podczas wszystkich naszych przyjęć powtarza się ta sama historia. Joppi znika w tej sali i wcale mi nie pomaga.

- Masz wielkie szczęście, Ita - pocieszyła ją Tessa. - Kiedy George mi pomaga, wynika z tego piekielne zamieszanie.

George uśmiechnął się i powiedział:

- Chcę ci przedstawić Glorię i Bernarda, mojego szwagra.
- Czy naprawdę jest pan bratem Tessy?
- Nie, jestem mężem jej siostry.
- A więc to jest Gloria - stwierdziła księżna nieco protekcyjnym tonem i uśmiechnęła się z zadowoleniem, jakie często okazują kobiety odkrywając nielegalne - ich zdaniem - związki.

Po krótkotrwałej wymianie dalszych żartobliwych uwag Tessa wzięła Glorię pod swe opiekuńcze skrzydła i zniknęła z nią na górze, a George zaprowadził mnie do sali bilardowej, bym poznał pana domu. Sądząc z opisu George'a spodziewałem się, że jest on starym, grubym pożeraczem kielbasek, człowiekiem przesiadującym w piwiarniach i kołyszącym się w rytm pieśni *In München steht ein Hofbrau-haus - eins, zwei, gsuffa!* Tymczasem książę okazał się wysokim i szczupłym trzydziestopięcioletkiem, kosmopolitycznym businessmanem, mówiącym po angielsku bez śladu obcego akcentu. Był tak samo opalony, jak jego żona i miał nienaturalnie czarne, lśniące, gładko zaczesane włosy. Jego smoking miał konserwatywny krój, ale był uszyty przez drogiego krawca. Podobnie jak George i liczni inni goście nosił go z bezpretensjonalnym wdziękiem człowieka, który spędza w tym kostiumie sporo czasu.

Stał obok tablicy pijąc wino i studiując położenie kul. Kiedy weszliśmy, podniósł wzrok.

- George! - zawołał chyba z autentycznym zadowoleniem.
- Grasz sam? - spytał George. - Może wolałbyś, żeby...
- Nie, George. Miałem nadzieję, że tu przyjdiesz. - Postawił kij na półce, wkładając w ten gest zbyt dużo siły, jak dobrze wyszkolony żołnierz, który odstawia swój karabin.

• Chcę ci przedstawić Bernarda, który jest moim bardzo bliskim przyjacielem, choć równocześnie moim szwagrem.

• Szwagier i przyjaciel! - zawołał księżę, udając zaskoczenie. - To dobrze świadczy o waszej szlachetności i wyrozumiałości.

Podczas tej prezentacji zacząłem sobie mgliście przypominać fakty związane z naszym gospodarzem. Czytałem o poczynaniach tego księcia-playboya w popularnych gazetach i czasopismach niemieckich.

• Gościsz dzisiaj wytworne towarzystwo, Joppi - powiedział George.

• Nie ma tu wielu prawdziwych przyjaciół. Są to ludzie, którym, zdaniem mojej żony, winni jesteśmy rewanż za ich gościnność i oddane nam przysługi. - Joppi powiedział to w taki sposób, jakby jego żona cierpiała na jakieś dziwne i niepokojące urojenia, które, być może, z czasem przestaną jej dokuczać.

• Ita mówiła mi, że stałeś się ekspertem w dziedzinie nurkowania, Joppi - stwierdził George.

• Owszem, następnym razem przekonasz się, że jestem lepszy niż ty. To sprawa kondycji, George. I treningu. - Jak każdy Niemiec, nie potrafił opanować chęci pochwalenia się osiągnięciami, które wymagały wiele wysiłku. - Spędziliśmy Boże Narodzenie w nadmorskim domku mojego brata, niedaleko Rio, i woda była idealna. Jestem teraz w cholernie dobrej formie.

• Szczęściarz z ciebie - powiedział George.

• Jesteście moimi gośćmi i nie macie nic do picia. Musimy to natychmiast naprawić. - Wygładził swą idealnie gładką marynarkę i ruszył w stronę drzwi, jakby domyślając się, że jego żona prosiła George'a o wyciągnięcie go z sali bilardowej.

Niemieckim zwyczajem pstryknął palcami na najbliższego kelnera i kazał mu podać drinki. Ale zanim zdążyłem wziąć kieliszek z tacy, chwyciła mnie za rękę uśmiechnięta pogodnie Tessa.

- Najpierw musisz ze mną zatańczyć, Bernard. Stanowczo tego żądam.

Nie tańczyłem od tak dawna, że musiałem wysilić całą zdolność koncentracji, by nie deptać jej po nogach, ale po jakimś czasie zacząłem sobie radzić na tyle dobrze, iż mogłem podjąć rozmowę.

- Więc kiedy mógłbym wpaść po to futro?
- Joppi jest wspaniałym tancerzem, nie uważasz? - spytała Tessa, jakby moje słowa w ogóle do niej nie dotarły.

Odwrociłem głowę i zobaczyłem, że nasz gospodarz mocno trzyma w ramionach Glorię.

- Tak - odparłem.
- Wiedziałaś, że zainteresuje się Glorią. Jest dokładnie w jego typie.
- Ale czy Gloria uzna go za interesującego?

- To nie ma większego znaczenia. On będzie interesował się nią, a to robi wrażenie na każdej kobiecie.

Nie spierałem się; zapewne miała rację. Nigdy nie rozumiałem kobiet i straciłem już nadzieję, że kiedykolwiek mi się to uda. Tak czy owak spory z Tessą nie miały sensu. Kierowała swoim życiem po swojemu i nie robiła ustępstw dla nikogo, nawet dla swego męża.

• On już taki jest - ciągnęła Tessa lekko żartobliwym tonem. Chciała mnie sprowokować i nie ukrywała tego. - Ma opinię kobieciarza. Zaproponuje jej małżeństwo - sam zobaczysz.

- Skąd to wiesz?
- Ależ z ciebie głupiec!

Przesunąłem ją gwałtownie po parkiecie, by uniknąć kolizji z sąsiednią parą, i spytałem:

- Kiedy to było?
- Ja i Joppi? Chciał, żebym odeszła od George'a, ale było to tylko jego *machismo*. Zostawiłby mnie na lodzie już po kilku miesiącach. Wiedziałaś o tym.
- Czy George wie?
- A co ma wiedzieć, mój drogi? - Tańczyliśmy przez chwilę w milczeniu, a potem powiedziała: - Gloria okropnie się o ciebie martwi, kochanie.
- Gloria się martwi?
- Nie wyglądasz najlepiej, Bernard. Z pewnością słyszałeś to już od innych,

prawda?

- Nie, nie słyszałem.
- Nie rób się nadęty. Jeśli chcesz usłyszeć prawdę, to wyglądasz po prostu fatalnie. Gloria uważa, że powinieneś pójść do lekarza, a ja się z nią zgadzam.

- Pójść do lekarza? A co niby miałyby mi dolegać?
- Stres potrafi oddziaływać na ludzi w dziwny sposób, Bernard. Jesteś pewnie przepracowany... sama nie wiem. Ale jesteś ciągle cholernie nerwowy i podejrzliwy. A poza tym nie wyglądasz dobrze.

- Jestem w świetnej formie.
- Mój lekarz z Harley Street jest naprawdę cudowny, Bernard. Pójdź do niego i pozwól się zbadać; zrób to dla mnie.

- Zaczynam wierzyć, że mówisz poważnie.
- Bo mówię poważnie. Obiecałam Glorii, że z tobą porozmawiam.
- Zastanowię się nad tym.
- Nie. Obiecuję, że pójdziesz. Załatwię ci wizytę.

. - Powiedziałem, że się zastanowię.

- Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu. Będę cię nękać, dopóki nie pójdziesz.

- Na miłość boską, Tessa... - Nagle zdałem sobie sprawę, że jestem bez powodu opryskliwy i pocałowałem ją lekko w policzek. Nie mogłem jej powiedzieć, że nawet o takim rutynowym badaniu musiałby się dowiedzieć Departament. A nie chciałem, by którykolwiek z jego pracowników pytał mnie, czy jestem chory. Wywołałoby to cały szereg komplikacji. Czekali tylko na pretekst, żeby się mnie pozbyć.

Znów ujrzałem księcia Joppi. Był istotnie zręcznym tancerzem, a Gloria świetnie się bawiła. Chyba nie myślała, że jej partner powinien pójść do lekarza. Widząc, jak płynnie ślizgają się po parkiecie, zacząłem żałować, że nie przykładałem się bardziej do nauki na lekcjach tańca u *Frau* Brand, na które chodziłem jako dwunastolatek.

- Czy Joppi jest przyjacielem George'a? - spytałem.
- Przyjacielem? George go nie znosi. George nienawidzi Niemiec; dobrze o tym wiesz. Odrzucił ofertę Mercedesa, kiedy proponowali mu, by został ich agentem. Nie kupuje nawet używanych niemieckich samochodów, choć mógłby zarobić na ich

sprzedaży.

- Więc dlaczego tu przychodzicie?
- Ita jest jedną z moich najlepszych przyjaciółek. To urocza dziewczyna. A kiedy nadchodzi moja kolej i muszę zorganizować lunch na cele dobroczynne, zjawia się na nim wiele pań, które chcą poznać prawdziwą księżnę.

- Zastanawiam się, kiedy mógłbym odebrać to futro - powiedziałem, straciwszy nadzieję, że uda mi się poruszyć ten temat w sposób bardziej subtelny.

- To George poznał ich pierwszy - oznajmiła Tessa. - Spotkał Joppiego na mszy; jak wiesz, zawsze chodzi w niedzielę do kościoła. Nigdy nie zgadłbyś, że poznali się w takich okolicznościach, prawda?

- Nie, nie zgadłbym. - Patrzyłem, jak Joppi uśmiecha się i przytula do Glorii podczas tańca. - Może wpadlibyście do nas któregoś wieczora na kolację?

- Bardzo chętnie, mój najmilszy. Ale nie prosz mnie o przywiezienie tego cholernego futra, bo moja odpowiedź brzmi: nie.

- Ja po prostu...

- Twoja Gloria jest miłą dziewczyną. Nie znam jej bardzo dobrze, ale wydaje mi się sympatyczna. I podoba mi się to, że się o ciebie martwi; jesteś szczęśliwym człowiekiem. Ale nie zamierzam przywozić futra Fiony po to, żebyś jej ofiarował. To wykluczone, Bernard. Byłoby to niestosowne i dziwię się, że sam tego nie widzisz.

- Tak czy owak przyjdźcie na kolację.

- Jest już niemal lato.

- Tak - przyznałem i w tej chwili muzyka ucichła.

- Popatrz - powiedziała Tessa rozbawionym tonem, w którym wyraźnie odbijała się złośliwa satysfakcja, cechująca jej pogląd na świat. - Prawdopodobnie właśnie teraz składa jej propozycję. Zaprosi ją do Rzymu na weekend albo do mieszkania na najwyższym piętrze drapacza chmur, które mają w Nowym Jorku. To musi być bardzo kuszące.

Okazywanie gniewu nie miałyby sensu. Każdy był narażony na *Schadenfreude* Tessy.

- Robi się późno - powiedziałem - a ja muszę jutro wstąpić.

George wspaniałomyślnie nalegał, żebyśmy wstąpili na ostatniego drinka do ich mieszkania w Mayfair. A potem, zostawiwszy Glorię i Tessę zatopione w

rozmowie, zawiózł mnie pod dom Dicky'ego, żebym mógł odebrać samochód.

- Ten dom Joppiego - powiedział nagle podczas jazdy - jest pełen zgnilizny.
- Doprawdy? - spytałem.
- Wszedłem na górę, żeby skorzystać z łazienki. Mój Boże! Żebyś zobaczył

stolarkę! Grzyb siedzi w ścianach, w tynku. Czy nie zauważyłeś?

- Nie.
- Żeby się go pozbyć, będą musieli wypruć całe wnętrze.
- Powiedziałeś mu o tym?
- Żeby być zwiastunem złych wieści? Nie. Biedny facet. Nie mogłem się

zdobyć na to, żeby zepsuć mu wieczór.

- Czy nie kazał zrobić ekspertyzy?
- Za bardzo słuchał tego modnego architekta, który lansuje nierdzewną stal i wewnętrzne ogrody... nie znoszę takich facetów.
- Czy nie ma szans na odzyskanie części pieniędzy?
- Chodzi ci o to, czy może zaskarżyć firmę budowlaną i żądać

rekompensaty? Nie ma żadnych szans. Ci faceci to bandyci. Zakładają nową firmę do każdej roboty i ogłaszają bankructwo, gdy tylko dostaną pieniądze. Na tym polega ich metoda działania.

- Biedny Joppi.

- Tak, żal mi go - oznajmił z powagą George.

Gdyby Tessa nie powiedziała mi, co naprawdę myśli o księciu, uwierzyłbym, że mówi prawdę. Był dobrym kierowcą; prowadził ostrożnie i czujnie, a przy tym zyczliwie traktował innych użytkowników jezdni. Kiedy jakiś młody chłopak w poobijanym fordzie wyprzedził go z niewłaściwej strony i w dodatku skarcił klaksonem za zbyt ostrożną jazdę, George zjechał po prostu na bok, by zrobić mu miejsce.

- Głupi gówniarz! - mruknąłem ze złością.
- Może miał zły dzień - powiedział łagodnie George. Zastanawiałem się czasem, czy źródłem jego niezwyklej tolerancji była pobożność. Jeśli tak, był to przekonujący argument na korzyść rzymskiego katolicyzmu.
- Jesteś człowiekiem światowym, Bernard - powiedział nagle George.

Chciałem udzielić żartobliwej odpowiedzi, ale zdałem sobie sprawę, że George ma jakiś problem. Więc mruknąłem niewyraźnie, że chciałbym się za takiego

uważać.

- Czy masz jakieś doświadczenie w sprawach narkomanii? Kokaina, heroina, tego rodzaju świństwa?
- Nie jestem ekspertem.
- Koło Tessy kręci się pewien facet... Wczoraj rozmawiała ze mną o narkotykach, twierdząc, że mówi się na ten temat wiele głupstw, a ja nie wątpię, że tak istotnie jest... - Zamilkł nagle.
- Chciałbym wyraźnie zrozumieć, co usiłujesz mi powiedzieć, George. Czy uważasz, że ten facet sprzedaje jej narkotyki?
- Tak, Bernard. Tak uważam - odparł z wahaniem.
- Podaj mi jego nazwisko i adres.
- Nie chcę reagować przesadnie - powiedział. - Mogłoby to doprowadzić do tego, czego właśnie chciałbym uniknąć.
- Ale nie zaszkodzi sprawdzić. Znam dobrych fachowców, którzy będą mogli odpowiedzieć na niektóre z twoich pytań w ciągu kilku dni.
- Twierdzi, że nazywa się Bill Turton, ale nie przywiązywałbym do tego większego znaczenia. To jest Amerykanin; sprawia wrażenie człowieka zamożnego. Nie jest młody. - Przerwał swe zwierzenia i zastanawiał się przez chwilę. - To nie będzie łatwe, Bernard. To jeden z tych ludzi, którzy nie mają stałego adresu. Hotele, kluby, wynajęte mieszkania; przenosi się z kraju do kraju. Nigdzie nie zostaje długo.
- Czy wiesz to od Tessy?
- Zaprosiła go któregoś wieczora na drinka. Nie spodobał mi się. Widziałem, że jest czarujący, przyjazny, i tak dalej, ale poczułem do niego instynktowną awersję.
- Może niepotrzebnie się martwisz.
- Był dziś wieczorem u Joppiego.
- Naprawdę? - Byłem zaskoczony i żałowałem, że George nie poruszył tej sprawy na miejscu, kiedy miałem możliwość przyjrzenia się temu człowiekowi.
- U Joppich zawsze zbiera się sporo takiej hołoty. Czy wchodziłeś na górę?
- Na górę? Nie.
- W jednym z pokoi na piętrze... Oni myślą, że jest to bardzo awangardowe i subtelne.
- Zauważyłem, że panował tam nastrój... pewnej hysterii.

- Histerii. Tak, chyba tak to można określić, prawda? Nie rozumiem, jak ludzie mogą zatruwać swój organizm chemikaliami. Czy wiesz, że Tessa nie jada przetworzonej żywności, bo zawiera ona dodatki chemiczne? A jednak ona...
- Przykro mi, George.
- Dlatego chciała tam iść. Czy zauważyłeś, jaka była ożywiona?
- Nie bardziej niż zwykle. Zawsze jest w świetnym nastroju, sam o tym dobrze wiesz.
- Wysoki, siwe falujące włosy i okulary.
- Było tam wielu takich ludzi - odparłem.
- Ten facet ma małą brodę okalającą twarz, ale nie ma wąsów. Wygląda dość dziwnie.
- Nie zauważyłem go - odparłem zgodnie z prawdą. Opis ten mógłby pasować do Barta Johnsona, ale Bart Johnson został zamordowany.

13

Nazajutrz po przyjęciu u księcia Joppi szedłem rano ulicą South Adley i spotkałem niespodziewanie Rolfa Mausera. Rolf miał około siedemdziesiątki; był w czasie wojny kapitanem artylerii i nikomu nie pozwalał zapomnieć o tym, że został odznaczony cennym Krzyżem Rycerskim. Był łobuzem pozbawionym zasad, ale miał miły sposób bycia, i kiedy pracował u mojego ojca, a potem pełnił funkcję barmana w hotelu Lisi, często się z nim widywałem. To właśnie Rolf nauczył mnie, jak otwierać wytrychem zamki i jak ukryć jedną kartę podczas tasowania całej talii. Jako dziecko byłem do niego bardzo przywiązany i mimo że już dawno przekonałem się, ile jest naprawdę wart, nigdy nie przestałem do końca go szanować. I choć stał się dla mnie zabawnym starym człowiekiem, wiedziałem, że pod jego poczuciem humoru kryje się przerażająca bezwzględność.

Byłem zaskoczony spotykając go w Londynie, ponieważ z ostatnich informacji, jakie do mnie dotarły, wynikało, że osiedlił się na stałe w Berlinie Wschodnim.

- Dobrze wyglądasz, Rolf. Co robisz w Londynie?

Był wysokim, postawnym mężczyzną i miał na sobie ciężki płaszcz z brązowej skóry, ozdobiony licznymi patkami i guzikami. Płaszcz był bardzo obcisły,

a Rolf sprawiał wrażenie człowieka, który dusi się w nim i zaraz pęknie. Wrażenie to potęgowała czerwień jego policzków i nosa.

- Cześć, Bernd! Przyjechałem w odwiedziny do krewnych. Mam kuzyna w Lu ton.

- Gdzie teraz mieszkasz? - spytałem.

Pochylił głowę i dotknął swego zielonego lodenowego kapelusza, jakby chcąc zmniejszyć jego ucisk, ale w tym jego geście można było dopatrzeć się objawów skruchy.

- Nadal jestem na Wschodzie. Kiedy człowiek osiąga mój wiek, szuka ciszy i spokoju. A poza tym jest tam tanio.

- Nadal w tym samym mieszkaniu? - Spędziłem u niego kiedyś noc. Jego apartament był duży i wygodny, lecz nieco zaniedbany, podobnie jak jego właściciel.

- Tak, w Prenzlauer Berg. Pięćdziesiąt pięć marek miesięcznie! Czynyś nie zmienił się od dwudziestu pięciu lat. Czy możesz powiedzieć to samo o jakimkolwiek mieszkaniu na Zachodzie.

- Nie.

Opuścił swe krzaczaste brwi i dodał, jakby tłumacząc się przede mną:

- Czasem występują kłopoty z zaopatrzeniem, ale podstawowe produkty żywnościowe - chleb, mleko, mięso, jaja - są tanie. Tak samo posiłki w restauracjach, transport, bilety do teatrów i na koncerty. Wygodnie mi jest na Wschodzie, Bernd. Bardzo wygodnie. - Brzmiało to jak krótkie, ale starannie przygotowane przemówienie.

- A poza tym nawet skromna suma pieniędzy ma tam sporą wartość - powiedziałem.

Jego twarz zastygła w bezruchu. Mauser pracował niegdyś dla Departamentu i zapewne otrzymywał jakąś niewielką emeryturę za pośrednictwem banku „Schneider, von Schild und Weber”, który w dyskretny sposób załatwiał takie delikatne operacje finansowe na terenie Berlina. Emerytury - podobnie jak wszystkie inne świadczenia socjalne - nie są w NRD zbyt hojne. Tylko taki stary cynik jak Rolf mógł wychwalać - nawet przede mną - zalety reżimu, pod którego rządami zdecydował się spędzić starość, choć głównym źródłem jego utrzymania była emerytura otrzymywana za jego udział w wysiłkach na rzecz obalenia tego reżimu.

- Przecież to właśnie ci mówiłem.

- Cieszę się, że cię widzę, Rolf.
- I cóż z tego, że muszę czasem stać w kolejce po mięso i inne artykuły

spożywcze? Nie przeszkadza mi to. Mam dużo wolnego czasu. A kiedy wracam z zakupami do domu, nie muszę się obawiać, że ktoś włamie się do mojego mieszkania i mnie zamorduje.

- Masz szczęście. Dokąd idziesz?
- Tak, mam szczęście - zapewnił mnie, jakby nie był całkowicie przekonany

o szczerości mojego stwierdzenia. - Surowo traktują

młodych ludzi, ale tacy starzy faceci jak ja mogą wyjeżdżać i przyjeżdżać, kiedy im się spodoba. Nie muszę przełazić przez Mur, Bernd - dodał z szerokim uśmiechem.

Jeśli wiedziałem cokolwiek o Rolfie Mauserze - a wiedziałem o nim sporo - to mogłem być przekonany, że nigdy nie pogodzi się z żadnym reżimem komunistycznym. Był buntowniczym samotnikiem. Komuniści (podobnie jak faszyci czy Kościół) zawsze chętnie przyjmowali w swe szeregi ludzi nawróconych na ich ideologię, ale trudno było sobie wyobrazić, by Rolf wykazywał *sozialistisches Staatsbewusst-sein*, ów bezkrytyczny entuzjazm dla reżimu, którego NRD wymaga od swych obywateli. Mauser był pragmatykiem, a w dodatku egocentrycznym pragmatykiem. Kiedyś, bardzo dawno temu, mój ojciec zaliczył go do tych aroganckich, wojowniczych Niemców, którzy ściągnęli na swój naród pogardę cywilizowanego świata. Moja matka spytała go wówczas spokojnie, dlaczego stale go zatrudnia.

- Ponieważ potrafi robić rzeczy, których nikt inny nawet by nie próbował - odparł mój ojciec.

- Może wstąpimy gdzieś na kawę? - zaproponowałem. Domyślałem się, że ma niewiele wymienialnych dewiz, a tego rodzaju niedostatek wymaga zazwyczaj rezygnacji z przypadkowych wizyt w kawiarniach.

- Chętnie, Bernd. Kawa to jedyna rzecz, której nie mogę kupić za przystępną cenę. Na szczęście mój syn przysyła mi co miesiąc paczkę. Nie potrafię żyć bez porannej filiżanki dobrej kawy.

W pobliżu znajdowała się elegancka niewielka kawiarnia, więc ruszyliśmy pospiesznie w jej stronę, a Rolf zaczął utyskiwać na pogodę.

- To mnie po prostu przenika aż do kości - powiedział, kiedy usiedliśmy.

Mówiąc „to” miał oczywiście na myśli wilgoć. Podobnie jak większość berlińczyków uważał, że panujące w Anglii nieco wyższe temperatury nie są wystarczającą rekompensatą za przenikliwą, chłodną wilgotność, której tubylcy w ogóle nie zauważają.

Była to zwykowna kawiarnia, którą dobrze znałem. Spotykałem się tam z Fioną, kiedy oboje pracowaliśmy w pobliskim biurze. Było to przed naszym ślubem. Zanim jeszcze znaleźliśmy stół, zamówiłem duży dzbanek kawy. Wiedziałem, że w ten sposób najskuteczniej zachęcę obsługę do szybkiego działania.

- Jak się miewa Axel? Dawno go nie widziałem. - Chodziłem do szkoły z synem Mausera. Byliśmy kiedyś bliskimi przyjaciółmi.
- Mieszkają w ładnym domku w Hermsdorf, ale jego małżeństwo nie układa się najlepiej. Od kiedy ta jego żona dostała świetną posadę i zaczęła zarabiać duże pieniądze, stała się potworem. - Wzruszył ramionami i sięgnął po herbatnika.
- Przykro mi to słyszeć.
- Praca, praca, praca - to jedyne, o czym myśli. Jest karierowiczką - dodał z pogardą. - Ale Axel nie pozwoli na nią powiedzieć złego słowa. Nie rozumiem, co w niej widzi. Potrzebna mu jest prawdziwa kobieta.

Od wielu lat wysłuchiwałem ataków Rolfa na jego synową. Słuchając go, nikt by się nie domyślił, że małżeństwo Axela trwa już dwadzieścia lat i że mają oni kilkunastoletniego syna.

- Axel był jednym z najzdolniejszych chłopców w szkole - powiedziałem. Rolf zawsze był dumny z tego, że ma syna prymusa. Szczególnie lubił powtarzać memu ojcu, że Axel uczy się lepiej niż ja.

Rolf zdarł opakowanie z kostki cukru. We wszystkim, co robił, można było się dopatrzeć gwałtowności czy może agresywności. Nawet kiedy mówił: „cześć”, „do widzenia” czy „dziękuję”, robił to w sposób wojowniczy. Zastanawiałem się, czy była to poza, którą przybrał jako młody oficer, by podbudować swój autorytet, i która zdominowała jego prawdziwą naturę.

- A teraz pracuje jako urzędnik w *Polizeiprasidium*. Wiem, marnuje się na tym stanowisku, ale on nie chce mnie słuchać. - Energicznym ruchem wrzucił kostkę cukru do kawy.
- Myślę, że martwi się o swojego syna.

- O swego syna? Dlaczego miałby się o niego martwić?
- Nie to chciałem powiedzieć. Chodzi mi o to, że Axel zapewne stara się utrzymać swoje małżeństwo, aby jego syn miał ojca i matkę, normalny dom.
- Nonsens! - powiedział Rolf Mauser. Gryzł herbatnika, poruszając ustami w taki sposób, jakby był rozgniewany.

- Axel kocha tego chłopca - powiedziałem. - Pamiętam, jak montował dla niego z części rower wyścigowy. Składał go z taką troskliwą starannością.

- Wiem, wiem. Chłopak miał wypadek: jakiś dureń w porsche złamał mu nogę i pojechał dalej, nie zatrzymując się. Pewnie był po kilku drinkach. Axel miał wyrzuty sumienia. To głupota, prawda?

- Nie wiem - odparłem. Oczywiście wiedziałem, że większość ojców też miałaby w takiej sytuacji poczucie winy. Tylko tacy brutalnie jak Rolf widzieli wszystko w sposób uproszczony. Chyba był to skutek

wojny. Pamiętam, jak Rolf opowiadał o ostatnich dniach walk w Berlinie. Hauptmann Mauser był dowódcą patrolu, który towarzyszył „lotnemu sądowi wojennemu”, skazującemu w trybie doraźnym na śmierć każdego przechodnia, który nie potrafił wytłumaczyć, co robi na ulicy. Rozstrzeliwano go natychmiast i wieszano ciało w publicznym miejscu, przyczepiając kartkę z napisem: „Opuściłem swój posterunek”. Axel mówił, że nie może sobie wyobrazić, by jego ojciec robił takie rzeczy, ale ja widziałem Rolfa w innym świetle. Wiedziałem też, że kiedy uzna to za konieczne, potrafi z zimną krwią popełnić morderstwo.

Być może odczytał moje myśli, ale jeśli tak było, to opacznie je zrozumiał, bo powiedział:

- Gdyby Axel służył w wojsku, miałby lepsze poczucie proporcji.
- Czy to właśnie dała ci służba w wojsku, Rolf? Zmarszczył czoło i nastroszył brwi w taki sposób, że nabrał groźnego wyglądu. Pamiętam, kiedy byłem dzieckiem, przerażały mnie jego srogie miny.

- Czy miewasz czasem sny, Bernd?

- Że jestem bogaty albo że zostałem gwiazdą filmową? - Wiedziałem, oczywiście, o co mu chodzi, ale nie mogłem oprzeć się pokusie zażartowania z niego. Prawda polegała na tym, że nie chciałem słuchać opowieści o jego snach; nie chciałem słuchać o niczych snach. Dość miałem swoich własnych.

- Nie śpiam ostatnio najlepiej. Byłem u lekarza, ale on powiedział, że to

sprawa wieku. Głupi mały szmondak. - Pochylił się. - Zawsze śni mi się moja służba w armii, Bernd. Przypominają mi się wydarzenia, o których nie myślałem od lat. I to ze wszystkimi szczegółami! Objąłem dowództwo baterii dział, kiedy mój batalion przebywał z dala od linii frontu. Mój dowódca rozchorował się na jakąś gripę. Nie wiedziałem, że można mieć gripę podczas rosyjskiej zimy, ale w Rosji wiele się nauczyłem. Było Boże Narodzenie, a my przegrupowaliśmy się w Krasnogradzie. Czy słyszałeś kiedyś o takiej miejscowości?

- Chyba nie.
- Zabita deskami dziura w szczerym polu. Ale były tam drzewa;

zadziwiająco dużo drzew, zważywszy, że przechodził tamtędy front. Żołnierze lubili te drzewa, bo przypominały im rodzinne strony. Głęboki śnieg i krajobraz pełen drzew; wysilając wyobraźnię można było pomyśleć, że jest się w Niemczech. Oczywiście, jak zawsze, pozostali tam miejscowi wieśniacy. Rosyjscy chłopcy woleliby umrzeć,

niż porzucić rodzinną wieś - tacy już byli. Nie mogłem tego zrozumieć. I wtedy, kiedy jadłem swoją codzienną miskę grochówki - było to świństwo z proszku, ale kucharz znalazł trochę starych ziemniaków i dorzucił do kotła - przyjechał goniec ze sztabu, by powiedzieć mi, że bateria przechodzi pod moje rozkazy. O rany! Jakiego dobrego smaku nabrała nagle ta zupa!

Usiadł prosto i uśmiechnął się, ale nie do mnie. Nawet mnie w tej chwili nie widział. Rolf Mauser był teraz o wiele mil stąd. Cofnął się o kilkadziesiąt lat w czasie, by toczyć swą wojnę w Rosji. Potarł twarz.

- Objęcie dowództwa nad dużymi, 15-centymetrowymi ciężkimi haubicami, zamontowanymi na podwoziach czołgów, było ważnym wydarzeniem w życiu młodego człowieka. Odbyłem rozmowy z wszystkimi moimi podkomendnymi; miałem w baterii dwóch oficerów, dwudziestu dziewięciu podoficerów i dziewięćdziesięciu dwóch szeregowców. Większość z nich stanowili nowo przybyli poborowi, młodzi chłopcy, którzy niedawno ukończyli szkołę. Przed kilku dniami, w moim śnie, pamiętałem każde nazwisko, każdą twarz. Pamiętałem nawet podpisany przeze mnie protokół przejęcia sprzętu. - Spojrzał na mnie, jakby chcąc mnie przekonać, jak ważne są dla niego te szczegóły. - Pamiętałem nawet smak tej cholernej *Erbensuppe*.

- A kiedy się obudziłeś?
- Nadal wszystko pamiętałem. Dwadzieścia osiem ciężarówek, dwa

motocykle, szesnaście lekkich karabinów maszynowych, dwadzieścia pistoletów maszynowych, czterdzieści osiem pistoletów i siedemdziesiąt osiem karabinów. Pamiętałem też nazwiska i stopnie. I każdą z ich głupkowatych twarzy.

Myślałem przez chwilę, że zacznie mi recytować listę nazwisk i numerów ewidencyjnych albo wykaz sprzętu z uwzględnieniem stopnia gotowości bojowej. Być może ta obawa odbiła się na mojej twarzy, bo powiedział:

- Uwierz mi na słowo. Nadal widzę tych ludzi. Każdą twarz. Pamiętam, który z nich mówił jakim akcentem. Zostawiliśmy większość głęboko pod śniegiem i lodem. Nim nadeszło lato, w mojej baterii zostało ich tylko sześciu.

Po raz pierwszy zrozumiałem, że Rolf Mauser przez całe życie marzył o militarnej chwale. Może to absurdalna ambicja, ale nie bardziej absurdalna niż marzenia większości mężczyzn. I jeśli wierzyć statystyce, mająca nie mniejsze szanse realizacji niż rojenia o małżeństwie i szczęśliwym życiu rodzinnym. Marzenia o szlifach generalskich

musiały wydawać się niezbyt realne, ale przyznanie mu Krzyża z pewnością wzmogło jego nadzieje na awans. Niewątpliwie był człowiekiem wystarczająco bezwzględny, by zostać generałem.

- Każdy miewa sny, Rolf - powiedziałem. - Nie ma to nic wspólnego ze starzeniem się.

- Więc co mam zrobić?
- Znaleźć innego lekarza.

Uśmiechnął się bez większego rozbawienia, a potem skupił całą uwagę na kawie i resztkach swego ciastka.

Przez chwilę obaj milczeliśmy. Potem Mauser przełknął ostatni kęs i powiedział:

- Der Grosse Kleiner nie żyje.
- Tak, słyszałem. Co na ten temat wiesz?
- Nie mów mi, że to było samobójstwo.
- Ja nic o tym nie wiem - zaprotestowałem.
- Kleindorf nie był tego rodzaju człowiekiem. - Końcem języka usunął

spomiędzy zębów okruch ciastka.

- A więc co to było?
- Był zamieszany w handel narkotykami. Zajmował się ich uszlachetnianiem

i zapewniał kontakt między Wschodem a Zachodem.

- Kto tak twierdzi?
- Regularne dostawy przechodziły przez Schönefeld, docierały na Zachód, gdzie je przepakowywano, a potem wracały na stronę wschodnią. Brali w tym udział przedstawiciele władz NRD, którzy otrzymywali swoją działkę. Teraz próbują to wszystko zatuszować. Nawet władze Berlina Zachodniego nabrały wody w usta.
- Dlaczego?
- Według oficjalnej wersji tego typu przestępstwa nie powinny zagrozić stosunkom między obu państwami niemieckimi.
- A według wersji nieoficjalnej?

Na wielkiej, okrągłej twarzy Rolfa pojawił się z wolna sprytny uśmiech.

- Byli w to zaangażowani przedstawiciele władz po obu stronach Muru.

Grube ryby.

- Takie rozumowanie wydaje się dość naciągane - powiedziałem z powątpiewaniem.
 - Tak uważasz, Bernd? Znamy się od dawna, prawda? Czy naprawdę chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie słyszałeś pogłosek albo plotek o tego rodzaju transakcjach?
 - Pogłoski, owszem. - Zastanawiałem się, czy miał dostęp do informacji, które wyciągnął Larry Bower z podwójnego agenta imieniem Walery. - Ale mimo wszystko...
 - Kleindorf przyjął dużą dawkę heroiny; to było przyczyną jego śmierci. Czy słyszałeś o tym?
 - Myślałem, że były to środki nasenne.
 - Owszem. Taką wersję podano do wiadomości publicznej. - Kiwnął głową.
- Czy nie masz przypadkiem przy sobie papierosa, Bernd?
- Nie paliłem od dłuższego czasu, ale ostatnio przyjmowałem niekiedy papierosy, którymi mnie częstowano. Tego ranka wysiadły mi nerwy i kupiłem paczkę cygaretek. A potem postanowiłem uczynić jeszcze jeden wysiłek. Podałem mu nie otwarte pudełko.
- Czy nie wolisz takich? - spytałem.
 - To bardzo uprzejmie z twojej strony, Bernd. Czy jesteś pewien...?
 - Przestałem palić.

Natychmiast włożył cygaretkę do ust i mówił dalej:

- Ale prawda wygląda tak, że Kleindorf zmarł leżąc w łóżku z jedną ze swych młodych tancerek, dziewczyną mówiącą z wyraźnym śląskim akcentem, która zniknęła na długo przed przyjazdem policji i dotąd nie została odnaleziona.

- Do czego zmierzasz?

- Pracowała u niego zaledwie od kilku dni. Nazwisko i adres, które podała jego sekretarce w „Babilonie”, były fałszywe. - Wydmuchnął obłok dymu.

- Czy sądzisz, że ta kobieta go zamordowała?

- Zjawiała się w Berlinie z pewnym Amerykaninem. Wspólnie odlecieli z miasta: dwa bilety pierwszej klasy do Rzymu. Na ciele Kleindorfa nie było śladów nakłuć. Tylko ślad od jednego ukłucia, które go zabiło. - Odczekał, aż zrozumieł wymowę tego faktu, a potem dodał: - Nigdy nie zażywał szkodliwych narkotyków; miał bzika na punkcie swego zdrowia. Biegał codziennie rano, nie opuszczał ani dnia.

- Co wykazała sekcja zwłok?

- Nie było sekcji. W akcie zgonu stwierdzono, że przyczyną śmierci była nadmierna dawka środków nasennych. Przypadek. Pospieszny pogrzeb; wniosek o wszczęcie śledztwa został od ręki odrzucony.

- Słyszałem, że wypił całą butelkę starego koniaku.

- Znaleziono w sypialni pustą butelkę. Kto może powiedzieć, ile wypił, skoro nie badali zawartości żołądka? Pewnie wypił kieliszek z tą dziewczyną. Czy widziałeś kiedyś Kleindorfa pijanego?

- Nie.

- No właśnie. Ta cała historyjka to zasłona dymna. Brzmi całkiem wiarygodnie dla kogoś, kto nie znał dobrze Kleindorfa.

- No dobrze - powiedziałem. - Towar przychodzi z Azji. Dostarczają go do Berlina Wschodniego. Celnicy na lotnisku Schónefeld przepuszczają go, bo w myśl oficjalnej koncepcji politycznej należy pomagać dekadentkiemu Zachodowi w staczaniu się po równi pochyłej. Okay. Ale nie rozumiem, po co przepakowywano ten towar i przewożono go z powrotem na Wschód.

- Transporty, które docierały na lotnisko, zawierały brązowy półprodukt. Ktoś musiałby być bardzo zdeterminowany, żeby wstrzykiwać sobie to świństwo do żył. Nikt po tamtej stronie nie dysponuje wiedzą, środkami ani sprzętem, które pozwoliłyby na jego uszlachetnianie. Nikt nie ma też dość odwagi, by to

zaryzykować. Na tym polegał wkład Kleindorfa w całą operację.

- Może jeszcze jedną kawę, Rolf? - Machnąłem na kelnerkę.
- To dobra kawiarnia - z uznaniem stwierdził Mauser. - Cieszę się, że cię spotkałem, Bernd.

• Jacy ludzie, mieszkający na Wschodzie, byłiby skłonni kupować taki towar? - spytałem. - I skąd braliby pieniądze?

Rolf Mauser czuł, że przyciskam go do muru, ale za nic nie przyznałby się, że czegoś nie wie.

- Wiesz, jak przebiegają tego rodzaju operacje, Bernd. Za narkotyki płacono usługami biurokratycznymi.

Przerwał, jakby to, co powiedział, było samo przez się zrozumiałe. Może i było, ale ja nie zamierzałem pozwolić mu na zakończenie relacji w tym punkcie.

- Czy możesz rozwinąć ten temat?
- Zezwolenia. Import. Kontrakty. Podpis opatrzony pieczęcią tamtejszego urzędu może mieć po tej stronie wymierną wartość w zachodniej walucie. Wiesz o tym, Bernd. I wie o tym twój przyjaciel, Werner Volkmann. - Wypuścił kłęb dymu. Był to zakamuflowany akt agresji. Patrzył na mnie, czekając na odpowiedź.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że Werner był w to zamieszany?

Werner, zanim zajął się prowadzeniem hotelu Lisi, zrobił duże pieniądze na pośrednictwie w handlu barterowym; koordynował transakcje eksportowe i importowe w taki sposób, by NRD nie musiała wyzbywać się walut wymiennalnych. W tym okresie zarobki Wernera zależały od tego, czy uda mu się uzyskać na Wschodzie odpowiednie podpisy i pieczętki.

• Nie wiem. - Machnął ręką. - Ale jeśli był, to wycofał się z całego interesu we właściwym momencie. Nie jeździ już na Wschód.

• Jest bardzo zajęty prowadzeniem hotelu Lisi - powiedziałem patrząc, jak Rolf strąca popiół z cygaretki. Opuściła mnie już chęć zapalenia papierosa. Kiedy myślałem o dymie, zapachu, popiele, sam pomysł napawał mnie niesmakiem.

• Oczywiście, że jest - odparł Mauser. - I gdybym był na twoim miejscu, Bernd, też znalazłbym sobie jakieś zajęcie. - Spojrzał na mnie znacząco. - Bo po obu stronach Muru jest wielu ludzi, którzy szukają kozła ofiarnego. A ty świetnie pasowałbyś do tej roli.

- Jako kurier przewożący narkotyki?

- Jeśli po obu stronach znajdują się dowody, będą one niepodważalne. Kto uwierzy w czyjeś zapewnienia o niewinności, jeśli Wschód i Zachód wspólnie wymyślą jakąś historyjkę?

- Skąd ty to wszystko wiesz, Rolf?
- Znam wielu ludzi i umiem nadstawiać uszu.

Gawędziłem z nim jeszcze przez jakieś pół godziny, ale postanowił nie mówić nic więcej, a może nie wiedział nic więcej, więc zaczęliśmy rozmawiać o jego rodzinie i o wspólnych znajomych. Nie powiedział nic na temat swego zamieszkałego w Luton krewnego, o którym poprzednio wspomniał. Zacząłem się zastanawiać, czy ów kuzyn nie był jedynie zasłoną dymną, maskującą prawdziwy cel jego wizyty. Liczni przykuci do biurki urzędnicy Departamentu chętnie zleciliby takiemu człowiekowi jak Rolf Mauser korektę swych długich, nudnych i tendencyjnych raportów poświęconych NRD, które w nadanej im formie nie miały wiele wspólnego z rzeczywistością. Postępowaliby nierozsądnie nadal pracując dla nas, ale wiedząc, jak Departament potrafi naciskać na ludzi, których uzna za użytecznych, i jak Rolf lubi ryzyko oraz gotówkę, gotów byłem podejrzewać, że tak właśnie jest. Dodatkowy wymiar nadawała takiej wersji jeszcze jedna możliwość: że uprawia podwójną grę i informuje o wszystkim drugą stroną. Miałem nadzieję, że współpracujący z nim przedstawiciele Departamentu wzięli tę możliwość pod uwagę i że nie tracą jej z pola widzenia.

Kiedy się pożegnaliśmy, poczułem, że nasza rozmowa wzbudziła we mnie niepokój. Treść jego wywodów wyprowadziła mnie z równowagi. Znałem to uczucie od dzieciństwa. Mauser lubił wprawiać ludzi w niepokój.

I4

Przestałem myśleć o Rolfie Mauserze dopiero wtedy, kiedy dotarłem na Oxford Street i wszedłem do sklepu „Selfridges”, by kupić nowy zawias do drzwi garażu. Potrzebowałem dużego zawiasu, bo drewno, z którego zrobiono drzwi, nie było już w najlepszym stanie. Wiedziałem, że w końcu będę musiał zainstalować metalową bramę, ale w mojej obecnej sytuacji nie chciałem decydować się na taki wydatek. Czuję zresztą, że kiedy Gloria pojedzie na studia do Cambridge, mogę zdecydować się na sprzedaż domu. Jeden z ekspedientów poszedł do magazynu i przyniósł długi zawias, o jaki mi chodziło. Zapakowano go w brązowy papier.

Miałem pakunek z sobą, wchodząc do budynku stojącego na zapleczu ambasady amerykańskiej przy Upper Brook Street, w którym miałem spotkać się z Wykwintnym Harrym, by pójść z nim na obiecany lunch.

- Niepotrzebnie przyniosłeś swojego kałasznikowa, Bernard - powiedział Harry na widok mojej paczki. - Obiecałem Dicky'emu, że tym razem nie posuniemy się do przemocy. - Wybuchnął tłumionym śmiechem psotnego chłopca, typowym dla niektórych mieszkańców krajów południowych. - Chodźmy na drinka - zaproponował i idąc przodem poprowadził mnie na pierwsze piętro. Jak zwykle był wytwornie ubrany, w stylu, który uchodzi za angielski: miał szare flanelowe spodnie i granatową marynarkę z ozdobnymi metalowymi guzikami i emblematem klubu golfowego z Los Angeles na kieszeni.

Mayfair jest luksusową dzielnicą eleganckich rezydencji, których większość zajmują zamaskowane instytucje. W tym rejonie wysokich czynszów i krótkich okresów dzierżawy urzędują - ukryci za skromnymi mosiężnymi tabliczkami - prywatni bankierzy, przedsiębiorcy budowlani, handlarze dziełami sztuki i specjaliści od inwestycji. Domy są tu niewielkie, a przeładowany meblami pokój, do którego wprowadził mnie Harry, musiał być niegdyś przeznaczony dla bogatych, ale przelotnych gości. Cały dom został poddany renowacji, które mój szwagier nazywał „zakładaniem złotych kurków”. Zauważyłem liczne lampy złożone z dużych ciężkich wazonów i solidnych abażurów, kanapy pokryte lśniąca tkaniną i dywan z gatunku tych, na których wino nie pozostawia plam.

Ale tę pozorną osiemnastowieczną elegancję mącił ulokowany w kącie pokoju „bufet dla pracowników”: na stole z laminowanym blatem stał podgrzewacz z dwoma dużymi szklanymi dzbankami kawy oraz porcelanowe i papierowe kubki. Obok pudełka z herbatnikami wisiała ręcznie wypisana instrukcja, w której proszono użytkowników o wrzucanie dziesięciu pensów do pudełka na pieniądze i nieużywanie kubków oznaczonych nazwiskami.

- Usiądź sobie wygodnie - powiedział Harry, otwierając kluczem bar w kształcie globusa, którego górna półkula uchylała się na umieszczonych na równiku zawiasach, ukazując baterię butelek. - Zrobię ci martini... chyba że wolisz truć się czym innym.

- Chętnie wypiję martini. - Obserwowałem go, gdy wybierał butelki:

Beefeater i *Noilly Prat*.

- Muszę ci coś powiedzieć, Bernard. - Harry podszedł do regału z książkami

i pociągnął go ku sobie. - Nie przepadam za Kalifornią.

Jego wysiłki przyniosły rezultat - fragment regału wraz z oprawnymi w skórę książkami odchylił się od ściany, odsłaniając ukrytą za nim małą lodówkę. Z godną pochwałą zręcznością wrzucił do dzbanka kostki z lodem i przekładając butelkę ginu pod pachę wyjął dwie ochłodzone szklanki. Potem wyciągnął korek i zaczął szybko i sprawnie przyrządzać cocktaile.

- Dla mnie nie za dużo ginu - poprosiłem.

• Nigdy nie uważałem cię za faceta, który przepadałby za wermutem - powiedział, ignorując moje polecenie. Podniósł szklanki pod światło, by ocenić kolor mikstury, a potem podał mi jedną z nich. - Nie znoszę mężczyzn, którzy nałogowo piją wermut. Spróbuj - tak powinien smakować perfekcyjny cocktail martini.

- Ja lubię Kalifornię - powiedziałem.

• Nie lubiłbyś jej, gdybyś pracował w mojej firmie. - Podszedł do okna i spojrzął na ruch uliczny. Samochody nadjeżdżające od strony Hyde Parku wyglądały na tej jednokierunkowej ulicy jak

stłoczone stado lśniących wędrownych zwierząt, bez wytchnienia pędzących przed siebie. - Zwolnili mnie. Czy mógłbyś w to uwierzyć? Uśmiechnąłem się i skosztowałem drinka. Być może Harry nie sprawdził się w Kalifornii, ale mieszanie cocktailei z pewnością było jego silną stroną.

• Mam tu kilka teczek z aktami, które chciałbym ci pokazać, zanim pójdziemy na lunch, i zasięgnąć twojej opinii - oznajmił Harry. Zerknął na zegarek. - Zarezerwowałem stół na pierwszą. Zgoda?

- Oczywiście.

• Jestem zadowolony, że umówiliśmy się właśnie dziś, Bernard. Nie masz pojęcia, ile ci zawdzięczam.

- Naprawdę?

• Dzięki tobie nie muszę dziś pokazywać się w biurze. Joe Brody przyjechał do Londynu i rozstawia wszystkich po kątach.

- Joe Brody?

Chyba zobaczył, że jestem zaskoczony, bo dodał:

• Tak, Joe Brody! Przyleciał tu z Wiednia, żeby zjeść dziś lunch z ambasadorem, ale nie powstrzymało go to od pojawienia się w biurze i opieprzenia prawie wszystkich, którzy tam pracują.

- Czy Brody jest człowiekiem aż tak groźnym?
- Potrafi być groźny dla ludzi, którzy nie umieją z nim postępować. -

Uśmiechnął się przebiegle. - Trzeba do niego podchodzić w aksamitnych rękawiczkach, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Musisz znać Joego Brody?

- Spotkaliśmy się kiedyś w Berlinie.
- Brody marzy o awansie. Krążą pogłoski, że ma zostać jednym z szefów Wydziału Operacyjnego.

• Brody jest za stary.

• W CIA, drogi kolego, nikt nigdy nie jest na nic za stary. Dlatego wszyscy uśmiechamy się promiennie i merdamy ogonami, marząc o zajęciu miejsc naszych przełożonych.

- Brody?
- Robi, co może, żeby w Waszyngtonie wiadano, że żyje i jest w pełni sił.

Rozumiesz, o co chodzi?

- Myślałem, że Brody jest w Wiedniu.
- Zapomnij o nim. Jakoś sobie z nim poradzę. Pozwól, że pokażę ci te teczki.

Wstawisz krzyżyki w odpowiednie kratki i powiesz mi, jeśli coś źle zrozumieliśmy, a potem pójdziemy do hotelu „Connaught” i roztrwonimy resztę funduszu reprezentacyjnego na ten miesiąc. Co ty na to?

- Zgoda - odparłem.
- Przejrzyj to, a ja pójde na górę i przyniosę z sejfów resztę. - Podał mi

kolorową teczkę i długopis.

Zajrzałem do teczki. Zgodnie z moimi oczekiwaniami zawierała ona oprócz akt różowy arkusz papieru z pytaniami i miejscami na odpowiedzi. Był to standardowy formularz CIA, mający służyć uzupełnianiu aktualnych materiałów. Pytania nie były trudne, mimo że odpowiadając na nie musiałem polegać jedynie na własnej pamięci. Ale było ich bardzo dużo.

Harry przyniósł dwie następne teczki i rzucił mi je na kolana. Zauważywszy, że moja szklanka jest pusta, podszedł do baru i zrobił następne dwa „perfekcyjne” cocktaile.

• Jest jeszcze jedna teczka, ale nie mogę jej znaleźć. Jeden z urzędników mówi, że zanieśono ją do ambasady. Może zażądał jej Brody. Niewykluczone, że odniesie ją goniec, który przychodzi po południu. Tak czy owak zrób, co możesz, a

potem chodźmy coś zjeść. Zostaw tu swoją paczkę. Wrócimy po lunchu i jeżeli ta cholerna teczka będzie już na miejscu, może zechcesz zajrzeć również do niej.

- W porządku.

Kiedy skończyłem, pomaszerowaliśmy do hotelu „Connaught”, który mieści się na Carlos Place. Chłodne powietrze tylko częściowo zneutralizowało działanie sporządzonych przez Harry’ego cocktailów.

Wykwintny Harry zarezerwował stolik przy oknie i trzeba przyznać, że dotrzymał wszystkich swoich obietnic. Zamawialiśmy dania a la carte, a wybrane przez niego wina były równie znakomite jak potrawy. Po raz pierwszy odbyłem z nim tak przyjazną rozmowę. Znałem go od wielu lat, ale spotykaliśmy się wyłącznie w sprawach służbowych.

Jeśli kompetencje agenta można mierzyć jego umiejętnością kamuflowania się, to Wykwintny Harry był jednym z najbardziej kompetentnych agentów, jakich znałem. Przez lata nikt nie był pewien, czy jest on związany z CIA. Nawet teraz nie wiedziałem, czy jest ich stałym pracownikiem. Brat Harry’ego - o wiele starszy od niego - zginął w dramatycznych okolicznościach, biorąc udział w misji CIA na terenie Wietnamu, i słyszałem, że Harry winił Firmę za jego śmierć. Ale nigdy nie wspominałem przy nim o tej sprawie, a jeśli epizod ten pozostawił w nim choćby ślad urazy, to było mało prawdopodobne, by zechciał ujawniać przede mną swe uczucia.

Harry był nie mniej apodyktyczny i przewrotny niż Rolf Mauser, ale poza tym różnili się od siebie pod każdym względem. Mauser był brutalem, który starał się postawić na swoim, chętnie uciekając się przy tym do drastycznych metod działania. Dla Harry’ego ważny był tylko rezultat końcowy. Na tym polega, moim zdaniem, zasadnicza różnica między Europą a Wschodem, między tym, co widzialne, a tym, co pozostaje w ukryciu, między siłą a podstępem, między boksem a judo.

Postąpiłbym rozsądniej poświęcając więcej uwagi tego rodzaju rozważaniom, zanim poszedłem z nim na lunch. Po powrocie na Brook Street spotkało mnie bowiem niespodziewanie nieprzychylne przyjęcie.

- Czy wiecie, która jest godzina?! - wrzasnął na nas Joe Brody. Jego lunch z ambasadorem trwał widocznie krócej i był znacznie skromniejszy niż nasz.

- Bardzo mi przykro, Joe - odpowiedział Harry, który znajdował się akurat w połowie klatki schodowej, a Joe krzyczał na niego z górnego piętra. Spojrzałem na Joego z zainteresowaniem. Podczas wszystkich naszych dotychczasowych spotkań zawsze był łagodny i zrelaksowany.

Brody wystroił się na lunch z ambasadorem w trzyczęściowy niebieski prążkowany garnitur. Był stary i łysy, a okrągłe okulary w złotej oprawce przylegały do jego twarzy jak monety wrośnięte w sękaty pień drzewa. Przy innych okazjach widywałem go jako spokojnego gentlemana, który z kieliszkiem w ręku i uśmiechem na ustach cierpliwie słuchał swych rozmówców. Tym razem miałem przed sobą rozwścieczonego drobnego człowieczka, umięjącego wywołać niepokój nawet na niewzruszonej twarzy Harry'ego.

- Bardzo ci przykro. I słusznie, do cholery! Kto to jest? Ach, to ty, Samson... niemal zapomniałem o tym, że masz tu przyjść. Czy skończyliście już?

Tymczasem weszliśmy na piętro. Joe Brody wprowadził nas do tego samego pokoju, w którym siedzieliśmy przed lunchem. Energicznym krokiem podszedł do krzesła, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu. Marynarka powoli, jak senny gad, ześlizgnęła się i spadła na podłogę. Brody chyba w ogóle tego nie zauważył.

Nie odpowiedziałem. Brody zerknął najpierw na mnie, potem na Harry'ego. Czuję się zażenowany jak człowiek będący przypadkowo świadkiem burzliwej kłótni kochającego się małżeństwa. W zapadłej

ciszy zdałem sobie sprawę, że przejeżdżające pod oknami samochody wydają nieprzerwany ryk, przypominający odległą burzę.

Kiedy Harry uświadomił sobie, że postanowiłem nie odpowiadać na pytanie Joego, który chciał się dowiedzieć, czy już skończyliśmy, powiedział:

- Nie całkiem, Joe.
- Jezu Chryste! - mruknął Joe. I powtórzył, z jeszcze większą wściekłością: - Jezu Chryste!
- Została jeszcze jedna teczka - wyznał ze skruchą Harry.
- Czy rozmawiałeś z nim o Salzburgu? - spytał Brody, mówiąc o mnie w taki sposób, jakbym nie był przy tym obecny.
- Nie byłem pewien, czy chcesz, żebym poruszał ten temat - odparł Harry.
- Usiądź, Bernard - zaproponował Joe Brody. Uśmiechnął się przelotnie, nerwowo, jakby chcąc mnie zapewnić, że nie jestem stroną w jego kłótni z Harrym, choć część jego gniewu spadła na mnie.
- Chcesz drinka, Joe? - spytał Harry, nadal próbując uśmierzyć jego gniew.
- Nie, nie chcę żadnego cholernego drinka. Chcę, żeby w końcu ktoś zaczął tu pracować. - Chwycił się za nos jak człowiek, który ma zażyć niesmaczne

lekarstwo.

Harry mruknął coś, z czego wynikało, że musi napić się wody sodowej, i podszedł do bufetu, by jej sobie nalać. Nigdy nie widziałem, żeby był jakkolwiek wyprowadzony z równowagi, ale teraz drżały mu ręce.

Brody zapadł się w fotelu, spojrzął na mnie i westchnął. Nagle zaczął robić wrażenie człowieka wyczerpanego. Węzeł jego krawata rozluźnił się, kamizelka była częściowo rozpięta, a koszula wysunęła się ze spodni. Atak złego humoru nadwerżył jego kondycję i prezencję. Ale wszelkie nadzieje na to, że się uspokaja, przekreślił ostrym tonem, jakim spytał:

- Jeden z naszych ludzi został wysadzony w powietrze w Salzburgu.

Słyszałeś o tym?

- Byłem tam.
- Wiem, że tam byłeś. Powiedz mi dokładnie, co się tam wydarzyło,

Bernard.

- A więc był to jeden z waszych ludzi?
- Pytałem cię, co się właściwie wydarzyło?
- Nie wiem, co się wydarzyło - odparłem.
- Nie baw się ze mną w ciuciubabkę, Bernard. Nie mam wiele czasu i nie

jestem w odpowiednim nastroju.

- Nie potrafię powiedzieć ci nic, czego nie ujawniło dochodzenie policyjne.
- Czy widziałeś protokół policyjny?
- Nie - przyznałem.
- Więc skąd, do cholery, możesz to wiedzieć? - Znowu złapał się za nos, a

potem energicznie przejechał tą samą dłonią po ustach. Uznałem to za samoobronny gest człowieka, który czuje, że zaraz wybuchnie, i pragnie się opanować.

• Niech pan się uspokoi, Brody - powiedziałem. - Był to ładunek wybuchowy, uaktywniony przez prąd z sieci. Wasz człowiek, Johnson, zginął. To mniej więcej wszystko, co mogę wam powiedzieć.

- Czy zechciałbyś opisać Johnsona?
- Miał miły sposób bycia. Dość wysoki, w dobrej formie, ale z lekką nadwagą. Siwe falujące włosy, mała broda, brak wąsów. Okulary w złotej oprawce...
- Wystarczy. Kto go załatwił, chłopcze?
- Nie mam pojęcia.

- A ja myślę, że masz - stwierdził Brody, a jego głos ponownie stał się agresywny.

- Więc może pan mi podpowie.

- Ja tu zadaję pytania - warknął Brody. - Zastanów się jeszcze raz.

- Powiedziałem panu wszystko, co mogę powiedzieć, panie Brody.

Siedział przez chwilę w milczeniu, patrząc na mnie groźnie.

- Zadam ci to pytanie jeszcze raz, Bernard - oświadczył w końcu. - Traktuję naszą rozmowę jako oficjalne przesłuchanie.

- Może ją pan traktować, jak się panu podoba - odparłem. - Usłyszysz pan to samo, co już powiedziałem. Nie wiem.

- Nasz człowiek... - zaczął i urwał. Zapomniałem już, że wszyscy funkcjonariusze CIA zawsze używają terminu „nasz człowiek”. Kiedy podjął swą wypowiedź, zaczął mówić w chaotyczny sposób, jak ktoś bardzo czymś wstrząśnięty. - Nasz człowiek nazywał się Bart Johnson. Był dobrym fachowcem... miał bazę we Frankfurcie. Znałem Barta od dwudziestu lat. Byliśmy razem w Moskwie; dawno temu. Sprawdził się kilka razy w trudnych sytuacjach. Jadłem dziś lunch z ambasadorem. Chciałem go poinformować, że Waszyngton upoważnił mnie do prowadzenia śledztwa w tej sprawie z wykorzystaniem wszystkich dostępnych środków.

- Miło mi to słyszeć, panie Brody, bo jeśli zostanę kiedyś wysadzony w powietrze, jak pański przyjaciel Johnson, będę się czuł lepiej na tamym świecie wiedząc, że ktoś prowadzi śledztwo w mojej sprawie w sposób bezwzględny i energiczny i że wykorzystuje wszystkie dostępne środki.

- Okay, Bernard; wiem, że byłeś w kontakcie z Bartem Johnsonem. Nikt nie twierdzi, że byłeś zamieszany w to morderstwo, ale chcę wiedzieć dokładnie, co działo się w tym cholernym hotelu, zanim nastąpiła eksplozja.

- Mogę panu tylko powiedzieć, że zanim nastąpiła eksplozja, odbywała się w tym hotelu aukcja znaczków pocztowych. - Starłem się mówić spokojnym i uprzejmym tonem, ale nie całkiem mi się to udało.

- Spróbuj wymyślić mądrzejszą odpowiedź.

- Niech pan spróbuje wymyślać łatwiejsze pytania.

- Okay. Oto łatwiejsze pytanie: dlaczego zachowujesz się jak dureń?

Wstałem z krzesła i przeszedłem przez pokój. Między dwoma sztychami

przedstawiającymi wyścigi konne dostrzegłem ukryte w dębowej boazerii niemal niewidoczne drzwi. Zasłaniał je stolik do gry w szachy z inkrustowanym blatem, na którym stało kilka figur, ustawionych przez jakiegoś dekoratora wnętrz. Odwróciłem się. Brody też już wstał z fotela. Kopnięciem odsunąłem stolik na bok, przewracając figury szachowe, i spróbowałem otworzyć drzwi. Były zamknięte na klucz.

- Czy otworzy pan te drzwi, panie Brody, czy mam to zrobić ja?

Gdybym nie wypił do posiłku butelki *Chateau Talbot* i nie zakończył go podwójną whisky, być może nie miałbym tyle zdecydowania i energii, by wykonać następny krok. Uniosłem nogę i silnym kopnięciem niemal wyrwałem drzwi z zawiasów. Uderzyły z oszałamiającym hukiem o ścianę sąsiedniego pokoju.

Przez chwilę myślałem, że popełniłem katastrofalny błąd, ale okazało się, że moje podejrzania były słuszne. Ujrzałem przed sobą dwóch ludzi, którzy mrużyli oczy, oślepieni nagłym światłem. Obaj byli bez marynarek; obaj mieli na uszach słuchawki. Na ich twarzach malowało się przerażenie. Za nimi lśniły w półmroku monitory telewizyjne. Technicy zerwali się z miejsc. Jeden z nich zatoczył się do tyłu, a kabel od jego słuchawek ściągnął ze stołu jakieś urządzenie, które z trzaskiem spadło na podłogę. W tym momencie ciężkie drzwi, trzymające się dotąd na jednym zawiasie, wydały przeciągły zgrzyt i runęły na podłogę, lądując na niej z głośnym łomotem. Żaden z techników nie powiedział ani słowa. Być może, takie wydarzenia były dla nich chlebem powszednim.

Oczywiście nagrywali mnie na taśmę wideo. Postąpiliby zapewne głupio, nie rejestrując w jakiś sposób tego, co miałem im do powiedzenia. Ale ja nie miałem obowiązku siedzieć tam jak naiwny głupiec składając zeznania, które można by później rozmaicie interpretować i oskarżyć mnie na ich podstawie o udział w morderstwie.

- No dobrze, cwaniaku, przekonałeś nas - powiedział spokojnie Brody. Mówił teraz zupełnie innym tonem. Do dziś nie wiem, na ile jego poprzednie rozdrażnienie było symulowane. A jeśli było symulowane, to w jakim stopniu miało przestraszyć mnie, a w jakim Harry'ego. - Wracaj tu i usiądź. Będziemy rozmawiali nieoficjalnie, jeśli tego sobie życzysz. Idźcie sobie, chłopcy - polecił technikom obsługującym sprzęt wideo. - Wytniemy tę zbiorową scenę – dodał i roześmiał się z własnego żartu.

Wykwintny Harry nie ruszył się z miejsca. Nadal stał obok lodówki, pijąc wodę sodową.

- Czy możemy zejść na dół i porozmawiać w innym pomieszczeniu? -

spytałem. - Na przykład w kuchni?

- Odkręciwszy uprzednio krany i zapaliwszy fluorescencyjne lampy? - spytał z sarkazmem Brody. Podniósł z podłogi swą marynarkę i obmacał ją, by sprawdzić, czy nie zginął mu portfel. - Zgoda. Możemy pójść wszędzie, gdzie będziesz się dobrze czuł, Bernard. - Traktował mnie teraz bardziej życzliwie, jakby dając do poznania, że woli rozmawiać o śmierci swego przyjaciela Johnsona z kimś, kto potrafi wywalić kopnięciem zamknięte drzwi.

Zeszliśmy na dół, do mieszczącej się w suterenie małej kuchni. Była ona równie starannie utrzymana, jak reszta domu. Znaleźliśmy się w kuchni, w której nikt nigdy nie ugotował żadnego posiłku. W zlewku leżały mokre filiżanki i spodki, na obudowie zlewozmywaka suszyły się szklanki. Na półce zauważyłem liczne paczki kawy, duże pudełko z torebkami herbaty i spory, przezroczysty, plastikowy pojemnik z napisem: „Cukier”. Okno zasłaniała szara żaluzja z metalowych listewek.

Joe Brody zajrzał do lodówki pełnej puszek z napojami. Wyjął pepsi-colę, otworzył ją i zaczął pić prosto z puszki. Nie zaproponował nikomu innemu żadnego drinka; wyglądał na człowieka zatopionego w myślach.

Usiadłem z Harrym przy okrągłym kuchennym stole. Brody wziął wolne krzesło, oparł stopę o jego poprzeczkę i spytał:

- Czy byli tam dwaj Amerykanie, czy tylko jeden?
- Dwaj - odparłem i opowiedziałem im, jak Thurkettle wyszedł I na taras i oznajmił mi, że dzielił kiedyś gabinet z Peterem Underletem, a potem jak Johnson zagadnął mnie po zakończeniu aukcji. Nie wspominałem o tym, że brałem udział w licytacji i chciałem kupić kopertę.

Brody usiadł i oznajmił:

- Wiemy o tej licytacji.
- Może więc powie mi pan, co wie, a ja spróbuję uzupełnić luki.
- Masz na myśli Thurkettle'a?
- Owszem, jego właśnie mam na myśli.
- No cóż, teraz wiesz, dlaczego chciałem pominąć pewne szczegóły - powiedział Brody. - Próbujemy ustalić, czy obaj byli tam w momencie wybuchu.
- Słyszałem, jak Johnson powiedział coś do Thurkettle'a, wchodząc do swojego pokoju. Wtedy myślałem, że mówi sam do siebie. Potem... sam nie wiem.
- Kiedy to było? - spytał Brody. Kończył już pić swoją pepsi i chciwie

sączył ostatnie krople. Pewnie miał niedobór cukru w organizmie.

- Jakies pół godziny przed wybuchem.
- Co powiedział? - Brody nonszalanckim gestem rzucił pustą puszkę, która z

klekotem wylądowała w kubie na śmieci. Kiedy znów spojrzał na mnie, odparłem: - Zdaje mi się, że powiedział: „Coś takiego!” Jest to uwaga, którą człowiek może wygłosić sam do siebie. Ale mogło to być powitanie.

- Kogoś, kto już był w jego pokoju?
- Johnson wiedział, że Thurkettle był w hotelu poprzedniego dnia.
- Skąd wiesz?
- Mówił o tym. Spytał, czy wiem, kto to jest.
- Spytał ciebie?
- Powiedział, że spotkał Thurkettle’a już wcześniej, ale nie ma pojęcia, dla

kogo pracuje i co robi.

- Czy wiesz, kim jest Thurkettle? Czy naprawdę to wiesz?
- Teraz już wiem.
- Pozwól, że zadam ci spekulatywne pytanie - powiedział Brody. - Po co

Thurkettle miałby wracać do hotelu i wchodzić do tego pokoju? Bomba była już w tej maszynie do golenia. Dlaczego nie starał się jak najszybciej oddalić?

- Hmm... - powiedziałem.
- Nie wykręcisz się żadnym hmm. Musiałeś się nad tym zastanawiać.

Dlaczego nie starał się jak najszybciej oddalić?

- Nie wiem - odparłem. - Ale kiedy wróciłem, by go ostrzec, powiedzieć mu,

kim jest Thurkettle...

- Chwileczkę, chwileczkę - przerwał mi Brody. - Czy każesz mi uwierzyć, że chciałeś ostrzec Johnsona przed Thurkettle’em? Ty? Facet, który siedzi tutaj i odpowiada wymijająco na wszystkie pytania dotyczące jego śmierci? Nie, nie przekonasz mnie o tym.

- Nie jestem pewien, co zamierzałem zrobić. Poszedłem do tego pokoju, żeby zbadać, co się, do diabła, dzieje.

- Okay, mów dalej.

Wykwintny Harry podszedł do lodówki i przyjrząwszy się jej zawartości zdjął z półki szklanę, a potem nalał sobie wody sodowej. Musiał przepadać za wodą

sodową. A może próbował wytrzeźwieć. Brody spojrzał na niego ze złością, by dać mu do zrozumienia, że ruch zakłóca jego koncentrację. Harry pił wodę sodową i nie patrzył na Brody'ego.

- Wszedłem do jego pokoju i rozmawiałem z nim tuż przed eksplozją. Kazał mi wrócić za piętnaście minut. To znaczy tuż po wybuchu tej cholernej bomby.

- Wyjaśnij mi to dokładnie. Mówisz, że rozmawiałeś z Johnsonem na kilka minut przed jego śmiercią?

- Zawołał do mnie z łazienki.

- Ale drzwi łazienki były zamknięte? Więc nie widziałeś go? - spytał Brody, pociągając się za nos, jakby był zatopiony w myślach.

- Zgadza się. - Zacząłem rozumieć, o czym w tej chwili myśli Brody. Odczekał dłuższą chwilę. Pewnie zastanawiał się, jak wiele może powiedzieć.

- Kiedy usłyszałeś głos, proponujący ci powrót za piętnaście minut, w łazience byli dwaj ludzie - oznajmił w końcu. - Było to zapewne tuż przed zamordowaniem Johnsona.

- Rozumiem.

- A ja myślę, że nic nie rozumiesz - stwierdził Brody.

- Dla kogo pracował Thurkettle?

- Thurkettle to zdrajca. Od dwóch lat jest płatnym mordercą na usługach KGB. Straciliśmy przez niego co najmniej czterech ludzi, ale tym razem po raz pierwszy zabił kogoś ważnego. Johnson i Thurkettle dobrze się znali. Pracowali razem za dawnych czasów.

- To okropne - powiedziałem.

Brody najwyraźniej nie mógł usiedzieć na miejscu. Wstał nagle i zaczął wpychać koszulę do spodni.

- Masz rację, to okropne. Dostanę tego drania, choćby była to ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię.

- A więc nie zginął w wyniku eksplozji?

- Widzę, że do tego w końcu doszedłeś - odparł z sarkazmem Brody.

Podszedł do zlewozmywaka i odwrócił się do mnie, przysiadając na jego obudowie.

- Thurkettle zamordował Johnsona, a potem rozwalił mu głowę za pomocą ładunku wybuchowego. Dlaczego? Żeby zatrzeć ślady? A może Johnson był zbyt mądry, żeby nabrać się na tę bombę w maszynie? Czy przyłapał Thurkettle'a na

zamianie maszynek? Czy Thurkettle zabił go, a potem użył bomby z mechanizmem zegarowym? - Nie spuszczając ze mnie oka uśmiechnął się pogardliwie. - Żeby nie zostać zbryzgany krwią i mózgiem?

Wykwintny Harry odzyskał tymczasem swą zwykłą pewność siebie. Nadal trzymając w ręku szklankę z wodą, podszedł do zlewu, o który opierał się Brody, i powiedział:

- Lepiej powiedz mu prawdę, Joe.

Brody spojrzał na mnie w milczeniu.

- Jeśli oczekujesz od Brytyjczyków pomocy, to musisz ich poinformować, co się naprawdę wydarzyło - nalegał Harry.

Brody powiedział bardzo wolno i dobitnie:

- Uważamy, że Thurkettle zabił Johnsona, a potem rozwalił mu głowę bombą, żeby zatrzeć ślady. Ale facet, który przedstawił ci się jako Johnson, nazywał się naprawdę Thurkettle.

- Jasna cholera! - powiedziałem cicho, zrozumiawszy nagle znaczenie tej informacji.

Brody, rozbawiony moją konsternacją, dodał:

- Ciało w łazience było ciałem człowieka, z którym rozmawiałeś na tarasie.
- Rozumiem.
- Niewiele rozumiesz, Samson, stary przyjacielu - powiedział

Brody. Zasłużyłem na tę krytyczną uwagę. Powinienem był dokładniej obejrzeć leżące na podłodze zwłoki.

- Thurkettle już kiedyś, przy innej okazji, wcielił się w swoją ofiarę - powiedział Wykwintny Harry. - Długo łamaliśmy sobie nad tym głowę.

- A więc, co zamierzasz w tej sprawie zrobić, Bernard? - spytał Brody.

- Będę nadal golił się ręczną maszynką - odparłem. Brody skrzywił się z niesmakiem. Wstałem, żeby dać im do poznania, że zamierzam wyjść. Brody pochylił się nad zlewem, podniósł żaluzję i wyjrzał przez okno. Znajdowało się za nim małe podwórko, zamknięte pomalowaną na biało ścianą, pod którą stały donice na kwiaty; wystające z nich bezlistne kikuty walczyły o przetrwanie. Nawet tu mimo podwójnych szyb docierał hałas przejeżdżających przed domem samochodów; teraz, pod koniec dnia pracy, był chyba jeszcze bardziej dokuczliwy.

- Nie zapomnij zabrać swego kałasznikowa - powiedział Harry. Joe Brody

nadal wyglądał na podwórze. Chyba go nie usłyszał. Wszedłem na górę zabrać moją paczkę. Harry poszedł ze mną

i dodał kilka szczegółów do tego, co wiedziałem na temat człowieka nazwiskiem Thurkettle. Inne amerykańskie rządowe agencje, oburzone tym, że CIA wyciągnęła go z więzienia i zaopatrzyła w fałszywe dokumenty, odmówiły współpracy, kiedy Thurkettle - według określenia Harry'ego - „dostał amoku”. Agencja usiłowała nakłonić federalną ławę przysięgłych Dystryktu Kolumbia do wydania potajemnego wyroku, stawiającego go w stan oskarżenia, ale sprawa została umorzona ze względu na niemożność zidentyfikowania podejrzanego. Interwencja w Departamencie Sprawiedliwości okazała się bezowocna; nie powiodła się też próba odebrania mu obywatelstwa. Harry wyjaśnił mi, że CIA rozpaczliwie usiłuje dowieść mu udziału w jakimś przestępstwie. Wszyscy - mówiąc „wszyscy” miał pewnie na myśli Joego Brody - liczyli na to, że moje zeznania dostarczą takiego dowodu. Dopóki go nie mieli, Thurkettle kpił sobie z nich w żywe oczy i nadal przebywał na wolności.

- Ciągle tego nie rozumiem - powiedziałem. - Sprawa stałaby się bardziej jasna, gdybyście odkryli, dlaczego Thurkettle wysadził Johnsona w powietrze.

- Wiemy dlaczego - odparł łagodnie Harry. - Johnson miał informacje, które mogły mu zaszkodzić.

- Jak to?

- Na tym polegało zadanie Johnsona. Byli niegdyś kolegami. Joe Brody kazał Johnsonowi go odnaleźć i zaprzyjaźnić się z nim. W ubiegłym tygodniu Johnson zadzwonił do Joego i oznajmił, że Thurkettle handluje narkotykami. Nie mógł więcej powiedzieć przez telefon, ale stwierdził, że ma dowody, które umożliwią postawienie Thurkettle'a przed sądem.

- Ale Thurkettle okazał się sprytniejszy niż wy.

- Joe czuje się winny.

- Narkotyki... - powiedziałem z namysłem.

- W naszej ambasadzie przeważa opinia, że Thurkettle wykończył również tego biednego Kleindorfa.

- Dlaczego miałby go zabijać?

- Miałem nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz. Naszym zdaniem, Thurkettle współpracuje z Centralą Londyńską. - Roześmiał się w taki sposób, jakby chciał mnie

przekonać, że żartuje. Postanowiłem nie dać się sprowokować; byłem zbyt stary, by wpadać w gniew po raz drugi w ciągu jednego dnia.

Kiwnąłem głową i podziękowałem mu za lunch. Byłem zadowolony, że nie wspomniałem o nowym przyjacielu Tessy, który miał wąską brodę, ale nie miał wąsów. Zaczęliby śledzić życie Tessy i George'a. Zresztą do tej pory ten człowiek mógł ją już zgolić.

Rozmawialiśmy jeszcze przez kilka minut, a potem pożegnałem się z Wykwintnym Harrym i wyruszyłem do domu. Ponieważ tego dnia nie przyjechałem do centrum miasta samochodem, musiałem wsiąść do kolejki. Stojąc przez całą drogę w obskurnym wagonie miałem szansę przemyśleć wszystko, co mnie spotkało. Zastanawiałem się, czy nie było to ukartowane. Furia Joego Brody nosiła wszelkie cechy autentyczności, a reakcja Harry'ego też nie mogła być do końca udawana. Ale czy te mocne cocktaile i obfity, suto zakrapiany lunch, miały mnie zmiękczyć przed rozmową z Brodym? I do jakiego stopnia Dicky orientował się, w co mnie wrabia?

15

Znałem wuja Silasa od zawsze. Był szefem mojego ojca jeszcze przed moim urodzeniem. Pamiętałem go z Berlina z czasów, kiedy byłem dzieckiem. Był ojcem chrzestnym małego Billy'ego i dalekim krewnym mojej teściowej.

Od dawna już nie pracował w Departamencie; przeszedł na emeryturę i mieszkał na swojej farmie wśród wzgórz Cotswold. Był stary i zachowywał się coraz bardziej irytująco przy każdym naszym kolejnym spotkaniu, ale zdawałem sobie sprawę, że w swoim czasie ja irytowałem go bardziej, niż on kiedykolwiek irytował mnie. Spojrzawszy kiedyś prawdzie w oczy doszedłem do wniosku, że udało mi się tak długo zachować posadę tylko dzięki temu, iż mój ojciec właściwie dobierał sobie przyjaciół, a wuj Silas był jednym z nich.

Kiedy więc zadzwoniła do mnie jego gospodyni pani Porter i oświadczyła mi podnieconym głosem, że Silas Gaunt jest poważnie chory i życzy sobie mnie widzieć, pojechałem go odwiedzić. Nie pytałem nikogo o pozwolenie, nie powiedziałem Dicky'emu, że biorę wolny dzień, ani nawet nie zawiadomiłem biura o swej zamierzonej nieobecności. Po prostu pojechałem go odwiedzić.

Od rana padał ulewny deszcz i drogi były mokre, co zmuszało mnie do ostrożnego prowadzenia samochodu. Jazda trwała długo, miałem więc dość czasu, by

zastanowić się nad słusnością swej pospiesznej decyzji. Kiedy dojechałem do Cotswold, wierzchołki wzgórz tonęły w szarej mgle, której jedwabne nitki wiły się wokół drzew rosnących na terenie posiadłości Silasa. Farma „Whitelands” składała się z około sześciuset akrów dobrej, uprawnej ziemi i z grupy chaotycznie stojących niedużych budynków. Była wśród nich przepięk-

na stara stodoła, w której niegdyś przechowywano zboże, a teraz służyła jako stajnia dla sześciu koni. Dom mieszkalny, zbudowany z brązowych kamieni, był na przestrzeni ostatnich dwustu lat bezsensownie przebudowywany przez pozbawionych gustu użytkowników. Z tego okresu pochodziła neogotycka wieża, a także pasujące jak pięść do nosa nowe skrzydło, mieszczące obecnie wielką salę bilardową.

Kiedy przyjeżdżałem tu poprzednio, zastawałem zwykle na podjeździe kilka niedbale zaparkowanych samochodów; w słoneczne dni ustawiano je w cieniu trzech wysokich wiązów rosnących na skraju trawnika. Dom rozbrzmiewał gwarem i był pełen życzliwie podejmowanych gości. Tego dnia było inaczej. Na podjeździe stał tylko zabłocony land-rover, z którego trzech młodzi ludzie w wyblakłych płóciennych kombinezonach wyładowywali jakiś sprzęt; zauważyłem trzy jaskrawoczerwone kaski i trzy zestawy ochraniaczy, jakie zakłada się na uszy przy wykonywaniu hałaśliwych prac. Deszcz przestał padać, ale woda nadal kapiała z drzew, a trawnik chlupotał pod stopami.

Kiedy stanąłem na ganku, zabrzęczała ułożona na nim metalowa wycieraczka, przypominając mi, że mam oczyścić buty z błota. Pchnąłem drzwi i wszedłem do hallu. Dom był cichy i ciemny, jak wszystkie wiejskie rezydencje. Niewielkie okna w grubych kamiennych ścianach rzucały na podłogę drobne prostokąty światła, wycinając w perskim dywanie małe kolorowe kobierce. Z salonu, od którego dzieliło mnie kilka zamkniętych drzwi, usłyszałem nagle głos Lohengrina, który śpiewał „In fernem Land”.

Pani Porter, zawsze pogodna niezawodna kucharka, gospodyni i totumfacka Silasa, nadeszła od strony kuchni, by mnie powitać i odebrać ode mnie płaszcz. Trzymając go w rękach wyjrzała przez frontowe drzwi. Chciwie wciągnęła nosem chłodne powietrze, jak kapitan łodzi podwodnej, która wypłynęła na powierzchnię morza po długim zanurzeniu. Patrząc nad jej ramieniem zauważyłem, że jeden z robotników włożył hełm oraz ochraniacz i wspina się na drzewo. Musiał być już kompletnie przemoczony.

- Usłyszałam, jak pan nadjeżdża, panie Samson - powiedziała pani Porter. -

Bardzo się cieszę, że pan tu jest. Niepokoiliam się... nadał się niepokoje. Robi się taki apatyczny, kiedy jest chory.

- Naprawdę? - spytałem. Niełatwo mi było wyobrazić sobie apatycznego wuja Silasa.

- Wstał i ubrał się, kiedy usłyszał, że pan przyjeżdża. Zadzwoiłam w tej sprawie do lekarza, ale on powiedział, że to nic *nie* szkodzi, byleby nie wychodził z domu, nie przemęczał się i przebywał w ciepłym pokoju.

- Lekarze zawsze mówią to samo - powiedziałem.

Uśmiechnęła się niepewnie. Kobiety w rodzaju pani Porter są zaniepokojone, kiedy ktoś podważa ich wiarę w medycynę.

- Powiedział też, że pan Gaunt może od nas odejść w każdej chwili - oświadczyła takim tonem, jakby chciała mi przypomnieć, że lekarz Silasa gra główną rolę w dramacie, w którym ja jestem jedynie statystą. - Pisz swoje pamiętniki. Biedaczysko! Chyba wie, że jego czas nadchodzi.

Pamiętniki! Kariery polityczne ległyby w gruzach, reputacja wielu osób zostałaby narażona na poważny szwank. Nie wydawało mi się możliwe, by Silas kiedykolwiek otrzymał pozwolenie na napisanie takiej książki, ale nie sprostowałem jej informacji.

- Chowa je, kiedy wchodzi do jego pokoju. Nie powinnam o tym nawet wiedzieć, ale domyśliłam się prawdy, gdy ukradkiem przeniósł na dół tę małą maszynę do pisania. Przed ostatnim pogorszeniem codziennie słyszałam, jak na niej stuka w pokoju muzycznym. Tam właśnie teraz jest. Proszę wejść, a ja przyniosę herbatę.

Pokój muzyczny był w istocie salonem, w którym Silas zainstalował stereofoniczną aparaturę, a potem przeniósł tam swoją kolekcję płyt. Przesiadywał w nim wieczorami przy muzyce. Niezbyt lubił telewizję. Nie chciałem przerywać mu słuchania opery, ale pani Porter podeszła do drzwi i powiedziała:

- Proszę wejść - a potem dodała ledwie dosłyszalnym, ale wyrazistym szeptem: - Pewnie śpi. To przez te pigułki.

Na jej odpowiedzialność wtargnąłem do pokoju. W pierwszej chwili nie dostrzegłem go, bo siedział plecami do drzwi, zwrócony twarzą w stronę kominka. Miał na sobie ciemnoczerwona bonzurkę, z której kieszonki wystawała kremowa jedwabna chustka. Był to strój, w jakim aktor epoki edwardiańskiej mógłby się wybrać do Cafe Royal. Obok niego leżał na podłodze kraciasty pled. Spadł mu z

kolan, a może sam go z nich zrzucił, kiedy usłyszał, że przyjechałem. Jego stopy - w czerwonych pluszowych pantoflach - były oparte o kratę kominka. W pokoju rozbrzmiewała muzyka i unosił się zapach palonego drewna. Jakby pod wpływem przeciągu nadpływającego od strony otwartych drzwi płomień zapłonął jaśniej i żółte języki ognia skoczyły w górę, pod sklepienie kominka. - Kto tam? - warknął Silas. Wcale nie spał.

Ludzie, którzy dobrze znali Silasa Gaunta, a do takich z pewnością należał mój ojciec, mówili o jego wykwintnej uprzejmości, wytwornych, niemal staroświeckich manierach i zniewalającym uroku osobistym. Na podstawie ich opowiadań można sobie było wyobrazić Gaunta jako ekscentrycznego Anglika w stylu bohatera powieści Henry'ego Fieldinga, Squire'a Allworthy. Ale Silas Gaunt, którego ja znałem, był przebiegłym starym draniem, demonstracyjnie popisującym się skórą hipopotama lub wrażliwością motyla w zależności od tego, co służyło w danej chwili realizacji jego dalekosiężnych planów.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedziałem bardzo cicho.
- Do diabła! Słucham Lohengrina! - mruknął. Z pewną ulgą stwierdziłem, że

bez względu na stan ciała jego duch nie stracił nic z dawnej wojowniczości. Potem odwrócił się i mnie poznał. - Ach to ty, Bernard. Myślałem, że to znów pani Porter. Stale mi przeszkadza.

Kiedy byłem dzieckiem, Silas zawsze okazywał mi swą sympatię, ale teraz, jako stary człowiek, pogrzył się we własnych problemach związanych ze starzeniem się, chorobą i śmiercią. Niewiele było już w nim miłości bliźniego.

- Ona się o ciebie martwi, Silas - powiedziałem.
- Jest w zмовie z tym cholernym konowalem. - Wyłączył adapter,

naciskając jakiś guzik, który podnosił igłę. Płyta, umieszczona pod przezroczystą pokrywą, kręciła się nadal.

Usiadłem. Silas bardzo schudł. Jego garderoba była tak luźna, że pomarszczona szyja wystawała ze zbyt obszernego kołnierzyka koszuli. Ciemnowy pokój zagracony był bibelotami, ciekawostkami antykwarycznymi i pamiątkami z podróży: skarabeusz, afrykańska rzeźba, poobijana dziecinna lokomotywa, jedna banderilla, makieta szczytu alpejskiego z wrytymi na niej trasami niezwykłych wspinaczek, mały Budda z kości słoniowej, połamany krucyfiks. Silas zwierzył mi się kiedyś, że nie chce być pogrzebany w ziemi. Nie życzył sobie, by pochowano go w grobie ani na poświęconym cmentarzu. Chciałby - na wzór egipskich monarchów -

leżeć w mauzoleum, otoczony różnymi przedmiotami, które stanowiły jego własność za życia.

- Wszyscy się o ciebie martwimy - oznajmiłem. Była to dość wymijająca odpowiedź, więc Silas spojrzał na mnie z gniewem.
- Ten cholerny lekarz chce dostać zegar mojego dziadka - powiedział po chwili.
- Naprawdę?
- Tylko po to tu przychodzi. Kiedy jest w tym pokoju, nie spuszcza z niego oka. Przed kilku dniami zaproponowałem mu, żeby przyłożył swój stetoskop do mechanizmu, bo bez przerwy pytał mnie, czy dobrze chodzi.
- Może szukał po prostu tematu do rozmowy.
- Najbardziej podoba mu się intarsja obudowy, ale on ma w domu centralne ogrzewanie. W jego mieszkaniu obudowa zaczęłaby wysychać i pękać już po sześciu miesiącach.
- To piękny zegar, Silas.
- Osiemnasty wiek. Należał do mego ojca. Przednia ścianka odrobinę się spaczyła i fragmenty intarsji minimalnie z niej wystają. Trzeba ją wycierać z kurzu bardzo ostrożnie i troskliwie. Pani Porter nie pozwala nikomu go dotykać. I tylko ona go nakręca.
- Masz szczęście, że opiekuje się tobą taka osoba jak ona, Silas.
- Ten cholerny konował chciałby go dostać przed moją śmiercią. Wiem, o co mu chodzi: o pisemne oświadczenie, zawierające opis stanu zegara i jego dzieje. Tego rodzaju świadectwo pochodzenia podniosłoby jego cenę na aukcji. Sam mi to powiedział.
- Cieszę się, że tak dobrze wyglądasz - powiedziałem.
- Jego dom jest pełen zegarów. Zegary w kształcie szkieletów, karet, balonów, zegary na grzbietach słoni, zegary w brzuchach orłów. Nie chcę, żeby mój piękny zegar został dołączony do takiej kolekcji. To tak, jakby wysłać dziecko do ochronki albo panią Porter do przytułku. On ma bzika na punkcie zegarów. Powinien pójść do psychologa; człowiek, który chce żyć w domu pełnym zegarów, musi mieć bzika. Kiedy u niego byłem, przez to bezustanne dzwonienie nie słyszałem własnego głosu.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał Silas donośnym, jowialnym głosem, jakim zwracał się do pani Porter. Ale był to jeden z ludzi, których widziałem przed domem.

- Jesteśmy gotowi, panie Gaunt - powiedział z lokalnym akcentem.

- W porządku - odparł Silas, nie odwracając się.

Młody człowiek spojrzał na niego, jakby oczekując bardziej zdecydowanej reakcji.

- W takim razie będziemy zaczynać - oznajmił.

- Przecież już powiedziałem, że się zgadzam! - mruknął z irytacją Silas.

Młody człowiek spojrzał na plecy Silasa, a potem na mnie, wznosił oczy ku niebu i wyszedł. Milczałem czekając, aż Silas wyjaśni mi tło tego interludium, ale on oznajmił:

- Jako stary człowiek na nowo odkryłem Wagnera.

- Miło mi to słyszeć.

- Tracę moje więzy - powiedział po długiej pauzie. - Dostały tej cholerniej choroby.

- Wszystkie?

- Te od frontu. - Zagryzł wargę. - Były tu od zawsze; mój ojciec bardzo je lubił. Chyba nie powinienem się martwić z powodu głupich drzew, ale...

- Możesz posadzić inne.

- Tak, mam zamiar posadzić sześć dębów. - Uśmiechnął się. Było to dla mnie zrozumiałe, że identyfikuje się z drzewami, które zawsze odgradzały dom od podjazdu. Wiedziałem, że pojawią się nowe drzewa i nowi ludzie, ale zanim dorosną, Silas Gaunt będzie już powalony, spalony i zapomniany. Wyciągnął z kieszeni czerwoną bawełnianą chustkę i przyłożył ją do oczu, a potem wytarł nos. - Czy nie przeszkadza ci, że jest tu tyle dymu? Jeśli chcesz, możesz otworzyć okno.

- Nie, nie przeszkadza mi.

- Czy akcja „Fledermaus” przeszła gładko? Widziałeś się z Fioną?

Z ogrodu dotarł do nas warkot mechanicznej piły. Twarz Silasa zeszywniała, ale udał, że go nie słyszy.

- Widziałem się z nią.

- I wszystko jest już dla ciebie jasne?

Nie wszystko było dla mnie jasne, ale wiedziałem, że niewiele zyskam przyznając się do tego.

- A więc odwołujemy ją stamtąd? - spytałem, chcąc usłyszeć z jego ust potwierdzenie.

- W swoim czasie.
- To cud, że przetrwała tak długo.
- To wspaniała dziewczyna - powiedział Silas. - Niezwykła kobieta.
- Czy Erich Stinnes też przechodzi na naszą stronę?

Silas spojrział na mnie wzrokiem człowieka, który nie rozumie, o co mi chodzi. Chyba rozproszył go na chwilę hałas piły. Jej warkot napływał do nas coraz dłuższymi falami, w miarę jak obcinano coraz grubsze gałęzie. Stare podręczniki z czasów wojny zawsze porównywały

siatkę szpiegowską do drzewa. I podobnie jak w wypadku drzewa, likwidacja siatki zaczyna się od cienkiej gałązki. Potem przychodzi kolej na grubsze gałęzie, aż w końcu całe drzewo zostaje wykarczowane.

- Stinnes... - powtórzył Silas. - Tak, myślę, że tak. Czy Stinnes się liczy?
- Czy się liczy? - Byłem równie zdezorientowany jak przed chwilą on.
- Zwerbowanie Stinnesa... i wysłanie go tam z powrotem jako naszego człowieka, było znakomitym pociągnięciem. Mistrzowskim pociągnięciem - poprawił się Silas. Jego wzrok był teraz bystry i czujny. - Jeśli Stinnes wróci kiedyś zdrowy i cały, Departament zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby Bret Rensselaer otrzymał tytuł szlachecki.

Spojrziałem na niego uważnie. A więc Stinnes pracował dla nas. Wiedziałem, że Silas zastanawia się w gruncie rzeczy nad tym, czy Fiona wróci zdrowa i cała, ale nie chce tego przede mną ujawnić.

- Czy zorganizował to Bret?
- Nie. Ale to on wpadł na pomysł, żeby odesłać Stinnesa. Stale nas do tego namawiał.

- To było szaleństwo - powiedziałem. - Może Stinnesowi udało się ich przekonać, a może tylko udają, że mu wierzą? Kto to może wiedzieć. Tak czy owak odsyłanie go było czynem lekkomyślnym. Naraziło Fionę na niebezpieczeństwo.

- Czy nadal tego nie rozumiesz? - Silas potrząsnął głową, jakby ubolewając nad moją tępotą. - Nic nas nie obchodziło, co stanie się z Erichem Stinnesem, i dziś też nas to nie obchodzi. Stinnes został tam odesłany tylko w jednym celu; żeby uwiarygodnić autentyczność intencji Fiony, przekonać ich, że naprawdę chce przejść

na ich stronę.

- A nie po to, żeby z nią współpracować?
- Nie, nie, nie. Na tym polegała cała perfidia tego przedsięwzięcia. Nikt nie ujawnił przed Stinnesem, że Fiona przeszła na tamtą stronę, żeby dla nas pracować, bo w praktyce nikt o tym nie wie. Wszyscy nasi ludzie są przekonani, że jej ucieczka to najgorsza klęska, jaką kiedykolwiek poniósł Departament, a Stinnes, cokolwiek podejrzewałby, również był o tym przekonany w momencie powrotu.

• Chcesz mi powiedzieć, że kazano Stinnesowi informować nas o poczynaniach Fiony i neutralizować skutki jej rzekomo szkodliwej dla nas działalności? - Było to genialne posunięcie. Miało w sobie symetrię, która różni sztukę od natury.

Silas, jakby śledząc tok moich myśli, uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Owszem. Bret powiedział Stinnesowi, że opatrujemy go kryptonimem „Operacja Naprawy Szkód”. Stinnes był tylko środkiem prowadzącym do celu.
- I ja też - powiedziałem z goryczą. - Zrobiono ze mnie durnia już na samym początku.

Powinienem się cieszyć z wiadomości, że moja żona jest nie zdrajczynią, lecz bohaterką. I w pewnym sensie cieszyłem się, ale na płaszczyźnie osobistej byłem urażony, że mnie tak bezwzględnie wykorzystano. Moja niechęć rozciągała się na wszystkich, którzy wiedzieli o długofalowych planach Fiony i ukrywali przede mną prawdę. Na wszystkich z Fioną włącznie. Dochodzący z ogrodu warkot piły był teraz nieprzerwany. Musieli przecinać pień.

• Nie powinieneś patrzeć na to w ten sposób - powiedział Silas. Westchnął. Nie było to jedno z teatralnych westchnień, z jakich niegdyś słygał. Było westchnieniem starego człowieka, który nie może udźwignąć ciężaru życia. - Odegrałeś w tym, co się wydarzyło, zasadniczą rolę. Nie chcieliśmy, żebyś się niepotrzebnie niepokoił o wynik całej operacji.

- To samo powiedziała Fiona. Czy dlatego chciałeś się ze mną zobaczyć?
- Ten cholerny konował mówi, że mogę w każdej chwili odejść.

Kiwnąłem głową. Wyglądał na ciężko chorego. Obawy pani Porter były uzasadnione.

• Pewnie powiedziała ci już o tym pani Porter. Wszystkim to mówi. Poznają to po ich wyrazie twarzy, kiedy wchodzą tu ze mną porozmawiać.

- Jest bardzo dyskretna - powiedziałem, by uśmierzyć jego gniew.
- Zadawałem sobie pytanie: co się stanie, kiedy ja odejdę? Bret jest schorowany, a poza tym on nie zna całej historii. D-G wie o wszystkim, ale nikt nie będzie go słuchał, bo wszyscy myślą, że cierpi na demencję. A co ty o nim sądzisz?
Znalazłem się na niebezpiecznych wodach, więc starałem się od nich oddalić.
- Nie widziałem go już od dawna.
- Podobno ma chorobę Alzheimerera, ale mój lekarz twierdzi, że można to potwierdzić tylko po przeprowadzeniu sekcji zwłok.

Nagle zapadła cisza; potem usłyszeliśmy podniecone głosy i stłumione uderzenie padającego drzewa o mokry trawnik. Ten odgłos, oznaczający jego śmierć, wprowadził mnie w smętny nastrój. Silas nie dał po sobie nic poznać, ale wiedziałem, że również go usłyszał.

- Czy wiesz, co ja myślę? - Poruszył się niespokojnie. Dla mężczyzny tak wielkiego i silnego jak Silas choroba musiała być jeszcze bardziej uciążliwa niż dla innych ludzi. Spojrzał na mnie, by się upewnić, że słucham go z maksymalną uwagą.
- Stary jest po prostu głuchy.

- Owszem - odparłem. - Wszyscy o tym wiedzą.
- Znacznie bardziej głuchy, niż jest skłonny przyznać - ciągnął Silas. - Wszyscy biorą go za wariata, bo jest zbyt próżny, by sprawić sobie nowoczesny aparat słuchowy. Moim zdaniem D-G jest równie przytomny jak ty czy ja.

- Chciałbym myśleć, że masz rację - odparłem, a potem spróbowałem wrócić do tematu. - A więc ty, D-G i Bret jesteście jedynymi ludźmi, którzy wiedzą, że Fiona pracuje dla nas?

- Dokładnie. Nawet nasi ludzie z Wiednia, którzy w ubiegłym tygodniu zorganizowali wasze spotkanie, są przekonani, że jest agentką Moskwy.

- Kiedy to słyszę, robi mi się trochę lżej na sercu.
- Jeśli wszyscy trzej - ja, D-G i Bret - odejdziemy równocześnie, a nie jest to wykluczone, ty i Fiona będziecie jedynymi osobami, które znają prawdę. Nawet oddelegowany do tej sprawy urzędnik, który opracowuje jej meldunki, nie zna ich źródła.

- A więc będę miał nikłe szanse na przekonanie kogokolwiek, że Fiona jest naszym agentem.

- A ona nie odważy się podjąć takiej próby. - Odchrząknął, by przeczyścić

gardło. - Owszem, tak przedstawia się sytuacja, Bernard. Dlatego cię wezwałem.

- Więc co, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić?
- Poczekać.

Przyjrzałem mu się uważnie. Jego twarz była blada i obrzmiała, ale mimo choroby nadal odbijała się na niej stanowczość, z której zawsze słygał.

- Nie możemy wyciągnąć Fiony, dopóki nie nadejdzie właściwy moment.
- Nie czekajcie zbyt długo, Silas - powiedziałem. - Agenci robią się z czasem nadmiernie pewni siebie; obaj o tym wiemy. Będzie jej trzeba nakazać powrót. Chciałem, żeby wróciła razem ze mną.

- I zmarnowała wyniki swej pracy? Bernard, twoja żona jest perfekcjonistką. Musiałeś pewnie zdać sobie z tego sprawę, żyjąc z nią przez tyle lat.

- Nie - odparłem. Wszystko, z czego zdałem sobie sprawę podczas życia z Fioną, sprowadzało się do odkrycia, że choć ja dzieliłem z nią wszystkie myśli i uczucia, ona strzegła swych tajemnic z obsesyjną wręcz dyscypliną. Czułem się niejako oszukany. Nie zostałem jednorazowo nabrany, okłamany czy obrabowany; byłem przez całe lata systematycznie wprowadzany w błąd przez osobę, która przysięgała mi miłość i opiekę. „Fiono Kimber-Hutchinson, czy bierzesz za męża tego mężczyznę...?” Tak, zostałem wybrany.

- Ona chce upozorować własną śmierć, żeby oni nie domyślili się, na czym polegała jej misja po tamtej stronie. Upozorować własną śmierć, a potem ukryć się gdzieś na jakieś sześć miesięcy. Jeśli nie wpadną na to, że pracowała dla nas, będziemy mogli jeszcze długo korzystać z dostarczonych przez nią materiałów.

Postępowałem za jego tokiem rozumowania, ale kiedy pomyślałem o konsekwencjach, dostawałem zawrotu głowy. Jeśli Fiona ma zostać gdzieś ukryta, to czy ja będę musiał ukryć się wraz z nią? Jak wytłumaczyć Glorii przyczyny mojego nagłego zniknięcia? Wyznanie jej całej prawdy nie wchodziło w rachubę. I co będzie z dziećmi?

- Dostarczyła nam już całą masę cennych informacji, których nie wykorzystaliśmy, żeby jej nie narażać - dodał Silas. - Kiedy znajdzie się w bezpiecznym miejscu, będziemy mogli naprawdę zrobić z nich użytek.

Być może powiedziałyby więcej, ale weszła pani Porter z tacą. Tego dnia przeszła samą siebie; domowe bułeczki i *Kugelkopf*, słodki chleb, który nauczyła się wypiekać, kiedy odkryła, że przypomina on Silasowi dawne dobre czasy.

- Nie będę w stanie tego wszystkiego zjeść, kobieto - gderliwym tonem oznajmił Silas.

- Proszę nie marudzić! Zje to pan Samson. Odbył długą drogę, musi być głodny.

Silas sięgnął do kieszeni i wyjął pęk kluczy zwisających na końcu złotego łańcuszka. Podniósł jeden z nich do oczu.

- Czy widzi pani tego człowieka, pani Porter? Gdyby cokolwiek mi się wydarzyło, proszę wziąć ten mały przedmiot i dać go panu Samsonowi. Ma pani do niego zadzwonić, kazać mu tu przyjechać i wręczyć mu ten klucz - nikomu innemu. Zrozumiała mnie pani, prawda? - Nonszalanckim gestem zakręcił końcem łańcuszka, a potem schował klucze ponownie do kieszeni. Zza okien znów doszedł terkot mechanicznej piły.

- Nie chcę nawet myśleć o takiej ewentualności, panie Gaunt.
- Zrobi pani to, o co proszę. Mogę na pani polegać, prawda?
- Chyba wie pan o tym, sir.
- To dobrze. A teraz niech pani już idzie. Nie chcę, żeby pani tu nade mną płakała.

Pani Porter ustawiła filizanki i uniosła pokrywę termosu, by pokazać mi, że jest pełen gorącej wody. Silas chrząknął, demonstrując swe zniecierpliwienie. Pani Porter uśmiechem dodała mi odwagi, pociągnęła nosem i wyszła.

- Widziałem się w Wiedniu z tym facetem imieniem Dodo - oznajmiłem Silasowi obojętnym tonem, nalewając herbatę z przepięknego srebrnego dzbanka. Była na nim wygrawerowana data. Silas otrzymał go w prezencie od swych podwładnych, kiedy opuszczał Berlin.

- Ach, tak... Musieliśmy coś z nim zrobić - powiedział mgliście.
- A więc co zrobiono?
- Dali mu Order Imperium Brytyjskiego, czy jakieś inne świedelko, i podnieśli mu emeryturę.
- Co takiego?
- Nie denerwuj się, Bernard. Był to chyba najlepszy sposób załatwienia tej sprawy. Zaczynał się czuć sfrustrowany, a zbyt wiele wie, żebyśmy pozwolili mu chodzić po ludziach i gadać, co mu ślina na język przyniesie. Zastosowaliśmy rutynową metodę bata i marchewki.

- On jest pijakiem.
- Uspokoił się już. Wie, co dla niego dobre.
- Więc ten order był marchewką? - Nawet w takim cyniku jak ja wywołało

to odruch oburzenia.

- Żadnej bliższej motywacji. „Za zasługi dla służb wywiadowczych”.

Wszystko bardzo mgliste. Order Imperium podważy prawdziwość jego rewelacji. Ta nagroda przekona Moskwę, że jesteśmy zadowoleni. - Jego zaciśnięte usta poruszyły się w przelotnym uśmiechu, jakim skwitował przebiegłość tego planu. - To nic nie kosztuje, Bernard, a musimy mieć na uwadze bezpieczeństwo Fiony.

- Rozumiem. - Jakież to było angielskie! Kiedy chłopci zaczynają sprawiać kłopoty, należy jednego z nich obdarzyć tytułem.

- Podaj mi tę dużą brązową paczkę.

Wziąłem ją ze stołu i wręczyłem mu. Wyjął z niej jakiś dokument opatrzony stemplami i pieczęciami, bez których członkowie najbardziej autokratycznego związku zawodowego świata - zrzeszenia brytyjskich prawników - nie wyobrażają sobie możliwości uprawiania swego zawodu, podobnie jak bez peruk i tóg. Składał się on z około czterdziestu stron maszynopisu, połączonych zieloną taśmą, która przechodziła przez dziurki wycięte w każdej z nich. - Oto dokładna relacja o wszystkim, co wiem na temat misji Fiony. Nazwiska, daty, i tak dalej. Jest tu wszystko.

Myśląc, że chce wręczyć mi dokument, wyciągnąłem rękę, ale on zignorował mój gest.

- Czy masz przy sobie sprawnie działające pióro? - Otworzył zszywkę na ostatniej stronie i dodał: - Chcę, żebyś potwierdził autentyczność mojego podpisu. Jutro przychodzi do mnie adwokat; mam to podpisać i zaprzysiąc w jego obecności. Chcę, żebyś również był świadkiem. Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

- Nie - odparłem. - Oczywiście, że nie.

Złożył swój podpis, a potem pokazał mi, gdzie mam umieścić swój, żądając z pedantycznym uporem, żebym wpisał swój adres drukowanymi literami we właściwym miejscu.

- Chcę być pewien, że ten dokument ma moc prawną - wyjaśnił. W rubryce „zawód” wpisałem „urzędnik państwowy”. Obejrzał rezultat moich poczynań,

dmuchnął na papier, by przyspieszyć schnięcie atramentu, a potem z satysfakcją odczytał na głos moją adnotację.

- Czy mogę to teraz przeczytać? - spytałem.
- Nie ma takiej potrzeby, Bernard. Robię to tylko na wszelki wypadek. Mam podstawy do przypuszczeń, że kiedy Fiona wróci, będę żywy i zdrowy.
- Oczywiście.

Dźwignął się z fotela i podszedł do staromodnego wojskowego kufra. Posługując się kluczem, który pokazał nam poprzednio, zamknął w nim podpisany dokument. Znow uniósł klucz w górę, a potem schował go z powrotem do kieszeni.

- Rozumiesz mnie, Bernard? Kiwnąłem głową.
- A więc została zwerbowana już w Oxfordzie? - spytałem.

- Powiedzmy raczej, że została tam zauważona. Rekrutacją naszych kadr zajmował się mój kuzyn, profesor historii. Nigdy dotąd nie rekomendował kandydata płci żeńskiej. Fiona miała przemawiać na posiedzeniu stowarzyszenia studentów, więc zaproponował, żebyśmy obaj poszli jej posłuchać. Nie zapomnę tego wieczoru. Miała dowieść, że teoria względności Einsteina jest mistyfikacją. To był imponujący występ, Bernard.

- Ale przecież Fiona nie ma pojęcia o matematyce.
- To prawda, ale wśród słuchaczy też nie było wielu osób, które miałyby o niej pojęcie. Okazała się na tyle bystra, by to wykorzystać. Inni mówcy nudzili wszystkich racjonalnymi argumentami. Kiedy przyszła kolej na Fionę, okazała się atrakcyjna i zabawna. Wyśmiała swoich oponentów i wygłosiła absurdalny, ale spójny i logiczny wywód. Oczywiście, nie mogła wygrać i wszyscy o tym wiedzieli, ale pokazała, że umie szybko myśleć. Zgromadziła trochę starannie dobranych faktów, trochę półprawd oraz sporo kompletnych bzdur, i potrafiła z tego wszystkiego złożyć dość przekonującą całość.

- Myślałem, że na tym właśnie polegają studia w uniwersytecie.
- I niewiele się myliłeś, Bernard, ale w Fionie dojrzałem osobę, która potrafi zachować absolutną jasność myślenia i dystans wobec spraw będących przedmiotem jej działania. Do tego sprowadza się istota naszej pracy. Niepowodzenia w sztuce wywiadu dotyczą ludzi, którzy nie potrafią dostrzec różnicy między tym, o czym wiedzą, że jest prawdą, a tym, co chcieliby uznać za prawdę.

- Albo nie chcą dostrzec tej różnicy - dodałem.

- Dokładnie. A twoja żona jest realistką, Bernard. Nie kieruje się przelotnymi kapryсами, sentymentalizmem czy pobożnymi życzeniami.
- Nie - potwierdziłem. - Nigdy.
- Wcale nie została zwerbowana. Zachowałem ją dla siebie. Tak się wtedy robiło. Wszyscy mieliśmy swoich własnych agentów; twój ojciec, ja, Lange. Utrzymywaliśmy swoje siatki za pomocą nie odnotowywanych nigdzie przelewów z Centralnego Funduszu. Były to tego rodzaju operacje finansowe, jakie chciałeś niedawno udowodnić Bretowi Rensselaerowi; pamiętasz to?

- Tak - odparłem.
- Kiedy Sir Henry został Dyrektorem Generalnym, powiedziałem mu, że Fiona jest naszą dobrze zakamuflowaną agentką. A kiedy zaczęła nalegać, by dać jej szansę zrobienia tego dużego numeru, wtajemniczyłem we wszystko również Breta. Postanowiliśmy nie mówić o tym nikomu innemu. Jej nazwisko nie zostało nawet nigdzie zapisane.

Znów pograżył się w milczeniu. Dolałem sobie herbaty, on natomiast nie tknął jeszcze swojej. Wpatrzony w ogień, zdawał się zatopiony w myślach, których nie chciał z nikim dzielić.

- Brakuje mi twojego ojca - wyznał w końcu. - On zawsze umiał rozwiązać każdy pojawiający się problem. Jego mózg nie był zamarynowany przez cholernych wykładowców uniwersyteckich. Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu zdawał jakiś egzamin. - Silas spojrzał na mnie i widząc, że nie reaguję, ciągnął dalej: - Tacy samoucy jak twój ojciec - teraz podobno nazywa się ich autodydaktykami - czytają książki nie po to, by znaleźć w nich odpowiedzi z góry ustalone przez jakąś niedokształconą komisję egzaminacyjną; szukają własnego punktu widzenia.

Oparł się o poręcz fotela.

- Daję ci słowo, Bernard, pękałem ze śmiechu, kiedy twój ojciec robił wodę z mózgu tym młodym chłopcom, których nam przysyłali. Potrafił cytować z pamięci tak niezwykle źródła, że otwierali gęby ze zdziwienia: Junga, Nietzschego, Swetoniusza, świętego Pawła, Hitlera, George'a Washingtona, dane statystyczne z tajnych akt Speera oraz Schillera i Einsteina. Wszystko to mówił na zawołanie. Pamiętam, jak tłumaczył kiedyś staremu, wykształconemu generałowi SS, że jego wielki idol, Arminius, który błyskotliwie pokonał Rzymian, co nie udało się przedtem ani Brytom, ani Celtom, ani całej reszcie, pozbawił Niemcy dobrodziejstw cywilizacji i skazał je na barbarzyński chaos do tego stopnia, że ich mieszkańcy przez kilka

wieków nie używa li kamienia jako budulca. „Wy, Niemcy, musicie nadrobić ze dwa wieki postępu cywilizacyjnego” - przekonywał go cierpliwie. Trudno było się zorientować, do jakiego stopnia mówi poważnie. – Silas zachichotał głośno. - Przeżyliśmy razem wesoło kawał czasu; twój ojciec i ja.

Odzyskał na chwilę dawną werwę, ale potem, jakby ponownie uświadamiając sobie, że mój ojciec nie żyje, znów zapadł w posępne milczenie.

- Co wydarzyło się w Berchtesgaden, Silas? Wiem, że stało się tam coś, co przekreśliło karierę mojego ojca.
 - I rzuciło cień na moją własną - dodał Silas. - Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego właściwie nie dostałem tytułu szlacheckiego?
 - Nie - odparłem, choć pytanie to zadawane było w mojej obecności wiele razy.
 - Ile wiesz?
 - Jakiś Niemiec, o nazwisku Winter, został zastrzelony. Obarczono winą mojego ojca. To wszystko.
 - Dwaj Niemcy: pewien jeniec podlegający bezpośrednio twojemu ojcu i jego brat, który - przynajmniej formalnie - był żołnierzem Armii Stanów Zjednoczonych. Było to w Strefie Amerykańskiej. Wojna się skończyła. Wszyscy zainteresowani wyczekiwali momentu, w którym będą mogli pójść do domu. Nie byli to żołnierze frontowi, lecz zbieranina podstarzałych ojców rodzin, urzędników zaopatrzenia, magazynierów, różnego rodzaju nieudaczników, którzy otrzymali niskie kategorie na komisjach lekarskich. Nie umieli posługiwać się bronią, byli zdenerwowani, pijani, gotowi strzelać bez koniecznego powodu... Kto wie, jak się to naprawdę odbyło? Twój ojciec był tam jedynym Anglikiem i cała sprawa narobiła wiele szumu. Amerykanie zwalili na niego całą winę. Max sam tego później żałował. Mówił mi to wiele razy.
 - Max?
 - Max Busby. Człowiek Langego. - Widząc, że nie rozumiem, dodał: - Ten, który został zabity, kiedy obaj przechodziliście przez Mur. Był kapitanem armii amerykańskiej. Stał na czele grupy zwiadowczej... tej nocy, kiedy zostali zastrzeleni ci Niemcy. Nie wiedziałeś o tym? Max nigdy ci o tym nie powiedział?
- Dopiero po chwili otrząsnąłem się ze zdumienia.
- Nie. Max nigdy mi o tym nie mówił. Był cholernie dobrym przyjacielem. -

Była to zbyt powierzchowna opinia o człowieku, który zginął, dając mi szansę bezpiecznego powrotu do domu. Ale nie musiałem mówić nic więcej. Silas znał tę historię.

- Tak, był dobrym przyjacielem dla ciebie. Oczywiście, bardzo cię lubił. Ale zawsze się zastanawiałem, na ile próbuje naprawić krzywdę, którą przy jego pomocy wyrządzono twojemu ojcu. To właśnie jego zeznania przekonały komisję dochodzeniową, że twój ojciec przypadkowo wystrzelił. Ta historyjka bardzo im odpowiadała. Umożliwiła żołnierzom niemal natychmiastowy powrót do cywilnego życia i pozbawiła amerykańskich dziennikarzy sensacyjnej relacji, którą zamierzali umieścić na pierwszych stronach. Ale twój ojciec nigdy już nie odzyskał swej reputacji. Chcieli go oddelegować do jakiejś okropnej roboty, zrobić go oficerem łącznikowym, ale ja uparłem się, że musi zostać ze mną.

- Więc dlatego ojciec nienawidził Maxa - powiedziałem.
- Tak, Maxa i Langego. Po tej całej historii w ogóle nie przepadał za Amerykanami. Była to infantylna reakcja, ale on czuł się rozgoryczony i sfrustrowany.

- Czy nie domagał się ponownego śledztwa?
- Oczywiście, że się domagał. Zależało mu na unieważnieniu tego wyroku bardziej niż na czymkolwiek innym. Ale Departament nie mógł sobie pozwolić na rozgłos, który musiałby towarzyszyć takiej sprawie. A poza tym zarówno my, jak i Amerykanie trzymaliśmy się zasad oficjalnej linii politycznej i unikaliśmy wszystkiego, co mogłoby prowadzić do konfliktów między Sojusznikami.

Silas usiadł wygodniej w fotelu. Wspomnienia ożywiły go na chwilę, ale teraz do pokoju wtargnęły duchy, a on chyba nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności. Wypiłem kilka łyków chłodnej herbaty.

Kiedy Silas odezwał się ponownie, mówił z wyraźnym wysiłkiem:

- Chyba powinienem zażyć to cholerne lekarstwo. Pani Porter wie, ile mi go dać.

- Pójdę już, Silas - powiedziałem. - Musisz trochę odpocząć.
- Zostań na lunchu.
- Muszę wracać - odparłem.

Nie nalegał długo. Teraz, kiedy wykonał swoje zadanie, opuściła go cała energia i chciał zostać sam.

- Przykro mi z powodu tych wiązków, Silas.
- Dęby też będą wyglądać ładnie - odparł.

Nie skorzystałem z zaproszenia pani Porter, która chciała mi podać coś do zjedzenia. Miałem wrażenie, że Silas wolałby, żebym opuścił dom i odjechał, niż żebym jadł samotnie posiłek w kuchni. A może to moje urojenia? Bez względu na to, ile w nich było prawdy, chciałem odjechać stamtąd i przemyśleć wszystko w samotności. Przed spokojnym miejscowym kościółkiem, zbudowanym przy drodze, która wiodła od bramy wjazdowej Whitelands do wioski, stał rząd zaparkowanych samochodów, co oznaczało, że odbywa się tam jakaś ceremonia. Był to pogrzeb. Nad otwartym grobem stały ze dwa tuziny ubranych na ciemno i skulonych pod parasolami żałobników, a ksiądz dzielnie spełniał nakazy liturgii, choć wiatr szarpał go za sutannę, a jego twarz lśniła od deszczu.

Pełznąąc za traktorem miałem okazję przyjrzeć się tej smutnej, skromnej ceremonii. Wpędziła mnie ona w jeszcze głębszą depresję, przypominając, że niedługo - bardzo niedługo - Silas i jego posiadłość znikną z mojego życia. Moja matka była stara i schorowana. Wiedziałem, że Lisi też wkrótce odejdzie, a jej hotel zmieni się nie do poznania. I że kiedy to nastąpi, urwie się ostatnia więź łącząca mnie z czasami, które tyle dla mnie znaczyły.

Być może Silas miał rację; być może najlepszym końcem dla nas wszystkich byłaby pólka w jakimś muzeum, na której leżelibyśmy otoczeni wszystkimi zebranymi w ciągu życia rupieciami.

Pod wpływem tej irracjonalnej melancholii zatrzymałem się w sąsiednim miasteczku, żeby wstąpić na drinka. Puby były zamknięte, a w jedynej restauracji siedziały tłumy hałaśliwych kobiet, opychając się sałatkami. Wszedłem do sklepu spożywczego i kupiłem piersiówkę *Johnnie Walkera* oraz paczkę papierowych kubków.

Jechałem boczną drogą, dopóki nie dotarłem do głównej szosy, a potem zjechałem na przydrożny parking. Nadal padał deszcz. Był to idealny dzień, idealny czas i idealne miejsce dla kogoś, kto chciałby popełnić samobójstwo.

Gdy tylko wyłączyłem wycieraczki, przednia szyba pokryła się kroplami, zasłaniającymi całkowicie widok. Deszcz miarowo bębnił o dach. Sięgnąłem po butelkę, ale zanim wypilem drinka, oparłem głowę o podłówek i natychmiast zasnąłem. Zdarzało mi się już dawniej tak gwałtownie zapadać w sen; zawsze miało to miejsce w niebezpiecznych okolicznościach albo pod wpływem silnego napięcia.

Nie wiem, jak długo spałem. Obudził mnie odgłos silnika samochodu zatrzymującego się obok mnie. Potem usłyszałem szum wycieraczek i hałaśliwy bełkot radiowej stacji nadawczo-odbiorczej. Otworzyłem oczy. Był to samochód policyjny. Umundurowany funkcjonariusz uchylił swoje okno, a ja zrobiłem to samo.

- Czy wszystko w porządku, sir? - Podejrzliwy wyraz jego pobrużdżonej twarzy stał w jaskrawej sprzeczności z uprzejmością, z jaką zadał mi to pytanie. Zepchnąłem butelkę whisky między fotele, ale mimo to była widoczna.
- Owszem, nic mi nie jest.
- Ma pan jakieś kłopoty z samochodem? Czy mam wezwać pomoc drogową? - Deszcz padał nadal; policjant nie wysiadł z samochodu.
- Musiałem sprawdzić coś na mapie.
- W porządku, sir, chciałem tylko się upewnić, czy nic panu nie dolega i czy może pan prowadzić wóz. - Odjechali.

Kiedy radiowóz zniknął z pola mego widzenia, wysiadłem z auta i przez chwilę stałem na deszczu. Orzeźwiło mnie to. Wkrótce poczułem się lepiej. Wróciłem do samochodu i włączyłem ogrzewanie oraz radio.

Było nastawione na trzeci program. Brendel grał Schuberta. Słuchałem. Po kilku minutach wyrzuciłem nie otwartą butelkę whisky do rowu.

Zastanawiałem się, czy policjantom kazano mnie obserwować, ale wydało mi się to mało prawdopodobne. Samo podejrzenie było miarą mojego wyczerpania nerwowego; za dawnych czasów taka myśl nie przyszląby mi w ogóle do głowy. Może istotnie coś mi dolegało. Może ci, którzy mówili mi, że źle wyglądam, mieli rację.

Myślałem o wszystkim, co mi powiedział Silas. Szczególnie niepokoiła mnie koncepcja ukrycia Fiony w bezpiecznym miejscu, żeby KGB nie domyśliło się, że przez cały czas pracowała dla nas. Wiedziałem, że ten perfidny plan będzie bardzo trudno zrealizować.

Departament mógł osiągnąć ten sam cel w inny sposób; zabić Fionę, dopóki pracowała po drugiej stronie. Można to było łatwo zaaranżować, bo po świecie kręciło się wielu ludzi w rodzaju Thurkett-le'a. Byłby to krok radykalny i skuteczny. Nawet gdyby KGB wykryło, że Departament maczał palce w takim zabójstwie, byłby to dodatkowy „dowód” szczerości intencji Fiony. Likwidacja zbędnej osoby. Tak bezwzględne rozwiązanie wydawało się nie do pomyślenia i nie miało precedensu, ale to, co zrobiła Fiona, też wydawało się nie do pomyślenia i też nie miało precedensu.

Nie poszedłem już tego dnia do biura. Kiedy wracałem z farmy Silasa, pogoda robiła się coraz gorsza, aż w końcu, tuż przed Londynem, wpadłem w spektakularną burzę z grzmotami i piorunami, które rozjaśniały niebo niebieskimi zygzakami błyskawic i zakłócały działanie radia. Pojechałem prosto do domu. Zapadł wczesny wieczór. Chłodny, pusty i ciemny dom dał mi poznać, jak czułbym się mieszkając samotnie. Dzieci jadły tego dnia kolację u przyjaciół. Zapaliłem gazowy palnik na kominku, usiadłem w fotelu i patrzyłem, jak pod wpływem płomieni cały ruszt rozgrzewa się do czerwoności.

Obudziło mnie wejście Glorii. Zapaliła światło i choć musiała zauważyć zaparkowany pod domem samochód, wydała na mój widok cichy okrzyk zaskoczenia. Była to reakcja bardzo kobieca, być może trochę pretensjonalna, ale w przypadku Glorii tego rodzaju dziecinne gesty nie były jakimś cudem irytujące. Była całkowicie przemoczona. Powinienem być chyba pojechać po nią na stację, ale nie skarżyła się.

- Mamy w domu tylko mrożony *Szekelygulyas* - powiedziała, zdejmując płaszcz i biorąc ręcznik, żeby wytrzeć nim włosy.
 - Tylko mrożony *Szekelygulyas* - powtórzyłem z zadumą. - Jakież barwne jest nasze życie.
 - Nie byłam na zakupach - oznajmiła Gloria. Usłyszałem w jej głosie sygnał ostrzegawczy.
 - Możemy pójść do Alonsa albo do tej małej chińskiej restauracji - zaproponowałem.
 - Dlaczego jesteś dziś w mrukliwym nastroju, niedźwiadku?
 - Wcale nie jestem - odparłem i zdobyłem się na przekonujący uśmiech, by jej tego dowieść.
 - Mnie wystarczy jajko na miękko.
 - Mnie również.
- Stała przed lustrem, czesząc mokre włosy. Spojrzała na mnie i powiedziała:
- Zawsze tak mówisz, Bernard, ale kiedy dam ci tylko jajko, zaczniesz przed snem przeszukiwać spiżarnię i otwierać puszki albo robić sobie płatki na mleku.

- Więc zjedźmy mrożony *Szekelygulyas* - zgodziłem się, przypomniawszy sobie nagle, że nie jest to paczkowany gulasz z supermarketu, lecz potrawa węgierska przygotowana w domu przez jej matkę. Krytyka takiego dania mogłaby doprowadzić do powikłań psychicznych, które rozplatać umiałby jedynie freudysta-smakosz. - To moja ulubiona potrawa! Kura w śmietanie, prawda?

- Wieprzowina z kiszoną kapustą - odparła z gniewem, ale wybuchnęła śmiechem, kiedy zobaczyła moją przewrotną minę. - Jesteś skończonym draniem! Mówię serio.

- Wiedziałem, że to wieprzowina z kapustą.
- Możemy też pójść do tej nowej knajpki, w której podają rybę z frytkami.
- Jakie wino pasuje do *Szekelygulyas*
- Nie znosisz węgierskiej kuchni.
- Nieprawda.
- Mówiłeś, że kminek wchodzi ci między zęby.
- Wtedy miałem inne zęby.

Przyklękła obok fotela, na którym siedziałem, i objęła mnie ramionami.

- Proszę cię, spróbuj, Bernard. Spróbuj mnie naprawdę kochać. Potrafię cię uszczęśliwić, wiem o tym, ale ty też musisz zrobić pewien wysiłek.

- Naprawdę cię kocham.
- Czy Silas jest bardzo chory?
- Sam nie wiem. Czasem wygląda, jakby miał zaraz umrzeć, a po chwili zaczyna krzyczeć i rozstawia wszystkich po kątach.
- Wiem, jak on wiele dla ciebie znaczy.
- Jest stary - powiedziałem. - Wszyscy musimy prędzej czy później odejść.

Miał bardzo udane życie.

- A więc to ja cię czymś zirytowałam?
- Nie, kochanie. Jesteś ideałem. Daję ci słowo honoru. - Naprawdę byłem tego zdania.

- To ten dom, prawda? Nienawidzisz go, odkąd się tu wprowadziliśmy. Czy to przez odległość? Przedtem mieszkałeś w samym centrum.

Pocałowała mnie w ucho. Objąłem ją.

- Dom jest w porządku. Po prostu mam kilka problemów zawodowych, z

którymi usiłuję dać sobie radę. Może dlatego wydają ci się mrukliwy, ale proszę o tolerancję.

- Chodzi o Dicky'ego Cruyera?
- Nie. Dicky to najmniejsze z moich zmartwień. Gdybym ja nie wykonywał

za niego dziewięćdziesięciu procent roboty, zostałby pewnie przeniesiony do innej pracy, przy której nie mógłby tyle szkodzić.

- Ale?
- Wielu ludzi ucieszyłoby się, gdyby Dicky utracił Sekcję Niemiecką. Na przykład zastępca szefa Wydziału Europejskiego. Nie znosi go. Gdyby pozbycie się mnie było równoznaczne z pozbyciem się Dicky'ego, Gus Stowe wylałby nas obu i wydał przyjęcie, by uczcić to wydarzenie.

Gloria wybuchnęła śmiechem. Trudno było sobie wyobrazić Gusa Stowe'a w roli człowieka wydającego przyjęcie.

- Czy mogę włożyć potrawę do piecyka? - spytała. Pytanie to odbijało w pewnym sensie naturę naszego związku. Bez względu na to, co myśleli inni, moja miłość do niej nie była bynajmniej miłością ojcowską; ale jaki charakter miała jej miłość do mnie?

- I przyniosę ci kieliszek wina.
- Sam sobie wezmę.
- Siedź i odpoczywaj. Kiedy kolacja będzie gotowa, opowiem ci najnowszą plotkę o Dickym. Oczy wyjdą ci z głowy.
- Nic, co może zrobić Dicky, nie jest w stanie mnie zaskoczyć - odparłem.

Przyniosła mi kieliszek chłodnego wina. W domu nie było whisky, ginu ani wódki; żadnego mocnego alkoholu. Kiedy zapasy się skończyły, nie uzupełniła ich. Próbowwała mnie odzwyczaić od mocnych trunków. Siedziałem wygodnie pijąc wino i słuchając popiskiwania elektronicznego zegara wbudowanego w piec mikrofalowy. Ten piec był najnowszą zabawką Glorii. Podśluchałem, jak opowiadała o nim naszej sprzątacze. Chwaliła się, że wspaniale upiekła w nim wątróbkę, choć w istocie wątróbka wybuchła, pokrywając wnętrze piecyka brązowym osadem i przyprawiając Glorię o atak płaczu.

Ale teraz słyszałem, jak cicho podśpiewuje, i wiedziałem, że postąpiłem słusznie, wybierając domową potrawę jej matki, podgrzaną w nowym piecu. Miała dzięki temu możliwość zabawienia się w panią domu. Okazała swe zadowolenie,

starannie nakrywając stół do kolacji, którą mieliśmy zjeść tete-a-tete. Na stole stały świece, a nawet róża na długiej gałązce, niestety, sztuczna.

- Jesteś cudowna - powiedziałem, kiedy pozwoliła mi wejść do kuchni i zasiąść do stołu.

- Zapomniałam o młynku do pieprzu - wyznała nerwowym, załęcznionym głosem, sięgając po niego pospiesznie. Jej gorliwe starania, żeby mnie zadowolić, często miały przeciwny efekt; sprawiały, że czułem się jak tyran.

- Opowiedz mi o Dickym.

- Nie rozumiem, jak Daphne znosi jego wybryki - oznajmiła Gloria. Lubiała zaczynać od wstępu, który wprowadzał odpowiedni ton rozmowy. - Daphne jest mądrą kobietą. Czy wiesz, że maluje skórzane kurtki?

- Skórzane kurtki? Daphne?

- Ona jest artystką, Bernard.

- Wiem, że studiowała na akademii sztuk pięknych.

- Na jedno wychodzi.

- Maluje na skórzanych kurtkach?

- Smoki i psychodeliczne akty. Nie widziałeś ich? Wiem, że chciałbyś mieć taką kurtkę, kochanie.

- Psychodeliczna naga kobieta, nawet namalowana na skórzanej kurtce, mogłaby się okazać ponad moje siły.

- Ich malowanie trwa wiele godzin.

- Wyobrażam sobie.

- Przestań!

- Co?

- Mówię poważnie. Daphne pracuje bardzo ciężko, a Dicky jej nie rozumie.

- Czy sam ci to powiedział?

- Ależ skąd. Chciałabym, żebyś mnie słuchał, zamiast dowcipkować.

- Smakuje mi ta wieprzowina z kapustą. Trochę za słona, ale bardzo dobra.

- Ostatnim razem powiedziałeś, że jest bez smaku, więc dodałam dziś trochę soli.

- Jest wspaniała. Więc co z tym Dickym?

- Jedzie w piątek do Berlina. Zarezerwował apartament w hotelu

„Kempiński”; zabiera z sobą jakąś dziewczynę. Biedna Daphne. Jeśli kiedykolwiek się o tym dowie...

- Jaką dziewczynę? Kogoś z biura?
- Nie wiem - odparła.
- Gdzie słyszałaś te plotki?
- To nie są plotki. Ma zarezerwowany apartament.
- Czy powiedziała ci o tym jego sekretarka?

Gloria zajęta była przez chwilę połykaniem porcji gulaszu i popijaniem jej łykiem wina. Miała dzięki temu czas, by zastanowić się nad odpowiedzią.

- Nie, oczywiście, że nie.
- Ona nie ma prawa plotkować o sprawach tego rodzaju.
- Ale nie powiesz Dicky’emu?
- Nie, oczywiście, że nie. Ale ona postępuje głupio, opowiadając takie

bdzury.

- Nie bądź taki zasadniczy, niedźwiadku - powiedziała, dolewając nam wina.
- Założmy, że nie chodzi o kobietę. Założmy, że Dicky czeka na agenta,

który musi przejść przez Mur. Założmy, że bezpieczeństwo tego agenta zależy od tego, czy wszyscy zainteresowani zachowają dyskrecję.

- Tak. - Zastanowiła się przez chwilę i dodała: - Założmy, że tym agentem jest kobieta... założmy, że to twoja żona?

- To niemożliwe.
- Dlaczego niemożliwe?
- Dlatego, że Fiona pracuje dla drugiej strony! Do diabła, czy nie możesz

wbić sobie tego faktu do swojej węgierskiej głowy? - Nagle dostrzegłem na jej twarzy wyraz przerażenia i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że krzyczę i uderzam ręką w stół.

Milczała. Ja miałem ochotę odgryźć sobie język, gdy tylko skończyłem mówić. Ale takiej głupiej, nieuzasadnionej obelgi nie da się odwołać.

- Przepraszam, Glorio. Proszę cię, wybac mi. Wcale tak nie myślę.

Zaczęła płakać; po jej policzkach spływały nie kończące się potoki łez. Ale zdobyła się na cień uśmiechu i powiedziała:

- Właśnie, że tak myślisz, Bernard. I nie potrafię zrobić nic, żeby skłonić cię do spojrzenia na mnie w inny sposób.

- Chodźmy usiąść w pokoju - zaproponowałem, rozlewając do kieliszków resztę wina.
 - Nie. Za chwilę muszę pojechać po dzieci, a Chcę jeszcze przedtem wrzucić do suszarki kilka rzeczy.
 - Pozwól mi po nie pojechać.
 - Nie wiesz, gdzie to jest, Bernard. Wszystkie ulice są tam jednokierunkowe i fatalnie oświetlone. Zabłądzisz.
- Jak zwykle miała rację.

17

Łatwo było się domyślić, że Dicky przeżywa nowy romans. Myślę, że przypadkowy obserwator zawsze potrafi poznać to po każdym żonatym mężczyźnie. Dicky patrzył na świat wzrokiem tygrysa, przeżył mięśnie i objawiał gorącą krew, którą Szekspir kojarzył raczej z Marsem niż z Wenerą. Jego opowiadania o kosztownych restauracjach stały się jeszcze bardziej szczegółowe. Ulubione lokale przysyłały mu co rano faxem swe karty dań, zawierające aktualne *plats du jour*. Poza tym zaczął opowiadać dowcipy.

- Bernard, powiadam ci, jeśli idzie o egzotyczne kuchnie, to moja zasada brzmi: im mniej egzotyki, tym lepiej! - Przyjrzał się obgryzionemu właśnie paznokciowi i raz jeszcze na krótko przytknął go do ust.

Chodził po swoim gabinecie, przystając co chwila, by wyrzeć przez okno. Był bez marynarki; miał rozpiętą kamizelkę, ciemnoniebieską koszulę i białą jedwabną muszkę. Jego buty wykonane były z lakierowanej skóry, która imitowała skórę krokodyla.

Dicky już kilkakrotnie wspominał o zaplanowanym weekendzie w Berlinie. Oznajmił, że „zamierza połączyć sprawy zawodowe z osobistymi”, ale potem natychmiast zmienił temat pytając, co sądzę o tym, żeby przenieść Pinky służbowo do Londynu. Uważałem ten pomysł za fatalny, ale nie powiedziałem tego. Na terenie Centrali Londyńskiej odpowiadanie na tego rodzaju pytania było najeżone niebezpieczeństwami. Niemal każdy był krewnym lub kolegą szkolnym kogoś innego, również zatrudnionego w tym budynku. Mogło się łatwo okazać, że Pinky jest daleką kuzynką Dicky’ego, miała tę samą niańkę co zięć Dyrektora Generalnego, lub posiada inne tego rodzaju koneksje.

- Fiona twierdzi, że Pinky robi błędy ortograficzne - odparłem.
- Błędy ortograficzne! - Dicky zaśmiał się krótko, jakby chcąc podkreślić moją pomysłowość. - Nawet ja nie potrafię poprawnie pisać - oznajmił takim tonem, jakby to rozstrzygało ten problem na wieczne czasy.

Miałem ochotę powiedzieć: „Przecież ty, do cholery, nic nie potrafisz robić poprawnie”, ale zapytałem z uśmiechem, czy Pinky prosiła o przeniesienie.

- Oficjalnie nie, ale ona chodziła do szkoły z twoją szwagierką. - Lekki uśmiech. - Prawdę mówiąc, to właśnie Tessa wspomniała mi o tej sprawie. Kiedy nie zareagowałem, dodał: - Podczas kolacji w moim domu.

- Cóż, świat jest mały - stwierdziłem.
- Istotnie - przyznał Dicky. Wyczułem w jego głosie westchnienie ulgi, jakby od rana usiłował mnie nakłonić do stwierdzenia tego faktu. - I mówiąc między nami, Tessa również będzie w Berlinie podczas najbliższego weekendu.

- Tak?
- Tak. - Przesunął palcem po wargach, jakby chciał mi pokazać, gdzie ma usta. - W istocie, ona... - Zerknął na zegarek. - Słuchaj, czy masz czas na filiżankę kawy?

- Owszem, dziękuję. - Wypiłem w gabinecie Dicky’ego i w jego towarzystwie wiele filiżanek kawy, ale nie znaczy to, że *Kaffeeklatsch* należał do codziennej rutyny. Dicky zazwyczaj pił swoją kawę w spokoju i odosobnieniu. Mówił, że jest to czas, który przeznaczają na zmaganie się z myślami, na roztrząsanie zawiłych problemów i sięganie w głąb własnego ja. Zapraszał innych do udziału w tej uczcie duchowej niechętnie i niebezinteresownie. Mogę szczerze powiedzieć, że źródłem większości najgorszych doświadczeń, jakie miałem w życiu, były koncepcje, plany lub rozkazy, z którymi zetknąłem się po raz pierwszy, trzymając w ręku filiżankę ze znakomitą kawą serwowaną przez Dicky’ego.

Dicky wypalał do kawy cygaretkę. Uważał palenie za fatalny nałóg - zatrucie własnego organizmu - i mówił, że stara się ograniczać do trzech dziennie. Pewnie właśnie dlatego mnie nie poczęstował.

- Prawda sprowadza się do tego - zaczął mówić, rozsiadając się na obrotowym fotelu z kawą w jednej ręce, a cygaretką w drugiej - a raczej: ważny szczegół tej podróży do Berlina sprowadza się do tego, że potrzebuję twojej pomocy i współpracy.

- Ach, tak... - powiedziałem. Była to zupełna nowość w ustach Dicky’ego,

który twierdził zawsze, że nie potrzebuje niczyjej pomocy ani współpracy.

- Wiesz, jak na tobie polegam, Bernard. - Obrócił się lekko wraz z fotelem, ale nie rozlał kawy. - Zawsze na tobie polegałem i polegam nadal.

Zacząłem się rozglądać za awaryjnym wyjściem.

- Nie - odparłem. - Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Dicky delikatnie umieścił cygaretkę w kryształowej popielniczce i zaczął wolną ręką szarpać za koniec swej muszki, próbując ją rozwiązać. Na ścianie, za jego plecami, wisiała kolorowa fotografia przedstawiająca Dicky'ego i Dyrektora Generalnego w Kalkucie. Stali obok kramu, w którym wystawiono na sprzedaż duży wybór plakatów. Dicky i jego szef byli więc otoczeni portretami sławnych ludzi, od ajatollaha, poprzez wszystkich Marksów, aż po Jezusa Chrystusa oraz Flipa i Flapa. Wszyscy patrzyli prosto przed siebie z wyjątkiem Dicky'ego. Dicky patrzył na D-G.

- Nie chcę zrobić przykrości Daphne - powiedział, jakby decydując się na przyjęcie innej linii postępowania. - Sam rozumiesz...

Przerwał i zerknął na mnie. Zaczynałem się już domyślać, do czego zmierza, ale nie zamierzałem ułatwiać mu zadania. I chciałem zyskać czas do namysłu.

- O co chodzi, Dicky? - spytałem, sącząc kawę i udając, że nie poświęcam mu całej swej uwagi.

- Porozmawiajmy jak mężczyzna z mężczyzną, Bernard. Wiesz, co mam na myśli?

- Chcesz, żebym pojechał za ciebie?

- Bernard, na miłość boską! Potrafisz być czasem bardzo niedomyślny. -

Zaciągnął się cygaretką. - Nie, chodzi o to, że zabieram z sobą Tesę. - Pauza. -

Obiecałem i będę musiał dotrzymać słowa. - Ostatnie zdanie wypowiedział tonem tak zbolalym, jakby musiał podporządkować głosowi obowiązku swe osobiste życzenia.

Potem, zerknąwszy przelotnie na drzwi, by się upewnić, że nikt nie podsłuchuje, utkwiał we mnie wzrok i powiedział: - Na weekend! - Oznajmił to z irytacją, niemal przez zaciśnięte zęby, jakby moja niedomyślność zaczynała go wprawiać w szal.

- A więc pojedziemy wszyscy? Czy mogę zabrać Glorię?

Zerwał się na nogi jak oparzony i podszedł do fotela, na którym siedziałem.

- Nie, Bernard - powiedział. - Nie, Bernard, nie, Bernard. Nie!

- A zatem, o co chodzi?

- Pojedziesz sam. Zatrzymasz się u *Tante* Lisi, ale w praktyce będziesz

mieszkał z Tessą w hotelowym apartamencie.

- W praktyce? Przecież w praktyce to ty będziesz tam z Tessą.
- Nie jestem w nastroju, w którym gotów byłbym znosić twoje cholerne

błazeństwa - warknął. Potem przypomniał sobie, że mam odegrać kluczową rolę w jego osobliwym scenariuszu, więc znów zrobił się spokojny i przyjazny. -

Zameldujesz się w hotelu, okay? - Zatrzymał się obok leżącej na podłodze skóry lwa i delikatnie kopnął głowę drapieznika czubkiem swego błyszczącego buta. Zawsze kochał zwierzęta.

- Jeśli chodzi ci tylko o zachowanie pozorów, to dlaczego nie zameldujesz się sam, pod przybranym nazwiskiem?

- Bo nie robię tego rodzaju rzeczy - odparł wyniośle.

- Albo nie poprosisz Wenera, żeby zarezerwował ci pokój u Lisi?

Przyglądałem się jego twarzy z zainteresowaniem. Myślę, że nawet sama Lisi nie dałaby swojemu hotelowi wysokiego miejsca na liście berlińskich zakładów, odpowiednich na spotkanie dla zakochanych.

- Jezu Chryste! Czy ty oszalałeś? - Dopiero teraz zauważyłem, jak bardzo jest zdenerwowany. Bał się, że recepcjonistka w jakimś dużym hotelu zażąda od niego dokumentów i że zostanie zdemaskowany nie tylko jako cudzołóżnik, lecz w dodatku jako nieudolny cudzołóżnik. Tessa z pewnością nie zrobiłaby w takiej sytuacji nic, żeby mu pomóc. Byłaby zachwycona i śledziłaby cały epizod z wielkim zainteresowaniem. - U Lisi - powtórzył. - Co za pomysł!

Znów zaczął obgryzać paznokcie. Nie powinienem być specjalnie zaskoczony tym aspektem jego osobowości. Dawno już odkryłem, że tacy kobieciarze jak Dicky często tracą pewność siebie i pomysłowość w obliczu drobnych problemów logistycznych, związanych z tego rodzaju eskapadami; takich jak rezerwacja hoteli, kupno biletów lotniczych czy wynajmowanie samochodów. Ludzie gotowi chwalić się swymi przygodami wszystkim członkom klubu posuwają się do absurdalnych kroków, aby oszukać konsjerżkę czy pokojówki hotelowe. Może dlatego właśnie to robią.

- No wiesz... - powiedziałem. - Nie chcesz chyba...

Przerwał mi. Nie zamierzał przyjąć do wiadomości mojej odmownej odpowiedzi. Dicky był mistrzem w nakłanianiu ludzi do właściwego reagowania na jego propozycje. Wiedziałem, że teraz nastąpi etap perswazji; potok truistycznych frazesów.

- Twoja szwagierka jest najbardziej niezwykłą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem, Bernard. Jest wspaniała.

- Owszem - przyznałem.

Dolał mi trochę kawy, nie pytając, czy mam na nią ochotę. I śmietanki.

- Oczywiście, twoja żona również - dodał. - Dwie naprawdę niezwykle kobiety; inteligentne, piękne i nieodparcie czarujące.

- Owszem - przyznałem.

- Niestety, Fiona wybrała złą drogę. Ale to może się zdarzyć każdemu. - Jak na Dicky'ego, był to dowód niezwyklej tolerancji wobec ludzkiej słabości. Być może, odczytał tę myśl z mojej twarzy, bo natychmiast dodał: - Albo prawie każdemu.

- Owszem, prawie każdemu.

- Daphne też jest zdumiewająca - oświadczył, wygłaszając tę pochwałę z wyraźnie mniejszym przekonaniem. - Twórcza, uzdolniona artystycznie.

- I pracowita - dodałem. Tego był jakby mniej pewien.

- Tak... chyba tak - powiedział.

- Daphne była w świetnej formie podczas tego przyjęcia, które wydaliście - stwierdziłem. - Czy podziękowałem ci za doskonałą kolację?

- Gloria przysłała kartkę.

- Ach tak? To dobrze.

- Żałuję tylko, że nie mogę jej zapewnić odpowiedniego poparcia i stosownej zachęty - mówił Dicky. - Ale ona żyje w innym świecie. - Spojrzał na mnie, a kiedy kiwnąłem głową, ciągnął dalej: - Wszyscy artyści są tacy; ludzie twórczy. Żyją w harmonii z naturą. Ale nie jest to łatwe dla otoczenia.

- Naprawdę? A jaką przybiera formę? To znaczy w przypadku Daphne?

- Jest naprawdę szczęśliwa tylko wtedy, kiedy maluje. Sama mi to powiedziała. Spędza całe godziny w pracowni. Zachęcam ją do tego, oczywiście. To najmniejsze, co mogę dla niej zrobić.

- Przekonasz się, że Tessa w ogóle nie potrzebuje czasu dla siebie - powiedziałem.

Dicky zaśmiał się nerwowo.

- Nie. Tessa jest podobnie jak ja stworzeniem towarzyskim.

- Czy mogę spytać, po co jedziesz do Berlina?

- Po co jedziemy do Berlina - poprawił mnie Dicky. - Będziesz musiał nam towarzyszyć, Bernard. Bez względu na to, jakie zastrzeżenia mogą w tobie budzić moje grzechy... Nie, nie - podniósł rękę, jakby chcąc odeprzeć moje obiekcje, choć nie otwarłem nawet ust. - Nie. Rozumiem twoje opory. Jestem najdalszy od tego, by namawiać kogokolwiek do robienia czegoś, co jest niezgodne z jego sumieniem. Wiesz, jak jestem wyczulony na takie sprawy.

- Nie powiedziałem, że jest to niezgodne z moim sumieniem.
- Ach!
- Nie jest to niezgodne z moim sumieniem; jest niezgodne z niemieckim kodeksem karnym. Stare niemieckie prawo, które głosi, że kazirodztwo jest przestępstwem, nadal ma zastosowanie w przypadku człowieka, który cudzołoży ze swoją szwagierką.

- Nigdy o tym nie słyszałem - powiedział Dicky, podejrzewając - i słusznie - że wymyśliłem tę historyczną klauzulę prawną na poczekaniu. - Czy jesteś pewien?

Odwrociłem się lekko w stronę stojącego na biurku telefonu i powiedziałem:

- Mogę poprosić kogoś z wydziału prawnego, żeby to sprawdził i dał ci znać.
- Nie - orzekł Dicky. - Nie rób tego na razie. Może zejść na dół i sprawdzę sam.

- Nadal nie wyjaśniłeś mi, dlaczego muszę jechać - powiedziałem.

- Do Berlina? Zostało postanowione, że ty, ja i Frank spotkamy się w B, żeby przejrzeć jakieś cholerne papiery, których domagają się Amerykanie.

- Czy nie można z tym zaczekać?
- Pisemne polecenie samego D-G. Nie wykręcisz się z tego, Bernard.
- A ty bierzesz z sobą Tessę?
- Tak. Ona ma premiowe bilety rozdawane przez linie lotnicze pasażerom, którzy przelecą w pierwszej klasie określoną liczbę kilometrów. Musi je wykorzystać.

- Więc nie będziesz musiał płacić za jej przelot?

- To zbyt dobra okazja, żeby ją zlekceważyć.

- Pewnie masz rację.

- Powinienem być chyba ożenić się z taką kobietą jak Tessa - stwierdził Dicky.

Zauważyłem, że nie chodzi mu o niezwykle przymioty samej Tessy, tylko o kogoś w jej rodzaju. Nie określił natomiast dokładnie, czy Daphne ustępuje jej pod

względem inteligencji, bogactwa, urody, szyku, wdzięku osobistego czy talentów seksualnych.

- Tessa jest już mężatką - powiedziałem.
- Nie bądź takim świętoszkiem, Bernard. Tessa jest dorosłą kobietą. Ma dość rozumu, by decydować o własnych sprawach.
- Kiedy jest to spotkanie?
- Frank ma zawsze trudności z określeniem dokładnego terminu. Będziemy musieli dostosować się do niego, kiedy znajdzie wolną chwilę między golfem, grą w brydża a spotkaniami z kolegami z wojska.
- Czy zarezerwowałeś hotel?

- O tej porze roku wszystkie są zatłoczone - odparł Dicky.

Wyczułem w jego głosie defensywny ton i wiedziony nagłym przeczuciem spytałem:

- Czy zarezerwowałeś go na moje nazwisko?

- Tak... - Przez chwilę był speszony, ale szybko odzyskał pewność siebie. -

Powiedziałem w recepcji, że nie jesteśmy jeszcze pewni, kto zamieszka w apartamencie. Oni myślą, że wszyscy jesteśmy przedstawicielami tej samej firmy.

Byłem cholernie zły, ale Dicky jak zwykle rozegrał tę partię w sposób finezyjny. Miał gotową odpowiedź na wszystkie moje ewentualne zastrzeżenia.

- Kiedy wyjeżdżamy? - spytałem.
- W piątek. Tessa chce koniecznie pójść na jakąś cholerną operę, którą grają tylko tego dnia. Pinky załatwia bilety. Mam nadzieję, że odbędziemy wstępną rozmowę z Frankiem i jego ludźmi w piątek po południu. Powinniśmy być gotowi w poniedziałek wieczorem. Najpóźniej we wtorek wieczorem.

Diabli wzięli mój weekend z Glorią i dziećmi - pomyślałem. Dicky zauważył wyraz mojej twarzy, bo powiedział:

- Dostaniesz wolne dni w zamian za stracony weekend.
- Tak, oczywiście - powiedziałem, choć nie przepadałem bynajmniej za tępieniem chwastów w ogrodzie i przyrządzaniem sobie lunchu, podczas gdy dzieci były w szkole, a Gloria ciężko pracowała w biurze.
- Robisz się ostatnio bardzo zgryźliwy - stwierdził Dicky, nalewając sobie resztę kawy. - Staraj się opanować; mówię ci to dla twojego własnego dobra.
- Jestem ci bardzo wdzięczny, Dicky.

- Nie rozumiem cię - z uporem drażył ten temat Dicky. - Ta cudowna dziewczyna najwyraźniej za tobą przepada, a ty ciągle chodzisz z ponurą miną? O co chodzi? Powiedz mi, Bernard, na czym polega problem? - Mimo pytającego trybu tych zdań Dicky dawał mi do zrozumienia - intonacją i sposobem mówienia - że nie oczekuje odpowiedzi.

Kiwnąłem potakująco głową. Dicky'emu najlepiej było potakiwać. Jak Japończycy, formułował swe pytania w taki sposób, jakby spodziewał się zawsze twierdzącej odpowiedzi.

- Ponure myśli nie zwrócą ci Fiony. Musisz wziąć się w garść, Bernard. - Uśmiechnął się do mnie zachęcająco.

Miałem ochotę mu powiedzieć, co myślę o nim i o jego planie, zmuszającym mnie do udziału w przyprawianiu rogów George'owi, ale on i tak nie rozumiałby motywów mojego gniewu. Kiwnąłem głową i wyszedłem.

Po wyjściu z biura pojechałem z Gloria w stronę domu, ale nie zmierzaliśmy wprost na Balaklava Road. Powiedziała, że chce odebrać jakieś części garderoby z domu swoich rodziców. W istocie obiecała im zaglądać tam i sprawdzać, czy nic się nie stało podczas ich pobytu na urlopie. Mieszkali w eleganckiej, nawiedzanej często przez włamywaczy, przedmiejskiej dzielnicy Epson, o kilka stacji za nami na tej samej linii kolejki Southern Railway.

Państwo Kent - zmienili bowiem nazwisko po ucieczce z Węgier - zajmowali neoelżbietański dom, wyposażony w cztery sypialnie, podwójne szyby oraz żwirowy podjazd, na którym mogli parkować obydwaj swoje samochody, zostawiając dość miejsca dla cysterny dostarczającej olej opałowy.

Tego wieczora podjazd był pusty; samochody stały w garażu. Państwo Kent spędzali dziesięciodniowy wypoczynek w swej letniej willi w Hiszpanii. Gloria musiała wykonać kilka skomplikowanych czynności mających na celu otwarcie drzwi i wyłączenie alarmów przeciwwłamaniowych w ciągu przepisowych sześćdziesięciu sekund. Potem weszliśmy do środka.

W domu unosił się słodkawy zapach jakiegoś fiołkowego pachnidła.

Gloria wyjaśniła mi, że sprzątaczką rodziców pojawia się co rano w ich domu i systematycznie czyści wszystkie dywany.

- Zrobię ci kawę - zaproponowała. Zgodziłem się. Z zainteresowaniem obserwowałem ją na terenie rodzinnego domu. Stała się inną osobą; nie była już nieśmiałym dzieckiem, pełnomocnikiem właściciela, więc zachowywała się trochę

jak pośrednik handlu nieruchomościami, prezentujący dom potencjalnemu nabywcy.

Usiedliśmy w kuchni. Była ona dziełem projektanta wnętrz; Marie Antoinette w swej najbardziej rustykalnej postaci. Siedzieliśmy na niewygodnych stołkach przy plastikowej ladzie w stylu Ludwika XVI i patrzyliśmy, jak kawa sączy się z ekspresu. Źródłem padającego z góry sinoniebieskiego światła były dwie długie świetlówki, które stale brzęczały.

Skorzystałem z okazji, by przyjrzeć się Glorii. Przez cały dzień była jak zwykle czuła i pogodna. Można by pomyśleć, że zapomniała o wczorajszym konflikcie. Ale nie zapomniała. Zawsze pamiętała wszystko. Była piękna; emanowały z niej energia i blask, będące przywilejami młodości. Nic dziwnego, że ludzie pokroju Dicky'ego zazdrościli mi. Gdyby zdawali sobie sprawę z tego, że Fiona ma niedługo wrócić, być może zazdrościliby mi jeszcze bardziej. Ale dla mnie był to uciążliwy dylemat. Nie mogłem patrzeć na Glorię, nie zastanawiając się, jak rozwiązę kryzys osobisty, wywołany powrotem Fiony. Koncepcja, w myśl której Fiona miała się ukrywać przez sześć miesięcy, utrudniała jeszcze bardziej jego rozwiązanie. Poza tym nie wiedziałem, co będzie z dziećmi.

Nagle dotarł do mnie głos Glorii.

- Chyba nie słyszałaś ani słowa z tego, co do ciebie mówiłam - powiedziała.
- Oczywiście, że słyszałem - odparłem i stosując przebiegły unik, dodałem szybko: - Czy mówiłem ci, z kim Dicky jedzie do Berlina?
- Nie. - Szeroko otworzyła oczy. Odrzuciła swe jasne włosy do tyłu i pochyliła się ku mnie tak, że poczułem ciepło jej ciała. Miała na sobie purpurową szmizjerkę, która na większości kobiet wyglądałaby okropnie. Ale Gloria nosiła takie jaskrawe, tanie stroje z dziewczęcym wdziękiem.
- Z Tessą.
- Twoją Tessą?
- Moją szwagierką. Tak.
- A więc Tessa znów zaczyna swoje numery. Myślałam, że ten romans z Dickim już dawno przebrzmiał.
- Tak. Mnie też to zaskoczyło.
- Nie ma w tym nic zaskakującego, kochanie. Tacy ludzie jak Tessa i Dicky mają swoje kaprysy.
- Ale Dicky otrzymał już ostrzeżenie.

- Ostrzeżenie, żeby nie zadawał się z Tessą? Od Daphne?
- Wzbudziło to obiekcje Departamentu. Potajemne spotkania z siostrą zbiegłego pracownika wywiadu mogą stanowić potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa.
- Jestem zaskoczona, że Dicky się tym przejął.
- Niesłusznie. Dicky może nosić śmieszne muszki i udawać studenta artystę, ale dokładnie wie, jak daleko może się posunąć. Kiedy rozlega się trąbka i zaczynają wręczać orderki, zawsze staje karnie w szeregu i salutuje.
- Chcesz powiedzieć: zawsze, ale nie w tym wypadku. Może się zakochał.
- Dicky? To niemożliwe.
- Więc może dostał oficjalne zezwolenie na sypianie z Tessą - zażartowała Gloria.
- Tak musiało być - przyznałem, nie zastanawiając się chwilowo nad słusznością jej domysłu. - Chyba nieodpartą pokusą było dla niego to, że nie musi płacić za jej bilet lotniczy.
- Cóż to za świnią. Biedna Daphne. - Nalała nam kawę i znalazła ukryty w poobijanej puszcze zapas czekoladowych herbatników.
- A w dodatku zarezerwował hotel na moje nazwisko. Co ty na to? Przyjęła to bardzo spokojnie.
- Dlaczego?
- Pewnie zamierza opowiedzieć Daphne jakąś historyjkę o mojej eskapadzie z Tessą.
- Przecież ty nie jedziesz z nimi, prawda?
- Niestety, muszę.
- Na weekend? - Kiwnąłem głową. - Zaprosiłam na sobotę państwa Pomeroy.
- Do diabła, co to za jedni?
- Rodzice przyjaciół Billy'ego. Dzieci były u nich wczoraj wieczorną na kolacji. Strasznie mili ludzie.
- Będziesz musiała ich przeprosić i przenieść wizytę na inny termin.
- Przepraszałam ich już dwa razy, bo musiałeś wyjechać.
- To osobiste polecenie D-G. Wiesz, co to oznacza. Nie mogę się w żaden

sposób wykręcić.

- W czasie weekendu?
- Lecę w piątek rano; wracam w poniedziałek lub wtorek. Sekretarka

Dicky'ego będzie wiedziała, co się tam dzieje.

- A w niedzielę Billy ma zebranie klubu miłośników samochodów.

Obiecałeś, że pójdziesz z nim.

- Kochanie, to nie ja wymyśliłem ten wyjazd.

Przez dłuższą chwilę piła kawę w milczeniu. Potem powiedziała:

• Wiem, że nie ty - jakby odpowiadając na jakieś inne pytanie, które tylko ona dosłyszała. - Ale mówiłeś mi, że Werner wydaje przyjęcie w tym swoim hotelu. Wiem, że chciałeś na nim być.

• To tylko jakiś raut promocyjny. Pojedziemy kiedy indziej. Oni tam stale wydają przyjęcia, a bez ciebie i tak nie czułbym się dobrze.

Kiedy skończyliśmy kawę, pokazała mi pokój, który zajmowała mieszkając z rodzicami. Zachowali go w nie zmienionym stanie, jakby co wieczór spodziewali się jej powrotu. Zabawki, misie, lalki, książki dla dzieci, podręczniki szkolne, plakat Beatlesów na ścianie. Świeżo wyprana pościel na łóżku. To ja zabrałem ją z domu rodziców i niekiedy miałem z tego powodu wyrzuty sumienia. I nawet nie ożeniłem się z nią. Jak czułbym się ja, gdyby kiedyś moja Sally zniknęła z żonatym mężczyzną w średnim wieku? Czasami zastanawiałem się, jak zniosę przymusową separację z dziećmi. Czy zachowam ich pokoje w nie zmienionej formie i zamienię je w świątynie, w których będę się modlił o powrót ich dzieciństwa spędzonego ze mną?

Wyglądając przez okno zwróciłem uwagę na płaski dach jakiejś przybudówki. Gloria dostrzegła moje spojrzenie i powiedziała:

- Płakałam, kiedy zepsuli mi widok na ogród. W tym miejscu rósł piękny kasztan, a obok rododendron.
- Po co był wam potrzebny dodatkowy metraż?
- Mieści się tam gabinet ojca i jego pracownia.
- Myślałem, że ma gabinet w mieście.
- W tym gabinecie przyjmuje specjalnych pacjentów. Nie wiedziałeś o tym?
- Skąd mogłem wiedzieć?
- Chcesz zobaczyć? Tu właśnie wykonuje zlecenia Departamentu.
- Jakie zlecenia?

- Chodź ze mną, to zobaczysz.

Wzięła pozostawiony przez jej ojca wielki pęk kluczy i zeszliśmy na dół do małego, schludnego gabinetu dentystycznego. Gloria otworzyła drzwi i zanim namacała wyłącznik jedynym źródłem światła była stojąca w kącie szklana gablota, w której rosły egzotyczne kwiaty, poddawane działaniu promieni ultrafioletowych. Gdy rozbłysła żarówka, ujrzałem zwykły gabinet dentystyczny, może z pozoru wyjątkowo zagracony sprzętem. Pod wielkim oknem stał nowoczesny, regulowany fotel, połączony ze skomplikowaną wiertarką. Była tam też duża ceramiczna spluwaczka, ruchoma lampa jarzeniowa i liczne oszklone gabloty, pełne ułożonych rzędami wiertel, kleszczy, pilników i innych groźnie wyglądających instrumentów.

Gloria chodziła po pokoju podając mi nazwy różnych urządzeń i wyjaśniając ich zastosowanie. Choć nie uległa życzeniu ojca i nie została dentystką, sporo wiedziała o stomatologii. Nazwała ten gabinet sanktuarium doktora Kenta.

- Kto przychodzi tu na zabiegi? - spytałem.

• Teraz pacjenci nie są już tak liczni, ale był okres, w którym tato spędzał tu więcej czasu niż w oficjalnym gabinecie. Przypominam sobie pewnego biednego polskiego chłopca, który siedział na fotelu co najmniej sześć godzin. Był tak wyczerpany, że tato zaprosił go do mieszkania, by posiedział z mamą i ze mną, i zapomniał o wszystkim, co przeszedł.

- Czy byli to agenci?

• Tak, oczywiście. Podczas studiów uniwersyteckich tatuś napisał pracę z zakresu historii europejskiej stomatologii. Potem zaczął zbierać stare narzędzia dentystyczne. Teraz potrafi zajrzeć do ust pacjenta i od razu wie, gdzie i kiedy dany człowiek leczył zęby. Popatrz na to - wzięła do ręki jakiś instrument, odznaczający się szczególnie barbarzyńskim wyglądem. - Jest to bardzo stare narzędzie... pochodzi z Rosji.

• Ja byłem w szczęśliwym położeniu - powiedziałem. - Moje zęby zawsze leczył berhński dentysta, a ja zawsze udawałem Niemca. Nie musiano mi zmieniać żadnych plomb ani koronek.

• Wiem, że mój ojciec potrafi całkowicie usunąć ślady dawnych zabiegów stomatologicznych i sprawić agentowi całkowicie nowe uzębienie: rosyjskie, polskie, greckie... Kiedyś posłużył się starą hiszpańską metodą leczenia, preparując zęby człowieka, który miał udawać weterana Wojny Domowej. Chodź i obejrzyj

pracownię.

Otworzyła zamek w drzwiach i weszła do *sąsiedniego* pokoju. Był jeszcze bardziej zagracony szafkami na akta i półkami, pełnymi narzędzi i urządzeń. Zauważyłem małą tokarnię, pionową wiertarkę, a nawet niewielki piec ceramiczny. Pod biurową lampą leżał jakiś pokryty sukniem przedmiot. Gloria uniosła kawałek materiału i wydając lekki okrzyk zaskoczenia, odsłoniła ludzką czaszkę.

- Biedny Yorick! - powiedziała. - Nie dotykajmy tego. To pewnie okaz wzorcowy, który zostanie sfotografowany i będzie reprodukowany w podręcznikach. Tato wykonuje repliki różnych uzębień leczonych tradycyjnymi metodami i wysyła je jako wzory do zakładów medycyny sądowej i ekspertów od sekcji zwłok na całym świecie. To musi być jakieś specjalne zlecenie, bo inaczej nie przykrywałby tej czaszki tak troskliwie.

Podszedłem bliżej, by spojrzeć na czaszkę. Lśniła lekko, jakby była wykonana ze sztucznego tworzywa. Dostrzegłem w niej złote zęby i porcelanowe koronki.

- Czy nigdy nie chciałaś zostać dentystką? - spytałem.
- Nigdy. A tato był zawsze na tyle tolerancyjny, że nigdy mnie do tego nie nakłaniał. Dopiero niedawno zdałam sobie sprawę, jak bardzo chciał, żebym zainteresowała się jego pracą i jego kolekcją. Czasami pomagają mu w pracy studenci. Kiedyś przyprowadził na kolację młodego, świeżo upieczonego dentystę. Zastanawiałam się często, czy miał nadzieję, że wyniknie z tego romans.

- Zamknijmy wszystko i jedźmy do domu - powiedziałem. - Może kupimy po drodze smażoną rybę z frytkami dla całej rodziny?

- Świetny pomysł.
- Przepraszam cię, jeżeli bywałem ostatnio opryskliwy, kochanie.
- Nie zauważyłam żadnej różnicy - odparła.

18

Wspominając później ten weekend w Berlinie, zawsze myślałem o nim jako o początku końca, ale nie wiem, na ile perspektywa czasowa zmniejszyła moją ostrość widzenia. W owym czasie wszystko wydawało się niezwykle jedynie z uwagi na pośpiech, z jakim organizowano kolejne spotkania. Nietypowe było też zachowanie Franka Harringtona. Zawsze traktował mnie jak opiekuńcza kwoka swoje pisklą, ale

tym razem był tak podniecony, że zadzwonił do mnie w środku nocy, a potem wyznał, iż zapomniał, co chciał mi powiedzieć.

Żadne z naszych spotkań nie miało zresztą decydującego znaczenia. Były to typowe konferencje Berlińskiej Jednostki Operacyjnej; prowadzący je Frank demonstrował swą niezrównaną dobroduszość, palił śmierdzącą fajkę i pozwalał sobie na przydługie dygresje poświęcone mnie, mojemu ojcu i dawnym czasom.

Dopiero podczas rozmowy z Frankiem, w niedzielę rano, zacząłem się domyślać, o co naprawdę chodzi. Dicky był nieobecny. Zostawił nam kartkę z wiadomością, że oprowadza Tessę po mieście, choć wszystko, co Dicky wiedział o Berlinie, można by zmieścić na główce od szpilki, a i tak zostałyby dość miejsca na Modlitwę Pańską.

Rozmawialiśmy więc z Frankiem w cztery oczy. Siedzieliśmy w gabinecie znajdującym się na terenie jego rezydencji w Grunewald. Miał tam sekretarkę i trochę ściśle tajnych akt, co dawało mu pretekst do spędzenia od czasu do czasu dnia w domu. Ach, ten niewiarygodny, niezapomniany gabinet! Choć nie potrafiłbym wymienić żadnego szczegółu jego wyposażenia pochodzącego z Azji, wyglądał jak gabinet zasłużonego brytyjskiego oficera odbywającego służbę w Indiach, bohatera walk z buntownikami, który powrócił właśnie z polowania na rącze antylopy i gepardy. Nie docierało do niego światło dzienne, gdyż okna zasłonięte były żaluzjami. Przyćmiony blask lamp wydobywał z mroku piękny wojskowy sekretarzyk ze wspaniałymi mosiężnymi okuciami, oprawione rogi nieokreślonych gatunków antylopy, wielką skórzaną kanapę i trzciniowe meble. Wszystkie sprzęty były wyblakłe, popękane i zniszczone, jakby przebywały od dłuższego czasu w tropikach. Nawet utrzymany w kolorze sepii portret monarchini został chyba wybrany ze względu na jej podobieństwo do młodej królowej Wiktorii. Pokój ten odzwierciedlał wszystkie tajemne tęsknoty Franka, które podobnie jak tajemne tęsknoty większości ludzi nie znajdowały oparcia w rzeczywistości.

Sam Frank ubrany był również w stylu paramilitarnym; beżowa koszula typu safari, beżowe spodnie, gładki brązowy krawat. Stukał w mapę swoim wiecznym piórem i zadawał mi pytania dotyczące spraw, którymi zazwyczaj zajmują się inne pionierzy.

- Co wiesz o punktach wylotowych autostrady z Berlina Wschodniego? - spytał.

Pokazał mi ścianę, na której wisiały dwie wielkie mapy. Znalazły się tutaj

stosunkowo niedawno i trochę psuły wystrój gabinetu, utrzymanego w stylu „wielkich dni perły korony brytyjskiej”. Jedną z nich była mapa Niemiec Wschodnich, a raczej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, bo taką Orwellową nazwę nadali temu państwu jego władcy. Nasze sektory Berlina, jak wyspy na morzu komunizmu, połączone były z Zachodem za pomocą trzech długich *Autobahnen*. Ponieważ korzystali z nich kierowcy tak ze Wschodu, jak i z Zachodu, były one ulubionym miejscem potajemnych spotkań. Przemytnicy, szpiedzy, dziennikarze i kochankowie aranżowali krótkie i niebezpieczne rendez-vous na poboczach autostrad. W rezultacie enerdowska milicja obserwowała owe drogi w dzień i w nocy.

Drugą mapą, którą Frank stuknął piórem, była planem Berlina. Obejmowała nie tylko sektory zachodnie, lecz całe miasto. Była zdumiewająco aktualna, dostrzegłem na niej bowiem planowane zmiany w rozlokowaniu punktów wylotowych autostrad, między innymi nie zbudowany jeszcze zjazd, który miał - w mglistej i odległej przyszłości - zapewnić Zachodowi nowy punkt kontrolny na południowym obrzeżu miasta. Podobno Niemcy ze Wschodu żądali za jego wybudowanie wielkich pieniędzy. Ale tylko za pieniądze można było ich do czegoś nakłonić.

- Nie używam ich - odparłem. - Od pewnego czasu zawsze latam samolotem.
- Szkoda. - Zerknął na plan miasta i pokazał mi czubkiem pióra stary Berliner Ring i trasę, którą przebywali berlińczycy ze Wschodu, wjeżdżając na *Autobahn* od swojej strony miasta.
- Obowiązuje nas generalna dyrektywa w sprawie korzystania z autostrady - przypomniałem mu delikatnie.

Istniała obawa, że pracownicy Departamentu, którzy mieli głowy pełne tajemnic, mogą być podczas przejazdu przez autostradę narażeni na porwanie. Nie była to obawa bezpodstawna. Całą szafę zajmowały akta nie wyjaśnionych przypadków kierowców, którzy wyruszyli w długą drogę do Republiki Federalnej i nigdy ich więcej nie widziano. Władze państw zachodnich nie były dopuszczane do udziału w śledztwie dotyczącym takich tajemniczych przypadków. Musieliśmy to znosić i robić dobrą minę do złej gry. W związku z tym ci, którzy mogli, korzystali z samolotów.

- Chciałbym, żebyś tym razem wrócił autostradą - powiedział Frank.
- Kiedy?

- Czekam na wiadomość w tej sprawie. - Stuknął cybuchem fajki w czubek swego nosa, chcąc mi zapewne dać w ten sposób do zrozumienia, że chodzi o sprawę poufną. - Ktoś przechodzi na tę stronę.

- Przez Checkpoint Charlie? - To oznaczałoby, że nie jest Niemcem.

- Nie. Zabierzesz ich z umówionego miejsca na autostradzie - odparł Frank.

Czekałem na wyjaśnienie lub dalsze szczegóły, ale nie doczekałem się. Frank wpatrywał się jeszcze przez chwilę w plan miasta, a potem spytał: - Czy słyszałeś kiedyś o Amerykaninie nazwiskiem Thurkettle?

- Tak - odparłem.

- Naprawdę? - O ile Frank nie pobierał od czasu naszego ostatniego spotkania lekcji gry aktorskiej, był szczerze i autentycznie zaskoczony tą wiadomością. Nie poinformowano go widocznie o mojej wyprawie do Salzburga. - Powiedz mi coś o nim.

Nie wchodząc w szczegóły zadania, które miałem wykonać w Salzburgu, scharakteryzowałem mu pokrótce postać Thurkettle'a.

- On tu jest - oznajmił Frank.

- Thurkettle? - Teraz ja z kolei byłem zaskoczony.

- Przyleciał wczoraj wieczorem. Poinformowałem o tym Londyn, ale otrzymałem tylko sygnał: „Potwierdzamy odbiór. Nie prowadzić dalszych działań”.

Zastanawiam się, czy oni wiedzą to wszystko, co mi powiedziałeś.

- Owszem.

Frank zmarszczył brwi.

- Obaj wiemy, że meldunki zostają czasem skierowane na boczny tor i zapomniane. Powinni przynajmniej pozwolić mi poinformować o tym Amerykanów i policję.

- Możesz ich poinformować nieoficjalnie.

- Ale w razie jakichś kłopotów może mi to zaszkodzić. - Frank zawsze potrafił znaleźć pretekst do zachowania bierności. - Jeśli Thurkettle ma tu wykonać jakieś zadanie dla Amerykanów, a Londyn został o tym poinformowany w normalnym trybie, to cóż?... - Wzruszył ramionami. - Mogą być niezadowoleni, kiedy się dowiedzą, że opowiadam o tym na prawo i lewo.

- Z drugiej strony - powiedziałem - jeśli Thurkettle przyjechał do Berlina po to, by zlikwidować jednego ze wspólników chłopców CIA, mogą uznać, że wysyłając

tylko jeden rutynowy sygnał do Londynu, zachowałeś przesadną powściągliwość.

- To sprawa poufna - stwierdził Frank. - Nie mogę ujawnić źródła, z którego otrzymałem tę informację. Jeśli Londyn lub tutejszy oddział CIA zażądają bliższych danych personalnych tego człowieka, będę narażony na jeden z tych okropnych sporów, których tak bardzo nienawidzę. - Spojrzał na mnie i kiwnął głową. - Jak myślisz, Bernard, po co ten facet tu przyjechał?

- Wygląda na to, że nikt nie wie na pewno, dla kogo pracuje Thurkettle. Przeważa opinia - o ile Joe Brody jest człowiekiem godnym zaufania - że Thurkettle to płatny morderca, gotów pracować dla każdego; dla każdego, kto wskaże mu odpowiedni cel i skłonny będzie zapłacić odpowiednią sumę pieniędzy. Brody mówi, że w ciągu ostatnich dwóch lat z jego usług korzystało KGB. Ale gdyby chciał się zobaczyć z naszymi przyjaciółmi z Normannenstrasse, wylądowałby na lotnisku w Schönefeld.

- Chcesz powiedzieć, że ma zlikwidować kogoś tutaj, na Zachodzie? - Frank zrobił zafrasowaną minę. - Nie mogę kazać go śledzić. Nie wiem, dokąd się udał, a nawet gdybym wiedział, to po prostu nie mam odpowiednich środków.

- Berlin Zachodni nie jest punktem przelotowym - przypomniałem mu. - Nikt nie zatrzymuje się tutaj po drodze; wszyscy, którzy przyjeżdżają, wracają z powrotem.

- Masz rację. Być może powinienem wysłać w tej sprawie monit do Londynu. - Zaciśniętą pięścią podwinął czubki wąsów. Nieuważny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że zdzielił się dwukrotnie w nos. Może obawiał się, że to właśnie spotka go z rąk Londynu, jeśli będzie nalegał.

- Poczekam z tym do końca weekendu, może jeszcze się odezwą.

Dobry, stary Frank; zawsze gotów powstrzymać się od jakiegokolwiek działania.

- Zatelefonuj do starego - zaproponowałem.

- Do D-G? On jest wściekły, kiedy dzwoni się do niego do domu. - Podrapał się w policzek. - Nie, na razie z tym poczekam. Ale jestem zaniepokojony tym, co mi powiedziałaś, Bernard.

Zdałem sobie sprawę, że mówiąc Frankowi o działalności Thurkett-le'a, postawiłem go w trudnej sytuacji. Przed rozmową ze mną mógł udawać, że nic nie wie o tym człowieku ani o zagrożeniu, jakie stanowi on dla stacjonującego w Berlinie

personelu państw sprzymierzonych. Zastanawiałem się, czy zaproponować mu, byśmy uznali całą tę rozmowę za niebyłą, ale Frank potrafił być czasem strasznym formalistą. Mimo przyjaźni, która sięgała wstecz do czasów mego dzieciństwa - a może właśnie z powodu tej przyjaźni - mógłby uważać taką propozycję za obraźliwą dla siebie i szkodliwą dla interesu państwa. Postanowiłem nie ryzykować.

- Nie mogę zrozumieć jeszcze jednej rzeczy, Frank - powiedziałem. Frank uniósł brew. - Posłałeś po mnie tego Teachera; chciałeś, żebym był obecny przy rozmowie Larry'ego Bowera z tym starym aparaczką. Dlaczego?

- Czy Larry ci tego nie wyjaśnił?

- Nie - odparłem. - Larry nie wyjaśnił mi niczego.

- Myślałem, że może tam być coś, co cię zainteresuje. Pamiętałem o tym, że kiedyś zajmowałeś się Stinnesem.

- Więc dlaczego po prostu nie pokazałeś mi protokołu?

- Protokołu przesłuchania? - Frank oblizał wargi i kiwnął z namysłem głową, jakbym przedstawił mu nowatorską i interesującą sugestię. - Owszem, mogliśmy to zrobić.

- Czy chciałbyś usłyszeć, co ja o tym myślę?

- Oczywiście, że tak - odparł Frank z tłumioną ironią, z jaką kochający ojciec spełnia prośbę nad wiek rozwiniętego syna. - Powiedz mi.

- Zastanawiałem się nad tym przez dłuższy czas. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego pozwoliłeś mi przyjrzeć się z bliska czynnemu agentowi. Było to sprzeczne z zasadami opisanymi w podręczniku służby operacyjnej.

- Nie zawsze stosuję się do zaleceń podręcznika - stwierdził Frank.

- Ty nie jesteś ani przekorny, ani przewrotny, Frank. To, co robisz, robisz w określonym celu.

- Co cię gryzie, Bernard?

- Nie zaprosiłeś mnie do tego punktu kontaktowego w Charlottenburgu po to, żebym był obecny podczas przesłuchania i przyjrzał się agentowi o imieniu Walery. Sprowadziłeś mnie tam po to, żeby Walery mógł zobaczyć mnie. I to z bliska!

- W jakim celu miałbym to zrobić, Bernard? - Frank znalazł na swym rękawie jakąś luźną nitkę, więc wyrwał ją i wrzucił do popielniczki.

- Żeby przekonać się, czy Walery zidentyfikuje mnie jako jednego z ludzi

zamieszanych w handel narkotykami.

- Jesteś przesadnie podejrzliwy - powiedział Frank łagodnie.
- W tym zawodzie nie można być przesadnie podejrzliwym. Uśmiechnął się.

Nie zaprzeczył słuszności moich domysłów.

- Potrzebujesz wypoczynku, Bernard.
- Masz rację - przyznałem. - A póki co, kiedy mam rozpocząć moją podróż

po autostradzie?

- Dopiero za kilka dni. Najwcześniej we wtorek. - Myślał może, że chętnie spędzę kilka dni włączając się po Berlinie, ale ja chciałem jak najszybciej wracać i musiał poznać to po wyrazie mojej twarzy. - Spróbuj dostrzec plusy tej sytuacji.

Będziesz mógł się dziś wieczorem zabawić na przyjęciu kostiumowym u Wenera.

Kiedy nie zareagowałem, dodał:

- Nie mam na to wpływu, Bernard. Musimy czekać na sygnał.
- Kiedy zostanę poinstruowany, co mam robić?
- Nie będzie żadnej odprawy. Staramy się robić wokół całej sprawy jak

najmniej szumu. Ale będzie ci towarzyszył Jeremy Teacher. Czeka na dole. Wezwę go tutaj, żeby cię wtajemniczył w swoje plany.

Podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i powiedział:

- Proszę przysłać na górę pana Teachera.

Nie byłem zachwycony koncepcją, w myśl której Teacher miał mnie wtajemniczać w swoje plany.

- Wyjaśnijmy sobie jedną kwestię, Frank - powiedziałem. - Czy tę sprawę prowadzi Teacher, czy mam to robić ja?

- Nie ma potrzeby wyznaczać szefa zespołu - odparł Frank. - Teacher jest łatwy we współpracy. A zadanie jest dosyć proste.

- Daruj sobie te gładkie frazesy, jakimi posługuje się Centrala Londyńska, Frank - oświadczyłem. - Jeśli mam przejąć obywatela NRD na terytorium NRD i przerzucić go na Zachód, jest to zadanie operacyjne. Czy Teacher kiedykolwiek pracował w Wydziale Operacyjnym?

- Nie - przyznał Frank. - I nigdy nie był agentem operacyjnym. Myślę, że o to ci w gruncie rzeczy chodzi.

- Masz rację, do cholery, że o to mi w gruncie rzeczy chodzi! Pojadę sam. Nie zamierzam niańczyć jakiegoś gryziopórka, który chce poznać brutalne aspekty

życia.

- Nie możesz wykonać tego sam. Będziesz miał pasażera. Ktoś musi prowadzić samochód. Kto wie, jakie niespodzianki mogą się wydarzyć po drodze? Nie możemy ryzykować.

- Teacher?
- To najlepszy człowiek, jakiego mam.
- Pozwól mi wziąć Wernera - zaproponowałem.
- Werner jest obywatelem niemieckim i można go zatrudniać jedynie w sprawach nie mających zasadniczego znaczenia - oznajmił pedantycznym tonem.
- A ten cholerny Teacher jest...

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Teacher. Utrata żony nie poprawiła bynajmniej jego aparycji. Wniósł z sobą do pokoju nastrój posępnego przygnębienia. Uśmiech, do którego zmusił się przy powitaniu, był gorzki, i choć uściśnął mi dłoń mocno i zdecydowanie, wyczułem w tym geście pewną nerwowość. Może usłyszał, co mówiłem przed jego przybyciem.

- Powiedz Bernardowi, co załatwiłeś - polecił mu Frank.
- Furgonetka marki Volkswagen. Dyplomatyczne tablice rejestracyjne.

Spotkamy się z drugim samochodem na przydrożnym parkingu, niedaleko wylotu na Brandenburg. Powinno pójść gładko. Oni nie zatrzymują furgonetek dyplomatycznych.

- Bernard pyta, kiedy ruszacie.
- Czekam na dyplomatyczne paszporty dla wszystkich trzech osób. Myślę, że możemy je dostać dopiero wtedy, kiedy skończy się weekend.
- Oczywiście - powiedziałem. - Nie psujmy nikomu weekendu. Teacher spojrział na mnie; potem przeniósł wzrok na Franka.
- Czy masz broń, Bernard? - spytał Frank.
- Nie.
- Jeremy będzie miał ze sobą pistolet strzelający niemetalowymi nabojami - oznajmił Frank z nie ukrywanym niesmakiem. Jego nienawiść do broni palnej była sprzeczna z romantycznym stosunkiem do armii.
- To świetnie - powiedziałem. Teacher udawał, że mnie nie zauważa.
- Nie dojdzie do żadnej strzelaniny - stwierdził Frank. - To proste i nieskomplikowane zadanie. W gruncie rzeczy przejażdżka po autostradzie.

Nie skomentowałem jego słów, a Teacher też się nie odezwał. Skoro to zadanie jest takie łatwe - myślałem - to dlaczego, do cholery, Frank nie podejmie się go sam?

- Ale jest jeszcze jedna sprawa... rozmawiałem już o tym z Jere-mym. - Pauza ujawniła, że Frank ma trudności; być może dlatego zwlekał z tą sprawą do końca rozmowy. - Ten agent nie może zostać aresztowany na terenie NRD.

Rozumiesz?

- Nie - odparłem. - Nie rozumiem. Mówiliście, że jedziemy dyplomatycznym samochodem.

- To nie daje stuprocentowej pewności, Bernard. Pamiętasz tego biednego małego Fischbeina. Wywlekli go z tego auta na środku Alexanderplatz.

- Otrzymałem odpowiednie instrukcje - powiedział Teacher.

Ale ja nie zamierzałem mu pozwolić na wyciągnięcie Franka z kłopotliwej sytuacji.

- Więc zechciej poinstruować również mnie, Frank.

- Gdyby doszło do najgorszego, Bernard... należy... wyeliminować tego agenta.

- Zabić go?

- Tak, zabić. - Frank znów spojrział na mapę, jakby szukając czegoś na niej, ale ja wiedziałem, że chce uniknąć mojego wzroku. - Po to właśnie Jeremy ma z sobą pistolet.

- Biedny agent - powiedziałem.

- Wszyscy zainteresowani zdają sobie sprawę z ryzyka - sztywno oznajmił Frank. - Z agentem włącznie.

Odwrócił się i spojrział na mnie. Jego krótko przystrzyżone włosy były już zupełnie siwe. Frank był za stary, żeby mieć do czynienia ze sprawami pozostającymi w gestii Wydziału Operacyjnego. Zbyt stary, zbyt delikatny, zbyt znużony, zbyt poczciwy. Napięcie, na jakie był narażony, odbijało się na jego twarzy.

- Wszystko będzie dobrze, sir - usłużnie dodał mu otuchy Teacher. - Zrobimy to, co będzie konieczne.

Teacher też miał pobrużdżoną twarz, ale nie był ani stary, ani znużony. Dopiero teraz zauważyłem, że w gruncie rzeczy jest twardym małym draniem. Słusznie wybrali właśnie jego do wykonania tego zadania.

Frank zdawał się nie słyszeć Teachera. Zachowywał się tak, jakbyśmy byli w pokoju tylko we dwóch, on i ja.

- Okay, Bernard? - spytał cicho. Spojrzałem mu w oczy i w tym momencie byłem już zupełnie pewny, że osobą, którą mamy zabrać z autostrady, jest Fiona. I że to ona zdaje sobie sprawę, co być może trzeba będzie zrobić, aby nie dopuścić do jej przesłuchania przez zawodowych oprawców z Normannenstrasse. A Teacher jechał ze mną na wypadek, gdybym ja się zawahał, kiedy trzeba będzie pociągnąć za spust.

- Okay, Frank - odparłem.

W niedzielę wieczorem odbywało się u Lisi wielkie przyjęcie. Drukowane zaproszenia informowały, że odbywa się ono z okazji otwarcia przebudowanego hotelu. Pod tym pretekstem Werner zapewnił sobie poparcie licznych dostawców, więc na zaproszeniach, serwetkach papierowych i w innych widocznych miejscach umieszczono znaki firmowe browarów i gorzelni.

Ponieważ zbliżało się lato i dni były coraz dłuższe, Werner zamierzał urządzić to przyjęcie w wielkim namiocie, specjalnie rozpiętym na dziedzińcu za hotelem. Ale przez całe popołudnie niebo robiło się coraz ciemniejsze, a wieczorem z nisko zawieszonych chmur lunęły potoki deszczu. Tylko najbardziej nieustraszeni goście wchodzili do zimnego namiotu, więc postanowiono przenieść inaugurację do hotelowych wnętrz.

Nie było to jednak tylko oficjalne, ponowne otwarcie odnowionego hotelu. Obecność Franka, który również zjawił się tego wieczora u Lisi, przekonała mnie, że odczuwa on to samo co ja. Frank dożył już wieku emerytalnego i miał niedługo odejść. Myśląc o tym później

doszedłem do wniosku, że uważał on ten wieczór za swój galowy finał. Frank nigdy nie podzielał mojej sympatii dla Lisi i choć wszystkie dowody świadczyły o tym, że się myli, nadal uparcie zwał na Wenera winę za dawne, związane z aferą Baader-Meinhof fiasko, za które on sam był w swoim czasie krytykowany. Ale nawet Frank wiedział, że hotel Lisi jest jedynym miejscem w Berlinie, w którym może się odbyć tego rodzaju uroczystość, a pogodziwszy się z tą myślą, starał się być ożywiony i czarujący. Miał nawet na sobie kostium; był przebrany za księcia Wellington!

- To koniec pewnej epoki - powiedziała Lisi. Siedzieliśmy w jej małym gabinecie. Teraz, kiedy chodzenie sprawiało jej ból, spędzała w nim większą część życia. Tu jadała śniadania, grała w brydża, sprawdzała księgi rachunkowe i

częstowała ulubionych klientów kieliszkiem sherry, kiedy zjawiali się, by zapłacić za pobyt. Na ścianie wisiał portret kajzera Wilhelma, obudowę kominka zdobił ohydny zegar z połączanego brązu, a wokół stołu, przy którym jadała śniadanie, stały cztery weneckie rzeźbione krzesła; tyle tylko pozostało z wytwornej jadalni jej rodziców.

Teraz nie siadała już nigdy na swych ukochanych krzesłach; poruszała się na funkcjonalnym metalowym fotelu inwalidzkim, którym manewrowała z taką szybkością, że Werner zainstalował na nim miniaturowy klakson z gumową gruszką.

Przez szczelnie zamknięte drzwi wdzierały się odgłosy przyjęcia. Nie wiem, kto wpadł na pomysł, żeby wykorzystać stary nakręcany gramofon Lisi i jej kolekcję antycznych, 78-obrotowych płyt, ale uznane to zostało za szczyt elegancji, więc Marlena śpiewała chyba już po raz piętnasty z rzędu „Falling in Love Again” przy akompaniamencie rozstrojonego knajpianego fortepianu. Werner ostrzegał, że gramofon będzie grał zbyt cicho, ale nie grał zbyt cicho.

Nawet Lisi szukała schronienia przed entuzjastycznym rozbawieniem, jakie przynoszą z sobą berlińczycy przychodzący na przyjęcia. Na podłodze stała bardzo stara walizka, należąca niegdyś do mojego ojca. Była otwarta. Pochodziła z czasów, w których tego rodzaju wyrobów nie znakowano jeszcze nazwiskami projektantów, lecz produkowano je solidnie. Była wykonana z jasnozielonego brezentu i miała skórzaną rączkę, skórzane narożniki i skórzane obszycia oraz podszewkę z drukowanego perkalu. Leżały w niej papiery ojca: rachunki, rozliczenia, wycinki z gazet, dwa kalendarze kieszonkowe, a także jedwabny szalik i brytyjski mundur wojskowy, który tak rzadko nosił. Przeszukiwałem zawartość walizki, a Lisi siedziała na swym fotelu, popijając sherry i przyglądając mi się uważnie.

- Jest tam nawet jego rewolwer - powiedziała. - Obchodź się z nim ostrożnie, Bernd. Nienawidzę broni palnej.
- Zauważyłem - odparłem. Wyjąłem broń ze skórzanej kabury. Był to gigantyczny rewolwer, który ważył około dwóch i pół funta. Armia brytyjska zmuszała swych oficerów do dźwigania tego rodzaju broni od czasów pierwszej wojny światowej. Był wykonany z niebieskawej stali i świetnie utrzymany. Podejrzywałem, że mój ojciec nigdy z niego nie wystrzelił. Znalazłem też pudełko amunicji. Niklowe łuski i pociski o średnicy 0,455 cala, „do użytku służbowego”. Etykieta nosiła datę: 1943, a plomba na pudełku była nienaruszona.
- To wszystko. Klara dopilnowała, żeby wszystkie rzeczy twojego ojca spakowano do jego walizki. A więc to jest wszystko, z wyjątkiem stołeczka pod nogi,

materaca i dzieł zebranych Dickensa.

- Dziękuję, Lisi,
- Koniec pewnej epoki - powtórzyła ze smutkiem. - Werner przejmuje hotel.

Zmienia wystrój pokoi. Ty odbierasz rzeczy swojego ojca. Jestem tu teraz człowiekiem obcym; obcym we własnym domu.

- Nie bądź niemądra, Lisi. Werner cię kocha. Zrobił to wszystko wyłącznie dla ciebie.

- To dobry chłopiec - powiedziała ze smutkiem. Nie odmawiała mu swej sympatii, ale niechętnie rezygnowała z roli osoby pokrzywdzonej, którą tak lubiła grać.

Hałas dochodzący z innych pokoi wzmógł się nagle; Werner wszedł do pokoju i szybko zamknął za sobą drzwi. Był przebrany za rycerza w pełnej zbroi, która została pomysłowo uszyta z materiału haftowanego złotymi i srebrnymi nitkami, imitującymi trawione wzory i złocenia metalu. Wyglądał wspaniale; nawet Lisi była tego zdania. Ona też zresztą prezentowała się malowniczo w długiej jedwabnej sukni, która była kopią szaty trzynastowiecznej szlachcianki, wykonaną na podstawie witraży katedry w Augsburgu. Tak przynajmniej głosiła ulotka wydrukowana przez firmę, z której ją wypożyczono. Do sukni dołączono ozdobny diadem oraz lekki, lecz obszerny płaszcz. Bez względu na to, czy szata była wierną kopią oryginału, Lisi wyglądała w niej bardzo malowniczo, zwłaszcza na tle Wenera, a jej fotel przypominał ozdobny tron. W pierwszej chwili myślałem, że Werner wybrał ich kostiumy z myślą o wcieleniu się w rolę jej syna, ale on wyznał mi później, że była to jedyna tak obszerna, a w dodatku purpurowa suknia, jaką udało mu się znaleźć. Lisi uwielbiała jaskrawe kolory.

- To szaleństwo, co się tam wyprawia - powiedział Werner, zatrzymując się pod drzwiami i łapiąc oddech. Jego twarz była zaróżowiona z podniecenia i wyczerpania. - Przyniosłem wam jeszcze trochę szampana. - Nalał go nam z trzymanej w ręku butelki. - To po prostu okropne.

- Sądząc po hałasie, istotnie jest tam okropnie - powiedziałem, choć byłem już przyzwyczajony do tego, że Werner organizuje tego rodzaju szaleńcze kostiumowe przyjęcia, a potem przez cały wieczór chodzi od jednego gościa do drugiego, tłumacząc wszystkim, że nienawidzi takich imprez.

- Żałuję, że nie włożyłeś swego kostiumu - powiedział patrząc na mnie z

uwagą. Wybrał dla mnie zdumiewający dziewiętnastowieczny strój „biedermeierowskiego gentlemana” (jak głosiła etykieta umieszczona na pudełku). Dołączono do niego surdut i cylinder. Podejrzywałem, że Werner oglądałby mnie w nim ze złośliwą satysfakcją, której nie miałem zamiaru mu sprawiać.

- W tym czuję się równie dobrze - odparłem. Miałem na sobie znoszone szare ubranie, a jedynym ustępstwem, jakie zrobiłem z myślą o przyjęciu, było włożenie jednej z najbardziej barwnych muszek Wenera.

- Jesteś tak cholernie angielski - powiedział bez złośliwości.

- Czasem jestem - przyznałem.

- Musi tam być ze sto pięćdziesiąt osób - oznajmił. - Połowa weszła bez zaproszenia. Wiadomość o przyjęciu musiała się rozejść, bo wszyscy są w kostiumach.

W typowy dla siebie sposób był wyraźnie dumny z tego, że tak wiele ludzi chciało wejść bez zaproszenia na jego przyjęcie.

- Czy chcesz, żeby Księżna ci powróżyła, Lisi?

- Nie.

- Mówią, że jest czarownicą - stwierdził takim tonem, jakby była to rekomendacja.

- Nie chcę znać przyszłości - odparła Lisi. - Kiedy człowiek jest w moim wieku, przyszłość niesie z sobą tylko rozczarowania i ból.

- Przestań użalać się nad sobą, Lisi - powiedział Werner, który pozwalał sobie z nią na znacznie więcej niż ja. - Zamierzam przedstawić ci niektórych gości.

- Idź sobie stąd! - rozkazała Lisi. - Rozmawiam teraz z Bernardem.

Werner spojrzał na mnie i uśmiechnął się z lekka.

- Zajrzę tu jeszcze - obiecał i wrócił na przyjęcie, które z każdą minutą robiło się coraz bardziej hałaśliwe. Zatrzymał się w otwartych drzwiach na tyle długo, że zdążyłem zobaczyć zatłoczony parkiet. Stał na nim rozszalały tłum pomysłowo przebranych tancerzy. - Niemcy traktują bale kostiumowe równie poważnie jak wszystkie inne formy życia towarzyskiego, od wizyt w operze do zbiorowych pijatyk - którzy machali rękami mniej lub więcej w rytm muzyki. W uśmiechniętym tanecznym korowodzie dostrzegłem kabaretową tancerkę w sukni wyszywanej cekinami, rzymskiego senatora, Old Shatterhanda i dwie indiańskie squaw. Jeremy Teacher, przebrany za eleganckiego, szczupłego, kędzierzawego goryla, tańczył z

Tessa, która miała na sobie długą, przezroczystą, żółtą suknię. Nad jej głową huśtała się antena. Teacher przytulał ją do siebie i coś mówił; Tessa miała szeroko otwarte oczy i potakiwała energicznymi ruchami głowy. Ta konfiguracja towarzyska wydała mi się dość mało prawdopodobna. Werner zamknął drzwi.

- O której oni wszyscy sobie pójdą? - spytała Lisi.
- To nie potrwa bardzo długo - obiecałem, wiedząc dobrze, że przyjęcie z pewnością potrwa bardzo długo.

- Nienawidzę przyjęć.
- Wiem - odparłem, choć widać było, że już postanowiła przyłączyć się do gości. Lubiła, kiedy ktoś pchał jej fotel. Zwiększało to jej poczucie dostojności. Gotów byłem to robić, choć wiedziałem, że znajdzie jakiś sposób, żeby przy okazji zrobić ze mnie durnia.

- Chodźmy, Lisi - powiedziałem, zamykając walizkę. - Zobaczmy, co się tam dzieje.

- Czy to konieczne? - spytała, spoglądając już w lusterko, by skontrolować swój makijaż. W tym momencie drzwi otworzyły się ponownie i stanął w nich jakiś niski, uśmiechnięty mężczyzna.

W pierwszej chwili myślałem, że ma na sobie wymyślny kostium, wymagający uczernionej twarzy. Potem poznałem go; był to Johny Tamil. Zmienił się od czasu naszego ostatniego spotkania; nosił teraz okulary w złotej oprawce.

- To cudownie! - powiedział ze śmiechem. - To cudownie!

Sądziłem, że ma na myśli przyjęcie, ale on zdawał się w ogóle nie zwracać na nie uwagi. Może był odurzony narkotykami.

- To cudownie, że cię znalazłem, Bernard. Szukałem cię po całym mieście.

- Słyszałem, że cię zamknęli - powiedziałem.

Spojrzał na mnie sponad okularów.

- Miałem szczęście. Odbywała się akurat jakaś demonstracja przeciwko pociskom „Cruise”. Aresztowali trzysta osób. Potrzebowali miejsca w celach. Wyrzucili mnie.

Jego niemczyzna nie poprawiła się, ale przywykłem już do tego akcentu.

- Przyniosę ci drinka - zaproponowałem. Za jego plecami dojrzałem przez otwarte drzwi księcia Wellington, przytulającego mocno jakąś piękną gejszę. W pierwszej chwili wziąłem ją za Daphne Cruyer, ale kiedy odwróciła głowę i posłała

Frankowi promienny uśmiech, przekonałem się, że to nie ona.

- Nie. Muszę już iść. Przyniosłem to dla ciebie. - Wręczył mi dużą pomietą kopertę. Otworzyłem ją. Było w niej plastikowe pudełko, przypominające trochę miniaturowe radio.

- To własność Spenglera... - wyjaśnił Johny. - Jego komputer do gry w szachy. Chciał, żeby należał do ciebie.

- Dzięki.

- Zawsze mówił, że gdyby mu się coś wydarzyło, ja mogę wziąć sobie jego okulary, a ty ten komputer. To wszystko, co miał - dodał niepotrzebnie Johny. - Jego paszport zabrali policjanci.

- Chciał dać go mnie? Czy jesteś pewien?

- Jestem. Spengler cię lubił. Włożyłem do niego nowe baterie.

- Dziękuję, Johny. Czy te okulary są dla ciebie odpowiednie? - Wyglądał w nich zupełnie inaczej.J

- Nie. Widzę wszystko jak przez mgłę. Ale są stylowe.

- Tak, to prawda. To jest *Tante Lisi*. Czy chcesz drinka?

- Dobry wieczór, *Tante Lisi*. - Wyraźnie nie mógł uwierzyć, że Lisi jest naprawdę moją ciotką, ale nie kwestionował tej informacji. - Nie. Naprawdę muszę już iść, Bernard.

- Czy odkryli, kto zabił Spenglera? - spytałem.

- Nie dowiedzieli się nawet, jak brzmiało jego prawdziwe nazwisko ani skąd pochodził. Nikt nie przejmuje się jego osobą; tylko my dwaj.

Machnął ręką na pożegnanie i zniknął. Lisi nie podjęła próby nawiązania do naszej rozmowy.

- Musisz uważać, z kim się zadajesz w tym mieście - powiedziała. - To nie jest Londyn.

Lisi, która, o ile się orientowałem, nigdy nie była w Londynie, mówiła mi to od chwili, gdy jako sześciolatek chłopiec przyprowadziłem do domu Axela Mausera, by pokazać mu swą kolekcję hitlerowskich medali.

Johny wyszedł tak szybko, że zapomniałem o wręczeniu mu jakiejś drobnej sumy. Ludziom jego pokroju zawsze przydaje się kilka marek. Nie miałem pojęcia, ile czasu i wysiłku kosztowało go trafienie na mój ślad. Ukradł nawet dla mnie nowe baterie, i to najlepsze, o przedłużonej trwałości. Przymuszczałem, że ukradł je w domu

towarowym „Wertheim”. Lubił tam kraść; mówił, że mają towar najwyższej jakości.

Tym razem Werner obwoził Lisi po pokojach, ona zaś kłaniała się z wdziękiem, wyciągała dłoń do ucałowania lub pozdrowiała gości królewskim gestem, w zależności od stopnia sympatii, jaką darzyła spotykane osoby.

Zaniosłem walizkę mego ojca do piwnicy i siedziałem tam nad nią przez chwilę. Zdawałem sobie sprawę, że ukrywając się tu przed przyjęciem Wenera, postępuję absurdalnie; wiedziałem też dobrze, jak wyszydzi mnie gospodarz, jeśli mnie tu znajdzie.

Ale nie miałem ochoty przebywać na górze w towarzystwie stu pięćdziesięciu rozbawionych, przebranych nie do poznania i w większości obcych mi osób. Nie miałem ochoty obchodzić uroczyste końca czegoś, czego wcale nie chciałem żegnać.

Usiadłem w małej komórcie obok kotłowni, w której zwykle odrabiałem lekcje za czasów mego dzieciństwa. Zawsze było tu jasne światło i zawsze leżał stos starych gazet i czasopism. Czytając je zamiast odrabiać zadania nauczyłem się niemieckiego tak dobrze, że często pisałem lepsze wypracowania i sprawniej rozwiązywałem testy językowe niż moi niemieccy koledzy.

Teraz było tak samo. Wziąłem z wierzchołka wielkiego stosu jakąś gazetę i usiadłem na ławce, by ją przeczytać. Był w niej artykuł o odkryciu gazu porażającego, zakopanego na terenie Spandau. Ukryto go tam w okresie drugiej wojny światowej.

- Bernard, kochanie! Co ty tu robisz? Czy źle się czujesz?
- Nie, Tessa. Chciałem po prostu uciec na chwilę od tego wszystkiego.
- Naprawdę jesteś nieznośny, Bernard! Nieznośny. Nieznośny - powtarzała

w kółko, jakby sprawiało jej to przyjemność. Miała rozszerzone i wilgotne oczy. Zdałem sobie sprawę, że jest odurzona. Nie pijana; musiała przyjąć dawkę czegoś mocniejszego niż alkohol.

- Naprawdę nieznośny - powtórzyła raz jeszcze. Wyciągnęła rękę. Materiał, z którego uszyto jej niemal przezroczystą żółtą suknię, przyczepiony był do przegubów rąk, więc wyciągając rękę stawała się motylem. Stojąc w jasnym świetle lampy, rzucała na białą ścianę migoczący cień.

- O co chodzi, Tessa?
- Szuka cię twój przyjaciel, Jeremy. - Obróciła się w kółko, by raz jeszcze zobaczyć swe wirujące odbicie na ścianie.

- Kto to jest Jeremy?
- Powinieneś spytać: jaki Jeremy, kochanie! - Zaśmiała się piskliwie z

własnego żartu. - Jeremy, czyli obłaskawiona małpa! Czy nie znasz wierszyka: *Przypomina małpę, bo im wyżej się wspina, tym bardziej pokazuje tyłek.* Francis Bacon. Myślisz, że jestem rozwydrzoną idiotką, ale ja chodziłam do szkoły i potrafię cytować Francisca Bacona równie dobrze, jak najlepsi spośród was.

- Oczywiście, że potrafisz, Tessa. Ale chyba sama unosisz się już dość wysoko.
- I pokazuję swój tyłek? Czy to chcesz mi powiedzieć, ty arogancki draniu?
- Nie, Tessa, oczywiście, że nie. Ale może należałoby cię odwieźć do hotelu.

Gdzie jest Dicky?

- Czy ty mnie słuchasz, Bernard? Jeremy-małpa szuka cię wszędzie rozpaczliwie. Jest bliski szału. Chyba dostaje małpiego rozumu! - Zaśmiała się ponownie, cicho, ale bardziej przenikliwie, niemal histerycznie. - Nadszedł sygnał i musicie ruszać.

- Czy tak powiedział Jeremy-małpa?
- Nadszedł sygnał i musicie jechać.
- Tessa! - Potrząsnąłem nią mocno. - Posłuchaj mnie, Tessa. Opanuj się.

Gdzie jest teraz Jeremy?

- Próbował włożyć na siebie jeden z trzyczęściowych garniturów Wenera, niebieski w białe prążki, ale Werner się wściekł i powiedział, że nie pożyczy mu żadnych części garderoby. Obaj wrzeszczeli na siebie. Werner go nie lubi. - Uśmiechnęła się. - Zresztą ubrania Wenera są na niego za duże.

- Gdzie jest teraz Jeremy? - powtórzyłem powoli.
- Nie pojedziecie beze mnie. Samochód jest tutaj. Furgonetka. Ford. Piękny niebieski odcień. Dyplomatyczne tablice rejestracyjne. Stoi pod domem, na deszczu. Jeremy będzie go prowadził. Małpy są dobrymi kierowcami. Mój ojciec przez wiele lat zatrudniał małpizona jako szofera. Ale on zaczął domagać się dodatkowych bananów. Małpy potrafią być piekielnie męczące. Czy mówiłam ci o tym?

Kiedy wyszedłem przed dom, z nieba lały się potoki deszczu, hałaśliwie uderzając o jezdnię i bębniąc o dach furgonetki marki Ford. Jeremy Teacher, nadal przebrany za goryla, siedział za kierownicą. Był kompletnie przemoczony. Spytałem go, co się dzieje, podnosząc głos, by przekrzyczeć szum deszczu i huk grzmotów.

- Wsiadaj - powiedział.
- Co się dzieje? - spytałem chyba już po raz czwarty.
- A co się z tobą dzieje, do jasnej cholery? - odparł z wściekłością. -

Dostałem ten przeklęty sygnał już trzy i pół godziny temu!

- Mówiłeś, że będziesz miał furgonetkę marki Volkswagen.

Spojrzał na mnie z nienawiścią.

• Nie mam przy sobie paszportu - oznajmiłem, myśląc gorączkowo o wszystkich innych rzeczach, których nie mam przy sobie.

• Wsiadaj! Mam tu nasze paszporty.

Perspektywa przejeżdżania przez graniczne punkty kontrolne w stroju goryla wprawiała go najwyraźniej w fatalny humor.

W tym momencie dostrzegłem tańczącą w potokach deszczu Tessę. Była przemoczona, ale chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, że w cienkiej sukni, przylegającej ściśle do ciała, wygląda nader interesująco.

Widok Tessy, tańczącej wokół forda transit i goryla, który grzał silnik wozu, kłócąc się równocześnie z normalnie ubranym mężczyzną, być może swoim treserem, ściągnął na ulicę innych uczestników balu. Przebrani w kostiumy, tworzyli malowniczą grupę i choć niektórzy z nich mieli parasole, inni traktowali padający deszcz z taką samą obojętnością jak Tessa.

Wyszedł też Werner, uginając się pod ciężarem walizki mego ojca. Otworzył tylne drzwi i właśnie ładował ją do samochodu, kiedy Tessa, odepchnąwszy go na bok, wskoczyła do wnętrza furgonetki, zatraskując drzwi z takim hukiem, że metalowa karoseria zadygotała głośno.

- Jedziemy! - wrzasnął Teacher.

- Tessa jest z tyłu - oznajmiłem. Obejrzał się i krzyknął:
- Wsiadaj, Tessa!
- Jadę z wami - odparła.

- Nie bądź głupia. Nie masz paszportu - powiedział Teacher z chłodną uprzejmością, która w tych okolicznościach była godna pochwały.

• Ależ mam! - zawołała triumfalnie. Wyciągnęła go nie wiem skąd i podsunęła mu pod nos. - Dicky kazał mi nosić go stale przy sobie.

• Wsiadaj, ty głupia dziwko! - Zwiększył obroty silnika, jakby mając nadzieję, że ją w ten sposób przekona, ale nic z tego nie wyszło. Potwierdził tylko

moje podejrzenia, że mamy jakieś kłopoty z zapłonem. Zacząłem wątpić, czy z tym silnikiem dotrzemy do celu podróży.

- Nie wysiądę. Nie wysiądę.
- Na miłość boską, wyciągnij ją z tego samochodu! - wrzasnął na mnie

Teacher.

• Za kogo ty się uważasz? - spytałem. - Sam ją wyciągnij! - Zauważyłem, że Tessa wpadła w typowy dla niej buntowniczy nastrój i chciałem, żeby nieustraszony pan Teacher pokazał, za co pobiera wynagrodzenie.

Spojrzał na zegarek.

• Musimy już jechać - powiedział. Klnąc głośno otworzył swoje drzwi i wysiadł, ale gdy strugi deszczu zaczęły wsiąkać w jego włochaty kostium, zmienił zdanie i na nowo usiadł za kierownicą.

- Posłuchaj, Tessa. My musimy jechać.
- Jadę z wami.

• Do cholery, nigdzie nie jedziesz! - oznajmił Teacher. Nastawił ogrzewanie na maksimum. Musiało mu być chłodno w przemoczonym kostiumie.

Nagle pojawił się Dicky. Był przebrany za Arlekina; miał starannie umalowaną twarz, kraciasty kostium i imponujący kapelusz, jaki w Niemczech nosi się z reguły podczas *Fasching*. Dostrzegł Tessę i lojalnie powiadomił nas, że siedzi w tylnej części furgonetki. Teacher westchnął głęboko, z wyraźną wściekłością.

- Więc ją stamtąd wyciągnij - powiedział, porzucając swą zwykłą, pełną szacunku postawę wobec przełożonych.

W tym momencie wokół furgonetki kręciło się już chyba kilkadziesiąt gości, poprzebieranych w dziwaczne kostiumy. W ciemności i w strumieniach deszczu trudno było kogokolwiek rozpoznać. Ale tworzyli tak zbity tłum, że przepchnięcie się przez nich, otwarcie drzwi i wyciągnięcie Tessy byłoby bardzo trudne, nawet gdyby nikt nie zaprotestował przeciwko brutalnemu traktowaniu kobiety. A znając wpływ alkoholu na psychikę mężczyzn, byłem pewien, że jakakolwiek przepychanka z Tessą musiałaby doprowadzić do bijatyki.

Błysnął piorun. Tłumy ludzi - w jeszcze bardziej zdumiewających kostiumach - nadal wylęgały na ulicę. Zbiegowisko wokół furgonetki stało się nową atrakcją przyjęcia. Przemoczony do suchej nitki Fryderyk Wielki z zachwytem machał rękami, a Barbarossa, któremu ktoś nadszarpnął sztuczną brodę, wręczał rzymskiej

dzieweczce swój hełm, by mogła osłonić nim fryzurę.

Zauważyłem Księżną. Przebrana za czarownicę miała na sobie spiczastą czapkę i długą czarną suknię, na której namalowane były okultystyczne znaki. Mimo ulewnego deszczu miała z sobą swego cholernego kota; jego oczy gniewnie lśniły w ciemności. Księżna stanęła przed furgonetką i zaczęła z namaszczeniem machać trzymaną w rękę różdżką czarnoksięską. Jakby był to umówiony sygnał, po niebie przetoczył się grzmot.

- Co robi ta stara krowa? - spytał Teacher.
- Myślę, że rzuca na nas urok - odparłem.
- Jezu Chryste! - Teacher nie mógł już zapanować nad swym

rozdrażnieniem. - Czy oni wszyscy zwariowali?

Zanim Księżna skończyła swe zaklęcia, Arlekin wetknął uszmińkowaną twarz w otwarte okno furgonetki i oświadczył:

- Teacher kieruje tą akcją. Pamiętaj o tym, Bernard.

Zignorowałem go. Chwycił mnie za ramię i tonem zirytowanego ojca, przemawiającego do niegrzecznego syna, powiedział:

- Mówię do ciebie, Bernard! Czy słyszałeś, co ci powiedziałem?

Spojrzałem w chłodne oczy Dicky'ego, osadzone w jego uszmińkowanej twarzy. Nagle wezbrała we mnie tłumiona przez lata niechęć. Zniosłem to, że otrzymał awans, który należał się mnie, znosiłem jego pyszalkowate wypowiedzi, snobistyczny sposób bycia, nawet jego gotowość do przyprawiania rogów biednemu George'owi i żartowania sobie z niego. Ale teraz emocje wzięły we mnie górę nad rozsądkiem. Postanowiłem zareagować, nie oglądając się na konsekwencje. Wziąłem rozmach i zdzieliłem go w uszmińkowany nos. Nie z całych sił, ale na tyle mocno, że zatoczył się na jezdnię, wprost pod przejeżdżający samochód. Jego kierowca, wykazując niewiarygodnie szybki refleks, szarpnął kierownicą i przemknął z piskiem opon tuż obok niego. Dicky, w przekrzywionym kapeluszu, nadal cofał się na rozstawionych szeroko nogach, machając rękami, by utrzymać równowagę. W końcu runął jednak plecami na jezdnię, a kapelusz spadł mu z głowy.

- Jedźmy! Jedźmy! Ustalimy wszystko na punkcie granicznym! - zawołałem.

Teacher zwolnił sprzęgło. Usłyszałem pisk opon, a potem głucho stuknięcie i wrzask jakiejś kobiety. Natychmiast domyśliłem się, co zaszło. Ten cholerny kot, Jackdaw, wlaź pod furgonetkę, by schronić się przed ulewą. Teraz leżał rozplaszczony pod jej tylnymi kołami. O mało nie potraciliśmy Księżnej, ale Teacher

zakręcił kierownicą, minął ją o włos i ruszył szybko w kierunku ruchliwej Ku-Damm.

Mokre ulice lśniły kolorowym, odbitym blaskiem neonów, zachęcających turystów do oglądania pijaków, narkomanów i wykolejeńców, którzy koczowali wokół Europa Centre.

- Czy ona nadal tam siedzi? - spytał Teacher, kiedy mijaliśmy Gedachtniskirche, który odrestaurowano po to, by przypominał nostalgicznym mieszkańcom Berlina, że w ich mieście sporo było niegdyś brzydkich budynków. Mimo późnej pory panował spory ruch. Teacher kilkakrotnie zwiększał obroty silnika, który zaczął w rezultacie funkcjonować sprawniej. Chyba był po prostu mokry od deszczu.

- Jestem tutaj, kochanie - rozległ się z tyłu głos Tessy. - Domyślam się, kogo macie zabrać. Jeżeli spróbujecie wyrzucić mnie na punkcie kontrolnym, obwieszczę to donośnie całemu światu. Nie bylibyście tym zachwyceni, prawda?

- Nie, nie bylibyśmy zachwyceni - odparłem.

- Ta cholerna dmuchawa nie działa - powiedział Teacher i stuknął w nią owłosioną dłonią.

- Masz cholernie sugestywny kostium, Jeremy - stwierdziłem z podziwem w głosie. Tessa zachichotała cicho. Teacher nie odpowiedział.

19

Samochody wyjeżdżające z Berlina Zachodniego na autostradę, która prowadzi do RFN, mijają graniczny punkt kontrolny w Drewitz, na południowo-zachodnim cyplu miasta.

Kontrola idzie sprawnie i w przypadku pojazdów z dyplomatycznymi tablicami ogranicza się do minimum. Po stronie enerdowskiej kierowcy i pasażerowie takich pojazdów z reguły przyciskają po prostu swe dokumenty do szklanej szyby, by mogli je obejrzeć w świetle latarki komunistyczni funkcjonariusze, poruszający się z wystudiowaną powolnością, którą demonstrują czasem na Zachodzie członkowie związków zawodowych w trakcie tak zwanych włoskich strajków.

Strażnicy machnęli w końcu niechętnie rękami, każąc nam jechać dalej. Jeśli zauważyli, że jedno z nas jest gorylem, to nie dali tego po sobie poznać. Teacher wrzucił dyplomatyczne paszporty do schowka i zaczęliśmy długą i monotonną podróż na Zachód. Zgodnie z doktryną obłężenia, obowiązującą w NRD, na autostradzie nie

ma kawiarni ani restauracji. Nie można tu skosztować jednego z sześćdziesięciu ośmiu gatunków lodów, które uprzyjemniają podróż po szerokich autostradach amerykańskich, nie można zjeść *bifteck aux pommes frites avec Chateau Vinaigre*, jak na płatnych i kosztownych *autoroutes* Francji, ani nawet nasycić się aromatem toksycznych spalin i mocnej herbaty, dostępnych na angielskich szosach szybkiego ruchu.

Początkowo na szosie panował spory tłok. Mężowie i kochankowie, wracający z upojnych weekendów, wyprzedzali się nawzajem w drodze powrotnej do domów. Ciężarówki, które wyruszyły punktualnie o północy, kiedy minął obowiązujący w czasie weekendu zakaz poruszania się po autostradzie ciężkimi pojazdami, wolno i pracowicie

torowały sobie drogę wśród innych wielkich wehikułów. Jadący lewym pasem Niemcy wyprzedzali nas na pełnej szybkości i migali światłami, jakby chcąc zademonstrować niemiecką wyższość w dziedzinie mechaniki.

- *Deutschland tiber alles* - powiedział Teacher, kiedy jakiś kierowca mercedesa wyskoczył zza naszych pleców, popukał się palcem w czoło zrównawszy się z nami, a potem pomknął naprzód, ochlapując nas brudną wodą.

- Tessa zasnęła - oznajmiłem.

- Coś dobrego musiało się zdarzyć - stwierdził Teacher. - To wynika z rachunku prawdopodobieństwa.

- Nie liczyłem na to zbyt - powiedziałem. Wycieraczki piszczały i jęczały w gęstym deszczu. Teacher sięgnął w kierunku gałki radia, ale potem chyba się rozmyślił.

Dotarliśmy do konwoju wielkich ciężarówek i jechaliśmy przez chwilę za ostatnią z nich, patrząc, jak jej plandeka łopoce na wietrze.

- Nie śpij - powiedział Teacher. - Sprawdzimy wszystkie zjazdy z autostrady. Być może w komunikacie błędnie określono miejsce spotkania.

Wschodniemieckie autostrady nie są w najlepszym stanie. Na tym odcinku nie zrobiono wiele od czasów Hitlera, w których został on zbudowany. Osuwanie się gruntu spowodowało, że tu i ówdzie nawierzchnię zdobiły szerokie szpary, a pobieżne remonty poszczególnych odcinków nie objęły najwyraźniej głębszych warstw szosy. W całej Europie autostrady upstrzone są znakami drogowymi i zaśmiecone sprzętem ekip naprawczych; sieć drogowa Kontynentu cierpi na arteriosklerozę, która ma wszelkie objawy choroby śmiertelnej.

Na tej autostradzie też prowadzono w kilku miejscach roboty drogowe, a kiedy mineliśmy zjazd w kierunku Brandenbura, na naszym odcinku drogi przejezdny był tylko jeden pas ruchu. Teacher zwolnił. Nasze reflektory wydobywały z mroku dwa szeregi plastikowych pachołków; niektóre z nich przewrócił wiatr towarzyszący uporczywym potokom deszczu.

Droga skręciła łagodnym łukiem w lewo i zaczęła opadać w dół. Ujrzałem rozciągającą się przed nami wstęgę autostrady, upstrzoną ledwie widocznymi na tle purpurowego horyzontu światłami jadących z przeciwka samochodów, które pełzły jak insekty w górę i znikły nagle za odległymi wzniesieniami.

Ten odcinek szosy był właśnie poszerzany. Wzdłuż drogi stały gigantyczne maszyny; spychacze, polewaczki, wielkie koparki, walce drogowe i równiarki - dziwne zabawki gargantuicznego świata.

- Popatrz - powiedziałem, widząc zaparkowany wśród maszyn samochód. Jego światła były niemal niewidoczne w potokach deszczu.

- To oni - stwierdził z wyraźną ulgą Teacher. Gwałtownie zakręcił kierownicą. Podskoczyliśmy na krawędzi drogi i zaczęliśmy wolno brnąć przez błotniste pobocze, ostrożnie omijając metalowe bębny, stosy stali zbrojeniowej, porzucone materiały budowlane, połamane drewniane płyty i inne trudne do zidentyfikowania rupiecie. Byliśmy oddaleni o jakieś pięćdziesiąt metrów od tamtego samochodu, kiedy Teacher uznał, że to wystarczy. Zatrzymał się i wyłączył silnik; światła zgasły. Odgłosy burzy stały się nagle bardzo wyraźnie słyszalne. Było zupełnie ciemno; tylko od czasu do czasu samochody mijające łuk omiatały pobocze swymi reflektorami. Ich światła ślizgały się po nas co chwila jak promienie obrotowej latarni morskiej. Poza tym cała okolica wydawała się zastygła w bezruchu.

- Ostrożnie - powiedziałem. - Kiedy otworzysz drzwi, zapali się oświetlenie wnętrza. Będziemy siedzącymi sylwetkami strzelniczymi.

Przelazłem na tył furgonetki, otworzyłem walizkę i namacałem w niej pudełko z amunicją oraz pistolet. Załadowałem go starannie. Nie był to rewolwer, który można by wetknąć za pasek tanich spodni, więc trzymałem go w ręku.

- Wsiadam - powiedział Teacher. - Wy oboje zostańcie w samochodzie.
- Jak sobie życzysz.

Nie był to odpowiedni moment, by wszczynać z nim spór, ale gdy tylko otworzył drzwi i wysiadł, wysunąłem się z tyłu w mokrą ciemność. W powietrzu unosił się smród zawsze towarzyszący robotom drogowym: fetor świeżo wykopanej

ziemi, osadów chemicznych i oleju napędowego. Ale szosa biegła w tym miejscu przez las, więc zapach drzew łagodził nieco wszystkie inne wonie. Byłem przemoczony do suchej nitki, zanim jeszcze zrobiłem dwa kroki w grzaskim błocie. Ukryłem broń pod płaszczem i obserwowałem mglistą sylwetkę Teachera, który szedł ostrożnie w kierunku samochodu. Jedynym otwartym dla ruchu pasem autostrady przejechało wolno kilka samochodów; ich światła tłumił ulewny deszcz.

Kiedy Teacher ruszył naprzód, z zaparkowanego samochodu - teraz zorientowałem się, że jest to wartburg - wysiadła jedna osoba. Nasi kontrahenci zadali sobie tyle trudu, by zakleić taśmą czujnik zapalający oświetlenie wnętrza. Wnętrze wartburga pozostało ciemne, a ja, oślepiiony blaskiem świateł postojowych, nie widziałem, czy obok samochodu stoi kobieta, czy mężczyzna. Niedaleko mnie, tuż za najbliższą z żółtych maszyn drogowych, stała bariera ogradzająca głęboki wykop, do którego sięgały fundamenty autostrady.

- Proszę kolejno podejść bliżej! - zawołał Teacher. Już po tych kilku słowach można się było zorientować, że nie jest pewien poprawności swojej niemczyzny.

Nagle zapaliły się długie światła wartburga. Były silne i bardzo jasne. Przeniknęły przez lśniące jak szklane paciorki krople deszczu i oświetliły Teachera w jego absurdalnym przebraniu mokrego goryla. Przerażony Teacher uskoczył w bok, ale nadal widziałem jego sylwetkę.

Od strony najbliższego spychacza usłyszałem cichy metaliczny trzask; mógł to być bezpiecznik rewolweru. Jakaś postać wyjrzała zza obudowy spychacza, by przekonać się gdzie jest Teacher. Podsunąłem się bliżej do szeregu maszyn, które mogły mi zapewnić taką samą osłonę, z jakiej korzystała strona przeciwna. Mój wzrok przyzwyczał się już do ciemności. Odniosłem wrażenie, że osoba stojąca obok wartburga jest kobietą i że w jego wnętrzu nadal ktoś siedzi. Metaliczny trzask, który dotarł do moich uszu, nadbiegł od strony bariery. Stał przy niej jakiś mężczyzna, trzymając w ręku rewolwer z długim tłumikiem, skierowany w stronę Teachera.

Poczułem się jak widz, który ogląda fragment jakiejś sztuki, grany na zalanej światłem scenie. Na tle wysokich drzew bezkresnego lasu migotały w oddali bliźniacze pasma świateł samochodowych; jedno białe, drugie czerwone. Widziałem teraz Teachera, ale on nie mógł widzieć człowieka z pistoletem, którego kontury rysowały mi się w światłach wartburga, odbitych od kałuż i mokrego błota.

Usłyszałem krzyk, niemal wrzask jakiejś kobiety. Potem za plecami - chłopot czyichś pospiesznych kroków. Odwróciłem się, ale nasza furgonetka zasłaniała mi

pole widzenia. Rozległ się strzał: cichy, stłumiony dźwięk, jaki wydaje tylko raz rewolwer z nowym tłumikiem. Wiedziałem, że strzelającym nie był Teacher. Kobieta odezwała się ponownie. Krzyczała: - Róbcie, co wam kazano! - Po niemiecku, z berlińskim akcentem.

Z lewej strony dosłyszałem następny strzał - donośny huk rewolweru bez tłumika - a potem brzęk tłuczonego szkła. Strzelał ktoś, kto stał na lewo ode mnie. W ciemności, rozjaśnianej tylko błyskami reflektorów przejeżdżających aut, zaczęła się chaotyczna kanonada. Zauważyłem, że wartburg ma rozbitą przednią szybę; okruchy szkła rozsiane były wkoło jak grad. W tym samym krótkim mgnieniu światła dostrzegłem Teachera; stał na ugiętych nogach, trzymając pistolet w wyciągniętych rękach, jak aktorzy grający policjantów w filmach telewizyjnych. Nie byłem pewien, czy to on strzelał. Zastanawiałem się, czy próbował trafić kogoś, kto siedział w wartburgu, i czy mu się to udało.

Nagle jakaś postać przebiegła obok mnie z głośnym szelestem i jak barwna plama pojawiła się między mną a reflektorami wartburga. Myślałem dotąd, że Tessa nadal siedzi w furgonetce, ale teraz wiedziałem, że to ona miota się i siania po błotnistym poboczu, nie zwracając uwagi ani na deszcz, ani na strzelaninę.

Ten, kto do niej strzelał, musiał stać niedaleko lewego przedniego koła wartburga. Bang. Bang. Wystrzelone z bliska pociski uniosły ją w powietrze; w światłach samochodu rozbłysła jej jaskrawożółta suknia. Kiedy upadła na ziemię, miejsce żółci zajęła purpura, a piękny latający owad zmienił się w drgającą poczwarkę. Leżała w błocie, wyraźnie widoczna w silnych reflektorach wartburga. Poruszyła się jeszcze raz, a potem zastygła w bezruchu.

- Ty draniu! - powiedział ktoś po angielsku. Musiał to być Teacher. Potem zaczął strzelać; rozpoznałem suchy trzask 9-milimetrowego browninga, którego widziałem poprzednio w jego rękach. Dwa strzały, bardzo głośne i następujące tuż po sobie. Jeden pocisk uderzył w obudowę wielkiej koparki i odbity rykoszetem z żalonym świstem wzbił się w niebo. Drugi trafił w lewy przedni reflektor wartburga, który zgasł z głośnym hukiem i sykiem, jaki wydają krople deszczu spadające na rozgrzany metal.

Bang. Bang. Bang. Bang. Bang. W ciemności ukryli się przed wzrokiem Teachera jacyś ludzie z rewolwerami bez tłumików. To oni niezwłocznie odpowiedzieli na jego ogień. Ich strzały następowały tak szybko po sobie, że niemal zlały się w jeden. Teacher zaczął biec, potknął się i upadł z głośnym krzykiem. Z

trudem mogłem go dojrzeć w poświacie światła rzucanego przez jedyny reflektor wartburga. Wił się i wrzeszczał, przyciskając obie ręce do piersi, jak człowiek, który usiłuje uwolnić się od pancerza bólu.

Korzystając z tego, że uwaga wszystkich skupiona była na jego osobie, obszedłem spychacz i wspiałem się od tyłu na jego szeroką gąsienicę. Kryjąc się za jego podniesioną łopatą, wlałem najwyżej, jak mogłem.

Widziałem teraz całą scenę wydarzeń. Reflektory jadących wolno jednym pasem samochodów oświetlały szeroki wykop, rząd maszyn drogowych i stojącego za nimi wartburga. W centrum stała nasza zaparkowana nieco skośnie furgonetka, a na lewo od niej leżało ciało

Teachera. Z miejsca, z którego padły strzały, nadeszli dwaj mężczyźni i pochylili się nad zwłokami. Jeden z nich trącił ciało czubkiem buta. Teacher nie dawał znaku życia.

- Teraz jesteśmy bezpieczni - powiedział mężczyzna. Rozpoznałem głos Ericha Stinnesa.

Zza wartburga wyszła jakaś kobieta. Stawiała kroki ostrożnie, omijając błotniste kałuże. Była to Fiona, moja żona.

- Ile osób wysłali? - spytał partner Stinnesa.

- Kobietę i mężczyznę. Oboje nie żyją - odparł Stinnes.

Fiona obeszła ciało Tessy i spojrzała na Teachera w taki sposób, w jaki patrzy się na człowieka obcego. Zdałem sobie sprawę, że nie rozpoznała również swojej siostry. Stinnes odwrócił się, by spojrzeć na furgonetkę. Zapewne pamiętał o stłuczonej szybie wartburga i myślał o tym, jak będzie się czuł za jego kierownicą w potokach nadal padającego deszczu.

Miałem w tym momencie do wyboru wiele możliwości. Podręcznik nakazałby mi zapewne pertraktowanie z nimi, ale nie byłem zbyt gorliwym czytelnikiem podręczników czy instrukcji służbowych i dzięki temu nadal żyłem. Podniosłem więc swój ciężki rewolwer i opierając lufę o łopatę buldożera (choć instruktorzy zatrudnieni na strzelnicy Departamentu uznaliby takie postępowanie za niesportowe) strzeliłem do stojącego dalej ode mnie mężczyzny, mierząc w środek jego ciała. Ciężki pocisk uderzył go jak młot kowalski, wrzucając w ciemność, w której zastygł w nieruchomym milczeniu. Drugi mężczyzna - Stinnes - cofnął się o pół kroku, ale praktyka zawodowa wzięła górę nad lękiem, więc choć nie mógł mnie widzieć, uniósł rewolwer i wystrzelił trzy razy w moim kierunku. Dwie kule z gwizdem przeleciały

mi nad głową, a jedna musnęła moją marynarkę. Stinnes postąpił słusznie; teoria mówi, że potraktowany w ten sposób przeciwnik przestaje strzelać i próbuje się ukryć. Ale ja miałem zbyt wolny refleks, by tego rodzaju teorie mogły mnie dotyczyć, więc zanim skończył strzelać, wpakowałem w niego drugą kulę. Trafiła go w szyję.

Scena, która nastąpiła później, miała prześladować mnie przez wiele nocy, wywołując koszmary senne. Krew, tryskająca z ciała Stinnesa jak z fontanny, wzbijała się wysoko w górę. Chwycił rękami za gardło i charcząc ochryple zaczął się zataczać w tył, w kierunku bariery otaczającej wykop. Uderzywszy o nią plecami stał przez chwilę nieruchomo, a potem przeleciał przez nią i z głośnym pluskiem wpadł głową naprzód do wypełnionego wodą dołu.

Fiona, sparaliżowana przez lęk i zbryzgana krwią Stinnesa, stała bez ruchu. Czekałem. Wokoło panowała zupełna cisza. Autostradą nie przejeżdżały akurat samochody, a las tłumiał odgłosy wiatru i deszczu.

Potem Fiona zaczęła biec w kierunku wartburga. Po drodze złamała obcas, potknęła się i wykręciła chyba nogę w kostce, bo dotarła do samochodu na kolanach, płacząc z bólu. Korzystając z pozornej osłony ciemności - i nie widząc, że jestem tak blisko - zawołała: - Kto to? Kto tam jest?!

Nie odpowiedziałem, nie wydałem żadnego dźwięku, nie poruszyłem się. Wiedziałem, że w ciemności kryje się człowiek uzbrojony w rewolwer z tłumikiem i że dopóki nie rozprawię się z nim, nie będę mógł bezpiecznie zejść na błotnistą ziemię.

Czekałem długą chwilę. Potem Fiona, skacząc na jednej nodze, sięgnęła do wnętrza wartburga i zgasła reflektor. Scena tonęła teraz w zupełnej ciemności, rozjaśnianej tylko od czasu do czasu przez światła przejeżdżających szosą samochodów.

Fiona spróbowała uruchomić wartburga, ale kula, która roztrzaskała reflektor, musiała spowodować jakieś inne uszkodzenie, gdyż rozrusznik wył, ale nie włączał silnika. Słyszałem, jak cicho zakłęta pod nosem. W jej głosie rozbrzmiewała rozpacz.

W tym momencie dostrzegłem go. Posuwał się bardzo wolno pod osłoną bariery. Widziałem go tylko przez sekundę, ale zauważyłem, że ma na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i nieprzemakalny kapelusz, jaki noszą Amerykanie podczas gry w golfa. Domyśliłem się, kto to jest: Thurkettle.

Przez dłuższy czas nie widziałem i nie słyszałem nic oprócz silników i świateł przejeżdżających samochodów. Potem dotarł do mnie męski głos:

- Czy będziemy tak czekać całą noc, Samson?

Nie omyliłem się; to był Thurkettle. Milczałem nadal.

- Możesz zabrać sobie tę kobietę, wziąć swojego forda i odjechać! - zawołał. - Weź też ze sobą tego goryla. Nie chcę tutaj żadnego z was.

Nie odpowiedziałem.

- Czy mnie słyszysz?! - krzyknął. - Pracuję po twojej stronie ulicy. Zabierajcie się stąd. Mam tu jeszcze coś do zrobienia.

- Fiona! - zawołałem. - Czy mnie słyszysz?

Rozejrzała się, ale mnie nie dostrzegła.

- Wsiądź do forda, włącz motor i podjedź metr lub dwa metry do przodu.

Czekaj z zapalonym silnikiem.

Fiona zrobiła krok do przodu, potem zrzuciła z nóg oba buty i z chlupotem ruszyła przez błoto. Posuwała się wolno i niepewnie, czując wyraźnie ból w skręconej kostce, ale dotarła w końcu do furgonetki. Wsiadła i zapaliła silnik. Potem znalazła pedał sprzęgła, podjechała kawałek do przodu i zatrzymała się, zostawiając silnik na luzie.

- Teraz ty jesteś moim dłużnikiem, Bernie! - zawołał Thurkettle.
- Pozdrów ode mnie hrabiego Zeppelina - odparłem. Nadal miałem nad nim przewagę; wiedziałem, gdzie jest, a on nie miał pojęcia, gdzie się ukryłem.

Ześlizgnąłem się na ziemię i zacząłem liczyć kroki dzielące mnie od furgonetki.

Gdyby Thurkettle zaczął strzelać, mógłbym się za nią ukryć.

Odczekałem kilka minut, by zaczął się za mną rozglądać. Potem pobiegłem w stronę furgonetki. Przejeżdżająca właśnie ciężarówka oświetliła mnie reflektorami.

Biegłem nadal i rzuciłem się w miękkie błoto za tylnymi kołami furgonetki.

Zastygłem na chwilę w bezruchu, by złapać oddech. Nikt do mnie nie strzelał.

Podszedłem do przedniej szyby i zastukałem w nią, by zwrócić na siebie uwagę Fiony.

- Czy widzisz go? - spytałem szeptem.
- Schował się za wartburgiem.
- Czy to jeden z waszych ludzi?
- Nic o nim nie wiem.
- Więc nie przyjechał z wami? - spytałem.
- Nie. Przyjechał na motocyklu.

- Czy jesteś w stanie prowadzić samochód?
- Tak, oczywiście - odparła silnym, zdecydowanym głosem.
- Odjedziemy i zostawimy go tutaj. Zsuń się nisko na fotelu, na wypadek gdyby zaczął strzelać. Ja wskoczę w ostatniej chwili. Kiedy powiem: „Jedź”, ruszaj. Nie za szybko, żeby koła nie zaczęły buksować.

Przesunąłem ręką po obudowie drzwi, namacałem czujnik i wcisnąłem go, żeby nie zapaliło się wewnętrzne światło. Otworzyłem drzwi i wślizgnąłem się do furgonetki.

- Jedź! - powiedziałem cicho. Fiona dodała gazu i ruszyliśmy, podskakując na nierównej nawierzchni. Nikt nie strzelał.

Furgonetka zachybotała się na jakichś deskach, potem podskoczyliśmy jeszcze raz wjeżdżając z pobocza na szosę i znaleźliśmy się na autostradzie. Było bardzo ciemno; nikt nie jechał ani w jedną, ani w drugą stronę. Ruszyliśmy na zachód. Ujechaliśmy może z pół mili, kiedy za nami wzniósł się w górę wielki snop czerwonego światła.

- Mój Boże! - powiedziała Fiona. - Co to było?

- Domyślam się, że właśnie wyleciał w powietrze wasz wartburg.
- W powietrze?
- Ktoś usuwa ślady.
- Ślady czego?
- Lepiej nie wracajmy, żeby o to zapytać.

Płomień palił się jasnym blaskiem. Widzieliśmy go jeszcze z odległości kilku mil. Potem, kiedy minęliśmy wierzchołek wzgórza, nagle zniknął. Odnalezienie jakichś dowodów rzeczowych na miejscu takiego pożaru jest rzeczą bardzo trudną.

Spytałem Fionę, czy chce, żebym przejął od niej kierownicę. W milczeniu pokręciła głową. Próbowałem innych sposobów nawiązania rozmowy, ale odpowiadała monosylabami. Prowadząc samochód po autostradzie, mogła skoncentrować się na tej czynności. Starła się nie myśleć o tym, co zrobiła, i nie chciała mówić o tym, co będziemy musieli zrobić teraz.

Moje ramię zaczęło pulsować. Dotknąłem go i odkryłem, że rękaw jest lepki od krwi. Jedna z kul przeleciała bliżej, niż mi się zdawało. Nie była to prawdziwa rana; raczej przykre zadraśnięcie i ogromny siniac, jaki pozostawiają ocierające się o ciało kule. Wyciągnąłem chustkę i trzymałem ją przy ramieniu, by zatamować

kapiącą krew. Nie było to zranienie wymagające pobytu w szpitalu, ale wystarczyło zupełnie, by zniszczyć mi ubranie.

- Czy nic ci nie jest? - W jej głosie nie było czułości. Był to głos obowiązkowej nauczycielki strofującej trzódkę dzieci, które przeprowadza przez ruchliwą ulicę.
- Nie, wszystko w porządku. - Powinniśmy byli rozmawiać, obejmować się, śmiać i kochać. Byliśmy znowu razem; wracała do domu, do mnie i do dzieci. Ale sytuacja wyglądała inaczej. Nie byliśmy już tą samą parą beztroskich ludzi, którzy spędzili miodowy miesiąc za debet w banku i upili się histerycznie w urzędzie stanu cywilnego wypitą w czwórkę połową butelki szampana. Milcząc siedzieliśmy w ciemności. Patrzyliśmy na pełznące wolno w kierunku Berlina samochody i na przelatujące obok nas z piskiem opon porsche. Ciekła ze mnie nie tylko krew; wysączały się też nie wypowiedziane nigdy marzenia, które umożliwiają małżeństwom przetrwanie.

Deszcz ustał, a może wyjechaliśmy spod chmur. Włączyłem radio. Usłyszałem jakiś bełkot w języku arabskim, potem nadawane po niemiecku wiadomości Radio Moskwa, wreszcie potężny niemiecki nadajnik, który podczas nocy skutecznie zagłusza konkurencję na terenie całej Europy. Grał jakiś knajpiany big-band: *Only make-believe I love you. Only make-believe that you love me. Others find peace of mind in pretending, couldn't you, couldn't I, couldn't we?*

Za nami wąski pas nieba stopniowo nabierał światła i barw, by stać się w końcu mieszaniną fiołkowego różu i purpury.

- Wszystko w porządku, kochanie?

Nadal nie reagowała na moje próby nawiązania kontaktu. Koncentrowała się na prowadzeniu samochodu. Miała zaciśnięte wargi i zbielełe kostki palców.

Nieznośna niepewność, która przyprawiała mnie w miarę zbliżania się do granicy o coraz silniejsze bóle żołądka, okazała się bezpodstawna. Kiedy zatrzymaliśmy się, Fiona spojrzała w lusterko i starła z czoła poślinioną chusteczką kilka plamek krwi. Wyraz jej twarzy nie zmienił się.

- Wszystko się zgadza?
- Tak - odparłem.

Fiona ruszyła naprzód. Znudzony strażnik, widząc dyplomatyczne tablice rejestracyjne, spojrział na nas tylko przelotnie i wrócił do lektury swej gazety.

- Udało się! - powiedziałem. Nie zareagowała.

Po drugiej stronie punktu granicznego czekał na nas komitet powitalny. Świt szałczył szarawe światło, które wykorzystują żołnierze, by rozpoczynać swoje bitwy. Na poboczu stały jakieś samochody wojskowe; opancerzony transporter, wóz sztabowy i ambulans - zestaw pojazdów przygotowany na wszelkie okoliczności. Na pustej szosie zmaterializowali się nagle dwaj ludzie w mundurach. Jeden był człowiekiem w średnim wieku, drugi miał dwadzieścia kilka lat. Potem pojawił się jakiś dziarski młody pułkownik nieodgadnionego rodzaju broni. Jego beżowy beret wciśnięty był mocno na szeroką czaszkę, a na kurtce nie było żadnych znaków prócz skrzydeł, jakie noszą spadochroniarze i czarnych dystynkcji określających rangę.

- Mamy tu helikopter - powiedział pułkownik. Zasalutował żartobliwie w kierunku Fiony trzymaną w rękę krótką laseczką. - Czy będzie pani miała dość sił na lot do Kolonii? - Mówił głośno i niemal promieniował radością życia. Był schludny i świeżo ogolony; dziwna pora dnia nie robiła na nim żadnego wrażenia.

- Nic mi nie jest - odparła Fiona. Pułkownik otworzył drzwi samochodu, by pomóc jej wysiąść zza kierownicy. Ale ona siedziała nieruchomo i nawet nie spojrzała w jego kierunku, by coś wytłumaczyć. Trzymała się mocno kierownicy i patrząc wprost przed siebie lekko pociągnęła nosem. Potem zrobiła to jeszcze raz, głośniej, jak zakatarzone dziecko. Później zaczęła się śmiać. Z początku był to naturalny, uroczy śmiech, jakiego można oczekiwać od kobiety, która właśnie zdobyła mistrzostwo świata w dziedzinie szpiegostwa i intrygi politycznej. Ale w miarę jego trwania pułkownik coraz bardziej marszczył brwi. Twarz Fiony zrobiła się czerwona, a jej głos piskliwy; drgała i trzęsa się w paroksyzmach histerycznego śmiechu jak w ataku kaszlu lub duszności. Śmiech trwał. Zacząłem się niepokoić, ale pułkownik najwidoczniej spotkał się już z takim zjawiskiem. Spojrzał na pokrywające Fionę plamy krwi, a potem zerknął na mnie.

- To sposób odreagowania - powiedział. - Domyślam się, że miała trudne przejścia. - I dodał, usuwając się na bok: - Niech pan się nią zajmie, doktorze.

Młodszy z dwóch pozostałych ludzi w mundurach zrobił krok do przodu. Jego kolega podał mu jakiś przedmiot. Lekarz o chłopięcym wyglądzie wsunął dłoń przez okno, chwycił Fionę za rękę i bez większego wahania - w istocie w ogóle bez wahania - wbił jej w ramię, przez rękaw, igłę strzykawki. Tak postępują lekarze wojskowi. Trzymał ją jeszcze przez chwilę za rękę i patrzył, jak się uspokaja. Potem dotknął jej przegubu, by wyczuć tętno.

- To wystarczy - powiedział. - Środek uspokajający. Nie dawajcie jej

alkoholu. Lepiej, żeby nie jadła przez godzinę lub dwie. Na lotnisku w Kolonii będzie na was czekał lekarz RAF-u. Przekażę mu wiadomość. Poleci z wami aż na miejsce.

- To znaczy dokąd? - spytałem.

Młody lekarz spojrział na pułkownika, który powiedział:

- Nie powiedzieli panu? Zawsze jest tak samo, prawda? Nigdy nic nie mówią osobom bezpośrednio zainteresowanym. Macie się przesiąść na transatlantycki samolot. To długa podróż, ale będziecie pod opieką sił lotniczych.

Fiona wracała do siebie. Przestała się śmiać i rozglądała się w koło jak człowiek obudzony z głębokiego snu. Pułkownik pomógł jej wysiąść z samochodu.

- Gdzie są pani buty? - spytał rycersko i zaczął się rozglądać.
- Zgubiłam je - powiedziała obojętnym tonem, odgarniając włosy ku górze, jakby zaczęła zdawać sobie sprawę ze swego niekorzystnego wyglądu.
- Nic nie szkodzi - oświadczył pułkownik. - W Ameryce robią bardzo piękne buty.

20

Lato nie jest najlepszą porą roku na pobyt w południowej Kalifornii. Nawet w „La Buona Nova”, wielkim ośrodku, położonym na stoku wzgórz, w którym ukryto Fionę na okres oficjalnych przesłuchań, przeżywaliśmy długie, wyczerpujące dni bez odrobiny wiatru od strony Pacyfiku. Wszystkim kierował Bret Rensselaer. Niektórzy, między innymi ja, twierdzili, że jest zbyt stary, by wrócić na stałe do Departamentu. Ale został oficjalnie uznany za bezpośredniego zwierzchnika Fiony. Bret znał jej długofalowe plany, obejmujące ucieczkę do Moskwy, od dnia, w którym mu się z nich zwierzyła. Od tej pory stale śledził jej postępy. W gruncie rzeczy nie było nikogo innego, kto mógłby ją teraz przesłuchiwać.

Bret Rensselaer z wielką determinacją starał się zamienić tę swoją ostatnią misję w ogromny sukces. Nie mówiło się oficjalnie o tytule szlacheckim, ale nie trzeba było jasnowidza, by wiedzieć, co uważałby Bret za stosowne podziękowanie ze strony wdzięcznego monarchy. Nie było wątpliwości, czy zechce złożyć ceremonialny ukłon; gotów byłby iść po ten tytuł na kolanach z zachodniego na wschodnie wybrzeże Ameryki.

Nikt nie wspominał nigdy o jakimkolwiek podziękowaniu dla mnie. Kiedy otrzymałem czek z tytułu poborów, zauważyłem, że odliczono od nich wszystkie

dotatki i fundusze reprezentacyjne. Pozostała goła pensja. Wspomniałem o tym Bretowi, on zaś zapewnił mnie, że nie będę obciążony kosztami mego mieszkania i utrzymania podczas pobytu w Ameryce. Przypomniałem mu, że w wyniku tego pobytu zostałem pozbawiony możliwości kontaktu z własnymi dziećmi. Z oczywistych względów nie wspomniałem o Glorii. To on poruszył ten temat. Została ona poinformowana - oświadczył - że wykonuję specjalne zadanie, które jest zbyt poufne, by można ujawnić przed nią jakieś szczegóły. Departament robi wszystko, aby moje dzieci były szczęśliwe i otoczone troskliwą opieką. Powiedział to w taki sposób, jakby jego słowa zawierały ukrytą groźbę pod moim adresem; jakby to, co powiedzą Glorii, zależało od mojego dobrego sprawowania.

Pewnego dnia dojrzałem wśród papierów, zalegających marmurowy blat jego biurka, jakąś kolorową pocztówkę. Była to reprodukcja obrazu van Gogha przedstawiającego listonosza w niebieskim mundurze - ulubionego obrazu Glorii.

- Czy ta kartka nie jest przypadkiem adresowana do mnie? - spytałem.
- Nie - odparł natychmiast, bez cienia wahania.
- Czy jesteś pewien?

- To moja prywatna korespondencja - oświadczył Bret.

Miałem ochotę sięgnąć po nią, by się o tym przekonać, ale biurko było duże i Bret zdążył mnie uprzedzić. Schował pocztówkę do szuflady. Wiedziałem, że jest to kartka od Glorii adresowana do mnie. Po prostu to wiedziałem.

Po tym epizodzie rzadko bywałem wpuszczany do gabinetu Breta, a kiedy tam się znalazłem, biurko zawsze było puste. Przez cały czas pobytu przekazano mi tylko jedną przesyłkę; ostemplowaną w Lyonie kartkę pocztową z podobizną Paula Bocuse. Wysłała ją *Tante* Lisi, by opisać mi posiłek, jaki tam zjadła.

Umieścili mnie i Fionę w wygodnym domku gościnnym, stojącym z daleka od głównych budynków ośrodka. Była w nim kuchnia i jadalnia, a także młoda Meksykanka, która robiła śniadania i dbała o czystość. Fiona spędzała niemal codziennie cztery do pięciu godzin w towarzystwie Breta. Żadne z nich nie zjawiało się na lunchu. Przynoszono im kanapki, owoce i kawę, by mogli bez przeszkód kontynuować swe dyskusje. Bret zatrudniał na połowie etatu sekretarkę, ale nie była ona obecna podczas tych sesji. Jego wielki, bardzo wygodny gabinet wyposażony był nie tylko w kraty okienne i specjalne zamki, lecz również w mapy, książki źródłowe oraz komputer, który wyświetlał na ekranie lub drukował zawartość rozmaitych baz danych. Wszystko, co mówiła Fiona, nagrywane było na taśmę i zamykane w dużym

sejfie. Ale nie robiono żadnych notatek - na to miał przyjść czas później. Podczas tych wstępnych rozmów Bret chciał pobieżnie zapoznać się z całym zasobem jej wiedzy, by móc poinformować

London i Waszyngton o wszystkim, co wymagałoby natychmiastowego działania.

Czasami wchodziłem tam, by się przysłuchać, ale po pierwszych kilku dniach Fiona poprosiła mnie, żebym tego nie robił. Stwierdziła, że moja obecność za bardzo ją peszy. Byłem w pierwszej chwili dotknięty i urażony, ale tego rodzaju rozmowy odbywają się z reguły w cztery oczy, a ja sam niechętnie w przeszłości znośłem czyjąś obecność podczas takich sesji.

Pływałem więc w błękitnym odkrytym basenie, nadrabiałem zaległości w lekturze i słuchałem stacji radiowej nadającej przez całą dobę muzykę klasyczną lub kaset magnetofonowych. Często spotykałem w basenie panią O'Rafferty, starą miłośniczkę sztuki, która była właścicielką tej posiadłości i musiała pływać ze względu na kłopoty z kręgosłupem. Przeważnie jadaliśmy też razem lunch.

Miałem ochotę pojechać do Los Angeles lub przynajmniej wybrać się na piwo do znacznie mniej odległej miejscowości Santa Barbara. Przejść się po plaży, odbyć przejażdżkę po autostradzie wzdłuż wybrzeża, zwiedzić posiadłość Hearsta - zrobić cokolwiek, co odmieniłoby mój monotony tryb życia. Ale Bret był nieustępliwy; oboje musieliśmy przebywać w obrębie posiadłości „La Buona Nova”, otoczonej wysokimi ogrodzeniami i strzeżonej przez uzbrojonych meksykańskich strażników, którym pomagały psy. Było to więzienie, miłe i luksusowe więzienie, w którym z woli Departamentu odsiadywaliśmy bezterminowy wyrok. Miałem niemiłe przecucie, że wyrok ten okaże się bardzo długi. Ale co mogłem zrobić? Bret stwierdził, że jest to podyktowane troską o bezpieczeństwo Fiony. I trudno było z nim dyskutować.

Pewnego wieczora, niebawem po przyjeździe, próbowałem nakłonić Fionę do rozmowy o okresie, który spędziła ze Stinnesem i wesołą grupką jego współpracowników. Przygotowywaliśmy się właśnie do snu. Początkowo mówiła normalnym tonem, ale potem jej odpowiedzi robiły się coraz krótsze i bardziej opryskliwe, a ja zauważyłem, że jest coraz bardziej roztrzęsiona. Nie wybuchnęła płaczem ani nie zademonstrowała swego przygnębienia w inny spektakularny sposób. Byłoby może lepiej dla wszystkich zainteresowanych, gdyby to zrobiła; mogłoby jej to pomóc. Ale ona nie płakała; weszła do łóżka, zwinęła się w kłębek i naciągnęła

kołdrę na głowę.

Co wieczór jadałiśmy kolację z Bretem, naszą gospodynią i jej zięciem, sympatycznym prawnikiem. Były to nudne posiłki, podczas

których meksykańska służba uwijała się bez przerwy wokół stołu, a my prowadziliśmy zdawkową konwersację. Czasem spotykałem Breta nad basenem i wymieniałem z nim kilka grzecznościowych zdań. Ale wszystkie moje uwagi dotyczące złej formy Fiony zbywał nieprzekonującymi zapewnieniami. Zapewniał mnie, że w dzień po przyjeździe została zbadana przez lekarza i że dostała mnóstwo witamin oraz środków nasennych na wypadek, gdyby były jej potrzebne. Tłumaczył mi też, że przeżyła trudny okres i najogólniej rzecz biorąc, traktował mnie jak rozhisteryzowaną matkę, która przejmuję się zadraśniętym kolaniem swego dziecka. Ale zmiany, które ja dostrzegałem w Fionie, nie były chyba tak wyraźnie widoczne dla kogoś, kto nie znał jej tak dobrze jak ja. To były drobne zmiany. Była jakby mniejsza, miała ściągniętą twarz i nie poruszała się już z pełnym dystynkcji wdziękiem, który tak dobrze pamiętałem. Niepokoił mnie też jej łagodny, niepewny sposób mówienia oraz szacunek, jaki okazywała wszystkim, poczynając ode mnie i Breta, aż po meksykańską służbę domową.

Pewnego dnia, podczas kolacji, kiedy wylała na obrus kilka kropel sosu - mnie zdarza się to za każdym razem - oparła się plecami o poręcz krzesła i przymknęła oczy. Wszyscy obecni udali, że tego nie zauważyli, ale ja wiedziałem, że jest bliska płaczu, być może bliska załamania. Kłopot polegał na tym, że nic nie chciała mi powiedzieć, choć usilnie próbowałem nakłonić ją do zwierzeń. W końcu zarzuciła mi, że ją zadreczam, więc wycofałem się i zostawiłem całą sprawę w rękach Breta.

W dwa dni później Bret zażądał mojej obecności na porannej sesji.

- Jest jeszcze kilka spraw wymagających wyjaśnienia - powiedział.
- Z mojego punktu widzenia wydaje się, że jest jeszcze całe mnóstwo spraw wymagających wyjaśnienia - oświadczyłem.

Fiona siedziała wygodnie w dużym fotelu, Bret za nowoczesnym ozdobnym biurkiem z różowego marmuru i polerowanej stali, tyłem do okna. Ogród był feerią barw. Na tle białej ściany dziedzińca kwitły drzewa pomarańczowe i cytrynowe, jaśminy, róże i tropikalne pnącza. Nie czuliśmy ich zapachu, bo okno było szczelnie zamknięte, a klimatyzacja działała na pełnych obrotach. Bret przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a potem spytał:

- Na przykład?

- Ślady heroiny w furgonetce.

Był to bluff, który nie przyniósł zamierzonego rezultatu.

- Nie sprowadzajmy naszej rozmowy na boczne tory - powiedział Bret. - Chodzi nam o ustalenie tożsamości innych obecnych tam osób.

• Może to zrobić Fiona - oświadczyłem. - Siedziała z nimi w tym samochodzie.

• Erich Stinnes - powiedziała dość mechanicznym głosem. - Plus rosyjski oficer łącznikowy. Był tam też jakiś człowiek, którego nigdy przedtem nie widziałam. Przyjechał na motocyklu.

• Dobrze! Dobrze! - mruknął Bret, zapisując wszystko pracowicie, jakby obawiał się, że może coś zapomnieć. Podniósł wzrok. - Trzej mężczyźni - powiedział i uśmiechnął się nerwowo.

Bret Rensselaer należał do tych szczupłych, eleganckich Amerykanów, którzy bez względu na stan zdrowia zawsze wydają się w dobrej formie - jak stary samochód bugatti lub pięćdziesięciokaratowy brylant. Siedząc za biurkiem ze złotym piórem w rękę, zdawał się pozować do fotografii reporterowi z jakiegoś czasopisma, specjalizującego się w opisywaniu życia wyższych sfer. Miał na sobie szyte na miarę białe sportowe spodnie i białą tenisową koszulkę z czerwonym paskiem na kołnierzyku. Strój ten pasował znakomicie do jego siwych włosów i podkreślał ciemną opaleniznę twarzy.

Byłem ciekaw, czy tajemniczy „dodatkowy człowiek” zostanie zidentyfikowany jako Thurkettie. Sam nie wystąpiłem z tą koncepcją i zauważyłem, że Fiona nie wspomniała o jego amerykańskim akcencie.

• Czy nasi specjaliści, którzy śledzą wschodnie źródła przekazu, znaleźli jakieś wzmianki o tej sprawie? - spytała Fiona.

• Nic w gazetach i czasopismach, kompletna cisza w radio. - Bret uśmiechnął się lekko w typowy dla siebie sposób i zaczął bawić się swym sygnetem. - Byłoby zaskakujące, gdyby o tym wspomnieli.

• Byłoby jeszcze bardziej zaskakujące, gdybyś ty nas o tym poinformował - powiedziałem.

Bret nie poświęcił mojej wypowiedzi większej uwagi. Mruknął niechętnie i znów zwrócił się do Fiony:

- Dlaczego spalili ten samochód, Fiona?

- Bernard twierdzi, że chcieli usunąć ślady - odparła.
- Pytałem o twoje zdanie, Fiona.
- Naprawdę nie mam pojęcia. Może był to wypadek. Pozostał tam jeszcze

jeden człowiek.

- Ach! Ten mężczyzna na motocyklu?
- Tak.
- Chciałbym, żebyś powiedziała mi o nim coś więcej.

Przez chwilę czekał na jej odpowiedź. Widząc, że nadal milczy, spytał:

• I nie rozmawiałaś podczas jazdy samochodem ani ze Stinnesem, ani z tym oficerem łącznikowym?

- Nie.
- A czy oni rozmawiali między sobą?
- Nie sądzę, abyśmy mogli dojść do czegoś tym tropem - powiedziała Fiona.

- Powiedziałam ci już o nich wszystko, co wiem.

Bret ze zrozumieniem kiwnął głową. Spojrzał na żółty blok do notatek i spytał:

• Więc ten „inny człowiek” przyjechał na motocyklu? To dość niezwykle, nie sądzisz.

- Naprawdę nie wiem, na ile to było niezwykle, Bret.
- Ale skoro samochód został podpalony po waszym odjeździe, musiał to

zrobić ten motocyklista, prawda?

- Tak przypuszczam - odparła Fiona.
- Ja również - stwierdził Bret.
- Teraz dochodzimy do ostatniej fazy tego dziwnego wydarzenia. Dlaczego

tak łatwo pozwolił wam odjechać?

Fiona kiwnęła głową i oblizła wargi, jakby myślenie o tym sprawiało jej przykrość.

- To istotnie dziwne.
- Jaki mógł mieć motyw? Obecny tu Bernie zastrzelił chwilę przedtem

dwóch jego kolegów. A on pozwolił wam odjechać. Czy nie wydaje się to trochę zwariowane?

- Była to sytuacja patowa - odparła Fiona. - Nie mógł się poruszyć, bo

zostałby zastrzelony. Wiedział, że Bernard nie dotrze do furgonetki bez narażenia się na kulę. Konieczny był jakiś kompromis.

- Nic podobnego, kochanie - stwierdził Bret. - Ci ludzie byli we własnym kraju. Przypuśćmy, że pan X poczekałby do świtu. Przejeżdżający szosą zobaczyliby wtedy, co się dzieje. Przyjechaliby robotnicy budujący drogę. Wszystko, co mogłoby się wydarzyć, rozwiązałoby sytuację w sposób dla niego korzystny. Prawda?

- Nie wiem, kto to był - odparła Fiona, jakby nie słysząc jego pytania.
- Co masz na myśli? - spytał Bret.

Fiona spojrzała na mnie; w jej wzroku była prośba o pomoc.

- Fiona chce powiedzieć - wtrąciłem - że gdyby jakiś agent CIA brał udział w strzelaninie na poboczu autostrady biegnącej niedaleko stąd, wzdłuż Pacyfiku, to nie chciałby zapewne, by zastali go tam o świcie lokalni policjanci ani przejeżdżający kierowcy.

- No dobrze - stwierdził Bret, ale ton jego głosu świadczył wyraźnie, że bynajmniej się ze mną nie zgadza. - Ale tu są Stany Zjednoczone. Liberalne gazety wykorzystują każdą okazję, by dołożyć rządowi; pomyleni senatorowie robią to samo. W takiej sytuacji agent CIA nie chciałby zapewne się ujawniać i gotów byłby zapłacić za to każdą cenę. Ale w NRD... Nie rozumiem tego.

- Dlaczego nie powiesz nam po prostu, co mamy zeznawać, Bret? - spytałem.

- O co ci chodzi? - spytał poirytowanym głosem.
- Wszyscy wiemy, że piszesz bajeczkę dla dzieci - odparłem. - Jest to scenariusz, który został uzgodniony już dawno; od tej pory minęły miesiące, a może i lata. Nie chcesz wcale wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło; chcesz znaleźć pretekst do stwierdzenia, że wszystko przebiegło zgodnie z planem. Wiem, jak będzie wyglądał ten raport; pięćdziesiąt stron tekstu, w którym pokłepiesz wszystkich facetów zza biurka po plecach i będziesz im wmawiał, że zrobili wspaniałą robotę. Jedyne decyzje, jakie jeszcze nie zapadły, dotyczą tego, kto dostanie tytuł szlachecki, a kto będzie się musiał zadowolić orderem.

- Jesteś aroganckim sukinsynem, Bernard - powiedział cicho.
- Tak. Wiem. Wszyscy mi to mówią. Ale to, co powiedziałem, jest prawdą. Spojrzał na mnie i zdecydował się na drobne ustępstwo.
- Czy to nie Goethe powiedział: *Der Ausgang giebt den Taten ihre Titel* -

wynik decyduje o tym, jaki będzie tytuł? Jasne. Mamy do czynienia z fenomenalnym sukcesem. Jest to sukces Fiony. Jej zasługi nigdy nie zostaną odpowiednio docenione, bo taka jest polityka Departamentu w tego rodzaju sprawach, i wszyscy o tym wiemy. Jedyne, co dostanie, to ten raport. Czy wolałbyś, żebym przedstawił w nim całą sprawę jako fiasko? Chcesz, żebym napisał, że spieprzyła robotę?

- Nie - odparłem. Bret zawsze potrafił dowieść, że jego oponenti nie mają racji.

Fiona nie odzywała się. Brała minimalny udział w dyskusji nie dlatego, żeby stawiała opór; po prostu zachowywała się jak somnam-buliczka. Wiedziała, że jej siostra nie żyje, Bret jej to powiedział, ale unikała wzmianek o niej. Udawała, że Tessy w ogóle tam nie było, a Bret przystał na taką wersję. Fiona nie chciała mówić o wielu sprawach; rzadko nawet wspominała o dzieciach. Nie zazdrościłem Bretowi jego zadania.

Bret spojrział na zegarek.

- No dobrze, przejdźmy do kilku łatwiejszych pytań. Poprosimy, żeby przysłano nam kanapki z wołowiną i wcześniej zrobimy przerwę. Co wy na to?

Kanapki też były fatalne.

W dwa dni później mieliśmy gościa. James Prettyman był zamerykanizowanym Anglikiem i moim dawnym współpracownikiem. Potem Centrala Londyńska wysłała go do Waszyngtonu w jakiejś tajnej misji, która zapewniała mu znaczny stopień samodzielności. Byliśmy kiedyś bliskimi przyjaciółmi. Teraz nie byłem tego pewien, choć miałem świadomość, że oddał mi kilka przysług.

Jim miał niewiele ponad trzydzieści lat. Był chudy i żylasty, a poza tym odznaczał się szybkim refleksem, cechującym z reguły domokrażnych komiwojażerów. Jego cera była blada i bezkrwista. Miał jajowatą głowę pokrytą rzadziejającymi jedwabistymi włosami, które, mimo że łysiał, spadały mu czasem na oczy. Myślę, że cieszył się z ich widoku.

Zjawił się wczesnym rankiem. Miał na sobie niebieskie prążkowane ubranie z lekkiej bawełny, jedyne materiału, w jakim można wytrzymać o tej porze roku w parnym Waszyngtonie. Z kieszonki marynarki wystawała barwna jedwabna chustka. Spodnie były bardzo zmięte, jakby spędził kilka godzin przypięty pasami do fotela samolotu.

- Cieszę się, że cię widzę, Bernie - powiedział ściskając mi serdecznie dłoń i patrząc na mnie ze skupieniem, jakie objawiają Amerykanie, kiedy usiłują przypomnieć sobie czyjeś imię. - Wezmę dziś udział w dyskusji. - Spojrzał na zegarek. - Trochę później. Tylko ty, Bret i ja, zgoda?

- Zgoda - odparłem, nie wiedząc, czego ode mnie oczekuje. Myślałem, że przyjechał porozmawiać z Fioną, ale ona jadła właśnie śniadanie w łóżku, gdyż miała tego dnia wolne przedpołudnie.

Bret Rensselaer udał się na poufną naradę z Jimem Prettymanem, a mnie poproszono o przyłączenie się do nich dopiero około dziesiątej. W pokoju porostawiane były jeszcze resztki po ich śniadaniu. Bret nie umiał myśleć, jeśli nie chodził po pokoju, więc w różnych zakątkach

gabinetu stały talerze z nie dojedzonymi bułkami, filiżanki i szklanki z nie dopitym sokiem pomarańczowym. Nalałem sobie kawy z termosu i usiadłem. Sięgnąłem po dzbanuszek ze śmietanką, ale kiedy próbowałem jej sobie nalać, okazało się, że pozostały w nim tylko ostatnie krople.

- Jim chciałby usłyszeć twoją wersję wydarzeń - powiedział Bret. Kiedy na niego spojrzałem, dodał: - Na autostradzie.

- Na autostradzie - powtórzyłem. - Ach, tak...

- Kto to był ten motocyklista? - spytał Prettyman.

- Wygląda na to, że nikt tego nie wie - odparłem.

- Powiedziałem Jimowi, że masz jakieś teorie - stwierdził Bret. - I że nie chcesz ich ujawnić.

- Rozmawiamy nieoficjalnie, Bernie - dodał Jim.

- Noc była bardzo ciemna - zacząłem.

Prettyman pochylił się w kierunku magnetofonu i wyłączył go.

- Nieoficjalnie - powtórzył.

- Ach, aż tak nieoficjalnie - powiedziałem. Wypiłem łyk kawy. Była zimna. - Podejrzewam, że twój termos jest zepsuty. No więc... Miał amerykański akcent.

- Oni wszyscy mają amerykański akcent - przerwał Bret. - Uczą ich w laboratoriach językowych.

- Tak słyszałem - stwierdziłem.

- Czy rozpoznałeś jego głos? - spytał Prettyman.

- Czy chcecie zrobić ze mnie durnia? Czy musimy bawić się w ciuciubabkę?

- Kto to był?
- Jezus, Jim! Wiesz, kto to był. Był to bandzior nazwiskiem Thurkettle, Amerykanin, który zdradził. Płatny morderca, którego wynajął Departament, by mieć pewność, że Tessa Kosiński zostanie rozwalona.

- Och, ty tępy... - zaczął Bret, ale Prettyman uciszył go ruchem ręki.
- Powiedz mi coś więcej - zażądał Prettyman. - Dlaczego Departament miałby zaaranżować morderstwo siostry Fiony? - Mówił cicho, ale w jego głosie wyczułem pojednawczy, uspokajający ton, jakim psychiatrzy rozmawiają ze swymi pacjentami.

- Samochód się spalił - powiedziałem. - Szczątki Tessy - kilka kości i trochę popiołu - zostaną zidentyfikowane jako szczątki jej siostry, Fiony. Fiona ukrywa się tutaj; Moskwa nie będzie wiedzieć,

że jest nie tylko zdrowa i cała, ale w dodatku składa wam dokładny raport ze swej działalności.

- Zapominasz o zębach - oświadczył Bret. - Muszą znaleźć jej kości szczękowe. Kiedy była w Berlinie Wschodnim, robiono jej plombę i koronę. - Jego nieoczekiwana znajomość karty stomatologicznej Fiony przekonała mnie do końca, że mam słuszność.

Prettyman zerknął na Breta, potem na mnie, wreszcie na swój zegarek.

- O niczym nie zapominam - powiedziałem. - Przyjmijmy, że wzięto jakąś czaszkę, podobną do czaszki Fiony, i spreparowano w niej zęby w taki sposób, by pasowały dokładnie do jej uzębienia. Potem podrzucono ją w tym samochodzie.

- Dwie kobiece czaszki w jednym samochodzie?
- Po to właśnie był im potrzebny taki szaleniec jak Thurkettle. Odcięcie głowy od ciała było uwzględnione w jego honorarium jako osobna pozycja.

- Thurkettle to ten facet, który wykończył agenta CIA w Salzburgu - powiedział Prettyman takim tonem, jakby przypominał sobie nazwisko usłyszane w zamierzchłej przeszłości. - Wymagałoby to starannego planowania... współpracy wielu osób. Kto miałby poinformować go o miejscu spotkania, i tak dalej?

- Odbывał się tam handel narkotykami. Zamieszani w to byli przedstawiciele władz z obu stron. Wszystkim zainteresowanym bardzo zależało na zamknięciu sprawy. To miejsce na autostradzie, w którym prowadzono roboty drogowe, umożliwiało usunięcie niewygodnych śladów.

- Skąd to wszystko wzięłeś? - spytał Prettyman.
- To jedyne rozsądne wytłumaczenie.
- To nam nie wystarczy, Bernie - powiedział Prettyman głosem, w którym

brzmiała autentyczna życzliwość. - Wysłucham tego, co masz do powiedzenia.

Przeanalizowałem wszystko, czego dowiedziałem się od ciebie. Ale będziesz musiał zmodyfikować trochę ten zwariowany scenariusz.

- Więc co, do cholery, robiła tam Tessa?

Bret uznał, że nadeszła jego kolej.

- Na to pytanie ty nam musisz odpowiedzieć, Bernard - oświadczył. -

Przecież to ty zabrałeś ją tam ze sobą. Pamiętasz?

• Czy możesz zobaczyć się z Glorią? - spytałem Prettymana pod wpływem desperackiego impulsu. - Powiedz dzieciom, że dobrze się miewam i że je kocham.

Bret milczał.

- Nie ma wielkich szans na to, żebym w najbliższej przyszłości wybrał się do Londynu, Bernie - odpowiedział łagodnym tonem Jim.

Wypiłem łyk chłodnej czarnej kawy i nie odezwałem się.

• Wróć jeszcze do ciebie - obiecał mi Prettyman tonem obowiązkowego syna, który odwiedza zrzędlivego osiemdziesięciolatka. - Ale muszę być o drugiej na lotnisku Camarillo. Może w przyszłym miesiącu... Miło było się z tobą zobaczyć, Bernie. Naprawdę! Mówię zupełnie szczerze.

- Wypchaj się! - mruknąłem.

Prettyman spojrzał na Breta. Bret odpowiedział mu drobnym wzruszeniem ramion, jakby zapraszał go do wyjścia. Pozostałem na miejscu, ale słyszałem z sąsiedniego pokoju ich głosy. Kiedy się żegnali, Prettyman powiedział: - Co za tragedia. I to oboje.

- Nie jest jeszcze za późno - odpowiedział Bret. - Zobaczmy, co się wydarzy.

Dopiero w tydzień później dowiedziałem się, że lotnisko Camarillo było niegdyś bazą operacyjną amerykańskiego lotnictwa i że jego pasy startowe są nadal w dobrym stanie. Więc Prettyman wskoczył tam do tego samego ponaddzwiękowego wojskowego odrzutowca, którym przyleciał do Kalifornii, i był przed zmierzchem w Waszyngtonie. Domyśliłem się, że Fiona powiedziała Bretowi coś, o czym trzeba było natychmiast powiadomić Waszyngton.

Mieszkaliśmy w tym samym domku już od ponad miesiąca, kiedy Fiona

zaczęła otwierać się przede mną. Nawet wtedy mówiła tylko o banalnych aspektach swego codziennego pobytu w Berlinie, ale był to dobry początek. Czasami rozmawialiśmy przy drinku w naszym salonie, czasami zaś robiliśmy spacer wokół posiadłości. Potem, któregoś dnia, Fiona omal nie nadepnęła na wielkiego szarego grzechotnika i od tej pory trzymaliśmy się ścieżek lub siedzieliśmy na tarasie. Była to wjelka posiadłość, położona na tyle wysoko, że podczas ciemnych nocy wybrzeże kalifornijskie lśniło jak wielki naszyjnik ciągnący się aż do Los Angeles.

- Co się naprawdę stało? - spytała któregoś wieczora, kiedy staliśmy na tarasie, podziwiając widok i słuchając oceanu.
- Wydostali cię stamtąd - odparłem. - Oto, co się stało.
- Co tam robiła Tessa? Tego właśnie nie potrafię zrozumieć. Co tam robiła Tessa, Bernard?
- Powiedziałem ci - odparłem. - Miała romans z Dickym. Myślała pewnie, że będzie to zabawne.
- Tak bardzo cię kochałam, kiedy się pobraliśmy, Bernard. Kochałam cię, ponieważ byłeś jedynym znanym mi człowiekiem szanującym prawdę. Nigdy mnie nie okłamywałeś, Bernard. Chciałam, żeby moje dzieci były takie jak ty.

Trzymałem ją za rękę, wpatrując się w ciemność i usiłując dostrzec odległe wybrzeże.

- Nie działałbyś na moją szkodę, prawda, Bernard? Nie zrobiłbyś mi tego?
 - O co ci chodzi?
 - Nie powiedzieli nawet George'owi o śmierci Tessy.
 - Dlaczego?
 - Biedny George. Nigdy nie byłby w stanie nikogo skrzywdzić.
- Dlaczego mu o tym nie powiedzieli?
Odwróciła się, by na mnie spojrzeć.
- Kazali mu zaprzysiąc, że dotrzyma tajemnicy i oznajmili, że Tessa pojechała z tobą do Berlina i że oboje uciekliście... uciekliście tam, gdzie nikt was nie znajdzie.
 - A więc tak wygląda cała historia - powiedziałem. Wszystko pasowało do siebie jak ulał; pokój hotelowy, w którym Tessa mieszkała z Dickym, wynajęty był na moje nazwisko.
 - Chcą, żeby w Moskwie myślano, że Tessa żyje. Że to ja zostałam zabita na

tej autostradzie.

- Spalony samochód. Tak, to by się zgadzało.
- Czy to możliwe, żeby udało im się przeprowadzić taką intrygę, Bernard?
- Odbывał się tam handel heroiną. Czy Erich Stinnes mógł być w to

zamieszany?

- Erich? Nie!
- Wielu ludzi sądzi, że był - powiedziałem z uporem. - A ponadto pracował

dla Departamentu. Czy rozumiesz teraz, że mogli go w to zrobić?

- Przestań przejmować się losem Ericha.
- Kto mówi, że się nim przejmuję?
- Identyfikujesz się z nim... on też dorastał w Berlinie... jego ojciec był w

wojsku... tak, identyfikujesz się z nim.

Nie zaprzeczyłem; ona to wiedziała. Zapewne krzychałem coś przez sen.

Miałem kilka koszmarów nocnych.

- Zabiłem go.
- Jest już po wszystkim, kochanie. Przestań się dręczyć. Dlaczego była tam

Tessa? Tego tylko chcę się dowiedzieć.

- Wiesz... Tessa była narkomanką.
- To samo powiedział Bret.
- To mógł być powód, dla którego pojechała do Berlina. Był tam człowiek

nazwiskiem Thurkettle, który zapewne dostarczał jej narkotyki. Podejrzewam, że odciął jej dostawy, by skłonić do przyjazdu. Była w to wmieszana masa ludzi.

Potrzebny był kozioł ofiarny. Mogę się założyć, że według oficjalnej wersji ty byłaś kurierem przewożącym te narkotyki.

- Ja przewoziłam heroinę? Według czyjej oficjalnej wersji? Strony

wschodniej czy strony zachodniej?

- Jednej i drugiej. To daje im szansę umorzenia sprawy - odparłem.
- I Departament gotów jest przyjąć taką wersję?
- Mamy do czynienia z bezprecedensową sytuacją. Nie możemy nic

wnioskować na podstawie dotychczasowych doświadczeń.

- Wuj Silas wiedział, po co naprawdę tam byłam.
- Owszem, wiem o tym. Rozmawiałem z nim. Powiedział, że chcą

utrzymywać Moskwę w przekonaniu o twojej lojalności przez sześć miesięcy. Wykorzystają w tym okresie wszystkie materiały, którymi nie posługiwali się dotąd, żeby cię nie narażać.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że ktoś świadomie zaaranżował wszystko w taki sposób, żeby Tessa zginęła?
- Nie wiem. - Moja odpowiedź wypadła nieprzekonująco i Fiona pomyślała, że nie mówię jej wszystkiego, co wiem. - Naprawdę nie wiem, Fi.

Otoczyła mnie ramieniem.

- Nie mam już nikogo, komu mogłabym ufać. Czasem mnie to przeraża.
- Rozumiem cię.
- Czy ty też się tak czułeś?
- Od czasu do czasu.
- Kto mógłby zaplanować coś tak potwornego?
- Być może ja wcale nie mam racji - powiedziałem.
- Bret?
- Na twoim miejscu nie zaczynałbym rozważać wszystkich wariantów personalnych. Zapewne była to mieszanina planowania i sprzyjających okoliczności. Być może wcale tak nie było. Mówiłem już: niewykluczone, że ja nie mam racji.
- Tessa była chyba podobna do mnie. Tato zawsze to mówił.
- Nie potrafię dowieść, że taka czy inna wersja jest prawdziwa.

Najważniejsze jest to, żeby udzielić Bretowi takich odpowiedzi, jakie chce usłyszeć. Musimy się stąd wydostać. Dzieci potrzebują nas.

- Porzuciłam je - powiedziała Fiona. - Muszą mnie nienawidzić.
- Nic podobnego.
- Dlaczego nie zdarzyło się to mnie? Tessa tak kochała życie, a wy - ty i dzieci - dalibyście sobie beze mnie radę. Dlaczego nie zdarzyło się to mnie?
- Musisz zacząć od nowa, Fi - powiedziałem.
- Nie poznałam jej nawet. Zostawiłam ją tam... w błocie. Słyszałem ocean, ale nie widziałem nic prócz ciemności.
- Spróbujmy namówić Breta, by sprowadził tu dzieci na ostatnie dwa czy trzy tygodnie - powiedziałem.
- On mówi, że będziemy tutaj przez długi czas - oznajmiła obojętnym

tonem, jakby nie robiło jej to różnicy.

Przeszedł mnie dreszcz. Miałem słusność. Byliśmy uwięzieni. Może na lata. Może bezterminowo. Słyszałem o ludziach, którzy potrzebowali ochrony po przejściu na drugą stronę i których ukrywano przed ludzkim wzrokiem przez dziesięć lub więcej lat.

- Powiedz Bretowi, że żądasz widzenia z dziećmi – zaproponowałem.

Odpowiedziała dopiero po chwili, a w dodatku głosem, w którym czuło się apatię.

- Kocham nasze dzieci i bardzo chcę je zobaczyć. Ale nie tutaj.

- Jak chcesz, Fi.

- Potrzebuję trochę czasu, Bernard. Będę znowu tą szczęśliwą, pogodną dziewczyną, z którą się ożeniłeś, i wrócą jeszcze dobre czasy. Będziemy żyli długo i szczęśliwie. Ale potrzebuję trochę czasu.

Od strony Pacyfiku dolatywał zapach soli i zgnilizny zwany świeżym morskim powietrzem. Niebo było tej nocy bardzo ciemne - bez gwiazd czy choćby przebłysków księżyca. Wygaszono nawet światła migoczące zwykle wzdłuż wybrzeża.

„KB”